Wydawnictwo
na cele dobroczynne samborskie.

XII. ROCZNIK.

NOWA SERJA ILLUSTROWANA,
wydawana
NAKŁADEM I STARANIEM
G. KOHNA.

(Z zastrzeżeniem praw wydawcy i współpracowników.)

Cena 1 złr. 80 ct.

dla wszystkich prenumeratorów z wyjątkiem prenumeratorów stale w Samborze i Przemyślu zamieszkałych.

SAMBOR.
CZCIONKAMI SCHWARZA I TROJANA.
1888—1889.



Nr. 64.

Bilet prenumeracyjny

dla W. Pana Dra Estreichera,

Dyrektora biblioteki Jagiellońskiej

w Krakowie,

który obok przedpłaty na „Rocznik Samborski", uiścił drugą roczną ratę w kwocie 20 ct. na dzieło: „Polska w świetle niemieckiej poezji", wypłacić się mające w pięciu ratach rocznych.

G. Kohn.



Abraham Kohn

Wydawnictwo

na cele dobroczynne Samborskie.

XII. ROCZNIK.

NOWA SERJA ILLUSTROWANA,

wydawana

NAKŁADEM I STARANIEM

G. KOHNA.

SAMBOR.
CZCIONKAMI SCHWARZA i TROJANA.
1888—1889.





Papier drukowy z papierni Czerlańskiej.





Żywot prawego męża,

nakreślony

przez

SYNA.

(Z RYCINĄ TYTUŁOWĄ.)



W dowód wielkiej czci, wdzięczności i poważania poświęca pracę tę stryjowi swemu, Bernardowi Kohnowi we Wiedniu.

Autor.

MOTTO.

„Nie bój się, o synu ludzki! nie obawiaj się
[ich mocy,
Choć cię zewsząd otaczają, prześladując dzieci nocy,
Choć na cierniach masz posłanie, choć niedźwiadki
[ci zagrożą,
Ty się nie bój... słowo moje objaw, wsparty
[dłonią bożą!“

(Chamisso, Abba Glosk Leczcjka.)

I.

Młode lata.

„Lecz wszyscy, którzy z płomiennego zdroju
Czerpali, wszyscy są uszczęśliwieni;
Uszczęśliwieni promienistą sławą,
Co wiecznie trwa, choć świat zaludnią cieni!“

(Zedlitz, Wieńce pośmiertne.)

„Nie pragnę, żebyście mi głośne dawali oklaski, ni też pochlebną dla mowcy zaszczycali pochwałą. I łzy wasze, łzy wzruszenia, stanowiące dla innych najwybitniejszy dowód skuteczności kazania, nie są mi pożądane; ale jeśli wolno mi otwarcie wynurzać życzenia i pragnienia moje, to pragnę, aby ten głos mój was przeniknął na wskróś, aby to słowo moje oddźwiękło w głębi waszej duszy gdyby słowo życia i pobudziło was do poważnej a cichej myśli i stało się ciałem i niebiańskiem światłem rozjaśniło ciemności waszego żywota!“

Mniej więcej w ten sposób przemawiał do postępowej niemieckiej gminy izraelickiej we Lwowie, postępowy rabin, Niemiec, Abraham Kohn, kiedy na dniu 11-go Maja r. 1844-go miał pierwsze swoje kazanie lwowskie, już w duchu może dochód z wydrukowanej następnie mowy przeznaczając na cel dobroczynny, a mianowicie na budowę nowej świątyni izraelickiej, mającej wkrótce powstać we Lwowie.

Od tego czasu minęło lat 44; ten, który natchnione wyrzekł słowa, spoczywa już w grobie od lat czterdziestu, a rój legend i podań, najczęściej sprzecznych z prawdą, otacza skroń bojownika, który poległ

męczeńską śmiercią za prawdziwość i świętość swych przekonań! Czas już, by odsłonić rąbek ponurej i smutnej przeszłości; czas, by na podstawie własnych jego myśli, jego słów i czynów zadać kłam nieprzyjaciołom Abrahama Kohna a może i mniemanym jego przyjaciołom!

Autor niniejszej pracy, jako najmłodszy potomek kaznodziei lwowskiego, nie może sobie niestety na podstawie własnych spostrzeżeń odźwierciedlić postaci ojca, ni też przedstawić jak współcześni, osierocony bowiem został już w czwartym roku życia; ale jeśli zestawi i porówna słowa ojca z jego czynami i zgonem i zajrzy do kroniki rodzinnej, zawartej w rozlicznych listach i drukach, częścią publikowanych przez Abrahama Kohna samego, częścią przez innych członków rodziny albo przez obcych, to przecież może się spodziewać, że otrzyma wierny obraz życia, dążności patrjotycznych, społecznych i religijnych, oraz śmierci kaznodziei lwowskiego, chociaż obraz ten z pewnością zgadzać się nie będzie z baśniami, w złej lub dobrej wierze rozsiewanemi przez przyjaciół i nieprzyjaciół. I nie mogę też zataić tej myśli, że przy skreśleniu niniejszej pracy nie rozchodzi mi się tak o apoteozowanie postaci ojca, którego poniżyć najzawziętszy wróg nie byłby w stanie, jak raczej o spisanie i ogłoszenie prawdy; bo prawdą żył i działał i za prawdę swych przekonań poniósł śmierć, konając z przytomnością ducha w powolnej agonji pierwszy rabin postępowy gminy wyznaniowej we Lwowie: Abraham Kohn!

Cofnijmy się myślą w ubiegłe lata; cofnijmy się aż do początku obecnego stulecia, a nie było to jeszcze stulecie postępu, cywilizacji, oświaty, którem to mianem tak radzi zaszczycamy nasz wiek 19-ty. Zdobycze wielkiej rewolucji francuzkiej utonęły w morzu reakcji, w strumieniach krwi rozlanej. Wielkie duchy Szyllera, Getego, Mendelsohna, Kanta i Herdera uleciały ku niebiańskiej ojczyznie swojej a głucho było i ciemno wszędzie. Narody drzemały, drzemały jednostki!

Wśród takich warunków urodził się w roku 1806-m według żydowskiej rachuby 24-go miesiąca

Sywan, w małej mieścinie czeskiej Załużanie, przyszły reformator gminy wyznaniowej lwowskiej, Abraham Kohn, syn Salamona, recte Szulima Kohna.

Już za młodu matka jego, poznawszy niezwykłe — wielką i świetną przyszłość rokujące zdolności syna — przeznaczyła go na kaznodzieję; tak, jak męczennicy idei spadkobierców myśli swojej namaszczają na równe męczeństwo; nędza bowiem i ubóstwo, dające się zbyt dotkliwie uczuwać w gronie rodzinnem Kohnów, zmusiły syna do niesłychanych wysileń, do pracy o głodzie i chłodzie, do pracy wytężonej po nocach, aby sprostać zadaniu swemu przyszłego kaznodziei. Z niepospolitą też gorliwością poświęcał się studjom języka i literatury hebrajskiej, szczególnie talmudycznej, niezbędnie potrzebnej dla każdego rabina. W dwunastym roku życia prześcignąwszy już wiedzą nauczyciela domowego, musiał się rozstać z nim i udać się w obczyznę celem dalszego kształcenia się.

Uczęszczając w mieście Pisek do gimnazjum tamtejszego, ślęczał przez dwa lata nad książkami z taką gorliwością i pilnością, że co najwięcej pięć godzin dziennie, zwykle jednak jeszcze mniej, zostawiał sobie czasu na niezbędny spoczynek*). Nie było to jednak bezmyślne kucie przedmiotów naukowych, jakie się nieraz praktykuje u młodzieży szkolnej.

Zajrzyjmy tylko do warstatu ducha przyszłego kaznodziei a zobaczymy od razu, jakie niepospolite korzyści odniósł z nocnych swoich studjów. Pominąwszy szczegół, że oprócz języków niemieckiego, hebrajskiego i czeskiego, posiadał także do pewnego stopnia znajomość języków łacińskiego, greckiego, francuzkiego i włoskiego**), to duch chciwy wiedzy, wniknąwszy w tajniki tejże, coraz szerszych nabierał poglądów; otrząsł się z pleśni i pyłu zabobonów, nie tracąc i nie zatracając prawdziwej religji i wyrobił sobie samoistne zapatrywanie na świat i ludzi.

---

*) Jakub Kohn, Życie i działalność Abrahama Kohna. Lwów, 1856, drukiem Michała Poremby.

**) Abraham Kohn pod koniec życia swego zastępywał własną nauką korepetytora łacińskiego języka u najstarszych synów swoich.

Ciężkim i niepowetowanym nigdy ciosem dla młodzieńca była śmierć niespodziewana matki, otaczająca kirem żałoby całe następne jego życie; ale obowiązek był silniejszy i świętszy od wszelkich uczuć. Dzięki niepospolitym zdolnościom i nadmiarowi pracy zdał też Abraham Kohn maturę z wyszczególnieniem, dalsze filozoficzne studja już w Pradze uzupełniając.

W dzień udzielał lekcyj, z których się utrzymywał, nocami dalej ślęczał nad duchowem swojem wykształceniem. Tą pracą nad siły przy złem pożywieniu naraził się na febrę, mogącą łatwo przeciąć pasmo dni użytecznych.

Zaledwie ocalony, dzięki zabiegom troskliwych lekarzy, występuje już w r. 1830-m a w 24-m życia swego publicznie jako mowca przy sposobności poświęcenia małej synagogi w Pisek i pierwsze słowa jego, wypowiedziane na temat zgody i łączności, wywołują skutek niebywały dotąd: skłoniły dwóch nieprzebłaganych wrogów do podania sobie dłoni.

W trzy lata później (1833) Abraham Kohn, powołany na rabina w Hohenems, obejmuje pierwszą posadę kaznodziei. Działalność jego w tem miasteczku, od której dalsze jego losy zawisły, zanadto jest ważną, abyśmy ją kilku słowy zbyć mieli.

II.

Działalność w Hohenems.

„I krewniacy myślą, rodem — żywem słowem go witali,
Żywem słowem on ich uczy, żywem słowem Boga chwali,
Żywem słowem ich prowadzi na zbawienia drogi stare,
By od ziarna różnić plewę, by od błędów różnić wiarę.
Choć skalista, twarda ziemia, ziarno siej, rozrzucaj wszędzie!
I opokę deszcz odwilży, skała się zielenić będzie!
Bądź cierpliwym, póki życia stoją ci otworem wrota;
To, coś winien Twórcy swemu, pracą odpłać mu żywota.“

(Chamisso, Abba Glosk Leczejka.)

Znana zapewne moim czytelnikom przesadna, fanatyczna prawie gorliwość w katolickiej wierze mieszkańców Styrji i Tyrolu. Przez długie wieki rządziło obydwu krajami przeważnie duchowieństwo, utrzymując ludność w bezgranicznem, ślepem posłuszeństwie, szerząc ducha fanatyzmu a nie miłości chrześcijańskiej, stawiając zaporę nieprzepartą wszelkiemu postępowi. Wszak nazbyt znana anegdota o owym mocarzu, pochodzącym ze Styrji, a który na pytanie, coby uczynił, gdyby do niego równocześnie zawitali w gościnę Pan Bóg i ks. Jezuita oświadczył się bez namysłu:

— Pierwszy ukłon oddałbym ks. Jezuicie a drugi Panu Bogu.

Styrja niedawno dopiero, bo za naszych czasów, postanowiła pierwszą synagogę wybudować w Gracu, a pytanie jeszcze, czy tamtejsza gmina wyznaniowa izraelicka zdobędzie się na potrzebne fundusze; na cały Tyrol zaś przed pięćdziesięciu laty liczono tylko jedną gminę wyznaniową izraelicką i ta szczupła gmina, licząca zaledwie 90 rodzin, miała siedzibę swoją w miasteczku Hohenems.

Jak wszędzie, tak i tu gmina żydowska dzieliła się na postępowców i na starowierców, choć tej nazwy nie powinniśmy znowu identyfikować ze starowiercami czyli chusytami galicyjskimi. Abraham Kohn swoją działalnością kaznodziejską i literacką przeważał szalę na korzyść postępowych żydów. Myliłby się jednak grubo ten, coby twierdził iż postępowość Abrahama Kohna polegała i uzasadniała się na tem, aby obalić dogmata wiary żydowskiej i działać tajemnie lub jawnie w duchu chrześcijańskiej wiary, a ci, którzy tak o nim piszą, ciężką wyrządzają mu krzywdę i grzeszą srodze w obec prawdy historycznej, gdyż prawowierniejszego odeń nie było może żyda. W domu jego obserwowano ściśle rytuał żydowski, a on sam dawał przykład rodzinie swojej przestrzeganiem tegoż rytuału, zachowywaniem postów nawet najdrobniejszych i dni świątecznych i pielęgnowaniem ojczystego języka hebrajskiego, którego, ożeniwszy się w dwa lata później, kazał się uczyć dzieciom swoim i badał ich postępy nawet w tak zwanem żydowsko-, czy właściwie hebrajsko-niemieckiem abecadle, którego każde z dzieci uczyć się musiało i w którem tak ojciec jak i matka moja z innymi członkami rodziny prawie wyłącznie korespondowali. Ale nie sądził, żeby religijność prawdziwa ograniczać się miała na kaftanie i długim surducie, żeby paplanie bezustanne i bezmyślne modlitw, nie łączące się z pobożną myślą i uczciwemi czynami, miało być czynnikiem zbawiennym, że przeklęty ten, co nie dzieli wiary fanatyków, że potępiony ten na wieki, co oprócz wiadomości duchownych, a w takim razie znajomości języka hebrajskiego, posiada jeszcze wiadomości szersze, wkraczające w zakres studjów humanitarnych. Ale chociaż zasady te szerzył bezustannie i w kazaniach swoich i w pracach literackich o filozoficzno-religijnym nastroju, porozrzucanych po rozmaitych pismach żydowskich, umieszczanych kolejno w „Magdeburskiej gazecie żydowskiej,“ w „Synagodze,“ w „Annalach,“ w czasopiśmie Geigera, w Buscha „Kalendarzu,“ w tegoż „Centralnym organie dla wolności sumienia“, jakoteż w licznych innych, których tu z braku miejsca nie wymieniam, to nie narzucał

się z przekonaniami swojemi nikomu. Szczerze ubolewając tak nad indyferentyzmem jednych, jak i nad zabobonami drugich, pragnął tylko jednej rzeczy gorąco, t. j. prawdziwej religijności, uzasadnionej na umoralnieniu i uszlachetnieniu swoich współwyznawców.

Wszak był człowiekiem i mógł się mylić, ale czuł prawie instynktowo, że nie jest na mylnej drodze, oddawszy i siebie i życie swoje w usługi oświaty.

I tak przemawia w jednem z późniejszych kazań swoich do publiczności*):

„Błogosławiony mój zawód, który mi nakazuje uczyć, pocieszać i błogosławić, a nie sądzić, karać i przeklinać. Wolność sumienia każdego członka mojej gminy jest dla mnie świętością nietykalną, której nie naruszę ani nie nadwyręże bądźto pośrednio, bądźto bezpośrednio."

Zapewne, że nie mógł być fanatykiem ani zacofańcem, kto takie wypowiedział słowa!

Bawiąc jako kaznodzieja przez dziesięć lat w Hohenems, miał Abraham Kohn aż nadto czasu, aby poznać, czego właściwie gminie jego brakowało, a ożeniwszy się w dwa lata po swojem przybyciu a w rok po zamianowaniu na rabina gminy wyznaniowej, z Magdaleną Kahn, córką przełożonego gminy izraelickiej w Bawarji, uzyskał w niej dzielną współpracowniczkę, która według możebności wszystkie plany naukowe i humanitarne męża swego w kole znajomych szerzyła i wspierała.

I tak powstało pod jego kierownictwem stowarzyszenie, mające ubogim współwyznawcom ułatwić uczenie się rzemiosła; pod jego kierownictwem doczekały się pomyślniejszego rozwoju stowarzyszenia tak „Chewry kadiszy", jak i kobiet, mające na celu pielęgnowanie chorych; zaopatrywano i wspierano ułomnych i biednych z funduszów gminnych, aby zapobiedz wstrętnej i niemoralnej żebraninie ulicznej; wprowadzono śpiew chóralny w synagodze;

---

*) Kazanie wstępne, miane we Lwowie na dniu 11. Maja r. 1844-go, wydrukowane tamże u Piotra Pillera.

zreformowano system szkolny, szczególniej zaś naukę religji żydowskiej i języka hebrajskiego. W wolnych od zawodu chwilach udzielał jeszcze Abraham Kohn ubogim a uzdolnionym chłopcom bezpłatnie początkowych nauk podczas gdy zacna jego małżonka ubogie dziewczęta w robotach ręcznych kształciła.

Toż nie dziw, że go gmina, nad której umoralnieniem tak usilnie pracował, poważała jak ojca, nie dziw, że ną kazania jego, na kazania żyda niejeden nawet uczęszczał chrześcianin!

Pyszałkowatość, egoizm, ciasnota umysłowa wyradzają wszystko złe na świecie, powodują wynoszenie się jednego po nad drugiego, wyzyskiwanie biedniejszego przez bogatszego. Przeciwko tym wadom społeczeństwa, toczącym je jak rak zdrowy organizm, występował bezustannie kaznodzieja tyrolski a występował nie sofizmatami. U niego nie był „wielkim człowiekiem,“ kto miał wielki trzos napchany pieniędzmi, ani kto pochodził z wielkiego według ówczesnych zapatrywań rodu, ale kto coś wielkiego zdziałał dla społeczeństwa.

Charakterystyczny pod tym względem jest ustęp z kazania o dobroczynności publicznej:

„Nazywają barbarzyńcą, nazywają wyrodkiem tego, kto tylko dba o swoje skarby, kto je mnoży bez ustanku, ubogiemu odmawiając kawałka chleba; ale czy nie słuszniejszy stokroć zarzut cięży na marnotrawcy, który na stroje, na uczty, na bale, przy zielonym stole tyle trwoni jak najbogatszy, a tylko tam gdzie się rozchodzi o dar litośny, uwzględnia przykre swoje położenie? Jakto? dla marnej wygody lub próżności mojej miałbym w przeciągu jednej godziny tyle przetrwonić, ile wystarczy na utrzymanie ubogiej rodzinie przez cały tydzień? Podczas gdy ja się pieszczę, cierpią tamci niedostatek, podczas gdy ja brzuch swój pasę, giną tamci z głodu i nędzy, a ci ubodzy, ci nędzarze, to może moi krewni, to może dobrodzieje moi, to może chorowici starcy niegdyś zamożni a teraz podupadli, podupadli właśnie skutkiem poświęcenia, rzetelności i prawości swojej! To, co lekkomyślnie przetrwaniam, to wystarczyłoby może, aby im ocalić życie.“

Jest to ustęp, godny uwagi myśliciela! a mimoto porusza tenże sam kaznodzieja w pierwszej części swego kazania temat nieprzemawiający nam do przekonania:

„Prawdziwy przyjaciel ludzkości pierwszą uwagę swoją zwrócić raczy na najbliższe otoczenie, na krewnych, przyjaciół i znajomych, potem na sąsiadów i pobratymców a na końcu na rodaków swoich.“

Nie! tak nie uczyni prawdziwy przyjaciel ludzkości! Pomny zasady, że prawdziwą rodziną naszą jest społeczeństwo, wśród któregośmy się wychowali, pierwszą uwagę zwróci na to społeczeństwo, nad którego uszlachetnieniem pracować mu wypadło a w drugim rzędzie dopiero uważać będzie na rodzinę swoją. Działając bowiem inaczej, naraziłby się słusznie na zarzut nepotyzmu tem bardziej, jeśli rodzina zapomniała o swoich obowiązkach społecznych i tylko tytułem rodzinnej przynależności dopomina się wsparcia.

Ale nie tylko dobroczynność źle skierowana, do wręcz przeciwnych, niźli zamierzono, może doprowadzić skutków, także nabożeństwo, jeśli nie idzie z serca, jeśli polega jedynie na bezmyślnem klepaniu pacierzy, na powtarzaniu słów i frazesów niezrozumiałych, nie jest służbą bożą, ale obrazą Boga, i omawiając taki właśnie rodzaj nabożeństwa, widzi się kaznodzieja zniewolonym do przestrogi:

„Przez mnożenie nadmierne modlitw uniemożebniono prawdziwą pobożność i wyrobiło się wśród ludu przekonanie błędne, że Bóg życzenia i prośby tego usłucha, kto mu najwięcej słów przyniesie w darze, a ponieważ nie zawsze czasu starczyło na nie, więc usiłowano uzupełnić pośpiechem robotę i wpadano w błąd, przed którym właśnie ostrzega jeden z naszych mędrców: „Niechaj modlitwa twoja nie stanie ci się ciężarem, którego jedynie pozbyć się pragniesz, ale niechaj będzie wynikiem miłości twojej ku Bogu a więc pełna pobożności.“

Zdawałoby się na tem miejscu, że kaznodzieja z kazalnicy występuje przeciwko modlitwie; ale nie! on występuje tylko przeciwko obłudzie, maskującej ziemskie dążności swoje pozorem nabożeństwa.

Dziesięć lat pobytu w Hohenems wystarczyło całkowicie rabinowi Abrahamowi, aby uregulować wszystkie stosunki tamtejsze i zaskarbić sobie wieczną wdzięczność swojej gminy. Odwdzięczywszy się choć w części ojcu sędziwemu za wychowanie wsparciem obfitem, wyposażywszy dwie siostry, wychowawszy rodzinę, składającą się z dwóch nieletnich synów i jednej córeczki, w duchu bożym, jednem słowem spełniwszy wszystkie obowiązki swoje, czekał jak żołnierz na hasło, na zawezwanie do dalszego boju, i zawezwanie przyszło!

Trzy gminy wyznaniowe, z tych dwie większe w Niemczech i jedna lwowska, zwabione jego sławą, powoływały go równocześnie na kaznodzieję; było to w lecie r. 1843-go. Abraham Kohn wybrał Lwów nie dla korzyści osobistej, ale dla tego właśnie, że stan gminy wyznaniowej we Lwowie był mu znany jako wadliwy, zaniedbany i wymagający jak najwięcej pracy, starań i poświęceń, a poświęcać się dla dobra braci swoich w Galicji, toż od dawien dawna było najgorętszem jego życzeniem!

O tym wyborze rabina Abrahama Kohna wyraża się niemieckim wierszem jeden ze współczesnych*) w sposób następujący:

„Wszechwładny Boże! Niebios Panie!
Przyjm ducha mego ślubowanie!
Jeżeli sen, co łudzi oko,
Uroczą prawdy przyjmie szatę
A myśl, co w sercu tkwi głęboko,
Owoce zrodzić ma bogate;
Jeżeli serce wzmocnisz bojem,
A duch za słowem pójdzie twojem;
Obawy wszelkie jeśli zmoże,
Bym prawdy zwalczył przeciwniki; —
O! wtedy, wtedy w imię Boże
W północy udam się kraj dziki,
I służbę Pańską tam wprowadzę,
Gdzie noc swą rozpostarła władzę!
I będę działał w imię wiary,
Gdzie ciemne Cię nie pojmą tłumy,

*) Dr. Józef Blumenfeld.

I milcząc przyjmę wyrok kary
Z odwagą męzką, z wzrokiem dumy,
A choćbym pewny był mej zguby,
To przyjmę śmierć dla Bożej chluby!“

III.

Działalność we Lwowie. Walki z nieprzyjaciołmi i intrygi tychże. Petycja i kontrapetycje.

„Czego nie dokaże fanatyzm? Do czego to nie doprowadzają złość, chytrość i przewrotność?“
Abraham Kohn (Słowa z ostatniego jego kazania.)

Dziwne i niezwykłe były stosunki ówczesne gminy wyznaniowej we Lwowie. Z pomiędzy grona większości ciemnej i zabobonnej chusytów wyłoniła się nieliczna partja postępowych żydów, używających swoich głosów w zborze izraelickim, gdzie jako przełożeni rej wodzili, do objawienia opozycji przeciwko starowiercom. Opozycja ta znalazła namacalny cel przy sposobności nowych wyborów na rabina, którym to zaszczytem jak wiadomo, wyszczególniony został Abraham Kohn.

Partję starowierców i postępowców nie łączyło nic z wyjątkiem wspólności języka a językiem tym — był niemiecki. Zresztą różnili się w ubiorze, w mowie potocznej, w przekonaniach, a grubo myli się, kto twierdzi, że ówcześni żydzi postępowi byli Polakami z przekonania, uczyli się oni zaledwie początków języka polskiego, ale instyktownie czuli już przewagę żywiołu polskiego i starali się zbliżyć doń. Był to akt mądrości politycznej Zresztą postępowi żydzi z małemi tylko wyjątkami*) tak mało mogli kompetować

*) Mam tu na myśli Abrahama Kohna, Marka Dubsa i kilku jeszcze, których nie wymieniam a którzy najwięcej zbliżyli się do obozu polskiego.

o uczczenie ich tytułem prawdziwych Polaków, jak Polakami z zrzeczeniem się narodowości swojej są umiarkowani Rusini, choć w politycznych przekonaniach bardzo znacznie różnią się od świętojurców. Ale i takzwani „polscy żydzi,“ czyli chałatowcy również nie byli wówczas Polakami; brak im było na to głównego warunku: polskiej mowy.

Partje te ścierały się i jątrzyły ustawicznie; ścierały się i jątrzyły przed wyborem nowego rabina, ścierały się i jątrzyły po wyborze. Partja postępowych, znajdująca się w liczebnej mniejszości, nie mogła wiele zdziałać i nie zdziałała też wiele; natomiast sypała frazesami dokoła, że aż miło. Drażniła bez potrzeby zacofańców i kompromitowała poniekąd postępowaniem swojem rabina samego, prześcigając go w wolnomyślności co do takich kwestyj nawet, w których on sam był ścisłym konserwatystą. Takie postępowanie oczywiście że się podobać nie mogło starowiercom zwłaszcza w owych czasach; to też jeden z przewódców chusyckiej partji, niejaki Jakub Herc Bernstein, który następnie w tragedji zamordowania ojca mego wybitną odgrywał rolę, miał się nawet w obec równie myślących wyrazić:

— Czy się nie znajdzie nikt, coby nas uwolnił od nowego rabina? bo jeśli jeszcze dłużej rządzić nami będzie, to gotów całe miasto namówić do odstępstwa od wiary.

Słowa podobne nie są wprawdzie poleceniem bezpośrednio danem do zgładzenia niemile widzianej osoby; ale w czasach tak burzliwych, jakiemi były czasy wyprzedzające bezpośrednio rewolucję roku 1848-go i wśród okoliczności, jakie następnie tejże rewolucji towarzyszyły, lada słówko wypowiedziane niby to od niechcenia, mogło oddziaływać i oddziaływało rzeczywiście jak iskra, kiedy pada w prochownię.

Procedura sądowa r. 1848-go uwolniła wprawdzie Bernsteina i Ornsteina od wszelkiej odpowiedzialności za udział w zamordowaniu rabina Abrahama Kohna z braku dowodów, i znalazło się nawet kółko składające się z ludzi, którzy w myśli swojej uniewinnili sprawców owej zbrodni twierdząc, że do podobnych

czynów nie byli zdolni, ale to chyba dla tego, że byli bogatymi i że fortuna ich imponowała małodusznym; inne natomiast przekonanie utrzymuje się dotąd w niezachwianej sile w rodzinie zamordowanego skrytobójczo kaznodziei lwowskiego, a w jej oczach wymienieni poprzednio fanatycy zawsze uchodzić będą za intelektualnych sprawców czynu zbrodniczego. Przeciwko Bernsteinowi przemawia zresztą i ten szczegół, obciążajacy go niepospolicie, że wyczerpnąwszy wszystkie środki perswazji bezskutecznie, ofiarował nareszcie ojcu memu pewną kwotę, aby wymódz od niego rezygnację z posady lwowskiego kaznodziei, co mu się również nie udało. Człowiek, który się w zaciekłości swojej nie zawahał, ofiarować pieniądze na przekupienie prawego człowieka, będącego jego przeciwnikiem, jakże łatwo mógł w pierwszym lepszym nędzniku znaleźć gotowe narzędzie do wykonania swoich planów!

Ale wróćmy do rabina Abrahama Kohna, któregośmy na chwilę opuścili, aby czytelnika dokładnie poinformować o stosunkach w tem gnieździe szerszeni, w którem nowy kaznodzieja żelazną dłonią i nieugiętym umysłem ład wytworzyć i poszanowanie dla boskich i ludzkich praw wywołać usiłował.

Poinformowawszy się jeszcze w roku 1843-m pobieżnie o stosunkach lwowskich, opuszcza Abraham Kohn wraz z całą rodziną swoją w Kwietniu roku następnego Hohenems; najmłodszy członek tej rodziny, jeszcze w Tyrolu urodzony a występujący obecnie jako autor niniejszego artykułu, liczył wówczas zaledwie 3 miesiące. O przyjemnościach podobnej jazdy w owym czasie, kiedy jeszcze sieć kolejowa nie łączyła prowincyj monarchii austro-węgierskiej jak teraz, czytelnik będzie miał jakie takie wyobrażenie, jeśli mu powiem, że Abraham Kohn, opuściwszy w Kwietniu Hohenems, zaledwie piątego Maja zdążył na miejsce nowego przeznaczenia swego, do Lwowa*).

---

*) Według opowiadań wiarygodnych przybył Abraham Kohn, zboczywszy poprzednio dla zwiedzenia krewnych żony do Monachjum i do Szwajcarji, następnie do Wiednia, zkąd koleją udał

Niezrażony trudami podróży, zabrał się raźno do pracy, a już w kilka dni po przybyciu swojem przedstawia się nowej gminie mową wstępną, wygłoszoną dnia 11-go Maja r. 1844-go w synagodze przedmiejskiej we Lwowie.

Niektóre ustępy tej mowy, z której dochód przeznaczony przezeń został na budowę nowego domu bożego, przytaczam; zbyt są bowiem charakterystyczne, abyśmy je milczeniem zbywać mieli:

„Spokój głęboki, to jeden z tych trzech filarów nienaruszalnych i nietykalnych, na których spoczywa świat cały, w około których się obraca porządek społeczny; ale starsze odeń prawo i prawda! Bez nich i pokój nie ma znaczenia ani stałości. Nie z tchórzostwa więc, ani z bojaźni pragnę pokoju, ale ze skłonności szczerej, z poczucia obowiązku, które mi nakazuje, szukać go i miłować i dążyć za nim. Chętnie poświęcę osobiste wygody i korzyści moje dla osiągnięcia tego celu; ale z drogi prawej, jaką sobie wytknąłem, nie zwróci mnie obawa przed żadnem nieporozumieniem, ani nie powstrzyma od wypełnienia obowiązków moich, a opór jakikolwiekbądź ą trudności choćby nie wiedzieć jakie, zwalczę ja w drodze prawnej i prawej, nie dbając o narzekania głupców, nie troszcząc się o to, czy ten lub ów postępowanie takie uważać będzie za naruszenie pokoju.“

Jeszcze trafniej i dosadniej brzmi ustęp, w którym kaznodzieja się odwołuje na odnośne miejsce w talmudzie:

„Jeśli uczonego chwalą mieszczanie, to nie dla jego zacności, ale dla tego właśnie, że ich nie poucza o obowiązkach religijnych.“

Otóż takim malowanym uczonym czy kaznodzieją, który potakuje wszystkiemu i milczy przy występkach możniejszych i wpływowszych a może i pochwala takowe dla tego, że to niedobrze i nieroztropnie, zrobić

---

się do Bilska. Ztamtąd zaś, ponieważ nie było jeszcze wówczas połączenia kolejowego między Krakowem a Lwowem, udał się żydowską furą do Lwowa. Podróż z Bilska do Lwowa trwała 14 dni. Przestrzeń między Bilskiem a Lwowem wynosi 50 mil.

sobie możnych i wpływowych wrogów — takim to uczonym nie pragnął być kaznodzieja lwowski, i bezwzględność właśnie, którą objawiał wszędzie i zawsze przy wypowiadaniu tego, co uważał za niezbędnie potrzebne dla społeczeństwa, ta bezwzględność kto wie, czy nie najwięcej narobiła mu nieprzyjaciół w szeregach tłumu nieoświeconego i czy nie przyśpieszyła nawet jego śmierci.

W ogóle i pod każdym względem okazały się stosunki we Lwowie w odmiennem wcale świetle, niż w Tyrolu. Gmina wyznaniowa w Hohenems chociaż uboga, miała przecież jakie takie początkowe wykształcenie, które trzeba było tylko dalej wyrobić, u lwowskich starowierców zaś tego wykształcenia początkowego nie było wcale a okazała się natomiast niezbędna potrzeba kształcenia, aby następnie dopiero reformować; tam panowała zgoda święta, tu niesnaski; tam było poczucie obowiązku, tu panował egoizm; tam chwiejność i niepewność w rzeczach religijnych mogła chwilowo zamącić umysły, ale nie zatwardziała serc, tutaj fanatyzm ślepy, upatrujący w rzeczach podrzędnych rdzeń wiary i uważający ciemność umysłów za nietykalny filar religji, oszołomił umysły, zatwardził serca i uzbroił dłoń do mordu.

Dwa lata minęły, nim Abrahama Kohna definitywnie zamianowano na „obwodowego rabina“ (Kreisrabbiner) gminy wyznaniowej we Lwowie, poprzednia bowiem nominacja opiewała tylko na kaznodzieję i nauczyciela religji. Aby uzyskać posadę we Lwowie, zdał on też prawem przepisany egzamin rządowy na rabina, i figuruje jako pierwszy urzędownie co do zdolności swoich egzaminowany i w urzędowaniu potwierdzony rabin gminy wyznaniowej we Lwowie. A chociaż kazania miewał wyłącznie w języku niemieckim, w którym to języku też wszystkie swoje prace bądźto religijnej, bądźto filozoficznej treści pisał i ogłaszał, to uczył się już wtedy języka polskiego, kiedy tenże był bez znaczenia w kraju, ze szkół wyrugowany i pielęgnowany zaledwie w kółku domowem, w szczupłem gronie rodzin polskich. Jest to najlepszy dowód, jak bezpodstawne były napaści ówczesnych starowierców na niego i jak również

bezpodstawne są petycje i wymagania nowożytnych starowierców, żądających aby od rabinów na przyszłość nie wymagano rządowych egzaminów, wykazujących ich kwalifikację do rabinatu, ponieważ wtedy egzamina zdadzą i posady zajmą tylko Niemcy, niemczący ludność krajową i stawiający żywą zaporę polskości i językowi polskiemu. Nie! moi panowie! nie o wrzekomo zaniedbany lub zagrożony język polski rozchodzi wam się, ale o wasze miłe „farniente,“ o waszą niechęć do uczenia się, o waszą tępość i lenistwo umysłowe, o wasz specjalnie żydowski fanatyzm i ciemnotę, nie mające nic a nic wspólnego z prawdziwemi zasadami humanitaryzmu, które od wieków były główną, etyczną podstawą religji żydowskiej według wyobrażeń prawda nie waszych, ale takich mężów, jakimi byli: Mojżesz Mendelsohn, Mojżesz Montefiore, Abraham Kohn i im równi!

W podobnych jak i najnowsza petycja wyrazach opiewała też osławiona petycja niemiecka, wniesiona przeciwko rabinowi Kohnowi przez jego nieprzyjaciół:

„Jako cudzoziemiec nie zna on stosunków krajowych i nie używa najmniejszej reputacji“ (dodajmy od siebie: „u zacofańców“) „a dążność nieumiarkowana szerzenia oświaty spowodowała zawsze wręcz przeciwne skutki. Wymuszona bowiem oświata nie zapuści głębszych korzeni, przyjmie kierunek zupełnie niewłaściwy i minie się z celem swoim.“

Pytamy się, czy oświatę w ogóle wymusić można? czy kto słońce zmusza, aby nam świeciło? ale zmusić można leniwych do porzucenia swego lenistwa, zmusić można nieuków i analfabetów do uczenia się, zmusić można i zmusić powinno się każdego pasożyta, aby porzucił swój dotychczasowy sposób myślenia i stał się użytecznym członkiem wielkiej rodziny ludzkiej, a że się to niekoniecznie zwolennikom fanatyzmu i ciemnoty podoba, więc (a tu wylazło szydło z worka), więc pisze się petycje i wyseła się deputacje rozmaite niby to dla ratowania zagrożonego języka, religji i narodowości a właściwie dla zachowywania i przestrzegania na wieki wieków skostniałego widma absolutyzmu, ciemnoty i reakcji.

Jeśli się przypatrzymy z bliska czynności kaznodziejskiej Abrahama Kohna w tych latach, kiedy jeszcze nie był definitywnie zamianowany rabinem, lecz pełnił tylko funkcje kaznodziei i nauczyciela religji we Lwowie, to przekonamy się od rązu, że i w tej podrzędnej pozycji, skrępowany względami i stosunkami rozmaitymi, zdziałał mimoto, co tylko zdziałać można było. Za jego inicjatywą bowiem, wspartą przez postępowe przełożeństwo izraelickie, założono w roku 1845-m pierwszą ośmioklasową izraelicką szkołę wydziałową we Lwowie, której kierownictwo on od razu objął. Czynność jego nie ograniczała się jednak na tem, gdyż jako nauczyciel religji uczył jej nietylko w szkole żydowskiej, ale i w gimnazjach lwowskich. Oprócz tego prowadził także metrykę i miewał rozmaite kazania i wykłady, częścią na cele dobroczynne, częścią dla pouczenia ludu i zniesienia wkorzenionych z biegiem czasu przesądów i zabobonów. Do kategorji pierwszej zaliczamy także kazanie jego z 2-go Sierpnia r. 1845-go: „Głos Boga nad wodami.“ Dochód z tego kazania, wydrukowanego następnie nakładem kilku młodych i ofiarnych współwyznawców, przeznaczył mowca dla dotkniętych powodzią lipcową w Galicji.

Wśród użytecznej tej czynności upłynęły dwa lata, przyszła w roku 1846-m dla kaznodziei definitywna nominacja na rabina obwodowego*), (poprzednio bowiem pełnił tylko prowizorycznie funkcje rabina) a prawie równocześnie z tą nominacją wykończono budowę nowej niemiecko-żydowskiej synagogi, czyli takzwanego templu we Lwowie.

Tak jak niegdyś w synagodze przedmiejskiej wstępną mowę swoją, tak teraz w nowej świątyni

---

*) Dla informacji czytelnika niech służy szczegół, że urząd żydowskiego kaznodziei (Prediger) upoważnia go tylko do odprawiania kazań, rabin zaś ma także prawo, rozstrzygnąć w sprawach rytualnych i jest pod tym względem najwyższą instancją. Następcy Abrahama Kohna, nie wyłączając obecnego, Dra. Löwensteina, jako przełożeni postępowej gminy we Lwowie, byli i są tylko kaznodziejami z wyłączeniem godności rabinatu, którą posiada rzeczywiście przełożony gminy starowierców we Lwowie.

Bożej na dniu 18-go Września r. 1846-go miał nowomianowany rabin kazanie poświęcalne.

Unosząc się nad wspaniałością miejsca, które podziw i uczucie czci głębokiej budzi w każdym, tłumaczy nowy duszpasterz znaczenie i cel świątyni zgromadzonym w niej tłumom pobożnych:

„Jest ona miejscem czci Bożej, przybytkiem Pańskim, miejscem grozy świętej, w którem cześć oddać mamy Stwórcy wszechświata i przed Nim się upokarzać i przed Nim wyznawać nasze grzechy i przed Nim oczyszczać się z onych.

„Jego szukajmy, a On nas znajdzie, do Niego wołajmy, a On nas usłyszy. Ale w oddaleniu od tej świątyni niech pozostają ci, którzy nie pragną modlitwy, ale pragną jedynie, aby ich widziano i słyszano; w oddaleniu niech pozostają ci, którzy tylko przyszli dla towarzystwa i dla zabawy; w oddaleniu niech pozostają ci, którzy nie przyszli z własnego popędu, ale aby uniknąć obmowy ludzkiej; w oddaleniu niech pozostają ci, którzy badawczym wzrokiem rzucają dokoła, aby potem odegrać rolę sędziego i niemiłosiernie nicować bliźnich. Na co się przydała pobożność pozorna, na co pokora udana, jeśli już u progu świątyni Bożej poniżasz sąsiada, jeśli z bratem twoim kłócisz się o pierwszeństwo? Na co przyda się skrucha twoja, na co słowo Boże, jeśli nie zrobisz z niego właściwego użytku, ale w grzeszniku widzisz tylko twego sąsiada i cieszysz się jego upokorzeniem? Na co przyda się modlitwa o błogosławieństwo Boże, o dobro publiczne, jeśli bliźniemu twemu zazdrościsz kawałka chleba? Na co przyda się dziękczynnienie za uzyskane bogactwa, jeśli je trwonisz w sposób najbezecniejszy? Dalekoż zajdziesz z tą pobożnością twoją i z temi pochwałami sprawiedliwości, prawdziwości i miłosierdzia bożego, jeśli sam grzeszysz kłamstwem, gwałtem i brakiem miłosierdzia i uczucia? Czy cię może Bóg zaopatrzy pokarmem, dlatego że go ze łzami w oku błagasz o tę łaskę, a sam nie pracujesz w pocie swego czoła na kawałek chleba, albo w głowie ważysz oszustwo nowe, obmyślasz plany celem wyzyskiwania bliźniego? To znaczy blask i czystość nieba podziwiać a w prochu ziemi się tarzać na

równi z bezrogą. Nie! w ten sposób nie uszlachetnimy duszy naszej, w ten sposób nie zdobędziemy bram niebieskich, które się przed nami zaprą. Oto są bramy nieba. Tutaj zrzucajmy z siebie złość, chytrość, zawiść i nieprzyjaźń, fałsz i pychę, łakomstwo i lenistwo, aby człowiek się doskonalił w ludzkości a raczej w boskości, aby już za życia nieba stał się godniejszym*).“

Poznał też lud, o ile niezarażony był fanatyzmem i kastowością chusytów, kto mu prawdziwie sprzyja i garnął się tłumnie na wykłady i kazania rabina, a tenże, aby spopularyzować naukę i uczynić ją przystępną dla wszystkich, wydał dwa cenne podręczniki szkolne, obejmujące historję biblijną i pierwiastki nauki religji dla młodzieży izraelickiej**).

Szczególnie ustęp o przyszłem Państwie Bożem i o dniach Mesjasza, zawarty w czwartym rozdziale nauki religji zasługuje na osobną wzmiankę:

„Zbliżenie tej błogosławionej przyszłości mamy jednak wyłącznie pozostawić opiece Bożej, a kraj, który nas żywi i daje nam przytułek i schronienie, powinniśmy kochać jako prawdziwą Ojczyznę naszą i wszystkiemi siłami starać się o jego dobrobyt.“

W tych słowach nie przemawia już „cudzoziemiec“, nie znający stosunków krajowych i nie dbający o nie, ale prawy i wierny syn Ojczyzny.

Kierunek ten widzimy także i w tej mierze uwydatniony, że w roku 1848-m postępowy rabin Abraham Kohn należał do „Rady Narodowej,“ o czem rodzina koznodziei wie z własnych listów jego bez względu na to, co o tem pisma publiczne w najnowszych czasach donosiły***).

Występował też Abraham Kohn w mowie potocznej i w kazaniach ustawicznie przeciwko rozli-

---

*) Ustępy z kazania poświęcalnego, wydrukowanego następnie u Sznajdra we Lwowie w r. 1846-m.

**) Dzieła te wyszły we Lwowie w latach 1845-m i 1849-m w drukarni Sznajdra.

***) „Dziennik Polski“ w pracach Schnürra-Pepłowskiego i innych nieraz czynił wzmiankę o współudziale rabina Abrahama Kohna w ruchu narodowym.

cznym zabobonom i naleciałościom, nieuzasadnionym w piśmie świętem, ani nawet w talmudzie a praktykującym się jedynie wśród żydów galicyjskich: przeciwko szpecącemu i obrzydliwemu w najwyższym stopniu goleniu zupełnemu głowy i noszeniu peruki (takzwanego Scheitel) przez niewiasty wychodzące za mąż, o którym to zwyczaju niemieccy żydzi nie wiedzą; przeciwko zarzynaniu koguta, czyli „Kapury“ jako pośrednika grzechów ludzkich w przeddzień dnia sądnego; przeciwko wywracaniu kieszeń i wytrząsaniu kromek z nich do najbliższej wody, wrzekomo w tym samym celu przedsiębranemu; przeciwko wymachiwaniu gałęziami łoziny w dzień „Hoszanna-Rabby“, praktykującemu się celem napędzenia czartów; przeciwko zabobonowi, upatrującemu w użyciu mydła do mycia rzecz zakazaną i trefną, chociaż mydła tego nikt nie je; przeciwko chałatowi, pejsom i bekieszy, w których żadną miarą nie mógł się dopatrywać znamion żydowskiej wiary, ani specjalnie żydowskiego stroju; przeciwko zabobonowi i ciemnocie współwyznawców, jakoteż przeciwko „cudotwórcom“, wyzyskającym niższą klasę w sposób nader praktyczny, choć nie mający nic a nic wspólnego z prawdziwemi celami religji*).

I tak omawiając drugie przykazanie Boże i poruszając przy tej sposobności kwestję czarów i czarowników, bojaźni djabła i t. podobnych hallucynacyj, wyraża on się o nich w sposób następny**):

„O szalone błazeństwo, o hańbo! Boga Pana nie boją się zaślepieni, ale boją się złego ducha; Bogu się modlić, Boga się radzić, aby zdobyć środki dla zbawienia duszy, tego niechcą — ale za pierwszym lepszym oszustem, obfitującym w bezczelność i zuchwałość, toby światami biegali, aby głuchym zwrócił

---

*) We Lwowie rozwielmożnił się wówczas „cudotwórca“ Leib Küllikiwer; uważamy go nie bez przyczyny za protoplastę późniejszych „cudotwórców“ i wyzyskiwaczów bełskich, husiatyńskich, oleskich i innych.

**) Pośmiertne i nieuzupełnione dotąd wydanie pism rabina Abrahama Kohna. Pierwszy zeszyt, Lwów, 1856, druk Michała Poremby.

słuch a niemym mowę, aby ubogich zrobił bogatymi a błaznów mądrymi!“

Nie mniej dosadnie wyraża się kaznodzieja w tem samem kazaniu o błędzie, uważanym również przezeń jako zabobon zgubny, a mianowicie o dążności gromadzenia pieniędzy bez wyraźnego celu i użytku per fas et nefas:

„Mniemają wielbiciele mamony: kto ma pieniądze, ten ma wszystko, i temu niepotrzebne do szczęścia ziemskiego ani zasługi, ani rozum, ani nauka, ani cnota, jednem słowem: nie zbędzie mu na niczem. To też dążności tych ludzi w jednym tylko obracają się kierunku, a całe życie ich ma tylko jeden cel: cel wzbogacenia się. Wszystkie środki, wszystkie drogi, do tego celu prowadzić mogące, dla nich są jednakowe, byleby im tylko zapewniły szybki zysk, połączony z jak najmniejszem niebezpieczeństwem. To jest w ich oczach dobrem i to jest w ich oczach prawem, co im zapewnia korzyść, co wzbogaca ich kasę, a za swoją własność uważają oni wszystko, co im się do rąk dostaje, za czem czy to przemocą czy przebiegłością sięgnąć im się uda. Katechizmem ich całym, to przysłowie: „Co moje, to moje, a co twoje, to także moje.“ Dobro bliźniego nie obchodzi ich, a czy ludzkość, czy świat cały mógłby istnieć wśród podobnych warunków, to ich także nie obchodzi. Walczą i dobijają, mordują i mocują się do upadłego o kilka reńskich, a jeśli już posiadają jaki taki majątek, o kilkatysięcy, jak gdyby się rozchodziło o życie całe, o szczęście doczesne i wieczne; ich modlitwa brzmi: „Mamono! kocham cię, tyś moim Bogiem i opiekunem, raczej zginąć aniżeli rozstać się z tobą!“

„Istniejeż na świecie podlejszy i bardziej upadlający rodzaj bałwochwalstwa? Jeśli ojcowie nasi w chwili słabości duchowej modlili się złotemu cielcu, to uczynili to w błędnem mniemaniu, że na cielcu spoczywa duch boży, że się Bogu kłaniają a nie marnemu kruszcowi, który dobrowolnie na ten cel ofiarowali; owóż coby dzisiaj powiedzieli ci zbrodniarze w obec Majestatu Boga, gdyby ich doszła wiadomość, że ich potomkowie, żyjący w oświeconym 19-m stuleciu, w około szczątek złotego cielca nie wesołe tańce, ale krwawe,

ohydne walki urządzają? Coby powiedzieli o owych usłużnych pochlebcach, którzy bogaczowi przez nich wyzyskiwanemu, we wszystkiem potakują, na wszystko mu pozwalając, każdą zbrodnię jego mianem cnoty zaopatrując albo usprawiedliwiając bodaj to, czego już głośno chwalić niepodobna!“

Z przytoczonych tu ustępów przekona się czytelnik najlepiej o dążnościach rabina Abrahama Kohna, które we wszystkiem i przedewszystkiem były postępowe i demokratyczne. To też serce bolało go srodze, kiedy patrzał na ucisk z góry a na upodlenie z dołu, rozwielmożniające się w szeregach współwyznawców; kiedy widział z jednej strony fanatyzm i ciemnotę, z drugiej zaś indyferentyzm i oziębłość, nie dbające o przykazania ani boskie ani ludzkie; kiedy widział, jak ten naród biedny i ciemny i wyzyskiwany niejednokrotnie przez bogatych i wpływowych, sztucznie rozfanatyzowano przeciwko niemu; kiedy widział, jak sekta chusytów, ów trąd społeczeństwa, nie cierpiany w żadnem państwie zachodnio - europejskiem, górę bierze w Galicji a szczególnie we Lwowie; kiedy widział, jak biedny chcący uczcić swego Boga według przepisów Mojżeszowych, opłacić się musiał bogatszym!

Tak jest! opłacić się musiał! Istniał bowiem wtedy w Galicji osobny podatek na mięso koszerne i na świeczki szabasowy. Każdy żyd, zamieszkały w Galicji musiał według ówczesnych rozporządzeń 6 grajcarów monety konwencyjnej, czyli według naszego rachunku 10 centów waluty austrjackiej tygodniowo jako podatek za szabasówki uiszczać, a jeśli z powodu ubóstwa pozwolić sobie nie mógł na luksus szabasówek, to płacić musiał mimoto, w przeciwnym bowiem razie zafantowano mu ostatnią koszulę. Na tym poniżającym ludzkość podatku wzbogacili się znowu bogaci pachciarze żydowscy, z których niejeden takim sposobem do kamienicy piętrowej przyszedł.

Na zepsucie społeczne, na ciemność umysłową był jeden środek: oświata i przykład zbawienny, dany przez rabina. Przeciwko podatkowi, datującemu się chyba ze średnich wieków a sprzecznemu z duchem czasu, nie można było podobnych zastosowywać środków. Więc zasięgnąwszy w tej mierze informacyj

u przełożeństwa zboru izraelickiego we Lwowie, jakoteż u innych gmin wyznaniowych w Galicji, wypracował Abraham Kohn petycję, wystosowaną do dworu cesarskiego we Wiedniu, w której to petycji opisując opłakane położenie swoich współbraci, imieniem ludzkości prosił o zniesienie nader uciążliwego dla biednych podatku, sam zaś udał się na czele deputacji, złożonej z najpoważniejszych członków gminy wyznaniowej we Lwowie dwukrotnie, w jesieni roku 1847-go i z wiosną roku 1848-go, w tym samym celu do Wiednia.

Usiłowania jego pomyślnym zostały uwieńczone skutkiem: cesarz Ferdynand, który w dobroci serca swego chętnie ulżył ciężaru poddanym, gdzie się tylko ulżyć dało, zniósł podatek, na hańbę imienia ludzkiego zanadto długo istniejący.

Ale nie drzemała także partja zacofańców, przeciwna wszelkim usiłowaniom postępowego rabina. Chałatowcy, na ich czele pięciu chusytów, w których się domyślamy osób Jakuba Herca Bernsteina, Hersza Ornsteina, Meiera Münca i im podobnych, wystosowali petycję do dworu cesarskiego we Wiedniu, w której broniąc świętości i nietykalności podatku na szabasówki i przedstawiając go jako rzecz małej wagi, która żadną miarą nie mogłaby zgubnie wpłynąć na materjalne położenie klasy biedniejszej, równocześnie postępowego rabina obsypywali najrozmaitszemi obelgami i zarzutami, a gdy to podanie nie odniosło pożądanego skutku, wtedy wnieśli drugą z rzędu petycję do prezydjum rządu krajowego we Lwowie, w której kaznodziei lwowskiemu zarzucając niemoralność, niereligijność, nieświadomość stosunków krajowych i t. d. domagali się, aby go bezzwłocznie usunięto z urzędu.

I to podanie nie odniosło jednak pożądanego skutku, a może właśnie nie odniosło go z tego powodu, że autorowie jego, a zwłaszcza główny autor Meier Münc, skupiając w podaniu swem najrozmaitsze prośby, zażalenia i skargi, zanadto wiele kwestyj od razu poruszyli, przekręcając fakta i przedstawiając je gwoli swego widzimisia.

Nie omawiałbym i nie streszczałbym nawet podania tego, przedstawiającego pod każdym względem stek najohydniejszych kłamstw i oszczerstw, gdyby historyczna dokładność mnie do tego nie zmuszała.

Zapomnienie i wzgarda wiekuista byłyby najsłuszniejszą nagrodą nowożytnych Herostratów, burzących świątynię postępu; ale znalazł się w tłumie walczących imieniem oświaty dowcipny a nieznany mi osobiście zwolennik śp. ojca mego, który wydobywszy wydrukowaną, ale mimoto nawpół zapomnianą kontrapetycję zacofańców z pyłu zapomnienia i objaśniwszy takową szyderczemi uwagami, własnym nakładem ją wydał, dochód z rozprzedaży przeznaczając na umundurowanie mniej zasobnych członków gwardji narodowej*).

Zaraz na wstępie tej broszury ulotnej widnieje motto, wzięte z przysłów króla Salamona:

„Nie uważałeś, iż niejeden tak dalece uzdolniony we fachu swoim, iżby się w obec królów nie powstydził, przecież dopuszczonym nie bywa u ludzi ograniczonych?“

W przedmowie zaś streszcza anonim powody, które go nakłoniły do wydania broszury swojej. Głównym powodem jest okoliczność, że konstytucja ogłoszona w kraju, nietylko siły inteligencji, ale także zacofańców do walki budzi, a ci pragną korzystać z dobrodziejstw konstytucji, aby imieniem jej inteligentnych swoich współbraci przygnębić; dalej, że zacofańcy czerniąc ustawicznie partję postępową, najpodlejszy motłoch żydowski podburzyli przeciwko zasłużonemu około oświaty rabinowi Abrahamowi Kohnowi, przeciwko któremu nawet petycję do prezydjum rządu krajowego we Lwowie wnieśli, prosząc aby rabina obwodowego Kohna w urzędowaniu zasu-

---

*) Offenes Sendschreiben an die Petitionäre und sogenannten Verfechter des orthodoxen Judenthums gegen den Herrn Kreisrabbiner Abraham Kohn in Lemberg, 1848. (Von einem Unbekannten.) (Der Reinertrag dieser Schrift ist der Equipirung unbemittelter National-Gardisten gewidmet.) Gedruckt bei Joseph Schnayder.

spendowano; że wreszcie skutkiem wichrzeń i podburzań spiskowców w kaftanie i bekieszy i skutkiem fałszywego przez nich przedstawienia zaszłych w najnowszych czasach faktów, nasi chrześciańscy współbracia fałszywe pojęcie o partji postępowej powziąć by mogli.

Autor odwołuje się na końcu swojej przedmowy do zdrowego zmysłu narodu polskiego, jakoteż i do tej części postępowej gminy izraelickiej, która potrafi rozróżniać plewę od ziarna i dążności przeciwników według należytej oceni miary.

Kontrapetycja chałatowców, która oprócz wielu innych zalet wątpliwej wartości, wyszczególnia się także nielada stylem i loiką, brzmi w głównych zarysach mniej więcej w sposób następujący:

„Gmina żydowska od wielu lat jęczała pod jarzmem tyrańskiem i arogancką samowolą narzuconego jej prowizorycznie przełożeństwa*). Więc wnosiła ustawicznie skargi do władz wyższych; ale nie słuchano jej głosu, ponieważ partja mniejszości, zostająca u steru a protegowana przez rząd, głosy większości przekrzyczała i oponentów przed rządem czerniła, a usiłowano nawet wszelkiemi możliwemi wpływami wstrzymać wielu przeciwników od wnoszenia skargi.

„Prawo petycji było ograniczone do ostateczności, zakazano nawet, zbierać podpisy na petycje, a jeśli przypadkowo podchwycono petycję jakąś, to niszczono ją natychmiast; kilka podpisów zaś, a choćby takowe należały do najznakomitszych członków gminy, nie mógł Wysoki Rząd uważać za objaw woli całej gminy tem bardziej, że jako właściwy organ gminy uważano tegoż przełożeństwo.

„I tak przyszło do tego, że pan Abraham Kohn, którego ustanowiono kaznodzieją nie zważając na głośny protest całej gminy, w dodatku jeszcze otrzymał awans na rabina obwodowego, co najboleśniej

*) Jest to wzmianka o wprowadzonem w r. 1842-m przez władze państwowe nowem przełożeństwie zboru izraelickiego, które składając się z postępowców, w duchu postępowym na ciemne masy działać usiłowało.

dotyka gminę rzeczywiście prawowierną a tylko tych cieszy, którzy nie dbają o religję.

„Ale gmina żydowska, od wiecznych czasów przyzwyczajona do ucisku i prześladowań, i ten zamach na najświętsze swoje instytucje musiała przeboleć i zniosła gwoli smutnej konieczności srogi ten ból z rezygnacją i poddaniem się pod wolę bożą.

„Powstały jednak w niższych i średnich warstwach szeregi petentów, którzy wnieśli prośby o usunięcie rabina, przemocą narzuconego gminie.

„Dowiedzieli się o tem zamianowani przez rząd przełożeni gminy i zwolennicy tychże, a Bernard Piepes, pisarz kancelaryjny, przyzwyczajony plany swoich przełożonych przemocą i gwałtem doprowadzić do skutku, zapomniał się tak dalece, że usiłował petycję, zaopatrzoną kilkuset podpisami gwałtem wydrzeć z rąk petenta i nie zadowalniając się tem, jeszcze do więzienia wtrącić kazał Chaima Grünfelda, słabowitego mężczyznę, podpisanego na samem czele petycji.

„Wskutek tego powstało wielkie zbiegowisko, a rozjątrzeni niecnym tym czynem, uwolnili uwięzionego z rąk Piepesa, który z petycją umknął. Tłum ludu wzrósł tymczasem i wszyscy udali się gromadnie w poczuciu znieważonego prawa swego do domu, w którym mieszkał wyżwspomniany kaznodzieja Kohn i gdzie się także znachodzić miała wydarta Chaimowi Grünfeldowi petycja, i żądali takowej napowrót.

„Tam natrafił tłum na żydowskich gwardzistów gwardji narodowej, którzy go karabinami przyjęli, lud bronił się usilnie, powstała bijatyka między gwardzistami a tłumem, który ciągle wzrastał, krzyczał i hałasował, aż wojsko nadeszło, poczem tłum spokojnie (?) się rozeszedł. Ale masa nieobliczona ludu, nieodstraszona chwilowem niepowodzeniem, udała się mimo ulewnego deszczu w największym porządku do synagogi przedmiejskiej, aby tamże nową podpisać petycję. Zgromadziło się w synagodze niebawem 5000 osób; ale w krótkim terminie kilku (?) godzin i przy ogromnym natłoku, jaki panował, zdołano zaledwie podpisy tysiąca uczestników ściągnąć. Tymczasem nastały święta, a usposobienie przeciwko kaznodziei

Kohnowi rozjątrzone już do najwyższego stopnia mimoto, że zwolennicy jego najrozmaitszemi kłamstwami lud tumanią i w błąd wprowadzają.

„Pokornie podpisani kupcy i właściciele kamieniczni, idąc za popędem wewnętrznego przekonania i pobudzeni krzykiem opinii publicznej, łączą również swoje głosy z życzeniem i prośbą całej gminy, prosząc jak najusilniej o bezzwłoczne usunięcie Kohna z jego funkcyj rabina i nauczyciela religji.“

Po szumnym tym wstępie umieszczono argumenta właściwe, przemawiające za usunięciem rabina:

„Po pierwsze: Nie posiadą pan Kohn mimo swoich świadectw żadnych wiadomości ani w talmudzie, ani w hebrajskiej literaturze, ani też w kazualistycznie-rytualnych przepisach i przykazaniach. We wszystkich tych gałęziach religji wykazuje on nieświadomość rzeczy, narażającą go na szyderstwo całej gminy.

„Po drugie: Używa u całej gminy jak najgorszej reputacji co do religijności i pobożności swojej.

„Po trzecie: Nie cieszy się szacunkiem publicznym a wskutek tego nie ma także zaufania u gminy i jako głowa kościoła żydowskiego, jako duszpasterz i nauczyciel religji nie pozostaje w związku moralno-religijnym z gminą swoją.

„Po czwarte: Jest publicznie znienawidzony skutkiem szorstkiego i grubiańskiego obchodzenia się z ludźmi.

„Po piąte: Nie zna jako cudzoziemiec stosunków krajowych i nie używa najmniejszej reputacji.“

Tu zdaje się, wyczerpały się już z kretesem argumenta przeciwników, bo nie widzimy: „po szóste, po siódme“ i t. d.; natomiast usiłują petenci, uciekając się do ogólników, wmawiać w czytelnika przekonanie, że całe stronnictwo Abrahama Kohna „składa się zaledwie z kilkuset osób, które z małemi wyjątkami, nie zważają na przepisy religijne, ani też wiedzieć nie chcą o nauce Mojżesza i o tradycji, uzasadnionej w tejże nauce.“

„Tem samem uwydatnia się niewłaściwy stosunek pana Kohna jako rabina do gminy swojej i musi ten stosunek jako anomalja w żydowskiej gminie

najzgubniejsze pociągnąć za sobą skutki; jeśli bowiem główny, podstawowy warunek rabinatu odpada, jeśli rabin nie ma zupełnej i wyczerpującej wiadomości talmudu i nauki religji żydowskiej, to nie może funkcjonować w urzędzie swoim, zwłaszcza jako rabin obwodowy i to wśród nas, którzy studjum talmudu uprawiamy z nadzwyczajną gorliwością, tak dalece, że każdy (??), ktokolwiek się uczył talmudu, już zdolności lub nieudolność rabina osądzić potrafi a wszystko z wyjątkiem chyba jego stronnictwa ściśle się trzyma przepisów rytualnych i takowe wykonuje, te przepisy zaś zostają w takim ścisłym związku z codziennemi czynnościami Izraelitów, że rabin wszystkie ztąd wynikłe wątpliwości natychmiast rostrzygnąć powinien, a największą nieświadomość rzeczy okazuje ten, kto zadaniu temu nie sprosta.

„Do funkcyj rabina obwodowego należy oprócz tego i to, że ma obowiązek egzaminowania rabinów w całym obwodzie swoim a tem samem musi posiadać gruntowną naukę talmudu i niepospolitą rutynę w rostrzygnięciu zagadnień kazualistycznie - rytualnych.

„Zwłaszcza tu we Lwowie rabin co do wiadomości religijnych powinien przewyższyć o wiele dwóch nauczycieli religji, których zamianowanie i egzamina od niego zawisły. Jeśli więc rabin obwodowy tak jak obecnie pan Kohn, nie posiada najmniejszych (??) wiadomości talmudycznych, jeśli na zapytania do rytuału odnośne, daje zupełnie niestosowne (???) odpowiedzi i sam po największej części przyznaje się do nieświadomości swojej a publiczność z jej wątpliwościami odsyła do nauczycieli religji, to jego stosunek jako rabina i nauczyciela religji w śmiesznem się tylko przedstawia świetle i musi jako przemocą uzurpowane, wszystkie umysły rozjątrzyć.

„Wieść o jego niereligijności, która go wyprzedziła (?), obaliła zaufanie gminy do niego całkowicie, a zaufanie to najściślejszy węzeł, który nietylko ludzi ze sobą kojarzy, ale także nauczyciela religji z ludem swoim; rabin bowiem powinien religijnem postępowaniem swojem wszystkim przyświecać, powinien być ulubionym i poważanym a cała działalność jego

powinna się skupiać w dążności do ustalenia pokoju i zgody w gminie, do uczenia moralności i cnoty i do utrwalenia wiary. Każdy kierunek nieodpowiedny powyżej podanemu albo przeciwny mu, jest zgubnym, bo gubi i zatraca się przezto zaufanie i nie rozwija się wpływów dobrych, ale rozszerza się skłonności do złego. Cała gmina stoi poza obrębem władzy moralnej rabina i nie znajduje się w żadnym związku z nim, nie ma więc przełożonego, któryby ją zbudował, pouczał, umoralniał*), a tłum, pozostawiony sobie samemu, musi się stać ateistycznym lub zabobonnym i musi uledz najzgubniejszemu rozpasaniu obyczajów, wiara zaś zbawia nas, wiara wraca pociechę i pokój nędzarzowi, przemienia ten padół płaczu w raj i pozwala nam z błogiem uczuciem przenieść się do wieczności.

„Podkopywanie wiary jakiegokolwiekbądź rodzaju może się tylko zgubnem okazać dla społeczeństwa ludzkiego, Wysokiemu Rządowi przeto w dwójnasób na tem zależeć musi, aby zadość uczyniono życzeniom całej gminy, z którą się niżej podpisani identyfikują, aby po pierwsze komuny nie uszczuplano w jej prawach a powtóre, aby i społeczeństwu złe skutki (!!) z tego nie urosły.

---

*) Dziwnie rzeczywiście przedstawiają się i wyglądają te skargi starowierców lwowskich w obec objawów czci, złożonych zewsząd postępowemu rabinowi przez współczesnych czcicieli jego ducha. Inaczej uczciła zasługi Kohna mała gmina wyznaniowa w Hohenems, ofiarując mu na pamiątkę w dzień odjazdu srebrny puhar, który dotąd jeszcze jako cenna relikwia po kaznodziei lwowskim przechowuje się u jego rodziny. A jak bezpodstawne są zarzuty przeciwników co do wiadomości Kohna w hebrajskim języku i w religji żydowskiej, to najlepiej wynika z ustępu ze świadectwa, wystawionego w r. 1825-m 19-toletniemu wówczas młodzieńcowi, w którym egzaminator uwydatniając świetne zdolności kandydata, za zdolnego go uznaje do samoistnego wykładania i uczenia. Nie musiał też być lichym znawcą języka hebrajskiego Abraham Kohn, kiedy jeszcze w r. 1841-m jako rabin w Hohenems wydał w Frankfurcie nad Menem podręcznik szkolny „Pesach sfas ewer“, przeznaczony dla młodzieży izraelickiej, chcącej się uczyć początków języka hebrajskiego. Podręcznik ten, aprobowany przez władze szkolne, zastępywał dosyć długo dawniejsze przewodniki i podręczniki tego rodzaju w Galicji i poza Galicją.

„Wprawdzie spotwarzają przełożeni kahału, a wraz z nimi drobne ich stronnictwo, przeciwników swoich ciągle i usiłują przedstawiać ich jako ortodoksów; oni to podsunęli przeciwnikom swoim intencję, jakoby ci oświatę przytłumić pragnęli. Ale to tylko oszczerstwo złośliwe, jedno z tych oszczerstw, któremi zwolennicy Kohna walczą, aby upiększyć samowolę swoją.

„Między żydami nie istnieją w ogóle ortodoksi i heterortodoksi, ale tylko tacy, co wierzą i tacy, co wszystko negują, a co się tyczy drugiego zarzutu, to każdy na własne oczy przekonać się może o tem, jak niesłuszny ten zarzut, bo zkąd wziąłby się wówczas cały ten zastęp ludzi inteligentnych w niemieckim stroju, choć wtedy jeszcze nie było we Lwowie żadnego Kohna, ani też obecnych przełożonych kahału?

„Dobroczynny wpływ czasu, ścigający wszystkie owoce, budził także wśród żydów zamiłowanie do europejskiej cywilizacji a to już od trzech lub czterech dziesiątek lat. Wszyscy uznali potrzebę, prywatnie lub publicznie dzieci swoje wtajemniczyć w wiadomości, potrzebne do życia, a oświata, inteligencja, pragnienie zawodów uszlachetniających wzmagały się bezustannie, o ile prawne ograniczenia nie stały temu na przeszkodzie. Ale właśnie nieumiarkowana dążność szerzenia oświaty spowodowała zawsze wręcz przeciwne skutki, tem bardziej, jeśli pochodzi od partji, która jako niereligijna, nie cieszy się zaufaniem publicznem.

„Oświata powinna według życzenia każdego dobrze myślącego oddziaływać jak słońce, powinna nas zagrzewać i rozświecać ciemności życia, ale jeśli się z religją nie łączy, jeśli nie idzie z nią ręka w rękę, to przemienia się oświata w ogień niszczący, który wszystkim świętym instytucjom grozi upadkiem.

„Oświata powinna wyradzać się z wewnątrz i rozszerzać się powoli, ale tem pewniej. Wymuszona bowiem oświata nie zapuści głębszych korzeni, przyjmie kierunek zupełnie niewłaściwy i minie się z celem swoim.“

Tak brzmi w głównych zarysach petycja chałatowców. Anonim zbija sofizmata, w niej zawarte, krytyką zabijającą. Każdy punkt fałszywej tej argu-

mentacji, każde zdanie kulejące i niezgodne z prawdą oświetla on światłem krytyki, niweczy bronią dialektyki, zapożyczoną ze zbrojowni Lessinga. Nie możemy iść ustęp za ustępem za świetnymi tymi wywodami. Ani czas, ani miejsce nie pozwalają nam na to: zaledwie kilka najważniejszych możemy tutaj streścić ustępów.

I tak podnosząc ironicznie zasługi religijne zacofańców, którzy zawsze i wszędzie imieniem „całej gminy" przemawiają, pyta się ich anonim, czy to bardzo moralnie i religijnie, mącić spokój, siać potwarzy i podburzać jednych przeciwko drugim? czy to bardzo moralnie i religijnie, na petycję przeciwko zacnemu i nieposzlakowanemu mężowi zbierać jako podpisy nibyto najznakomitszych osób w gminie, podpisy dzieci, umarłych a nawet notorycznych włóczęgów i zbrodniarzy? czy to bardzo moralnie i religijnie, presję wywierać na ciemny, rozfanatyzowany i biedny lud, presję tem ohydniejszą, że przy sposobności rozdzielenia chleba pomiędzy biednych, tychże nie prędzej uwzględniono, póki nie ściągnęli bodaj kilka podpisów dla petycji? czy to bardzo moralnie i religijnie, przywłaszczyć sobie bez woli i wiedzy interesentów podpisy tychże i takowe na osobnej petycji wysłać do Wiednia jako dowód, że lud żydowski, wielce uradowany i zadowolony podatkiem na szabasówki, o zatrzymanie tegoż podatku błaga?

„Kto upoważnił was, małą garstkę zacofańców a raczej waszych pięciu dowódców do podpisywania się na petycji imieniem „całej gminy?" Ale znamy się na farbowanych lisach. Prawicie smalone duby o waszej religijności, zgodliwości, miłości pokoju i tym podobnych pięknych przedmiotach, których się nikt u was dopatrywać nie może. Twierdzicie nawet, że przy owym napadzie na mieszkanie rabina Abrahama Kohna gwardja narodowa uciekała się do gwałtów w obec tłumu, przyjmując go karabinami i że następnie przy nadejściu wojska tłum spokojnie się rozeszedł. Otóż jedno twierdzenie tak prawdziwe, jak i drugie.

„Gwardziści tak żydowscy, jak i katoliccy śpieszyli na pierwszą wieść o rozruchach motłochu, na

plac przed kościołem Benedyktynek*), aby obronić zagrożonego rabina i kaznodzieję i zawezwali tłum do rozejścia się, ale tenże nie usłuchał zawezwania. Przeciwnie wzmocniwszy się rozmaitemi podejrzanemi indywiduami, przypuścił atak na nowo. Znalazło się nawet kilku śmiałków, którzy ustnie i czynnie znieważyli gwardzistów, usiłowali broń im wydrzeć, nożami ich pokaleczyć, a nawet rzeczywiście niektórych pokaleczyli. Jeśli więc gwardziści w obronie własnej używali karabinów swoich, to to rzecz całkiem naturalna. A co się tyczy „spokojnego rozejścia się tłumu“, to odbywało ono się tak spokojnie, że trzeba było aż patrol huzarską zawezwać, której się wreszcie udało za użyciem broni białej rozpędzić tłum pijany i wrzeszczący.

„Co się tyczy zarzutu, że rabin Abraham Kohn nie posiada żadnych wiadomości ani w talmudzie, ani w hebrajskiej literaturze, to nie wam nieukom sąd o jego zdolnościach przystoi. Egzaminowali go i badali pod tym względem najznakomitsi uczeni i rabini w kraju i za granicą i najchlubniejsze wystawiali mu świadectwa. Co się zaś tyczy prawdziwej, nieudanej pobożności Kohna, to o niej najlepiej świadczą kazania jego, pełne moralności i miłości bliźniego.

„Co się tyczy zarzutu niereligijności pod względem zachowania rytuału, to zarzut ten wprost jest śmiesznym. Najlepszy dowód, na jaką wiarę zasługuje, to ten, że rabin Abraham Kohn, zaproszony na objad przez gubernatora**), nie dotknął się żadnej potrawy i wstrzymał się od wszelkich trunków, aby nie naruszyć przepisów religijnych! Ale prawda! noszenia w dzień sobotni chustki do nosa w kieszeni albo parasola w ręce, nie może on też uważać za rzecz, kolidującą z przepisami religji!

---

*) W pobliżu, czy raczej naprzeciw tego kościoła znajduje się uliczka, a w niej kamienica, na pierwszem piętrze której mieszkał niegdyś rabin Abraham Kohn wraz z rodziną swoją. Uliczka po śmierci męczennika otrzymała nazwę „ulicy Kohnowskiej.“

**) Był nim wówczas hr. Stadion.

„Co się tyczy zarzutu, że jako rabin obwodowy ma obowiązek, egzaminować wszystkich rabinów, zamieszkałych w jego obwodzie i że nie wywiązuje się z obowiązku tego, jakoby należało, to na to oświadcza anonim, że podobny obowiązek istnieje chyba w fantazji petenta, w przeciwnym bowiem razie mniej byłoby osłów i nieuków pomiędzy rabinami, zamieszkującymi obwód rabinacki Kohna.

„Co się tyczy zarzutu, że jako cudzoziemiec nie zna stosunków krajowych i nie używa najmniejszej reputacji, to zarzut ten i tak bez znaczenia, albowiem autor petycji przeciwko postępowemu rabinowi sam jest cudzoziemcem*). Zresztą tak on, jak i wszyscy jego koledzy starowiercy są cudzoziemcami, albowiem się uchylają od wszystkich celów narodowych, nie należą do gwardji narodowej, wyszydzają żydowskich gwardzistów a tylko wtedy podszywają się pod płaszczyk polskiej narodowości, jeśli wichrzyć i intrygować trzeba. Jeden z waszych, zapytany w „Radzie Narodowej", co ma do zarzucenia osobie rabina Abrahama Kohna, że chciałby go się pozbyć ze Lwowa, oświadczył na to zapytanie: „My chcemy polskiego rabina", pod którą to nazwą nie rozumiał jednak Polaka, jeno rabina z długą, rozczochraną brodą, rabina w brudnym kaftanie i w sobolowej czapce, któryby się już postarał o to, aby się ciemnota należycie krzewiła i wzmagała w Izraelu."

Podnosi jeszcze anonim zasługi prowizorycznego a przez zacofańców tak znienawidzonego zarządu, który za pomocą i wsparciem władz i za inicjatywą prawdziwych przyjaciół ludzkości dał pierwszy impuls do wybudowania domu dla sierót, do założenia szkoły głównej, jakoteż do powołania rabina, obdarzonego wszystkiemi prawnie przepisanemi wiadomościami filozoficznemi i pedagogicznemi.

Zwraca się jeszcze prawie przy końcu broszury swojej anonim do publiczności z prośbą o wsparcie

---

*) Głównym autorem petycji był Meier Münc, żyd brodzki, który nawet udawał postępowego, aby pod zasłoną liberalizmu tem bezkarniej wichrzyć przeciwko postępowym.

i współudział dla „izraelickiej szkółki wieczornej,“ założonej przez postępowego rabina celem kształcenia w niej rzemieślników izraelickich, tak majstrów, jak czeladzi i chłopców, oraz i prywatnych.

Broszura zdradzająca wprawne pióro, zaokrąglona bardzo zręcznie historycznym szczegółem, że starowiercy się nie wahali, prosić posła hr. Leszka Borkowskiego, aby tenże w radzie państwa o to się wystarał, „aby na przyszłość rząd nie używał swoich wpływów przy wyborze rabina, (t. j. dopuścił do rabinatu ludzi bez wszelkich humanitarnych studjów), aby gmina sama te wybory przedsięwziąć mogła i aby nowomianowany rabin miał prawo, każdego skazać na kary, który w jakibądź sposób wykroczy przeciwko przepisom religijnym.“

Całość kończy się modlitwą tendencyjną do Boga:

„Boże dobroci, Ojcze nasz, który rządzisz i zawiadujesz wszystkiem! spraw, by lodowa powłoka egoizmu i fanatyzmu spadła z serc naszych przeciwników! spraw, by ich oczy, zasłonięte ciemnością, przejrzały i poznały prawdę i prawo! spraw, by kłamstwo, towarzyszące wszystkim ich słowom i czynom, ich opuściło! spraw, by ich worki się nie otworzyły więcej dla fałszywych świadków, nie służyły przekupstwu i krzywoprzysięztwu! spraw, aby poznali w bliźnim brata, aby ich opuścił fanatyzm, ten pierwopłód piekieł! spraw, by swoją żądzę panowania poskromili! spraw, by ten jad potwarzy, którym bryzgali w oczy nam i naszemu rabinowi, zniknął w ciemnościach nocy grobowej, a prawdziwa pobożność i miłość bliźniego by ich serca przenikała! Amen!“

Tak ze stanowiska loiki, jak i pod względem stylu i treści trudno rzeczywiście zarzucić coś anonimowi. Obrona jego, jędrna i dowcipna, tnie jak to mówią przeciwnika na kapustę. Czasem jednak zdaje się anonim osłabnąć w obronie czy zaczepce swojej, zamilcza to lub owo, albo musi się też przyznać do tego, że i sprzymierzeńców nie wszędzie bronić lub chwalić można.

Gani np. samowolny i prawnie nieumotywowany czyn Bernarda Piepesa, aresztującego Chaima Grün-

felda, ale usiłuje przecież odpowiedzialność zań ulżyć przełożonym gminy, którzy nie dali Piepesowi polecenia do tego czynu; przedstawia wielką skrupulatność rabina w obserwowaniu rytuału, ale nie zdoła w czytelnikach swoich ustalić przekonania, że i zwolennicy rabina pod tym względem naśladowali jego przykład; chwali nowy zarząd gminy za energję, podczas gdy sam kaznodzieja, jako świadek naoczny wypadków, kłam mu zadaje*), pisząc o tym samym zarządzie:

„Starszyzna nasza (Vorstand) jak gdyby nie istniała, jest rozbitą. Nie ma też ani znaczenia, ani powagi."

Zdaje się, że te słowa, wypowiedziane przez wiarygodnego, bo naocznego świadka, bardzo żywo kontrastują ze słowami nietylko anonima, który choć zresztą prawdę mówiąc, mimoto miał pewne przyczyny, aby szanować ten nawpół spróchniały zarząd, ale że kontrastują także ze słowami sprawozdawcy „Ojczyzny", pod tym względem widocznie źle poinformowanego.

A pisze mój ojciec do swego brata Bernarda Kohna w liście z dnia 14-go Maja r. 1848-go, jako naoczny świadek wypadków, rozgrywających się wówczas**):

„Lwów, 14. Maja 1848.

Kochany Bracie!

Śpieszę z odpowiedzią na ostatni Twój list. Był on dla nas bardzo pożądanym. Nie łatwe to jednak zadanie, streścić Ci nasze stosunki w liście, w którym zwięzłym być muszę.

W ogóle panuje tu zgoda między żydami i chrześcianami. Wolność, równość, braterstwo! Dotąd w Galicji nie usiłowano jeszcze zamącić tej zgody.

---

*) To samo odnosi się także do pochwał tegoż zarządu w numerze „Ojczyzny" z 25. Października r. 1888-go, mieszczącym życiorys Abrahama Kohna.

**) List rzeczony, jak w ogóle przeważna część listów ojca i matki mojej do krewnych, pisany jest hebrajskiemi literami, zawierającemi tekst niemiecki.

Głównie się do jej utrzymania przyczynia to, że chłop galicyjski szlachcicowi nie dowierza a szlachcic jako pośrednika między sobą a chłopem używa żyda, przedstawiającego tutaj nielada potęgę.

Petycje, z kraju tutejszego wysyłane, niejednokrotnie już żądały zupełnego równouprawnienia dla żydów. Powierzano mi w tej sprawie także rolę dosyć ważną, bo wybrano mnie nietylko na członka deputacji polskiej, ale i na członka wydziału tejże. Ustęp też 9-ty, przytoczony w centralnym organie stronnictwa, wyłącznie przezemnie został zredagowanym. Nasz gubernator snać! ma także zaufanie do mnie. Zaprosił mnie bowiem w liście bardzo dla mnie pochlebnym, na posiedzenia sejmowe. A ponieważ sejm nie przyszedł do skutku, więc ustanowiono tymczasem osobną radę, z którą gubernator wszelkie ważniejsze prowizoryczne środki omawia, a której członkiem ja także jestem. Stosunki krajowe nie są jednak dotychczas uporządkowane, stronnictwo czysto-polskie wcale nie sympatyzuje z rządem, skutkiem czego obawiać się można, że wynikną niebezpieczne rozruchy.

W końcu i o tem nie wypada mi zamilczeć, że prawowierni nasi łotrowie - chusyci znowu znaki życia dają. W Cholhamoed*) motłoch na mnie podburzyli, i skarg a demuncjacyj bez liku na mnie wysłali. Starszyzna nasza jak gdyby nie istniała, jest rozbitą. Nie ma też ani znaczenia, ani powagi. Młodzi za to ludzie, którzy niedawno dopiero długie surduty**) pozrzucali, trzymają się jeszcze, a trzymają się dzielnie. Trzeba też będzie stosunki gminne w sposób całkiem odmienny urządzić.

Donoś mi też od czasu do czasu, co się tam z wami dzieje i czy ci zdrowie służy?

Wierny twój brat

Abraham Kohn."

---

*) Cholhamoed, czyli półświęta przeplatające dnie całoświąteczne święta Paszy. Patrz: broszura anonima, stronica 30-sta niniejszego artykułu, jakoteż i końcowy rozdział tej pracy.

**) Takzwane chałaty i bekiesze.

Stosunki nie poprawiły się jednak, ale pogorszyły, nieład zapanował coraz większy w gminie i przyszło — zdaje się — nawet do tego, że kaznodzieja czekać musiał na wypłatę pensji i biedować aż do chwili otrzymania jej.

Wnioskuję to bowiem z innego listu, w którym się już jak najwyraźniej użala na złe czasy:

„Moje położenie obecne trudniejsze niż kiedykolwiek. Prawda, że ukochana żona i dzieci moje zdrowo się chowają; ale o edukację tychże nie mogę się nawet w tej mierze troszczyć, jak dawniej, a nie posiadam także środków na utrzymanie nauczyciela prywatnego.“

Tak to w owych czasach popłaciła popularność i wymowa kaznodziejska!

Przechodzę teraz do ostatniego rozdziału tej pracy, omawiającego ważniejsze dla Lwowian zdarzenia roku 1848-go i zgon rabina.

IV.

Rok 1848-my. Śmierć i apoteoza.

„Lud wybrany, co księży swych truje,
Co wybrańców obrzuca swych błotem,
O zarobku wciąż marząc, li o tem,
O tem ciągle śni, pieniądz rachuje?
Wszak obłudą się zdają ich modły:
Więc daremnie się modlą kapłany,
Głos napróżno dla rzeszy brzmi podłej:
Izraelu! tyś lud mój wybrany!“

(G. Kohn, Izraelu! tyś lud mój wybrany!)

Po długich latach ciemności, reakcji i ucisku zaświtał ludom Europy rok 1848-my, rok zamieszek krwawych i rewolucyj, ale także wyswobodzenia ducha z pęt i więzów, krępujących go dotąd.

I Polska, choć tylko chwilowo, odzyskała dawne swoje prawa, a zwłaszcza odzyskał je gnębiony

do niedawna i poniewierany język polski. Ogłoszono konstytucję dla kraju. We Lwowie funkcjonowała „Rada Narodowa“, w której łonie obok mężów jak Dobrzański, Borkowski, Ziemiałkowski i innych, zasiadali także mężowie miary Abrahama Kohna. Namiestnik, czyli jak go wtedy nazywano: gubernator, konferował jak gdyby z równymi sobie z członkami stronnictwa polskiego. Głośno po kraju całym odzywały się hasła: „Wolność, równość i braterstwo!“ Nie było różnicy między żydem a katolikiem, bo wszystkich łączyła jedna myśl, myśl o wspólnej Ojczyznie, i jedna służba, służba w gwardji narodowej! Znaczenie i stanowisko żyda, o którym się mój ojciec w liście do swego brata tak entuzjastycznie wyraża, pisząc, że obecnie „żyd w kraju przedstawia nielada potęgę“ — stanowisko to nie jest przesadnie odmalowane.

Ale ze wzrostem potęgi wzrosła też i odżyła stara nienawiść. Dwa wrogie obozy stały do walki przeciw sobie: był to obóz postępowych i starowierców. W równej mierze ze siłą intelektualną obozu postępowego wzmagała się i wzrastała złość i zaciekłość chusytów.

Rok 1848-my obfituje w zamachy na bezpieczeństwo czci i ciała postępowego rabina. Jakub Herc Bernstein, Hersz Ornstein, Meier Münc i cała ich klika nie mieli spokojnej chwili, bo jakoś im się nie wiodło z oszczerstwami i petycjami: w braku lepszych środków uciekano się do gwałtu.

Idzie więc zamach za zamachem w chronologicznym porządku.

I tak napada tłuszcza chusycka wracającego w Styczniu r. 1848-go z półrocznego egzaminu Abrahama Kohna i wywraca go z takim impetem, że sobie przy upadku rękę pokaleczył*).

*) Rzecz wzięta ze sprawozdania siostry mojej Angeliki, umieszczonego w piśmie amerykańskiem: „Deborah“. Tu jednak wkradł się błąd w tekst mojej siostry, rzecz bowiem według zapisków Walentego Ćwika w życiorysie Henryka Schmitta, str. 85. wydarzyła się 14. Czerwca, w środę.

Oskarzają go z namowy głównie Ornsteina, który władzy po nim odziedziczyć pragnie, o sfałszowanie ksiąg metrykalnych, sprowadzają fałszywych świadków i powodują śledztwo, które — jak się spodziewać tego można było — jedynie niewinność oskarzonego wykazało. Zjeżdża nawet kandydat rabinacki (a domyślamy się w nim osoby Ornsteina) do Lwowa i przechwala się, że przybył, „aby rabinowi księgi metrykalne odebrać“, jak gdyby odebranie ksiąg metrykalnych, powierzonych Kohnowi przez władze wyższe, zawisłem było od pierwszego lepszego*). Ale rabin Abraham Kohn nie mściwy: dowiedziawszy się o uwięzieniu jednego z potwarców, Joela Szorra, posiadającego liczną rodzinę, sam wstawia się za nim i uzyskuje dlań wolność**).

W drugiej połowie Marca na Hamana usiłują znowu Kohna zgładzić, a to za pomocą zatrutego wina, które mu w prezencie przeznaczyli. Piękny ten zamach li tylko z tego powodu nie udał się, że się nie mogli zgodzić co do osoby posłańca***).

Szereg zamachów tymi wszystkimi jeszcze nie wyczerpany: bo oto w Cholhamoed, czyli w przeddzień ostatnich świąt pajsecznych, dnia 23. Kwietnia w niedzielę popołudniu, napada tłuszcza znowu na spokojne domostwo rabina i przypuszcza szturm do niego, bombardując gradem kamieni wszystkie szyby frontowe na pierwszem piętrze, zamieszkanem wówczas przez rodzinę rabina****). Gwardziści i kawalerja rozpędzili hołotę, o czem tak anonim, jak i siostra moja w sprawozdaniach swych piszą.

Na końcu nadeszła ostatnia, stanowcza chwila Jak gdyby ją był przewidział, tak w tydzień niespełna przed swoją śmiercią, w dzień sobotni 2-go Września roku 1848-go występuje wielki kaznodzieja na kazalnicę i głosi kazanie, kazanie przedśmiertne, kazanie ostatnie

---

*) Rzecz wzięta z broszury anonima.

**) Rzecz wzięta ze sprawozdania mojej siostry.

***) Rzecz wzięta ze sprawozdania mojej siostry.

****) Front ten, zaopatrzony tablicą z napisem: „Plac Benedyktyński, l. 5.,“ wychodzi na kościół Benedyktynek.

na temat: „Nie będziesz zabijał.“ I przysłuchują mu się tłumy ludu z uwagą natężoną jak nigdy! A słowa kaznodziei grzmią, a głos jego nabiera niezwykłej siły, kiedy pomny zamachów nieprzyjaciół i tych krętactw nędznych, przez nich używanych, woła głosem podniesionym: „Czego nie dokaże fanatyzm? Do czego to nie doprowadzają złość, chytrość i przewrotność?“

Nie pomogły petycje, nie pomogły oszczerstwa, udowadniające tylko niewinność spotwarzonego, przedstawiające go z aureolą męczennika, a więc na inny, praktyczniejszy sposób trzeba było zabrać się do dzieła.

Rozszerzają więc wspólnicy zbrodni już 6-go Września z rana wzdłuż całej ulicy Szerokiej (teraz ulicy Kopernika) wieść, jakoby cholera, grasująca wówczas we Lwowie, porwała była już nowe ofiary, jakoby zapaść mieli na cholerę wszyscy członkowie rodziny Abrahama Kohna*). Czemu właściwie fałszywe te wieści rozszerzyli, to pojmie łatwo każdy nieuprzedzony. Jeśli bowiem cała rodzina zapadła na cholerę, to można ją wytruć co do nogi, a nikt nie powie, że otruta, ale każdy pomyśli, że umarła na cholerę i nikt nie zada sobie trudu, aby śledził za przestępcami; bo śmierć nastąpiła na naturalny sposób. Ale czasem myli przecież rachuba ludzka choćby i najsprytniejsza, dowodem czego, że nieświętej pamięci Bernstein i Ornstein mimo wszelkich środków ostrożności przecież na kilka miesięcy dostali się do więzienia.

Rabin z dziećmi poszedł tymczasem na wysoki zamek na spacer, a troskliwa żona udała się na kupno na ulicę Szeroką. Chciała już o 9-tej godzinie z rana załatwić sprawunki przedobiedne, ale bezustannie wstrzymało ją coś i miała mężowi swemu tyle a tyle do powiedzenia i tak jakoś im obojgu było poważnie i smętnie w duszy, jak gdyby coś niezwykłego wydarzyć się miało w dniu owym. Wtedy to ustanowiono, unikać starannie tego wszystkiego, coby cholerę spowodować mogło, a więc w pierwszym rzędzie unikać owoców**).

---

*) Rzecz wzięta z listu śp. matki mojej.
**) Słowa matki mojej.

Wróciła o godzinie wpół do dwunastej przed południem matka moja do domu, załatwiwszy rozmaite sprawunki. Wtem usłyszała stąpanie lekarza, doglądającego najmłodszą siostrę moją, Terenię. Wysłała więc starszą moją siostrę Angelikę do kuchni, aby w towarzystwie sługi przypilnowała objadu, a sama poszła do drugiego pokoju na przyjęcie lekarza.

I stało się nieszczęście!

Wkradł się do kuchni rozfanatyzowany zbójca Berl Pilpel. Pod pozorem zapalenia sobie cygara wrzucił arszenik do rosołu i oddalił się.

A zgromadzona przy stole rodzina kaznodziei była w usposobieniu, w jakiem się od dawien dawna nie znajdowała, bo miało się okazać pismo nowe: „Przyjaciel ludu izraelickiego,“ a redaktorem i wydawcą tego pisma miał być sam rabin. Dziś właśnie przygotował program i rozdzielił między znajomych i zwolenników swojej myśli. Wypracował także i skończył jeszcze przed objadem ostatnim — zatrutym, wstępny artykuł z nagłówkiem: „Pozdrowienie i hasło czytelnikowi,“ najznakomitszą swoją pracę. A potem schował takową i wszyscy w błogiem i podniosłem usposobieniu zasiedli do stołu, do wspólnego objadu, nie przypuszczając nawet, że ten objad — zatruty*).

Ciszę ogólną przerwała moja matka uwagą:

— Nie wiem, co to jest, ale tak mi jakoś gorąco z tego rosołu, jak gdybym się napiła wódki. Gdybym nie wiedziała, że w domu naszym nie ma pieprzu, uwierzyłabym prawie, że rosół przepieprzony.

A ojciec odrzekł:

— Może przecież pieprz się dostał do rosołu.

— Ale proszę cię — odparła — jakże to możebne, kiedy pieprzu u nas nie ma.

I nie zważając na te szczegóły jedli wszyscy dalej, matce zaś i najmłodszemu synowi a obecnemu autorowi niniejszej pracy, cały talerz dostał się w udziale.

Wtem nadbiega mamka i woła:

— Nie wiem co to takiego, ale nie mogę zjeść rosołu.

---

*) Słowa matki mojej.

Teraz dopiero zaświeciła złowroga myśl jak widmo jakieś w umysłach wszystkich i przypuścili, że może są otruci, przypuścili — z wyjątkiem mego ojca.

Bardzo dodatnio za szlachetnością i wspaniałomyślnością charakteru Abrahama Kohna przemawia szczegół, że do ostatniej chwili nie chcąc wierzyć w prawdziwość otrucia, do obecnych się odezwał:

— A jeśli ją otruty, to tego z pewnością żaden żyd nie uczynił.

Słowa te w lot zostały podchwycone i jak wszystkie podobne wyrażenia wielkich mężów, przekręcone dowolnie.

— Nie uczynił tego żaden żyd, a więc uczynił chrześcianin? —

Nie! takiego podejrzenia na swoich współziomków chrześcian nie mógł i nie chciał rzucić człowiek tej miary moralnej, jakim był Abraham Kohn. Ale człowiek, który się urodził, żył i umarł żydem, człowiek, który to przekonanie niezłomne o świętości wiary żydowskiej przelał jeszcze na synów swoich, człowiek, który jako ostatnią wolę przekazał rodzinie swojej wiarę w opatrzność Boga, który umiłował Izraela jako lud swój wybrany, w Boga, który mu ogłosił wolę swoją świętą słowami: „Nie będziesz zabijał...", człowiek taki nie mógł też i nie chciał wierzyć w zabójstwo, dokonane ręką żyda. Ale wierzył w jakiś nieszczęsny wypadek, w pomyłkę; ten oto wypadek, ta pomyłka, to w oczach jego właściwi morderce, a nie ludzie!

Pobiegła matka moja do kuchni, w pierwszem przerażeniu mniemając, że się przez pomyłkę cykuta zamiast pietruszki dostała do rosołu. Lecz garnek był już wypróżniony, a kucharka wiła się w kurczach śmiertelnych po ziemi.

Spytała jej się moja matka:

— Jadłaś rosół?

— Nie — odrzekła kucharka — ale skosztowałam zakryszki, a teraz czuję boleści śmiertelne.

Wysłany przez matkę pobiegł najstarszy syn Jakub po doktora, wszyscy zażyli lekarstwo na wymioty, w jednej chwili cały pokój był zalany. Nie

pomogło to jednak już ani ojcu memu, ani też najmłodszej siostrze mojej, Tereni.

Matka nieszczęsna biegała od jednego do drugiego, zachęcając swym przykładem i dodawając otuchy, chociaż sama jej już może nie czuła! Ciepłem swojem pragnęłaby rozgrzewać nawpół skostniałego małżonka swego. Wtem odezwał się konający słabym głosem:

— Podziwiam cię, że się jeszcze na nogach utrzymać zdołasz.

Odrzekła matka:

— Miej otuchę w Bogu, a Bóg pomoże, zażywaj tylko przepisane lekarstwo, a będzie ci lepiej.

Za późno!

Dnia 7-go Września roku 1848-go, czyli według żydowskiej rachuby 9-go miesiąca Elul, w czwartek, o 2-giej godzinie po północy, w 42-m roku życia swego przeniósł się do wieczności wielki rabin Abraham Kohn. Dusza jego uleciała w sfery wyższe, gdzie panuje błogi pokój, gdzie ustają kłótnie i niesnaski stronnictw, gdzie się nie sądzi ludzi według stroju i powierzchowności ziemskiej!

W około łoża męczennika w cichej modlitwie czuwała rodzina, krzątali się obcy. Jak fala morska przypływały i odpływały tłumy ludu, chcąc po raz ostatni widzieć martwe oblicze umarłego, którego pośmiertne zdjęcie przedstawia, odzianego w szaty kapłańskie (patrz na rycinę tytułową). Rzecz, nie praktykowana dotąd! Panna obca z porządnej katolickiej rodziny dobrowolnie przez całą noc odprawiała służbę w domu żydowskim. Gwardja narodowa strzedz go musiała przez cały czas od chwili śmierci aż do pogrzebu, który się w piątek dnia 8-go Września odbył wystawnie. Nad świeżą mogiłą wygłoszono trzy mowy, w głębokiej żałobie pogrążeni byli wszyscy. Ni chusyta, ni chałatowiec nie śmiał wystąpić, nie ważył się zamącić spokoju tego trupa. Tak żydzi, jak i chrześcianie zabronili im przystępu. Zemsta ludu przekleństwami prześladowała fanatyków...

A co stało się z domniemanymi lub rzeczywistymi sprawcami zbrodni: z Bernsteinem, Ornsteinem i Pilplem? Ci siedzieli w więzieniu śledczem, siedzieli przez

kilka miesięcy, a potem zostali puszczeni na wolność..... z braku dowodów. Nie chcemy wglądnąć w akta procesu kryminalnego, nie chcemy nawet skrytykować ówczesnej procedury sądowej: bo na co by się to przydało? Wrzawa narobiona za i przeciw w tym procesie wywierać musi na każdym, bezstronnie myślącym człowieku tak przykre i wstrętne wrażenie, jak kłótnia lekarzy nad trupem Fryderyka III. Nie zwróci umarłemu życia.

Przepowiednia rozruchów niebezpiecznych, wyniknąć mogących we Lwowie, wypowiedziana w liście z 14-go Maja r. 1848-go, spełniła się co do joty.

Po swobodach konstytucji, używanych i nadużywanych przez tylu, po śnie minionym równouprawnienia i wolności wróciły krwawe dnie reakcji. W pierwszych dniach Listopada tegoż samego roku kule świstały w powietrzu. To Hammerstein bombardował Lwów. W obronie barykady lwowskiej pierwszy poległ żydowski gwardzista Igollnitzer, nauczyciel młodszy języka hebrajskiego przy szkole ludowej izraelickiej; po nim jeszcze pięciu żydów i przeszło dwa razy tyle chrześcian. Rodzina kaznodziei lwowskiego wraz z wielu innemi kryć się musiała w piwnicy, w podziemiu.

A potem wrócił znowu spokój, zakłócony chwilowo, spokój — grobu. Zawitały wreszcie szczęśliwsze czasy dla kraju, a obywatele lwowscy, zaprzątnięci już tylko myślą wytworzenia ładu wśród ruin listopadowej walki ulicznej, krzątali się około usuwania starych rumowisk, około wprowadzania porządku.

Przy sposobności nadania nowych imion ulicom lwowskim, nazwano ulicę, zamieszkaną niegdyś przez kaznodzieję lwowskiego „ulicą Kohnowską*)“. I słusznie! historja bowiem życia wielkiego rabina jest także poniekąd historją dziejów cywilizacji Lwowa.

W siedm lat po śmierci nieustraszonego męża przeniosła się także jego wdowa do wieczności, nabawiwszy się cholery przy pielęgnowaniu zapadłych również na tę chorobę sąsiadów.

---

*) Historyczna kamienica, zamieszkana przez lwowskiego kaznodzieję, ma podwójny napis, z frontu: „Plac Benedyktyński, l. 5.“, z boku: „Ulica Kohnowska, l. 3.“

Z synami Abrahama Kohna, z których najmłodszy kaleką się stał skutkiem otrucia, wygasa plemię jego po mieczu.

* * *

Od wypadków, powyżej opisanych minęło wiele lat, i wiele też zmieniło się w gminie Izraela, do którego wyznawców należał nieboszczyk. Energiczna dłoń, która ład i porządek w wyznaniowej gminie lwowskiej dotąd utrzymywała, ostygła. Partje, złączone i zjednoczone dawniej pod zwierzchnictwem jednego duszpasterza Kohna, rozłączyły się po jego śmierci, każda idąc w swoją stronę. Tu powstał zastęp postępowych, tam zastęp starowierców, każdy pod zwierzchnictwem osobnego przewodnika duchownego. Zaprawdę! gdyby dzisiaj powstał z grobu nieboszczyk, to niebyłby zadowolony z kierunku, jaki wychowanie nowożytnego plemienia żydowskiego bierze.

Chciał on żydów zreformować tylko co do zabobonów, wiarę zostawiając nietkniętą, a postępowi wyemancypowali się obecnie i co do zabobonów, na które żaden człowiek wykształcony nie zważa i co do głównych zasad wiary, na które Abraham Kohn niezmiernie baczną zwracał uwagę; występował on przeciwko pojedynczym cudotwórcom i wyzyskiwać dającej się przez nich publiczności, teraz cudotwórcami takimi zasiana prawie cała wschodnia Galicja, a zwolennicy ich liczą się na krocie; występował on przeciwko jarmułce i chałatowi, stanowiącymi strój odrębny, niezgodny z zapatrywaniami ucywilizowanego Zachodu, występował również przeciwko egoizmowi, pysze i chciwości, szpecącym serca bardziej, aniżeli chałat i jarmułka ciało. Bekiesze, jarmułki, chałaty nikną coraz więcej wśród żydów mało-i wielkomiejskich. Pozostały się a nawet rozwielmożniły i spotęgowały brak ofiarności i egoizm tem wstrętniejsze, że się kryją pod ucywilizowaną szatą.

Tak jak każdego wielkiego męża, i jego łoże śmiertelne otacza rój legend, niezgodnych z prawdą. Chrześcianie windykują go sobie niesłusznie, żydzi starowiercy wypierają go się, obdarzając niezasłużo-

nem mianem odstępcy*). Nie był jednak odstępcą i nie był ani jawnym, ani tajnym katolikiem, ale był żydem postępowym i jako żyd pragnął rozstać się z tym światem, dowodem czego ostatnie jego chwile.

Reformy religijne Abrahama Kohna — nie możemy tego zataić — chybiły swego celu: jednym zdawały się zanadto radykalnemi, drugich nie zadowalniały nawet częściowo. Nie więc w jego usiłowaniach reformy religijnej leży właściwa jego zasługa, ale w dążnościach społecznych i obywatelskich i w tem, że żydom wzgardzonym przez ogół, wskazywał ustawicznie jako podstawę przyszłego dobrobytu i szacunku pracę uczciwą i rzetelną.

Zapyta ten lub ów: „Jeśli taki los czeka nauczycieli i reformatorów ludzkości, jeśli za życia i po śmierci mają być fałszywie rozumiani i prześladowani, podczas gdy egoizm stypy sute wyprawia na otwartych grobach bohaterów i męczenników, dla czyjej korzyści mamy walczyć, dla czyjej korzyści się poświęcać?“

Dla czyjej? nie dla osobistej naszej, ale dla przyszłych pokoleń, dla idei. A choćby praca całego życia zbawiennie nie oddziaływała na tłumy, choćby następna reakcja pochłonąć miała wszystkie poprzednie owoce postępu i cywilizacji, to jeszcze usiłowania nasze nie zostaną bezowocne, dopóki się znajdzie w wielkim tłumie istota, czynnik, chociaż odosobniony, ale idący za przykładem wielkich cnót, wielkich idei i poświęceń, a taki znajdzie się mimo wszelkiego zepsucia serca, mimo wszelkiego egoizmu i materjalizmu zawsze!

Pisałem w r. 1888-m jako w 40-stą rocznicę śmierci Abrahama Kohna.

Gothilf Kohn.

---

*) Jak daleko sięga ich zaciekłość, dowodem tego, że po śmierci Kohna czerniono go i spotwarzano w takzwanych „Maassebüchel“, powieściowej żydowsko-niemieckiej literaturze najpodlejszej treści, a formy ściśle dla motłochu obliczonej, i że ten sam motłoch we Lwowie, w roku 1888-m, czyli w 40-stą rocznicę śmierci mego ojca, nagrobek jego małżonki pod zasłoną nocy znieważyć i zniszczyć usiłował.

Ważniejsze wypadki

Z ŻYCIA KAZNODZIEI i RABINA

Abrahama Kohna,

w chronologicznym porządku zestawione i streszczone.

1806 w Załużanie, w Czechach ujrzał światło dzienne 24-go miesiąca Sywan.

1830 przemawia po raz pierwszy publicznie przy sposobności poświęcenia małej synagogi czeskiej; mowa jego nakłania dwóch zawziętych nieprzyjaciół do zgody.

1833 prowizorycznie zamianowany rabinem postępowej niemieckiej gminy w Hohenems, zostaje

1834 zamianowany stanowczo na rabina w Hohenems. Posadę tamże piastował bez przerwy przez 10 lat aż do roku 1844-go, w którym to roku na wiosnę obejmuje posadę kaznodziei we Lwowie. W roku

1834 ogłasza także Abraham Kohn drukiem pierwsze swoje kazania tyrolskie. Książka ta opuściła prasę u M. J. Landaua w Pradze.

1835 zaślubia Abraham Kohn Magdalenę Kahn, córkę przełożonego kahalnego w Bawarji, urodzoną w r. 1817-m, 15. Marca.

1836, 16. Grudnia, w piątek dzień urodzin pierworodnego syna Jakuba, obecnie adwokata w Samborze.

1838, 30. Grudnia, w niedzielę dzień urodzin drugiego syna Józefa, obecnie adwokata we Lwowie.

1840, 14. Marca, w sobotę dzień urodzin pierwszej córki Angeliki, obecnie zamieszkałej w Ameryce.

1841 okazuje się w Frankfurcie nad Menem za staraniem Dra M. Josta a nakładem autora Abrahama

Kohna tegoż hebrajska czytanka dla izraelickiej młodzieży pt.: „Pesach sfas ewer".

1843 zaproszony do objęcia posady kaznodziei (ewentualnie także rabina) we Lwowie, udaje się Abraham Kohn chwilowo tamże dla poznania i zbadania stosunków miejscowych.

1844, 8. Stycznia, w poniedziałek dzień urodzin najmłodszego syna Gothilfa, obecnie literata, zamieszkałego w Samborze. I ten na równi z braćmi swymi i ze siostrą ujrzał światło dzienne w Hohenems.

1844 w Kwietniu wyjeżdża Abraham Kohn z Hohenems, w chwili odjazdu zaszczycony przez gminę swoją cenną pamiątką, srebrnym puharem, ofiarowanym mu w dowód wdzięczności przez współwyznawców.

1844, 5. Maja, w niedzielę przybywa do Lwowa. Podróż z Bilska do Lwowa trwała 14 dni.

1844, 11. Maja, w dzień sobotni, zamianowany tymczasowo na kaznodzieję i prowadzącego księgi metrykalne, Abraham Kohn, występuje z pierwszą mową wstępną, czyli kandydacką w wielkiej synagodze przedmiejskiej we Lwowie, dochód z mowy swej przeznaczając na budowę nowej świątyni, takzwanego „templu" we Lwowie.

1845 obejmuje Abraham Kohn kierownictwo pierwszej ośmioklasowej szkoły izraelickiej we Lwowie. Pod jego zarządem zamianowani jako nauczyciele: Michał Wolf, Psachie Grünes, Hersz Glasgall, Bernard Sternberg, Leo Volländer-Riessberg, Karol Lodner, Fränkel, Szlesinger, Igollnitzer. Z tych żyją obecnie tylko jeszcze Michał Wolf i Psachie Grünes, którzy na pensję poszli i Dr. Bernard Sternberg, który dotąd jeszcze jest samoistnym kierownikiem szkoły izraelickiej we Lwowie przy ulicy św. Stanisława.

1845, 2. Sierpnia w dzień sobotni, wygłasza Abraham Kohn w wielkiej synagodze przedmiejskiej kazanie pod tytułem: „Głos Boga nad wodami." Dochód z kazania tego, wydanego następnie kosztem kilku młodych a ofiarnych współwyznawców, przeznaczony został na ratowanie powodzian galicyjskich.

1845 wydaje Abraham Kohn pierwszą część swego podręcznika historji biblijnej.

1846 ukończono budowę templu. W tymże roku zamianowano Abrahama Kohna także rabinem obwodowym we Lwowie. Nowy rabin poprzednio jeszcze wykończył i wydał drugą część swego podręcznika historji biblijnej, jakoteż i książeczkę, zawierającą pierwiastki nauki religji.

1846, 18. Września w piątek wieczorem, wygłasza Abraham Kohn kazanie poświęcalne w templu.

1847 ujrzała światło dzienne druga córka kaznodziei lwowskiego a młodsza siostra moja Terenia, we Lwowie.

1847 w jesieni udaje się Abraham Kohn na czele deputacji do Wiednia celem uzyskania zniesienia podatku na świeczki szabasowe i mięso koszerne (takzwane: Fleischpacht i Łechtpacht.) Tož samo z wiosną r.

1848. Usiłowaniom i zabiegom osobistym Kohna, jakoteż petycji, wniesionej przez niego, udało się ostatecznie uzyskać u dworu zniesienie hańbiących i szczególniej dla biednej klasy uciążliwych podatków. Starania jego nieprzyjaciół, podjęte w przeciwnym kierunku, spełzły na niczem.

1848 obwiniają go o sfałszowanie ksiąg metrykalnych. Śledztwo sądowe, w tej mierze przeprowadzone, wykazuje zupełną jego niewinność. Abraham Kohn, dowiedziawszy się o uwięzieniu jednego z potwarców, Joela Szorra, sam wstawia się za nim i uzyskuje dlań wolność.

1848, 23. Kwietnia w niedzielę, napada pijany motłoch żydowski, podburzony przez osobistych nieprzyjaciół Kohna, na mieszkanie tegoż, położone na pierwszem piętrze (plac Benedyktyński l. 5., ulica Kohnowska l. 3.) i wybija mu wszystkie szyby frontowe. Gwardja narodowa za pomocą patroli huzarskiej rozpędziła tłum.

1848, 14. Czerwca w środę, wracającego ze szkoły w towarzystwie nauczycieli, napada na ulicy i znieważa motłoch chusycki.

1848, 2. Września w sobotę, wygłasza Abraham Kohn ostatnie swoje kazanie na temat biblijny: „Nie będziesz zabijał.“

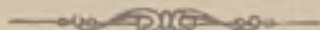
1848, 6. Września w środę, wkrada się do kuchni rabina, namówiony do zbrodni przez osobistych nieprzyjaciół Kohna, Berl Pilpel i wrzuca pod pozorem zapalenia sobie cygara, niespostrzeżenie arszenik w wielkiej ilości do gotującego się rosołu.

1848, 7. Września w czwartek, o drugiej godzinie po północy umarł skutkiem otrucia rabin Abraham Kohn, licząc 42 lat. Było to według żydowskiej rachuby 9-go miesiąca Elul. Parę dni później umarła także najmłodsza córka kaznodziei a siostra moja: Terenia.

1848, 8. Września w piątek (przypadkowo w dzień uroczystego święta katolickiego), odbył się pogrzeb kaznodziei lwowskiego z wielką okazałością i przepychem. Gwardja narodowa narokowała w komplecie przy żałobnym obrzędzie, Rada Narodowa, której członkiem był umarły, asystowała również, uczestniczyły w żałobnej ceremonji władze rządowe i reprezentacja miasta, na jej czele ówczesny burmistrz Gnoiński, oraz i kahał. Nad świeżą mogiłą trzy wygłoszono mowy.

Sambor, 1888, 31. Grudnia w poniedziałek.

G. Kohn.



Wschód słońca.

Świta — świta! — witaj słońce!
Boskie dziecię! witaj nam!
Twego wozu jasne gońce
Z lazurowych rozlej bram.
Świta — świta! — nikną cienie,
Pierzcha mroźnej nocy chłód,
Wdzięcznie całe przyrodzenie
Wita hymnem słońca wschód.
I co tylko tętni życiem,
I co tylko czucie ma,
Jasnem słońca lśni odbiciem,
W hymnie światów piosnkę gra.
Dalej — dalej, gnuśne ludy!
Już z uspienia powstać czas!
Bóg was budzi swemi cudy,
Bóg wolnością budzi was. —
Dalej ludy! wznieście głowy!
Spieszcie otrząść siwy pył,
Spieszcie dumne wznieść budowy,
Odmłodniałych użyć sił. —
Spieszcie — spieszcie! — w słońcu wiosny
Skąpać skrzepłą pierś i dłoń,
I zanucić hymn radosny,
I wawrzynem maić skroń. —
A kto obcych szuka Bogów,
Kto dziś jeszcze chłodnym tu,
Tego liczcie między wrogów,
Wieczną klątwę rzućcie mu!

1848.

Pius Nałęcz z Witoszyna.



J. I. Kraszewski, ur. 1812, † 1887.

Wieniec wspomnień o Kraszewskim.

Studjum krytyczno-literackie,

przez

G. Kohna.

(Z trzema rycinami.)

Biednym zapewne i ubogim nawet w stosunku do tego, co inni o wielkim i sławnym naszym autorze pisali, przedstawi się ten „wieniec wspomnień,“ przezemnie poświęcony jego pamięci! Ale czem chata bogata, tem rada! Zresztą nie znając Kraszewskiego osobiście, nie mogłem sobie rościć pretensji, bym jego działalność literacką pojął i ocenił należycie. Praca moja tedy obejmie tylko niektóre szczegóły z życia wielkiego pisarza naszego, nieznane albo mało znane ogółowi.

Któż by zresztą bodaj z pism nie znał Kraszewskiego, albo nie słyszał o nim? I ja może wcześniej już wiedziałem i słyszałem o nim, niźli się zdobyć mogłem na śmiałość nawiązania korespondencji z nestorem literatury naszej. Nastąpiło to przy sposobności powstania wydawnictwa na cele dobroczynne samborskie, z którego to wydawnictwa potem każdy tomik na dzień imienin mu posłałem, radząc się jego i prosząc o wskazówki co do najwłaściwszego sposobu redagowania roczników moich.

Nawiązywała się między nami korespondencja, może nie zbyt ożywiona, może nie tak częsta jak między Gillerem, Marją z Rusiłowa i innymi; ale co do odpowiedzi, to Kraszewski przecież dosyć był

punktualnym i rzadko tylko zdarzało się to, aby zalegał z odpowiedzią.

Pozwalam sobie, podać dla szerszej wiadomości moich czytelników w chronologicznym porządku te listy więźnia magdeburskiego, o ile mi się udało wśród stosu innych korespondencyj uporządkować i zachować listy J. I. Kraszewskiego.

I tak odwdzięczając mi się za przesyłkę pierwszego rocznika samborskiego, będącego wówczas zaledwie słabą zapowiedzią tego, w co się z biegiem czasu samborskie wydawnictwo przekształcić miało,*) — pisze mi Kraszewski z Florencji w Marcu r. 1878-go, przesyłając równocześnie „w dowód szacunku" fotografję swoją, którą w zwiększonym formacie na czele niniejszej pracy umieściłem:

„Monsieur G. Kohn par Cracovie Sambor.
d. 13. Marca 1878.

Florencja Borgo Ogni Santi. 1.

Szanowny Panie!

List Pański doszedł mnie tutaj, a miły upominek, książkę zbiorową, znajdę za powrotem w Dreźnie. Za oboje składam Wam najserdeczniejsze dzięki. Imię Pańskie znanem mi było i cieszę się, że Was bliżej poznać mogę teraz, a podziękować Wam za te prace, które przedsięwzięliście dla wspólnego dobra naszego. Niech Bóg pomaga w tem i da Wam zyskać jak najwięcej współpracowników i między swoimi. Wspólność losów i wiekuiste związki łączą nas i powinne zbliżać i jednoczyć.

Daruj że krótko piszę, bo i niezdrów jestem i zakłopotany. W Kwietniu powracam do Drezna. Przyjmijcie wyrazy najszczersze szacunku i życzliwości

od sługi Waszego.
J. I. Kraszewski."

---

*) Śp. Tadeusz Żuliński po otrzymaniu pierwszych dwóch roczników radził mi wydawnictwo całkowicie zawiesić jako zupełnie zbyteczne dla społeczeństwa.

Jest to, jeśli mnie pamięć nie myli, pierwszy list, jaki otrzymałem od niego. Wkrótce przygotowania do jubileuszu Kraszewskiego, tak świetnie w Krakowie przez całą Polskę obchodzonego, wyrugowały wszelkie myśli partykularystyczne. Bez przesady można twierdzić, że rok 1879-ty był rokiem Kraszewskiego. Jak grzyby po deszczu rosły i mnożyły się plany celem uczczenia dostojnego Jubilata. Wydawnictwo samborskie nie mogło i nie chciało w tyle pozostać poza innemi. Postanowiłem trzeci rocznik samborski wyłącznie poświęcić Kraszewskiemu.

Wtedyto właśnie wydawnictwo samborskie w nową wstąpiło fazę. Przystąpili do współudziału literackiego nowi współpracownicy, tak młodzi, jak i starzy. Wydawnictwo rozszerzało się powoli i zaczynało nawet przyozdabiać się w jakąś nibyto sukienkę illustracyjną, choć daleko mu jeszcze było do powierzchowności obecnej.

I współpracownicy ówcześni — byli to także ludzie rozmaitego rodzaju: niektórzy z ustaloną już sławą literacką, niektórzy młodzi, pragnący sobie dopiero drogę utorować. Z tych część doszła do celu swoich marzeń i cieszy się jakiem takiem wzięciem; część zmarniała się i przepadła, jak to mówią: „bez słychu i dychu.“

Ponieważ stosunki mi nie pozwalały, uczestniczyć osobiście w uroczystości krakowskiej, więc namówiłem niektórych z moich ówczesnych współpracowników do nadesłania na ręce moje wyrazów czci dla wielkiego naszego pisarza, wyrazów ujętych w ramy mowy wiązanej. Z tych prac bardzo mała tylko część odpowiadała wymaganiom prawdziwej poezji, wyrastając ponad poziom szablonu i frazesu utartego. Mimoto osądził je dostojny Jubilat łagodniej niźli sobie zasłużyły i potwierdził odbiór oryginalnej tej wiązanki poetycznej w liście następującym:

„Monsieur G. Kohn.

Membre de la Société pedagogique

p. Cracovie à Sambor.

Drezno, 24. Marca 1879.

Szanowny Panie!

Ze wzruszeniem i rozrzewnieniem odebrałem Wasze Samborskie dary, za które przyjmijcie wszyscy najserdeczniejsze dzięki. Dziś jeszcze pod wrażeniem dni kilku przeżytych gorączkowo, osłabły i znużony nie umiem Wam, jak należy odpowiedzieć. —

Chciejcie tylko przyjąć wyrazy wdzięczności i oświadczyć odemnie swym współpracownikom, naprzód paniom Maryi z Rusiłowa, Emilii Paprockiej, Waleryi Pełce, potem p. Rembowskiemu, Łonickiemu, Tomkiewiczowi, Filipowiczowi. Miałem zamiar przysłać Wam jako dowód mej wdzięczności fotografie, ale niestety — niemam ich i dopiero za dni kilka dostanę a wówczas z chęcią służyć będę i prosić abyście jako pamiątkę od życzliwego sługi zachowali.

Poezije są piękne, a tyle w nich uczucia gorącego, że surowa krytyka tknąć by ich nie śmiała... Niech Bóg da, aby wszystkie te młode talenta pracą, nauką, wytrwałością jak najbujniej i najświetniej się rozwijały...

Darujcie, że tyle tylko napisać dziś mogę, bom chory. — Serdeczne pozdrowienie i uścisk dłoni zasyłam

wdzięczny sługa

J. I. Kraszewski."

Ale dzień 19-go Marca był tylko przygrywką do wielkiej uroczystości jubileuszowej, którą w dzień 3-go Października r. 1879-go cały naród w Krakowie uczcić miał zasługi wielkiego swego mistrza. Obsypywany zewsząd dowodami czci i wdzięczności tego narodu, dla którego pracować przywykł od dni najwcześniejszej młodości swojej, zawołał Kraszewski w nadmiarze zachwytu i szczęścia:

„Niezasłużony a szczęśliwy dzisiaj odbiera od Was te dowody Waszej miłości."

Bo też sława autorska Kraszewskiego nie ograniczała się na Polskę, jego sława należy do całego świata!

Na cześć wielce zasłużonego męża tworzono stypendja, urządzano edycje ozdobne jego dzieł; rylec, pióro, pędzel ubiegały się w spółzawodnictwie o zaszczyt uczczenia zasług Kraszewskiego. Gmina miasta Lwowa na cześć Jubilata wybiła medal, który rycina nasza przedstawia.

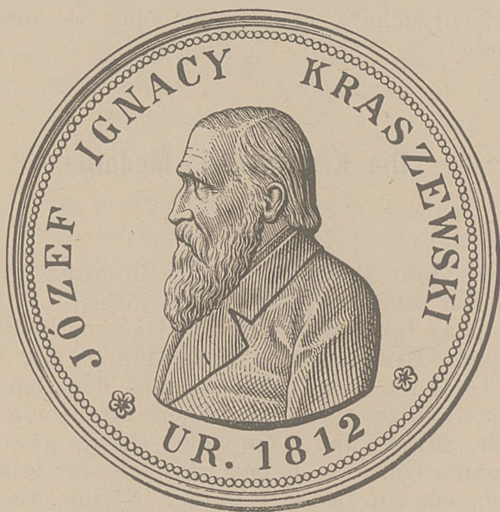
Medal rzeczony, wykonany w artystycznym zakładzie Artura Malinowskiego w Monachium, opisałem w fachowem piśmie „Numismatische Blätter,“ wychodzącem podówczas we Wiedniu pod redakcją Jana Nentwicha*), i załączam opis w niemieckim oryginale:

„Die Kraszewski - Medaille.

Das Jahr 1879 ist für die Literatur-Geschichte Polens ein sehr bedeutsames. In diesem Jahre wird nämlich das Jubiläum der fünfzigjährigen literarischen Thätigkeit Kraszewski's, eines Mannes, der fast auf allen Gebieten des Wissens und der Kunst, als Dichter, Schriftsteller, Historiker, Archäolog, Naturforscher, Maler und Componist thätig gewesen ist, begangen. Um ein Leben, so reich an Arbeit und Verdiensten, ein Leben, das der Nation, die er vertritt, so sehr zum Ruhme gereicht, auszuzeichnen, fehlt es natürlich nicht an mehr oder weniger gelungenen Projecten, und während beispielsweise Warschau eine 15-bändige Jubiläums-Ausgabe seiner besten erzählenden Schriften im Auszuge veranstaltet, während Stanislaus Wegner in Posen einen Gedankenschatz aus Kraszewski's Werken, gewissermassen die Quintessenz des Besten, was der Dichter geleistet, anzeigt, hat die Stadt Lemberg beschlossen, eine Medaille zu Ehren des Jubilars zu prägen. Diese Medaille ist

*) Numismatische Blätter. I. Jahrgang. Wien, am 22. März 1879. III. Nummer.

eine numismatische Rarität, weil genau nur so viele Exemplare geprägt wurden, als Bestellungen einliefen, und wurde eine solche Medaille aus Kupferbronce mit 3 fl. per Stück berechnet, um aus dem Überschusse, der sich von dieser Sammlung ergeben würde, für den Dichter eine goldene in der Grösse der übrigen zu prägen. Diese Medaille aus der Kunstanstalt von Arthur Malinowski in München hervorgegangen und mit seinem Stempel versehen, ist nicht



Medal Kraszewskiego *(Strona główna.)*

gerade klein. Sie wiegt 80 Gramm, hält 63 Millimeter im Durchmesser und ist $3^1/_2$ Millimeter dick. Auf dem Avers sehen wir das wohlgetroffene Bildniss des Jubilaten mit der Umschrift: „Józef Ignacy Kraszewski Ur. 1812“ (Josef Ignaz Kraszewski, geboren 1812), sowie auch den Namenszug des Medailleurs*). Auf dem Revers, von einem Kranze von

*) W cynkograficznej kopji, którą niedawno u Angerera w Wiedniu zamówiłem, opuszczono niestety przez nieuwagę podpis medalera.

Lorbeer- und Eichenlaub umgeben, ist die Umschrift ersichtlich: „Za pół wieku trudów i zasług wdzięczni rodacy 1879.“ (Für ein halb Jahrhundert Mühen und Verdienstes die dankbaren Landsleute 1879.) Die Arbeit selbst ist sehr sauber ausgeführt und macht der Anstalt, aus der sie hervorgegangen ist, alle Ehre.

G. Kohn.“



Medal Kraszewskiego *(Strona odwrotna.)*

W owej chwili stał Kraszewski na szczycie swojej sławy. Ktoby wówczas przewidywał Magdeburskie kaźnie, ucieczkę do San-Remo, śmierć samotną wieszcza w Genewie! Monarchowie wyszczególniali go najwyższym wyrazem czci i uwielbienia, naród wdzięczny widział w nim odrodziciela literatury ojczystej, redaktorowie ubiegali się o prace Kraszewskiego, opłacając takowe sowicie, i przyszło już do tego, że natężony ponad siłę ludzką pracownik ducha, prac swoich stanowczo odmówić musiał proszącym.

Wówczas rzucili się na fortele. Osiecki, osławiony redaktor i wydawca „Meteora,“ piśmidła wycho-

dzącego we Wiedniu, wbrew woli i wiedzy Kraszewskiego, umieścił tegoż rysunek ręczny w łamach swego pisma, a kiedy Kraszewski przeciwko takiej samowoli zaprotestował, to Osiecki był o tyle niedelikatnym, iż Kraszewskiemu przypomniał, że sam na jego prośbę dał mu ów humorystyczny rysunek dla „Meteora,“ a teraz zdaje się zapomnieć o tem. Nie zapomniał Kraszewski, ale jako człowiek, zajmujący tak wybitne i ważne stanowisko w społeczeństwie, nie pragnął zapewne wątpliwego zaszczytu, aby imię jego figurowało w piśmidle, przeznaczonem dla półświatka wiedeńskiego.

Po upływie roku jubileuszowego nieraz jeszcze nadsyłałem Kraszewskiemu prace moje i moich współpracowników; nieraz też zasięgałem jego rad, a chociaż nie zawsze i nie bezwarunkowo pisałem się na jego zdania, choć niejeden sąd Kraszewskiego zbyt wydawał mi się pobłażliwym, to przecież pod niejednym względem starałem się korzystać z jego wskazówek.

Z epoki tej, obejmującej blisko 7 lat, przytoczę jeszcze kilka listów. I tak po otrzymaniu „Czwartego rocznika samborskiego, Miłości Gjaffara, dziełka „Libertas“ i Pierwszych wrażeń z podróży“ pisze mi Kraszewski list następujący:

„Drezno, 31. Nordstrasse, dnia 13. Grudnia 1881.

Szanowny Panie!

Bardzo dziękuję za pamięć o mnie i za nadesłane Samborskie, Sanockie, Przemyskie druki, świadczące o życiu prowincyj, które długo znaków jego nie dawały. W roczniku stosunkowo znajduję poezyj bardzo wiele, może nadto, gdyż na raz dla czytelnika przysmaku zbyt dawać nie potrzeba. Niektóre są wcale ładne.

Najciekawsze dla mnie były wrażenia z podróży po kraju, z taką szczerotą i ciepłem napisane, z których się poznaje życie prowincyj, miasteczek szczególniej. —

Jest to niejako dokument historyczny — niekiedy smutny, a w ogóle przekonywujący, że się życie budzi i wyrabia.

Z najlepszemi życzeniami powodzenia w przyszłości i wyrazem szacunku, miło mi zostawać

Pańskim sługą życzliwym.

J. I. Kraszewski.“

Wskazówki co do nadmiaru poezyj, udzielone mi przez Kraszewskiego, jeszcze teraz po upływie tylu lat uważam za bardzo cenne i praktyczne; inne jednak zdanie niż on, wyrobiłem sobie z czasem o moich „Wrażeniach z podróży,“ za których skreślenie publiczność polską uroczyście przepraszam. Jest to bezprzecznie najsłabsze moje i najwięcej wartości literackiej pozbawione dzieło, a kilka udatnych ustępów, zawartych w tej książce, nie ratują chybionej w głównych zarysach całości. Ale errare humanum est! Natura ludzka pełna jest sprzeczności, a nawet i Kraszewski sam w sądach i dziełach swoich nie był wolny od nich, o czem w dalszym ciągu tego studjum może jeszcze nieraz pomówimy. Zresztą, jak się wyraża poeta:

„Człowiek duchem ogarnia nieskończoną wieczność,
On sam jeden swym wzrokiem świat obejmie cały;
Wielki w myślach, w istocie jest on tylko mały;
Nie uniknie sprzeczności, gdyż i życie sprzeczność*).“

Otrzymawszy piąty rocznik samborski, wypowiada Kraszewski bez ogródki zdanie swoje o nim: nie podoba mu się powieść Sakiewiczowej „Miłość zwycięża“ z powodu braku prawdziwości osób i motywów, pobudzających osoby do działania, natomiast nie ma dosyć słów zachęty i pochwały dla wydrukowanego również w piątym roczniku pierwotworu powieściowego Marji Grochowalskiej pt.: „Trzy godziny jazdy koleją.“

Ostrzej i bezwzględniej od Kraszewskiego wyraża się o piątym roczniku poeta Henryk Merzbach (Henricolo Salvator), zamieszkały w Brukselli**):

---

*) G. Kohn, Epigramy.
**) W liście z 12-go Sierpnia r. 1882-go.

„Podziwiam tem bardziej nieustraszoną działalność Pana, iż sądząc z umieszczonych w tym roczniku artykułów przychodzę do przekonania, że mnóstwo jest wezwanych a bardzo mało wybranych między Twoimi współpracownikami. Z jakąż pracą potrzebaby to wszystko przejrzeć, poprawić, umyć i uczesać! A jestem pewien, żeś już niejedno wyrzucił a wiele oczyścił! —

Trzeba doprawdy mieć szlachetny i dobroczynny cel przed sobą, aby nie upaść pod ciosem tych artykułów, a siłę herkulesową, aby je przeczytać i skorygować należycie.“

A mimoto piąty rocznik, wyczerpany zaraz po wyjściu, doczekał się takiego powodzenia, jak żaden przed nim, ani po nim: wzbogacił cele dobroczynne samborskie o sumę stu złr., której to liczby dochodu żadne następne wydawnictwo już nie wykazało! Co więcej, następny czyli szósty rocznik, przez prasę polską jednomyślnie uznany za jeden z najlepszych, dotąd zalega półki wydawcy z uszczerbkiem tegoż, podczas gdy z daleko słabszych obecnie już i śladu nie ma. Co to znaczy? czy to, że się ci wielcy autorowie omylili w swoich zdaniach, czy że smak czytającej publiczności jest zupełnie mylny i zepsuty?

Najciekawszym dla czytelnika będzie zapewne list, w którym Kraszewski, zachęcony lekturą, skreślonych przezemnie naprędce, niedokładnie i bez należytej rozwagi „Wrażeń z podróży“, domniemywając się we mnie zdolności, których nigdy nie posiadałem, ani nie posiadam, o informacje historyczne mnie prosi, których udzielenie zapewne byłoby zadaniem większego odemnie historyka i uczonego.

Oto list Kraszewskiego w dosłownem brzmieniu:

„Drezno, 31. Nordstrasse, dnia 21. Lipca 1882.

Szanowny Panie!

Mam do Was prośbę. Do moich powieści historycznych potrzeba mi szczegółów o miejscowości, topografii, położeniu, nazwisk wsi — w okolicach Sanoka, a najwięcej o samym Sanoku. — Pan znasz dobrze Galicję, proszę o notatkę.

Nie idzie o czasy obecne, ale o ślady dawnych czasów i pamiątki najstarsze. Co mi udzielisz, za to będę wdzięczen. Nie chciałbym Pana narazić na zbytnią pracę, — bo by mi przykro było narzucić moją. Daj co wiesz i co możesz.

Nazwiska wsi, osad, pól, wodocieczy i t. p. w samej okolicy będą mi pożądane. Jak wyglądał zamek, kościół Franciszkanów, fara i t. p.

Będę wdzięczen, ale potrzebuję co można, jak najrychlej, bodaj odwrotną pocztą.

Serdecznie z góry dziękuję.

Sługa życzliwy

J. I. Kraszewski.“

Nie mogłem mu niestety zadość uczynić pod tym względem; ani wiadomości moje nie były po temu, ani możebności nie było, aby w tak krótkim czasie ściągnąć potrzebne dla Kraszewskiego informacje. Poznał też i sam niebawem, iżby zadanie takie przechodziło o wiele słabe moje siły; więc w liście następnym przeprasza za misję poruczoną mi a przechodzącą siły moje. List ten opiewa krótko:

„Drezno, d. 4. Sierpnia 1882.

Szanowny Panie!

Bardzo przepraszam za moje żądanie — i proszę, abyś się już Pan nie trudził, gdyż w inny sposób potrzebie tej zaradzę.

Z uszanowaniem

J. I. Kraszewski.“

Nie miał jednak do mnie urazy z powodu nieudałej misji, a ja, wydawszy szósty rocznik samborski, przysłałem mu takowy na równi z poprzedzającemi w dowód czci, należącej się słusznie jego genjuszowi i zasługom. W roczniku szóstym usiłowałem niektóre ulepszenia wprowadzić na polu illustracji a zwłaszcza próbowałem odźwierciedlić znaczniejsze budowle w kraju. Kraszewski poznał to od razu i odpisał mi z tego powodu:

„Drezno, 31 Nord. d. 21. Marca 1883.

Szanowny Panie!

Serdecznie dziękuję za pamięć i za miły mi podarek, a cieszę się, że Roczniki nie ustają.

Bardzo szczęśliwa myśl, ażeby umieszczać rysunki i wiadomości o pamiątkach, budowach, zabytkach sztuki... tylko trzeba, aby miejscowe archiwa nowych o nich dostarczyły szczegółów.

Wiem, że Giller był we Włoszech*), ale w tej chwili gdzie się znajduje — na pewno oznaczyć nie mogę. Sądzę że w Neapolu — adresu nie mam. Listy najlepiej adresować do Rapperswylu. Ztamtąd go dojdą.

Miło mi zostawać z szacunkiem WPana Dobrodzieja sługą uniżonym.

J. I. Kraszewski.“

Wtedy, gdy siódmy rocznik samborski opuścił prasę, wtedy bladła i chyliła się już ku upadkowi gwiazda szczęścia i powodzenia Kraszewskiego, choć gwiazda jego sławy literackiej nie zbladła i nie zblednieje nigdy! Było to w przeddzień procesu, wytoczonego starcowi o zdradę stanu. Toż spieszyłem się co tchu, aby go książka moja doszła jeszcze przed rozprawą ostateczną, nie zostawiającą mu swobodnej myśli do czytania i ocenienia obcych dzieł. A rozchodziło mi się głównie o to, aby usłyszeć z ust autora fachowego zdanie o zdolnościach autorki nowej, która właśnie wtedy utworami swojemi ściągnęła na siebie uwagę prasy polskiej.

Zdanie Kraszewskiego wypadło przychylnie. Przyznał nawet zarody wielkiego talentu na polu powieściopisarskiem rzeczonej autorce; ale radził nie od razu objawić, co zgodne z życiem rzeczywistem,

---

*) W poprzedzającym liście bowiem pytałem się o Gillera, od którego przez dłuższy czas nie miałem listu a wiedziałem o nim, że w ścisłym stosunku przyjaźni zostaje z Kraszewskim.

nadałoby się pod pióro; bo są względy i są granice, których przekroczyć nie wolno*).

Proces, wytoczony Kraszewskiemu, wyrok, zapadły na jego niekorzyść, na czas jakiś przerwały naszą korespondencję. Ósmego rocznika, w którym umieściłem prześliczną fantazję Antonowiczównej o więźniu magdeburskim, nie mogłem mu już żadną miarą nadesłać, nie chcąc książki narazić na konfiskatę a adresata samego na wielkie nieprzyjemności.

Publiczność wie, jak w kaźni magdeburskiej pracował duch niestrudzony Tytana; jak niepomny ograniczeń ziemskich, bujał swobodnie myślą, sypał w około iskry natchnienia. Kraszewski, rzec można, skonał z piórem w ręce.

I doszła go w więzieniu wieść o tryumfach literackich nowego rywala, Sieńkiewicza, którego „Ogniem i Mieczem“ cały świat czytający się zachwycił, a Kraszewski?! Kraszewski sam jeden, nie dzieląc zapatrywań ogółu, występuje z ostrą krytyką utworu Sieńkiewicza, zarzucając mu, iż zapomniane, zagrzebane w toni zapomnienia zbrodnie i występki ojców naszych odświeża a tem samem przeszłość sławną i świetną synom Polski obrzydza.

Jest to nowa i rażąca sprzeczność w zdaniach Kraszewskiego: pominąwszy bowiem szczegół, że powieść historyczna nie wyłącznie na to istnieje, aby nam tylko odmalowała cnoty przodków, ale także, aby skarciła ich wady dla przykładu przyszłych pokoleń, to czy Kraszewski sam wszędzie trzymał się reguły, narzuconej przezeń Sieńkiewiczowi? Czy w powieściach

---

*) Kraszewski należał do starej szkoły, przeciwnej zasadom pozytywizmu i realizmu. Do tej samej szkoły należeli Giller, Żuliński, Machczyńska, a na polu poezji Bohdan Zaleski. Teraz pozytywizm wywalczył sobie stanowisko, szanowane powszechnie. Do najznakomitszych zastępców jego na polu prozy należą Iwan Franko, Wilhelm Feldman, Eliza Orzeszkowa, Śnieżko - Zapolska, na polu poezji Marja Konopnicka, Alfred Stehlik, Ajo. Pozytywizm i realizm w pracach swoich uznają tylko granice, jakie im litera prawa wytyka, a w tworzeniu artystycznem tylko granice, jakie artyzm sam podaje. Zdanie więc Kraszewskiego, w którym się pewnych radzi trzymać granic, uważamy za sprzeczne nietylko z rzeczywistością, ale z własnemi jego zdaniami.

historycznych Kraszewskiego zepsucie obyczajów, upadek moralny nie także odmalowane jaskrawemi barwami? A „Syn Jazdona?“ a inne?

W zbiorze moich autografów i pamiątek po wielkich mężach znajduje się także nadesłany mi w litograficznej kopji przez Henryka Merzbacha list francuzki Kraszewskiego, zawierający odpowiedź na adres kolonii polskiej w Brukselli.

Sądzę, iż czytelnicy moi tę pamiątkę po wielkim naszym pisarzu przyjmą z wdzięcznością i uznaniem, i przytaczam ją niniejszem:

„*Monsieur Henri Merzbach Bruxelles Belgique.*

Librairie Royale de Muquardt

Ce le 26 Mai 1884.

Magdebourg Citadelle (Festung Magdeburg.)

Cher ami! Arrivé ici depuis à peine un couple d'heures, fatigué au possible, je m'empresse pourtant de vous envoyer ces quelques mots de reconnaissance, pour Votre bonne lettre, que j'ai reçus hier à Leipzig. Remerciez de coeur et d'ame touts ces bons amis, qui se sont souvenu de moi à l'heure refaite.

Que voulez vous? Souffrir est notre sort commun, seulement à 72 ans après avoir beaucoup souffert on voudrait bien se reposer un peu ici, avant de reposer dans la tombe... qui est béante et ouverte devant vous.

Je suis fataliste et je crois en même temps à Dieu que Sa volonté s'accomplisse... Je vous presse la main bien affectueusement, cher Henri... Croyez que je ne suis pas aussi méchant qu'on me dit...

Tout à Vous

J. I. Kraszewski.“

W tymże samym roku nadesłałem Kraszewskiemu dziewiąty rocznik samborski i przekład mój arcydzieł Mickiewicza. Były to ostatnie prace, nadesłane przezemnie Nestorowi naszej literatury. Nie ośmieliłem się nalegać na niego o rychłą odpowiedź, wiedząc

że więzień jak on, obwiniony i zasądzony za zdradę stanu, nie ma swobodności ruchów i nie może odpowiadać na listy według upodobania. Dopiero wtedy, gdy go za kaucją wypuszczono z więzienia, odważyłem się nagabywać Kraszewskiego o odpowiedź. I otrzymałem ją, ale całkiem już odmienną od poprzednich. Poznać ślady więzienia, zniechęcenie i znużenie.

List ten, ostatni Kraszewskiego, wystosowany do mnie, brzmi:

„San Remo, d. 15. Kwietnia 1886.

Posyłki Pańskie mnie doszły, ale ja leżę chory i nie mogę na listy odpisywać, a zajmuję się literaturą ile siły starczą. Nie można odemnie wymagać więcej niż zdołam, — przy najlepszej chęci, uczynić.

Z uszanowaniem
J. I. Kraszewski.“

Niezwykłe wrażenie wywołuje wiersz Kraszewskiego „Błogosławieni,“ datowany ze San Remo 27-go Kwietnia 1886 a umieszczony w „Dzienniku Polskim*)“:

„Błogosławiony naród, co w kajdanach jęczy,
Co w niewoli żelaznej zakuty obręczy,
Znosi urągowiska i znęcanie gminu
W męczarniach, które Bóg sam ponosił w swym Synu.

Błogosławiony, kogo przez boleści łoże
Prowadzisz do zbawienia, wiekuisty Boże!
Błogosławiony, kogo Opatrzności ręka
Do żywota obudza, gdy chłoszcze i nęka.

Błogosławiony naród, rodzina i człowiek,
Którym krwawe łzy płyną z pod skrwawionych powiek,
Błogosławione katy, dyby i pręgierze
I ofiary, które Pan na swój ołtarz bierze,
I jęki, które z piersi męczeństwo dobywa!
Błogosławiona wszelka doba nieszczęśliwa,
Bo tylko przez boleści uświęcić się mogą
Ludzie, bo się do Niebios idzie ciernia drogą!

---

*) Dziennik Polski, nr. 81. z 22. Marca 1887.

Błogosławione usta, które chwalą Pana,
Gdy spuścizna ich droga na pastwę wydana,
Wpośród szyderstw szatańskich przez krwawe oprawce
Służy pijanym tłumom ku sprośnej zabawce.

Błogosławione oczy, co łzy wypłakały,
Błogosławiony człek, ród ten — naród cały,
Których smaga zwycięzca, gnając na pustynie,
Bo Bóg gwiazdę przewodnią zażgnie nad ich drogą,
I żadna łza, jęk, boleść marno nie przeminie,
Ani siły bydlęce pokonać ich mogą.

Błogosławieni wszyscy, których czyste dusze
Wybielone, promienne, przeszły przez katusze,
I nie wątpiły nigdy pod przemocą wroga,
Ani o prawdzie świętej, ni o mocy Boga.

Błogosławione tłumów pijanych ofiary,
Błogosławione katy i męczarń narzędzie,
Błogosławione bluzgi, szyderstwa i kary,
Bóg krzyża jest ich wodzem, Bóg ten z nimi będzie.
A pijanę tę tłuszczę, wśród szałów rozkoszy,
Grom doścignie i wicher zniszczenia rozprószy.“

Przyznajmy, że kto wiersz ten badać chce i sądzić zimnem okiem krytyka, myślącego rozumowo i logicznie, dosyć w nim znajdzie nierozwiązanych nawet sprzeczności. Ale te sprzeczności właśnie, jaką tworzą one harmonję poetyczną!

Dla tego, który był chlubą i zaszczytem Polski, przyszło wreszcie w Genewie smutne, bolesne, prawie samotne skonanie. W tej chwili zdobywa on resztki sił. „Podnieście mnie!“, woła on wpół obumarłym głosem. Podnieście? czy to ciało znikome, proch, który niebawem z prochem się połączy, korzystać może z takiego podniesienia? O nie! podnieście ducha, który boleje, wzmocnijcie serce, które się krwawi upadkiem ogólnym, a podnieście wielkiemi czynami. A lekarza błaga on ze łzami, aby go ratował. Jakto? Kraszewski, on dumny bohater ducha, on szermierz pióra, błaga o życie swoje? czy to nie znowu sprzeczność w charakterze wielkiego pisarza? O nie! to tylko sprzeczność pozorna: taki mąż jak Kraszewski, nie

lęka się śmierci, ale wie także, co Ojczyzna z śmiercią jego straci, a więc chciałby żyć, żyć, aby pracować dalej.

I przyszła godzina śmierci... cielesnej. Autor „Witoloraudy“ spoczywa w królewskich grobach na Wawelu, ale pamięć jego przetrwa zgon doczesny.

Sambor, 10. Stycznia 1889, o 2-giej godzinie po północy.

Dwa zdania prasy niemieckiej o Kraszewskim.

Sądzę, iż nie mógłbym stosowniej zaokrąglić poprzedniego artykułu o Kraszewskim, jak podając wzmianki o nim, poświęcone jego pamięci w dwóch obcych pismach, a to w języku niemieckim. By nie zatrzeć cechy właściwej, którąby się niezawodnie ulotniła przez tłumaczenia myśli obcej, zostawiłem obydwie relacje nietknięte w języku oryginału. Od siebie dodaję tylko jako objaśnienie wzmiankę następną:

Pierwszy z przytoczonych tu artykułów został poświęcony pamięci Kraszewskiego w piśmie „Jüdische Zeitung,“ wychodzącem już 26-ty rok we Lwowie. Tekst tego pisma jest niemiecki, czcionki hebrajskie, artykuł pełen bałwochwalczej czci i uwielbienia dla Kraszewskiego. Drugi artykuł, umieszczony w „Neue freie Presse,“ uznając zasługi i genjusz Kraszewskiego, bawi się cokolwiek więcej w krytycyzm i poczytuje Kraszewskiemu za zbrodnię to, czego mu polski naród nigdy a nigdy za zbrodnię nie poczyta. „Grzeszył dla swego narodu.“ Otóż, jeśli rzeczywiście grzeszył, czemu jak najmocniej zaprzeczamy, to mu naród dawno udzielił rozgrzeszenie. A na końcu swego artykułu umieścił autor uwagę: „Fanatyk zabił w Kraszewskim poetę. Umarł tylko sobie, świat nie miał udziału w jego aberracjach; w oczach tegoż świata żyje on, lecz tylko odblaskiem sławy lepszych dni.“ I temu zdaniu musimy kłam zadać; taki mąż jak Kraszewski, nie okryje się nigdy piętnem wzgardy dla tego, że miłował Ojczyznę swoją, a szał chwili,

czyli polityczny fanatyzm nie zabija poetę, jak twierdzi pan Goldbaum, ale potęguje raczej i podnieca siłę jego ducha.

Josef Ignatz Kraszewski*).

Ein Mann, so gross und bedeutend, dass es fast erscheint, als müsste die Erde über seinem Grabe zusammenstürzen, ist dem irdischen Dasein entrissen worden.

Josef Ignatz Kraszewski, der grösste Dichter der Jetztzeit, ist nicht mehr! Der grosse polnische Weise und Denker, welcher dem gesammten Polenthum zum ersten Male zugerufen: „Liebet die Juden, sie sind eure wahren Brüder. — Die Franzosen, an welche ihr euch gelehnt, haben euch verrathen! — Italien, an welches ihr euch gelehnt, hat euch verrathen! — Die Türkei und Amerika haben euch preisgegeben; — aber der Stamm Jakobs hat seine Treue gegen euch mit seinem Blute besiegelt. — Darum liebet die Juden, sie sind eure wahren Brüder.“

So sprach Kraszewski in einem seiner besten Werke, und seit diesem Ausspruche begannen, wie weit die polnische Zunge reicht, sich Assimilationsvereine zu bilden, dank dem Feuereifer edler Jünglinge kam die polnische Sprache allemal mehr in die Mode. Polnische Sitten, polnisches Fühlen und Denken, nahmen allemal mehr überhand. Jetzt scheint es, als sei die Grenze, welche die Polen von Juden seit ihrer Einwanderung hierher getrennt, für ewig gefallen. Wie verschiedenartig auch die Ansichten, Konfessionen und Bildungsstufen, in politischer Beziehung kennt man nur ein vereinigtes Polenthum. Und doch war

---

*) Jüdische Zeitung, Organ für jüdische Interessen. 25. Jahrgang. Lemberg, Nr. 6, vom 25. März 1887. Verantwortlicher Redacteur S. L. Kugel, Eigenthümer, Herausgeber und Drucker Ch. Rohatyn.

vor kaum 10 Jahren der Unterschied zwischen Juden und Polen so bedeutend, dass es manchesmal wie bei der Reichsrathswahl Ziemiałkowski und Smolka, so wirr in Strassenkämpfen ausartete. Diese Friedensepoche in unserem Lande hat Kraszewski herbeigeführt.

Wir wollen nun einen kurzen Blick auf das Leben dieses bedeutenden Mannes werfen. Geboren im Jahre 1812 zu Warschau, erhielt er die Anfangsgründe der Erziehung in Rimanowi*), nach Beendigung des Gymnasiums bezog er 1829 die Universität in Wilna, dort schrieb er die Abhandlung: „Geschichte der polnischen Sprache,“ und wurde auf diese Grundlage hin zum Lektor dieses Gegenstandes an der Universität Kijów ernannt, im Jahre 1831 wurde er in Gefangenschaft genommen, wurde aber schon im Jahre 1832 in Freiheit gesetzt und nahm das Dorf Amelna in Pacht, von dieser Zeit beginnt seine eigentliche literarische Thätigkeit. Zu seinen bedeutendsten Werken gehören: „Herr Walery“ (pan Walery), „Die grosse Welt in einem kleinen Städtchen,“ (Wielki świat małego miasta), „Der Poet und das Leben,“ (Poeta i świat), übersetzt in fast allen lebendigen Sprachen. Im Jahre 1840 schrieb er das grosse Heldengedicht „Anafielas,“ noch in demselben Jahre heirathete er Sophie Woroniczówna, die Schwägerin des Primas von Polen (Erzbischof von Gnesen,) von dieser Zeit an steht er als Literat, sowohl was die Menge, wie auch was den Werth seiner Schriften, anbelangt unerreicht, dass auf besondere Beachtung verdienen seine historischen Werke aus dieser Periode.

Vom Jahre 1841 bis zum Jahre 1851 war er Redacteur der Zeitschrift „Athenäum,“ im Jahre 1859 übernahm er die Redaction des „Warschauer Tageblattes“ (Gazeta codzienna) und hierauf der „Polnischen Zeitung“ (Gazeta polska). Letztere redigirte er bis zum Jahre 1863, in diesem Jahre erwarb er in Dresden das Bürgerrecht, seine Werke aus dieser Periode

---

*) Nie biorę na siebie odpowiedzialności za ewentualne błędy imienne w druku hebrajskim.

wie z. B. „Der Jude“ (Żyd), „Das Kind der Altstadt,“ (Dziecię starego miasta), „Das rothe Paar“ (Czerwona para) und „Rechnungen“ (Rachunki) werden ewig fortleben und sind in sehr offenfreundlichem Sinne gehalten. Im Jahre 1879 feierte er sein fünfzigjähriges Dichterjubiläum, damals war er am Gipfel seines Ruhmes, aber schon im Jahre 1883 kam eine unerwartete Katastrophe. Des Hochverrathes angeklagt, wurde er in Haft genommen und zu einer mehrjährigen Gefängnissstrafe in Magdeburg verurtheilt. Aber auch im Gefängnisse liess er die Feder nicht aus der Hand sinken. Auf Kaution in Freiheit versetzt, starb er am 19-ten März 1887 in Genewa (Schweiz). Heil seinem Andenken!

J. I. Kraszewski*), von Wilhelm Goldbaum.

Konnt' nirgends das Glück erspähen —
Wo weilt es im weiten All?

Als einen der Grössten ihrer Nation betrauern ihn die Polen, und sie haben ein Recht dazu. Denn er war nicht bloss ihr letzter grosser Poet, er war auch ihr bester Patriot. Im Exil gestorben und in fremder Erde begraben sind auch Adam Mickiewicz, Słowacki, Krasiński; das ist bis vor nicht langer Zeit das stereotype Schicksal polnischer Dichter und Patrioten gewesen. Aber Josef Ignaz Kraszewski that und litt mehr als sie Alle; er wagte sich nationalen Zwecken zuliebe noch am Abende seines Lebens bis zum Verbrechen, und als Geächteter schloss er in der Fremde die Augen. Den Polen darf man es nicht verar-

*) Artykuł niniejszy, nie bez pewnej rozmyślnej tendencyjności skreślony, wzięty jest z „Neue freie Presse“, a mianowicie z numeru porannego z 1. Kwietnia r. 1887-go. Gazeta zaopatrzona numerem 8118, a autorem artykułu jest Wilhelm Goldbaum. tłumacz powieści Kraszewskiego „Bez serca,“ umieszczonej w łamach „Neue freie Presse.“

gen, dass sie auch noch in der Verirrung, welche das Greisenalter des Dichters entstellte, ein Martyrium erblicken; er hat für sie gelebt und für sie gesündigt. Aber der Freibrief des nationalen Fanatismus hat vor dem höheren ethischen Urtheile keine Geltung; vor diesem bleibt der Poet in seiner vollen Grösse bestehen, doch das Menschliche an ihm ist beeinträchtigt durch die schwere sittliche Irrung, in welcher er eine patriotische That zu vollbringen wähnte, während er in Wahrheit eine That der Untreue verübte. Zwanzig Jahre Gastfreundschaft hat er mit einem Verrathe entgolten; das ist es, was ihm ein Deutscher nicht vergessen kann, auch wenn er in ihm den grossen Dichter ehrt und anerkennt. Was für polnische Augen von dem mildernden oder gar von dem verklärenden Scheine einer Curtiusthat umflossen ist, das bleibt fremdem Blicke eine beklagenswerthe Unbegreiflichkeit, eine Handlung des Hasses, der die Strafe nicht fehlen durfte. Tragisch aber ist dieses Schicksal trotzdem nicht, auch wenn man das trübe Ende zu jenem Krakauer Jubelfeste in Contrast bringt, welches vor 8 Jahren, am 17. März 1879, die polnische Nation ihrem Dichter veranstaltete*); denn nicht harmonisch aufzulösen und darum auch nicht geeignet, versöhnend zu wirken, ist dieser Contrast. Damals jauchzten die Polen ihrem Dichter zu, und er hatte es um sie verdient; was nachher kam, war sittlicher Defect und schrillste Disharmonie. Vielleicht am mildesten urtheilt man, wenn man des Dichters eigene Worte auf ihn anwendet:

„Ich hörte die Gräser sagen,
Dass sie der Huf versehrt;
Ich hörte das Wasser klagen,
Dass es der Sand verzehrt."

Doch nicht, um Gericht über Kraszewski zu halten, ist diese Nachrede geschrieben. Ihr handelt

---

*) W tem miejscu wkradła się podwójna pomyłka w tekst niemieckiego autora: imieniny Kraszewskiego były bowiem 19. Marca a nie 17-go, a jubileusz w Krakowie obchodzono nie w Marcu, ale 3. Października.

es sich um eine Würdigung des Dichters, an welchem Vieles zu bewundern bleibt, auch wenn die Freude an dem Menschen leider keine ungetrübte sein kann. Als Dichter aber war Kraszewski eine der interessantesten Gestalten, welche je durch die Weltliteratur geschritten sind, ein Phänomen, das man nicht ohne Staunen zu betrachten vermag. Mancher wird während des Wiener Schriftsteller-Congresses an dem kleinen, schmächtigen Manne mit den wasserblauen Augen und dem gebeugten Haupte vorübergegangen sein, ohne zu ahnen, was in dieser äusserlichen Unscheinbarkeit steckte; aber auch wer damals zu dem 70-jährigen in eine flüchtige persönliche Beziehung trat, spürte keine tiefere Wirkung, denn Kraszewski war scheu und bänglich im Verkehre; er liess in der Unterhaltung wenig merken von dem ungeheuren Umfange an Wissen und Können, den er beherrschte. Insbesondere nicht eine Spur von dem, was wir geistreich nennen, war an ihm zu entdecken. Dafür aber empfing man den Eindruck einer rastlos arbeitenden Persönlichkeit, um nicht zu sagen eines Räderwerkes, das keinen Augenblick unthätig stille hielt.

Und dies war zunächst auch das wesentliche Merkmal seiner schriftstellerischen Physiognomie. Kraszewski hat als Jüngling von 17 Jahren seine ersten Erzählungen geschrieben; als Greis von 73 Jahren hat er im Gefängnisse nichts begehrt als Papier, Feder und Tinte, um die Gestalten, die seine Phantasie gebar, dichterisch zu beleben. Man übertreibt schwerlich, wenn man die Zahl der Bücher, welche seinen Namen tragen, auf 500 anschlägt, von den literarischen, politischen, historischen und kunstgeschichtlichen Artikeln ganz abgesehen, die er unermüdlich in polnischen Zeitschriften verstreute. Daneben aber war er (auch) Zeichner und Maler, virtuoser Clavierspieler und Componist, Sammler und Redacteur. Seine Freunde behaupteten, dass er 18 Stunden des Tages ohne Unterbrechung bei der Arbeit sei, und anders hätte er wol auch nicht zu Stande bringen können, was heute als seine literarische Hinterlassenschaft kaum ein Bibliograph, geschweige ein Literarhistoriker zu überschauen vermag. Doch die Fülle

seiner Thätigkeit hätte seinen Ruhm nicht begründet, denn den Vielschreiber kann man anstaunen, nicht bewundern. Und auch die Mannigfaltigkeit schafft keine dauernde Glorie. Kraszewski hat nicht bloss Romane und Novellen, einzeln und in ganzen Cyklen, er hat nicht bloss lyrische und epische Gedichte, nicht bloss Dramen in jeglichem Humor geschrieben, er hat auch gelehrte historische Schriften und sogar ein polnisch-französisch-deutsches Wörterbuch verfasst. Er warf sich mit unheimlichem Feuereifer auf Alles, was Anderen ein flüchtiger Impuls, eine vorübergehende Anregung zu sein pflegt, und eine gewisse Intuition befähigte ihn, auch dort, wo er wenig vorbereitet zur Arbeit schritt, die Grenzen des Dilettantismus zu überfliegen. Naturgemäss hat trotzdem seine Rastlosigkeit nicht überall gleichwerthige Frucht gezeitigt, denn die Schranke des individuellen und noch mehr diejenige des nationalen Naturells war auch ihm gesetzt, und diese Schranke, die bei Adam Mickiewicz, bei Słowacki und Krasiński als mystische Resignation sich darstellte, war bei ihm der Mangel an Vertiefung, der unüberwindliche Hang zu einer sprudelnden Mittheilsamkeit, welche bisweilen von zweckloser Redseligkeit sich wenig unterschied.

Dieses Urtheil klingt hart, aber seine Berechtigung erweist sich deutlich an jedem einzelnen der dichterischen Werke, die Kraszewski in mehr als 50jähriger Frist geschaffen hat, an den socialen und historischen Romanen nicht minder als an den ländlichen und den Handwerkergeschichten, ja es lässt sich sogar an seinen ästhetischen und literarhistorischen Arbeiten, an seinen politischen Artikeln und wissenschaftlichen Studien erhärten. Das Wort fliesst ihm unaufhaltsam aus der Feder, die Phantasie jagt die Gestalten und Bilder förmlich vor sich her, die Composition gestaltet sich fast wie etwas Elementares, das keiner bildnerischen Hand bedarf; aber diese sprudelnde Hast dämmt fast niemals ein Moment bewusster Vertiefung, fast niemals ein Augenblick epischen Stillstandes. Auf und nieder wogen die Figuren, vorwärts drängt die Handlung, von einer künstlerischen Absicht merkt man kaum eine Spur,

und wer etwa nach deutscher Übung mit ästhetischen Formeln an diese Dichtungen herantreten, wer den Dichter auf realistische oder idealisirende Absichten prüfen wollte, der würde sehr bald von diesem Beginnen, als einem fruchtlosen, abstehen. Nicht anders geht es bei den meisten Poeten slavischer Zunge, ihnen allen ist eine unerschöpfliche Phantasie, eine grenzenlose Mittheilsamkeit als nationales Erbe zugewiesen; sie sind fast alle geborene Erzähler, etwa in dem Sinne, wie es in unserm deutschen Schriftthum Spindler und Hackländer waren, nur dass Kraszewski von einer bestimmten Tendenz geleitet, dass eine erstaunliche Vielseitigkeit ihm eigen ist, unterscheidet ihn von den vielen Anderen, welche auf dem Wege zum slavischen Parnass mit stockendem Athem weit hinter ihm zurückblieben.

Man muss diese Unzulänglichkeiten seiner Begabung und seines Wesens vorwegnehmen, um zu ermessen, was dennoch als der dauernde Inhalt seines Schaffens übrig bleibt. Er selbst hat einmal in einer heiteren Fabel sich über den Gelehrten lustig gemacht, der alle Kenntnisse, die hergebrachtermassen in den Kopf hineingehören, in seiner Schublade aufbewahrt. Seine Art war eine andere; er konnte sich nicht enthalten, seine Kenntnisse, kaum dass er sie erlangt hatte, sofort schriftstellerisch zu verwerthen. Da fällt Vieles durch das Sieb, welches unaufhörlich geschüttelt wird. Doch wo er einer bestimmten Tendenz seine Feder lieh, erhob er sich zum Lehrer seines Volkes, und als solcher ward er zuerst heftig angefeindet, später bedingungslos verehrt. Zum Tode verurtheilt nach der Revolution des Jahres 1830, aus der Heimat getrieben nach der Insurrection von 1863, hat er reichlich Gelegenheit gehabt, zu Hause und in der Ferne die Vorzüge und die Schwächen seines Volkes zu ergründen, die Welt und die Menschen zu beobachten. Ihn bekümmerte schon früh die Wahrnehmung, dass der polnische Adel mit den demonstrativen Trauerübungen um das Vaterland die Aufgabe seines Lebens als erfüllt ansah, dafür aber aller erspriesslichen Arbeit hochfahrend den Rücken kehrte. Dem Adel gehörte er freilich

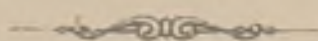
selbst an, er war der Neffe des Erzbischofs Woronicz, des Primas von Polen, und bewirthschaftete durch Jahrzehnte gepachtete oder eigene Güter in Lithauen und Volhynien; eben desshalb galt er als ein halber Verräther an seinem Stande, da er auftrat, um in seinen Schriften die Nothwendigkeit praktischer Arbeit zu predigen. Seine beiden Romane „Morituri“ und „Resurrecturi“ trugen ihm fast die Reputation eines literarischen Demagogen ein. Jedoch der Ausdauer, mit welcher er auf allen Gebieten des geistigen Lebens sich als Mahner zur Arbeit und zu einer ernsthafteren Auffassung des Daseins vernehmen liess, fehlte schliesslich nicht der Erfolg. Man reihte ihn am Ende unter die Grossen seiner Nation ein, man hörte auf, die Lectüre ausschliesslich auf den Pariser Import zu beschränken, um neben den Gedichten des Adam Mickiewicz seine Romane und Novellen zu lesen; man horchte auf seine Stimme, wenn er sie für die Pflege der nationalen Kunst, der nationalen Literatur erhob. Er hat, wie treffend gesagt wurde, sein Volk polnisch lesen gelehrt.

Dazu war es nöthig, dass er viel und dass er über Alles schrieb. Doch wenn seine philosophischen und historischen, ethnographischen und archäologischen, ikonographischen und pädagogischen Studien sich an ein gelehrtes, seine Epen und Dramen an ein poetisch angeregtes Publicum wendeten, wenn er das Thema von dem Könige Stanislaus August, an dem kein neuerer polnischer Historiker vorübergegangen ist, oder dasjenige von der Constitution des 3. Mai variirte, um politische Wirkungen zu erzielen, so ist doch der unvergleichlich grösste Effect von seinen historischen Romanen ausgegangen, in denen er seiner unermüdlichen Mittheilsamkeit nach Herzenslust die Zügel freilassen konnte. Man hat ihn früher den polnischen Walter Scott genannt, und auch zum polnischen Jokai haben ihn literar-historische Gleichnisssucher getauft. Aber mit solchen Parallelen ist es eine eigene Sache; man begeht mit ihnen stets ein Unrecht, entweder an dem Vorbilde oder an dem vermeintlichen Copisten. Vielleicht hat in den ersten 20 Jahren seines Schaffens Kraszewski

unter dem Einflusse des grossen Schotten gestanden; nachher aber ist er sicherlich eigene Wege gewandelt, denn massgebend in den Romanen seiner späteren Epoche ist zweifellos die politische Tendenz. Der nationale Hauch weht bald belebend, bald aber auch versengend über der Handlung und den Gestalten in den Erzählungen „Brühl“, „Die Gräfin Kosel,“ „Flemmings Handschrift;“ er weicht auch von den Gesellschaftsbildern nicht, und wer sich des Romans „Ohne Herz“ entsinnt, den die „Neue freie Presse“ veröffentlichte, dem wird es erinnerlich sein, wie die Funken des nationalen Fanatismus aus der Seele des Dichters stoben, wenn ein politischer Excurs sie anblies. Jener vielgescholtene Ausfall gegen Berlin und das neue Deutschland, der die Reise der Heldin von der Wiener Wallnerstrasse nach der Berliner Thiergartenstrasse einleitet, war, wie jetzt der Übersetzer wohl verrathen darf, im Manuscripte noch viel heftiger und gehässiger; er ist durch die Übertragung wesentlich gemildert worden. Wann dieser Umschwung vom Historischen zum Politischen, von der reformirenden zur aggressiven Tendenz sich in der Seele Kraszewski's vollzog, das ist leicht zu sagen; seine ersten Anzeichen datiren aus dem Anfange der Siebziger-Jahre, sie sind als Wiederschein der grossen historischen Umwälzung zugleich typisch für die polnischen Gesinnungen gegen Deutschland. Auch der massvollste, in erfolgreichem dichterischem Schaffen ergraute Pole, auch Kraszewski konnte sich des fanatischen Hasses wider das gross und mächtig gewordene Deutschland nicht erwehren; auch er ward von demselben unwiderstehlich ergriffen, und weil er, der sensitive Poet, nicht klüglich Halt zu machen verstand vor der übermächtigen Thatsache, führte ihn jener Hass auf den Weg zu dem Leipziger Reichsgerichte, von dem ihm der Stempel des Landesverrathes auf die Stirne geprägt wurde.

Damit aber war seine Bahn, auch die dichterische, endgiltig und unwiderruflich beschlossen. Der Fanatiker hatte den Poeten getödtet. Wer ihn nicht hassen mochte, musste ihn bemitleiden. Heute, da er

todt ist, kann man den Dichter rechtschaffen betrauern, aber gestorben ist er nur sich selbst, denn an seinen Verirrungen hat die Welt keinen Antheil; für sie lebt er von dem Ruhme seiner besseren Tage.



Ważniejsze przywileje i dokumenty

JANA I TOMASZA ZAMOJSKICH,

podane w streszczeniu

przez

Szczęsnego Morawskiego.

WSTĘP.

Wiadomość naukowa.

Dyplomatarjusz Tomasza Zamojskiego od r. 1609 do 1642, zawierający 363 dokumentów jego i wdowy onegoż, w odpisach oryginalnych równoczesnych w jednej księdze . . . zawiera:

I. Małoletniość jego, opiekuny. II. Zamość twierdza. III. Akademia, ustawa, nauczyciele, klątwa biskupa chełmskiego na Stefanida rzucona, Ptarmius matematyk, Broscius nauczyciel, Birkowski Szymon lekarz, Roszyński, Abik, Foltynowicz. IV. Do cudzej ziemi odjazd r. 1614. V. W Zamościu: Szkoty, Anglicy, Grecy, Ormianie z Persji, Żydzi z Hiszpanji i Luzytanji. VI. Jarmarki w Kańczudze. VII. Tarnopol, sąd zamkowy. VIII. Kijowskich mieszczan sąd r. 1620. IX. Szarogrodu: rozjazd, osiedlanie wychodźcami z Grecji. X. Hłuboczek, bojarowie służebni. XI. Satiow petyhorce. XII. Rowne. XIII. Bar, jarmark, wyroby złotnicze. XIV. Neterpińce. XV. Opryszków sąd na zamku w Szarogrodzie. XVI. Zamość: młyny, cegła,

wapno, żelazo, szkło. XVII. Spław do Gdańska, giełda. XVIII. Szczebreszyn, arianina Powały pogrzebu napad od żaków szkolnych. XIX. Wypędzenie arian r. 1637. XX. Choroba, porażenie ręki prawej. XXI. Cerkwie ruskie na Ukrainie nieposłuszne r. 1625, unia. XXII. R. 1638. Zamojska Katarzyna wdowa, współopiekuny, syn: starosta kałuski. XXIII. Wyprawa za Dniepr księcia Wiśniowieckiego. XXIV. Dzik Jan chorąży bracławski, sługa, starszy nad wojakami włości ukrainnych, Buczajski, Cetner, Dzik Adam, Kostowski, Fredro Walenty łowczy przemyski. XXV. W Szarogrodzie szyzmatycy i unici. XXVI. Zagony pogańskie na dzierżawy Dzika. XXVII. Papieża Pawła V. list do Jana Szczęsnego Herburta r. 1615, aby bronił Rusinów unitów. XXVIII. Odpowiedź tegoż i t. d.

Dokumentów zbiór ten stanowi całość zupełną życiopisu Tomasza Zamojskiego.

Właściciel Szczęsny Morawski ma go do zbycia lub wydania.

Ormianie w Zamościu r. 1585.

(przekład z łaciń. odpisu w rękopisie Dipl. Zamosc. Nr. 113. S. M.)

Ian Zamoyski, kanclerz y hetm. w. k. wielkorządca krak. starosta marienburg. knyszyn. międzyrzec. i t. d.

Ormianie niektorzy, za powodem wielebnego Krzysztofa Kałusza kapłana obrządku tegoż y uczciwego Murata Iakubowicza Ormiana; z Turcyi przybysze: okazali chęć osiedlenia się w mieście moiem Zamościu, zaprowadzić kupiectwo y rzemiosła niektore ormiańskie: ieżeli zostaną przyięci do rownych praw z mieszczany innemi.

Chcąc tedy przysporzyć wzrostu y zamożności kupieckiey miasta rzeczonego: umyśliłem, do wszech swobod y praw miastu onemu nadanych, przypuścić ich samych y z następcyma onychże. Iakoż ninieyszem przypuszczam. Poszczegolniey przykażę ich bronić od krzywdy wszelkiey y będę chronił y nie ścierpię

żadney a żadney napaści lub krzywdy, wyrządzoney im czy to w domach czy poza domami ich. —

Procz mieisc rynkowych, ktore iuż odemnie otrzymali Ormianie przerzeczeni, obiecuię im ieszcze niebawem wydzielić osobną połać czyli ulicę z dziedzinami kędy wedle dogodności swey będą się mogli budować, tem samem prawem, iakie nadane mieszczanom innym. — Od wszystkich onych: praw, dziedzin, y pol; nie będą oni ponosić ciężarow lub opłat większych iak mieszczanie inni. Przez lat 20 blisko przyszłych, maią bydź uwolnieni zupełnie, a dopiero po ich upływie, po iednemu złotemu od każdego domu y do domu przynależney ćwierci pola, maią płacić corocznie mnie y dziedzicom moim. Od podwod niektorych pospolitych, z ktorych IKrol. Mość zwolniła drugie mieszczany: maią bydź wolni y oni. Gdy zaś proszą mnie o wolność zachowania religii swey y wykonania obrzędow; więc chociaż w przywileiu założenia miasta, zastrzegłem sobie wyłączność religii katolickiey: bacząc iednak że wiara Ormian nie rożni się od katolickiey tak dalece y wcale nie ma obawy, że do swey wiary będą przeciągać katolikow, aby więc y w tey mierze ustawa ich, niedoznawała przeszkod: obiecuię im pozwolenie założenia kościoła w ulicy, ktorą maią zamieszkać, iak skoro się zgromadzą. Mogą się tam modlić swobodnie po swoiemu. Że zaś wielebny Krzysztof Kałusz*) ma bydź przełożonym, przydam na utrzymanie onegoż, 60 zł: rocznie; do kościoła zaś, pole i kawał łąki z budynkami y ogrodem; co wszystko wieczyście pozostanie przy kościele y w używaniu przełożonych kościoła. — Na co wszystko, dla uwierzytelnienia y świadectwa iawnego podpisuię się własnoręcznie y pieczęcią własną stwierdzić kazałem. Dań w Bełzie, ostatniego kwietnia 1585. — Ian Zamoyski.

(Diplomatarius Zamoyski — Stwierdzenie r. 1624, Nro 113.)

Ormianie zaprowadzili w Polsce doskonałe wyprawianie i barwienie skór rozmaitych. Dotąd spro-

---

*) Kalast (Hellenius 502.)

wadzano je z krajów tureckich; że ich zaś potrzebowano liczbę niezmierną, wychodziła z kraju pieniędzy ilość — nie do uwierzenia.

(Bohomolec. Ż. Zam. 98.)

Grecy w Zamościu.

Ian Zamoyski, k. w. kor. starosta Bełsk. Malbor. Dorpat. Knyszyn. Międzyrzecz. Grodeck. Iaworow i t. d... Oznaimiam...

Że iuż od lat kilku, do nowego miasta mego Zamościa przybywaią ludzie narodowości rozmaitey a obecnie nagromadziło się też nie mało narodu Grekow. A chociaż iuż przedtem ogulnikowo zastrzegłem, że prawa y swobody odemnie nadąne lub otrzymane, dotyczą się nietylko mieszczan pierwotnych ąle y następnych: przecież dla upewnienia o tem umyślnem pismem ninieyszem szczegułowo ie zastrzedz ludziom narodowości greckiey. Czynię to zaś tem chętniey skoro oni się tu nietylko wybrali na zamieszkanie z maiątkami swemi, ale pragną z sobą wraz przenieść kupią niektorą.

Naypierw więc: Prawa wszelakie y swobody, iakie przedtem iuż maią mieszczanie pierwotni y całe pospolstwo; nadaię także Grekom tym co iuż zamieszkali w Zamościu, iako y onym ktorzy się do nich przyłączą poźniey. Maią używać wszelkich zgoła swobod, praw, uprawnień, zaszczytow, cześci, korzyści y ozdob, iakie przynależą mieszczanom pierwotnym, mocą dobrodzieystw od Nayiaśnieyszych krolow lub odemnie. W żadney też rzeczy nie maią bydź stanem y prawem pośledniejsi od obywateli naylepszych. Mianowicie zaś zezwalam im zbudować sobie kościoł, nawet wpośrod samego miasta, utrzymywać przy nim iednego lub kilku xięży, ktorzyby pełnili obrzędy ich kędy by też sami wedle obrzędu swego krom przeszkody iakieykolwiek nabożeństwo swoie odprawować mogli. Do rady mieyskiey też y urzędu, wolny im nietylko przystęp zarowno z drugimi, ale ma ich bydź corocznie wybranych tyle ile wynosi liczba radziec na-

rodowości drugiey. Wybrani iednak maią przod złożyć przysięgę wierności ku mnie y dziedzicom moim y miastu całemu iż wedle prawa y sprawiedliwości urzędować będą w sprawie każdey y strzedz dobra miasta całego nie mniey iakby własnego ciała, bez wszelkiey stronniczości. Co orzecze większość w urzędowaniu lub sądzeniu sporow: ma bydź uchwałą y ustawą, stałą y trwałą na zawsze. — W końcu aby ich bardziey zachęcić do ozdabiania miasta budowlami, postanawiam: że domy ktore oni wystawią y zmuruią y w kamienicach ktore oni wystawią, nigdy żadnego z gości, wbrew zyskowi y woli swey nie wolno im narzucać y do przyięcia przyniewalać. Postanawiam to raz na zawsze mocą pisma ninieyszego y zastrzegam iak nayusilniey. A dla uwierzytelnienia y świadectwa iawnego, własnoręcznie podpisawszy, kazałem ie stwierdzić pieczęcią własną. Dań w Zamościu 10 Stycznia 1589 Ian Zamoyski.—

(Dipl. 249 Stwierdzenie r. 1618.)

Żydzi w Tarnogrodzie.

1589, Ian Zamoyski. . . Wszem w obec. . . .

Tarnogroda miasta naszego obywatele, w ustawie założenia miasta od śp. Zygmunta Augusta krola nadaney, a od Stefana krola stwierdzoney, między innemi maią zastrzeżenie: że żydzi wykluczeni są z miasta y społeczeństwa obywateli y mieszczan; nie wolno im tam ani domostwa nabywać, ani w obrębie miasta u poddanego ktorego upatrzonego dzierzawić lub kątem siedzieć. Ponieważ iednak z strony uczciwych żydow Mozesa Fromi Abramowicza y brata iego Abrama, udowodniono nam, iż żydowie przerzeczeni od samego początku podczas zakładania miasta, pierw ieszcze nim mieszczanie bezprawie ono otrzymali, tamże przed wszystkimi zaięli dwie dziedziny pod budowle wielkim trudem y nakładem wykorczywszy las a w domach wystawionych iż następnie 20 lat zwyż zamieszkiwali bez przerwy.— Tak więc gdy w obec żydow wspomnianych, mieszczanie nie

byli w używaniu bezprawia onegoż upraszano mnie, abym wedle słuszności żydow owych y nadal w prawie owem zachował. Ia też — powoduiąc się słusznością y ludzkością—żydow wzmiankowanych Fromiego y Abrama z dziatwą y rodziną onychże, ninieiszem zachowuię w prawie poprzedniem y w posiadłości, nadaiąc im moc zupełną do dwu domow własnych swoich przez siebie wystawionych, mogą ie nadal zatrzymać iako przedtem dzierzeli, mogą w nich mieszkać, kupczyć wino, wodkę y napoie wszelakie szynkować y wszelkie uczciwe zaięcia pełnić zarabiaiąc na życie. Na rowni iednak maią bydź y w rownouprawnieniu z żydy drugimi w miastach innych, rowne też maią ponosić ciężary, opłaty, cła, podatki, składki, pobory iako inni żydowie, tak y oni maią składać y płacić. Co się zaś tknie żydow innych, ktorzy przedtem nie mieli tam posiedziska stałego: chcę, aby w niczem nieubliżano prawom y bezprawiom miasta. Aby tedy — krom wymienionych wyż — wbrew prawom mieszczan, pod żadnym pozorem y wymowką, nie ściągali się tam, niezamieszkiwali, nie posiadali domow lub dzierżaw, ani onych nabywali. — Dla uwierzytelnienia y świadectwa wszystkiego tego, podpisałem własnoręcznie y pieczęcią stwierdzić kazałem. — Dan w Zamościu ostatniego lipca 1589. —

(Diplom. Zamosc. Nro 261. T. Zamoyski stwierdził r. 1618.)

Żydzi w Zamościu.

1623. Tomasz Zamoyski woiew. Kiiowski . . . Wszem wobec . . .

Mozes de Kampos y Efraim Kastiel, hebreiczycy z Hiszpanii y Luzytanii rodem, prosili mnie o potwierdzenie nadania, dotycznie ongi przez Iaśniepana świętey pamięci rodzica moiego narodowi onemu udzielonych swobod: — gdyż właśnie niektorzy z mieniem y rodzinami swemi z Holandyi, Flandryi y innych mieisc, zamierzaią wychodzić aby się osiedlić

w tem moiem mieście. Do prośby oney, sprawiedliwey y słuszney umyśliłem się przychylić, iakoż się przychylam ninieyszem, obiecuiąc, nietylko stwierdzić co narod ten ma nadane od IP. ś. p. oyca moiego — iak skoro do miasta tego moiego przybędą na mieszkanie y osiedlą się z maiątkami swemi, doznaią wszelkiey moiey łaskawości y względow. —

Uchylam ich z pod wszelkiego mieyskiego sądownictwa w sprawach maiątkowych iako y karnych; sędzią onych prawym, ustanawiam samego siebie, lub kogo od siebie wyznaczę do sądzenia ich spraw.

Że zaś — iako wyrozumiałem — wielu z nich słyną z wyrobu sukien: pozwalam im zakupić dziedzinę — w mieście lub poza murami miasta — y zbudować pracownią w ktoreyby mogli tkać sukna wszelakie y wyroby iedwabnicze. Pracownia ona, aby tem rychley stanęła, zarządzę że potrzeby budowlane za słuszną zapłatę, zwiozą im poddani moi folwarczni.

W rzemiośle onem swem, aby od nikogo nie doznawali przeszkody; obiecuię im nadać prawo wyłączności, mocą ktorego zakazan będzie wyrob sukien przerzeczonych wszem, wyiąwszy żydow samych, lub tych ktorym oni pozwolą. —

Do tego obdarzę ich swobodami wszelkiemi y iakiemi się cieszą y iakich używaią drudzy mieszczanie moi zamoyscy, mianowicie: — Wolno im będzie po całem krolestwie obnosząc rozpościerać kupią wszelaką, bez opłaty cła y myta.

A ponieważ wedle prawa założenia miasta tego, targi tygodniowe odbywać się miały we środę, czego iednak nieprzestrzegano dotąd; zezwalam, aby nietylko w soboty, ktorą oni święcić zwykli — ale też y w środę zgromadzać się mogły targi przekupne dla swobodnieyszego zakupu y nabycia, tak żywności iako też y potrzeb swych rzemieślniczych.

Aby zaś tem wygodniey, wedle obrzędu wiary swey mogli zaięcia swego pilnować, zezwalam: żeby iednemu z pomiędzy nich, wolno było bić woły y mięso kawalcami na sprzedaż wystawiać; — dwom zaś narodu tego, aby wolno było warzyć piwo y miod,

ktore iednak napoie szynkować y sprzedawać wolno im tylko na użytek y potrzebę narodu swego. —

Wszystko to wraz y poszczegolnie zachować im obiecuię y ślubuię od siebie y od potomkow moich — wieczyście. Lecz y oni obowiązani będą w mieście rzeczonem za czasem, stawiać domy, kupiectwem y rzemiosłami przyozdabiać ono. — Co dla lepszey wiary, podpisałem własnoręcznie y kazałem stwierdzić pieczęcią moią. Dań w Zamościu 15. grudnia 1623.

(Diplomata Zamoyskich, Nr. 106.)

Nr. 53. Consens Panu Birkowskiemu na kupno Woytostwa w Niedzieliskach.

Oznaymuię, że Isz maiąc wzgląd na zasługi Urodzonego Pana Szymona Birkowskiego, człowieka godnego, Praeceptora mego, ktore mnie przes długi czas doma y wszędzie, wiernie, życzliwie, y pracowicie oddawał, y teraz oddaie pozwoliłem mu kupić Woytostwo w Niedzieliskach od Urodzonego Pana Iana Darowskiego, ktore kupiwszy y do swey possesiey wziąwszy wolno mu ie trzymać będzie, y zażywać ze wszystkiemi przynależnościami, pożytkami do niego należącemi, procentami tak iako przerzecony Pan Darowski trzymał do żywota iego samego Przyrzekaiąc sam za się, y za potomki swe że przerzeconego Pana Szymona Birkowskiego*) zachować chcę przy tem Woytostwie y iego pożytkach asz do żywota iego Isz iednak na przerzeconym Woytostwie summy żadney niemasz kupnem tem żaden ciężar na nie zaciągać się nie ma, y bez żadnego summy płaczenia ma się po śmierci iego do dispositiey mey wrocić abo potomkow moich Czego dla lepszey wiary y pewności ręką swą podpisałem się y pieczęć przycisnąć kazałem.

W Zamościu 2. kwietnia 1620.

*) Szymon Birkowski był to brat sławnego kaznodziei Fabiana Birkowskiego, profesor i lekarz nadworny Tomasza Zamojskiego, kanclerza wielkiego koronnego.

Nr. 296.
Decret o pozostałe rzeczy Theana Ormianina z Persiey, ktory bez potomka umarł, między X. Iakubem Ormiańskim Gabrielim Kirkowiczem a Instygatorem.

Thomasz Zamoyski na Zamościu etc. Oznaimuię komu to należy wiedzieć iż pozwani byli do mnie y do sądu mego za Instantią Instigatora mego szlachetnego Stanisława Mokrowskiego. Iakob nabożeństwa Ormiańskiego y sławetni Alexander Chrystophowicz Gabriel Arienowicz przysięgli prawa Ormiańskiego o to Iż oni pobrawszy od paru lat z rąk Iakuba Czarneckiego sługi nieiakiego Ormienina z Persiey w Polszcze zmarłego, rzeczy niemało tak w summach pieniężnych iako y w thowarach rozmaitych ktore należały potomkom iego w Persiey będącym według pisma przezeń przy zkonaniu uczynionego onego tego czasu i chociay były przez potomki zmarłego o to requirowani nieoddali owszem między się rozebrawszy niewiedzieć gdzie podzieli domagaiąc się aby iako bona vacantia ktore własnego heredem nie maiąc ad fiscum meum oddane y przywrocone były. Ex adverso pozwani przyznawali to iż takowe rzeczy z rąk rzeczonego Iakuba Czarneckiego sługi zmarłego Theana odebrali, y one potomkom iego według testamentu oddać byli gotowi, ale iż do tego czasu chociay za kilka' pisaniem nikt z potomkow z tamtych kraiow niestawił się krom iedney ossoby ktora odedwu lat będąc dowodnego świadectwa iakoby iey się dobra należały niemałą część pewną takowych rzeczy poprzedali drugą przy sobie zatrzymali submittuiąc się iednak tak te ktore przy nich pozostały oddać iako y zapoprzedane to co za nie wzięli komubym roskazał gotowemi pieniądzmi zapłacić. Z ktorych iednak dobr iż część pewna kościołowi Ormieńskiemu należy część X. Iakubowi pismem legowana iesth, prosili aby tego od nich nieoddalono ale owszem żeby takie legatum pium Decretem moym było potwierdzone iako o tym szerzey tey sprawy Process świadczy. Ia tedy wysłuchawszy obudwu stron con-

troviersey dowody y obrouy ich pilnie zważywszy nakazuię. Aby ci pozwani rzeczy Theana Ormienina wszystkie ktore im przes ręce Iakuba Czarneckiego sługe iego oddane były w piątek przyszły do urzędu Ormieńskiego znieśli, y Inwentarz porządny onych poczyniwszy cielesną przysięgą według zwyczaiu nabożeństwa swego potwierdzili iako tych rzeczy więcy nad Inwentarz uczyniony nie odebrali y za rzeczy poprzedanych droży nad to iąko udaią nieprzedali ani pisma Theana nie odmienili. Przy czym y to pokazać powinni iako summę kościołowi Ormieńskiemu zupełnie oddali albo co za nie do kościoła sprawili Co gdy uczynią tak rzeczy pozostałe iako y pieniądze za poprzedane towary do sequestru Ormieńskiego Urzędu y one pieczęciami widzow moych Iana Iwaszkowica Stanisława Mokrowskiego ktorym to właśnie nakazuię obwarowane bydź maią do przyiazdu potomkow Teana Ormienina. zmarłego ktorzy ieśliby się dali połroka' lubo sami przez się, lubo przes pewnego iakiego plenipotenta swego tu do Zamościa nie stawili się, rzeczy w sequestrze zatrzymane za consensem y własnem wskazaniem moym tam gdzie mi się będzie zdało obrocone y oddane będą. A co się tycze dwudziestu czerwonych złotych, ktore pismem, X. Iakubowi Ormieńskiemu legowane przes nieboszczyka są te ieśli do tego czasu nieoddane mu są albo ieśli ich sam sobie nieodebrał z pozostałych pieniędzy maią mu bydź zaras przywrocone mocą Decretu tego mego. Na co dla lepszey wiary y pewności tego ręką swą podpisałem się y pieczęć przycisnąć roskazałem.

W Zamościu d. 26. May 1621.

Z wystawy wiedeńskiej.

(Z ryciną.)

Obrazek, przezemnie umieszczony, przedstawia Najjaśniejszego Pana wraz z rodziną i świtą, odwidzającego przy otwarciu wystawy jubileuszowej fabrykanta fortepianów, Bernarda Kohna a stryja mego i wyszczególniającego go dłuższą przemową.

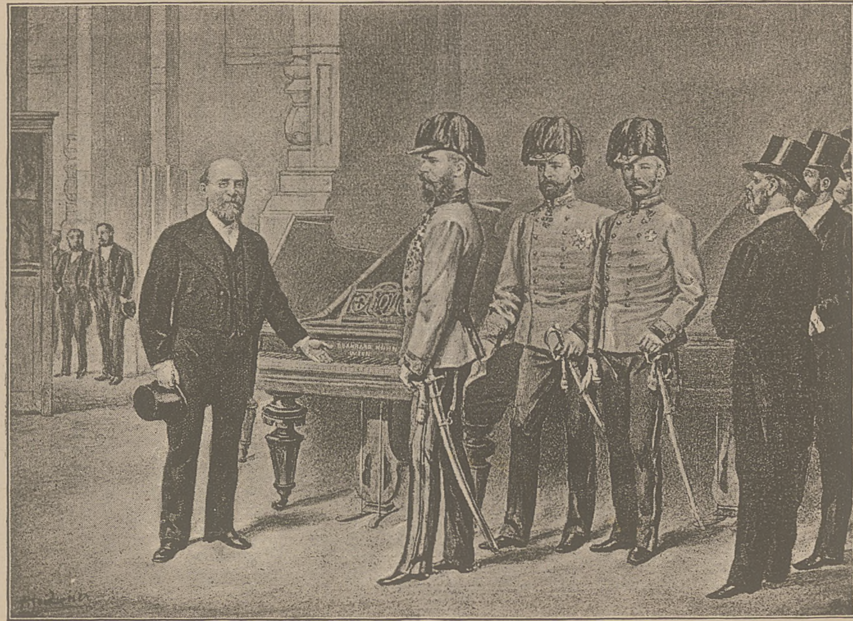
Widzimy na pierwszym planie obrazka Cesarza, poza nim mieści się postać nieodżałowanej pamięci Arcyksięcia i następcy tronu Rudolfa († 30. Stycznia 1889), jako trzeci umieszczony w tej grupie Arcyksiążę Wilhelm. W głębi świta dworska.

Od siebie dodaję jeszcze kilka uwag uzupełniających. Same wyszczególnienie fabrykanta fortepianów, Bernarda Kohna, choć w pokrewieństwie zemną zostającego, nie dałoby mi powodu do opisów obszerniejszych, ani też drugi szczegół, że na wystawie jubileuszowej fabrykant fortepianów, Bernard Kohn był jedynym żydowskim wystawcą fortepianów.

Nie rozchodzi mi się o fakt wyszczególnienia, ale rozchodzi mi się głównie o osobę wyszczególnionego, i z tego też powodu poświęcę kilka słów biograficznej wzmiance o stryju moim.

Bernard Kohn, urodzony 1829 w Czechach, pochodzi z ubogiej rodziny i w ubogich chował się warunkach. Przez długi czas był nawet tak biedny, tak czuł się opuszczonym, ze licząc 24 lat marzył tylko o jednym celu: o otrzymaniu posady prywatnego nauczyciela, najgorzej płatnej, o jakiej tylko myślić można było, aby bodaj wyżyć.

Usilnym staraniom, pracy i studjom młodzieńca pobłogosławił Najwyższy. Wprawiwszy się do przyszłego zawodu, zacząwszy na małem, doprowadził do tego, że w Pradze założył samoistną fabrykę forte-



Cesarz w dzień otwarcia wystawy wyszczególnia fabrykanta fortepianów, Bernarda Kohna dłuższą przemową i chwali tegoż wyrób.

pianów. Interesa polepszyły się z dniem każdym: założył więc drugą fabrykę we Wiedniu, dokąd się przeniósł, trzecią w Badenie pod Wiedniem. Kupił sobie dom własny we Wiedniu (I., Verlängerte Himmelpfortgasse 20.), dokąd także fabrykę swoją przeniósł.

Pomny, że kiedyś sam był biednym, wspomagał i wspomaga biednych, zasługujących na to. Owdowiawszy, córkę jedynaczkę, Ernestynę wydał za ubogiego pomocnika i krewnego, Rudolfa Kohna, ceniąc w nim nie majątek, ale charakter i pracę.

Nie o każdym bogaczu, zwłaszcza nie o każdym bogatym dorobkiewiczu możnaby powiedzieć, że w podobny Bernardowi Kohnowi sposób postępuje, i z tego też powodu przytaczam z dumą wyszczególnienie cesarskie jako hołd, należący się cichej, rzetelnej a uczciwej pracy.

Sambor, 31. Stycznia 1889.

G. Kohn.

Kiedy spoczną?

Kiedyż spoczną na tej ziemi
Ci, co walczą wciąż ze złemi?
Ci, co pragną noc rozświecić,
W sercach braci wiarę niecić?
Kiedyż spoczną ci, co pracą
Pragną z gruzów wznieść gmach cały?...
Którzy krzywdę modłą płacą,
Śląc przygnębcom wzrok swój śmiały?
Kiedyż spoczną ci, co płaczą
Na Ojczyzny wielkim grobie?...
Co swe czyny krwawo znaczą,
Cierpiąc smutno — bo w żałobie!
Kiedyż spoczną ci, co płyną

Przeciw prądom złym, wszetecznym,
Którzy walczą, cierpią, giną,
Idąc torem niebezpiecznym?...
Kiedyż spoczną ci nędzarze,
Którzy walczą o byt własny,
Których los niewinnie karze...
Kiedyż zejdzie im dzień jasny?...
A te tłumy — czarne — brudne —
Pełzające w grzechów brudzie...
Ci upadli — nędzni ludzie,
Którym modły dziś już trudne?...
Czy ci spocząć mogą kiedy?
Czy namiętność da im ciszę,
Która w spokój ukołysze
Ich sumienie — zbrodnie — biedy?
Spoczną wichry nad górami
I te lasów wieczne szumy?
Srebrne fale nad wodami
I tych ptactw wędrowne tłumy?...
Spocznież kiedy ziemia w biegu?
Zgaśnie słonko na niebiosach?...
Nie przelecież wiatr po kłosach?
Nie zakwitnie kwiat na brzegu?
O! nie spocznij serce moje,
Ni ty myśli lotna, chyża...
Tobie wiecznie ból i znoje,
Aż cię uspi ramię krzyża...
Aż mogiła cię ukoi
I sen wieczny zamknie oczy,
Śmierć spokojem swym otoczy,
„Wieczny spokój!“ szepną swoi!....

1887.

Błękitna.

IZYDORA,

NOWELA

przez

JANINĘ ANTONOWICZÓWNĘ.

„Das eben ist der Fluch der bösen That,
„Dass sie fortzeugend Böses muss gebären.“

Przebiegła wszystkie stolice świata, lekkiemi stopy deptała srebrne wieńce i różane wiązanki, a może i serce niejedno pod nogi jej rzucone.

Dalekiem echem rozbrzmiewała jej sława, a pod potęgą geniuszu uchylał się nieraz majestat korony. W około niej kwiaty i źwierciadło, marmury i złoto, przepyszne obrazy i alabastrowe naczynia.

Ciało jej miękkie o formach posągowych obwiewa szata z jedwabiu, czarne włosy w klasyczny węzeł upięte, nad czołem błyszczy złota przepaska, jaśnieją brylanty. Na szyi dwa sznury pereł migocą.

Przechadza się szybko po miękkim kobiercu, chłonącym w siebie odgłos jej kroków, otacza ją cisza nocy — święta, do spokoju wieczności podobna.

Dla czegóż te usta przed godziną ledwie tak uroczym rozchylające się uśmiechem, teraz tak kurczowo zaciśnięte? Dla czego czoło to gładkie i dumne, co się nie uchyliło nawet, by podnieść złoty wieniec z cesarskiej loży rzucony, tak kornie się pochyla przed majestatem boleści? —

Dla czegóż ta królowa pieśni, której życie całe niby tryumfalnym przechodem przez świata stolice się wije, samotne godziny nocy przepędza na niespokojnej przechadzce i zatopiona w swym smutku, nie szuka wypoczynku, który już dawno utulił wszystkich

i wszystkim przyniósł najsłodszą ulgę: sen, a w nim zapomnienie?

I mija kwadrans po kwadransie — godzina po godzinie. Dźwięki wieżowych zegarów ponurem echem rozlegają się wśród ciszy nocnej, a ona znużona rzuca się na otomankę, gładkie czoło opiera na dłoni i patrzy w gasnące węgle na kominku, po których niebieskawe przebiegają płomyki.

Myśli — i pogrążona w zadumie targa bezwiednie kosztowne koronki, i listki z róży obrywa, które zwiędłe pod jej stopy się ścielą, a pamięć wyprowadza jej szereg lat dawnych, otacza pamiątkami przeszłości.

Widzi się w białym domku rodzinnym wśród klombów kwiatowych, opasanym laskiem brzóz srebrno-białych. Widzi się w objęciach ojca, broniącego się niby szalonym pieszczotom, gdy mu pusta na kolana wskoczyła. Widzi matkę wpatrzoną w nią z miłością. A dziś ojciec umarł z żalu po dziecku jedynem, po nim matka, a to już tak dawno, tak dawno!

Łzy płyną z oczu, wyciąga ramiona, z których otwarte opadły rękawy, jakby przygarnąć, powrócić chciała tę przeszłość swoją, swój raj niewinności. Niestety! ramiona opadają bezsilne, a ją nowy rój wspomnień jak skrzydlata rzesza czarnych motyli otacza. Ma lat już 17, urodę olśniewającą i takie bogactwo tonów w swej piersi, iż jej żaden ze słowików wyrównaćby nie mógł. Toż z piosnką na ustach przemija jej życie wśród pieszczot i marzeń o przyszłości, o szczęściu, o pierwszem kochaniu.

Aż nadeszło to pierwsze kochanie.

Wtargnęło jak burza do rozśpiewanej duszy dziewczęcia...

Oschły już łzy na twarzy zadumanej kobiety i purpurowy ją zabarwił rumieniec, a w oczach gniew miga się błyskawicą — ach! to straszne, piekielne wspomnienie! Kochanek zapomniał przysiąg swych i zaklęć i znikł bez wieści, a ojciec honor i cześć nieskalanego imienia postawił wyżej niż miłość dla córki i choć się w prochu u stóp jego wiła z rozpaczy, wydalił ze swego domu na zawsze.

Przeszła wszystkie katusze zawiedzionej kobiety i odepchniętej córki.

Skoro jej siły fizyczne pozwoliły, uciekła w świat daleki, wyprosiwszy u poczciwych jak sądziła, choć ubogich ludzi przytułek i opiekę dla swego malutkiego dziecięcia, przyrzekła za lat parę je zabrać do siebie. —

Genjusze miewają niekiedy szczęśliwą gwiazdę, toż i ona ją miała. Głos jej rozwijał się, pięknial z dniem każdym i ani się spostrzegła, kiedy stanęła u szczytu sławy, otoczona, zasypana raczej wszystkiem, co ziemia dać może wybrańcom swoim.

Jednego jej tylko brakowało — szczęścia.

Nieraz ze snu słodkiego budził ją niby płacz dzieciny, a w marzeniach na jawie ukazywała się śliczna, drobna twarzyczka, oczęta czarne błyszczały i różowe rączęta wyciągały się z kolebki — a ona biegła wtedy do biurka i garścią chwytała złoto dla opiekunki dziecięcia i polecała, by mu na niczem nie zbywało, że wkrótce je weźmie do siebie.

Dla czego dotychczas go nie wzięła?

Nieraz sama sobie zadawała to pytanie, nie mogąc znaleźć odpowiedzi.

Zawadzałoby jej może w artystycznej karjerze. Cnota jej jak kryształ czysta i jak on zimna, narażoną byłaby na domysły, na półszepty świata, tak chętnie szukającego plamy na białem czole bliźniego.

Hańba wionęłaby na nią zatrutym oddechem. A przecież serce matki nie miało pokoju.

Kochała to dziecię nieznane prawie, tęskniła za niem, bolała że ono tak samo, wpółsierota rzucone na łaskę złota i ludzi. Uczucia rozdwajały, dzieliły się w jej piersi, na krok stanowczy zdobyć się nie umiała, odwlekała go z dnia na dzień. Żal jej było wielkości własnej, chwały — drżała na myśl odkrycia prawdy przed światem, który z takiem uwielbieniem ścielił się pod jej stopy.

Zamknęła się w sobie z boleścią swoją i żyła dla sztuki.

I tak lat kilka ubiegło.

Ale któż przyszłość przewidzieć może?

Niespodzianie, zwolna rozkwitło w jej sercu po

raz drugi uczucie miłości — jakże różne od owego pierwszego kochania.

Weszło do jej duszy po promieniach źrenicy, na skrzydłach myśli obopólnie wymienianych a tak zgodnych i przywiodło za sobą cały orszak nowych prądów, rozlewających się ożywczym strumieniem nowego życia.

Nowe myśli, nowe nadzieje, szczęście, cała rozkosz głębokiej, czystej, na szacunku opartej miłości wołały ją ku sobie, uśmiechały się, obiecywały niebo.

Lecz wśród tych tonów miłośnej pieśni drżały lekkie westchnienia, odzywał się płacz dziecięcia cichy, daleki — czy z wioski ubogiej płynący, czy z niebiosów, czy z duszy matki, zapominającej o dziecku swojem! —

Powstała z aksamitnej otomanki.

— Dość tych myśli — rzekła sama do siebie, dłonią po białem czole powiodła i poszła do sypialni, a po chwili zagasły światła w mieszkaniu ubóstwionej artystki Izydory.

*

* *

Miało się ku wieczorowi. Zmrok zapadał — tu i owdzie widniały na obłokach krwawe jakieś odbłyski. Czarne chmury sunęły się po niebie, gnane wichrem zimnym, północnym, a rąbki chmur tu czerwone, tam znów żółte, jaskrawe odbicie tych świateł różnobarwnych rzucały na ziemię. Jakoś strasznie było człowiekowi pod tym namiotem nieba, pod tą falą niespokojnych obłoków, toć się niejeden prostoduszny wieśniak przeżegnał pobożnie i polecał się Bogu. Widok takiego nieba wzburzonego, niespokojnego, zawsze wywiera pewne wrażenie na umysł i zawsze wtedy przychodzi nam na myśl, żeśmy tak mali w obec Boga.

Na głównym gościńcu wiodącym przez wioskę, rzuconą malowniczo u podnóża gór wyniosłych, ukazał się powóz parokonny i zatrzymał się w niejakiem oddaleniu od cmentarza.

Z powozu wysiadła kobieta czarno ubrana, wysoka, z twarzą, okrytą gęstym woalem i poszła ku furcie cmentarnej. Znalazłszy się na cmentarzu, roz-

glądała się w około i nadsłuchiwała, czy się nie znajdzie jaki świadek niepotrzebny, a gdy nic się słyszeć nie dało, poszła pomiędzy mogiły zmierzając wprost ku grobowcowi, nad którym z cieniów wieczornych wyłaniał się biały krzyż kamienny. Szła szybko, zręcznie wymijała mogiły zarosłe zielskiem i trawą, zapomniane przez żyjących, zaniedbane jak to często widzieć można na cmentarzach wiejskich.

Już była blisko grobu pod krzyżem, gdy tuż obok zaczepiła szatą swoją o mały, drewniany krzyżyk na dziecięcej mogiłce. Strach przejął ją jakiś zabobonny, dreszcze zimne wstrząsnęły, stanęła na tej mogiłce i drżącą ręką rozgarnęła fałdę sukni, w pośpiechu gorączkowo szarpnęła może zbyt silnie. Krzyżyk był spróchnięty już trochę i przegniły, pochylił się i nadłamał pod gwałtownem szarpnięciem. Uwolniła się w końcu, zeszła z grobu nieznanego dziecięcia i umknęła na płycie kamiennej u stóp białego krzyża. Klęczała długo, odrzuciła zasłonę z twarzy a łzy się staczały po jej twarzy nie otarte aż na płytę kamienną. Pochyliła się, czoło o krzyż oparła, a usta poruszyły się cichą modlitwą. I ulgę w niej może znalazła, bo powstała spokojniejsza, pewniejsza siebie — otarła oczy i zawiesiła na krzyż wieniec bogaty z czarną wstążką, na której srebrną nicią wyszyte było imię kobiece: Izydora.

I znów przeszła pomiędzy mogiłami, puszczając wodze myślom i słuchając ponurych akkordów jesiennej burzy. A smutna to harmonja — ten szmer liści wpółzeschłych wraz z jękiem wichru, rozlegająca się w cieniach nocy. Jakaż boleść popchnęła ją dzisiaj w to królestwo śmierci, w ten świat żałoby, gdy wśrod nocy czarnej jak czarna jej szata szukała mogiły ojca, by się choć cieniom czy prochom jego wyspowiadać z winy i cierpienia. Długie tygodnie walki ubiegły przedtem. Miłość i sumienie, pragnienie szczęścia i porywy macierzyńskiego uczucia dla opuszczonego dziecięcia kolejno występowały w jej sercu, aż zmuszona tem rozdwojeniem wewnętrznem, postanowiła koniec położyć tej walce i dziecię zabrać do siebie, a łzami żalu i cichą modlitwą uprosiła może przebaczenie u Boga, gdy klęczała na grobie ojca.

Przyczyniła się zapewne i miłość do tego postanowienia. Bo miłość, jeśli jest czystą i szlachetną, to uszlachetnia i podnosi ducha. Jakkolwiek wydawać się twierdzenie to może paradoksem dla tych, którzy materjalnie miłość pojmują i tylko użycia w niej szukają, ale uczucie jej właśnie dyktowało krok taki, który jednym ciosem obalał jej sławę, zabijał ją w opinii świata sądzącego z pozorów a może i w oczach tego, którego ukochała. A jednak tak było. Tyle lat minęło, obowiązki jej względem dziecka przypominały się nieraz, myślała o tem, by je wziąć do siebie, a teraz uszlachetniona idealną miłością zdobyła się na krok stanowczy.

Wsiadła do powozu i po kwadransie jazdy kazała się znów zatrzymać opodal od domku pochylonego, starego tuż pod lasem. Znów wysiadła, poszła sama ku domkowi, by za chwilę powrócić z dziecięciem. Serce uderzało jej silnie, twarz pałała, gdy się zbliżała do mieszkania, w którem dziecię jej żyło. Opiekunka dziecięcia była bezdzietną, zapewniała ją tylekrotnie, że mu na niczem nie zbywa, że zdrowo i ładnie wyrasta a przecież jakieś wyrzuty sumienia się odzywały, niby winowajczynią się czuła w obec swej córki. Zdawało się jej, że w oczach, w spojrzeniu dziecięcia wyczyta wyrzut: „Tyś moja mama, a przychodzisz dziś dopiero, i ja cię nie znam.“ Zresztą któż opisać zdoła taką chwilę, która choć krótka, błyskawiczna, nieskończenie długą jest dla człowieka, a o której mówi poeta:

„Straszna to chwila, w której duch rozkręci
„Za jednym razem cały zwój pamięci
„I w jedną drobną kroplę czaru zleje
„Życia radośne i zbrodnicze dzieje;
„Bo choć dla czasu zdaje się nicością,
„Ona dla myśli jest całą wiecznością.*)“

Zresztą zapomniała o wszystkiem, o sztuce, o sobie, o ukochanym Hugonie nawet, dążyła szybko, by dziecię zobaczyć, uścisnąć, utulić na piersi i w tem słodkiem matki upojeniu rozpocząć życie nowe, życie dla dziecka.

---

*) Byron, Giaur, tłumaczenie Mickiewicza.

Wypadło jej przejść po pod okna.

Mieszkanie było oświetlone jasno, mimowoli rzuciła okiem do wnętrza.

Zatrzymała się, przystanęła pod oknem.

Nie przeczuwała, iż to bezwiedne, machinalne jej zatrzymanie się przed oknem donioślejsze znaczenie mieć będzie.

W obszernej izbie stał stół obficie jadłem zastawiony i kobieta nie młoda już krzątała się około wieczerzy. Przy drugim stole siedziało trzech mężczyzn, grających w karty. Kłęby dymu tytuniowego wiły się siwemi obłoczkami po izbie. Od czasu do czasu raczyli się grający kuflami piwa, które jakaś osmolona Kasia czy Marysia w roli Hebe usłużnie im podawała. Odgłosy ich gminnych konceptów i przekleństw i wybuchy śmiechu dolatywały aż na podwórze.

— Lecz gdzież jest dziecię moje? — pytała się w duchu Izydora, i znów bezwiednie prawie jak przedtem przystanęła, tak teraz wstrzymała się z wejściem do mieszkania. Widok przedstawiający się jej oczom, tak wstrętnym był dla niej i taką budził odrazę, że mimowoli uległa wrażeniu, działającemu na jej umysł estetyczny. Pot zimny skroń jej oblewał, dreszcze przebiegały i w głowie szumiało.

Zwolna otwarły się drzwi od drugiej izby. Ukazał się w nich kot szary, szkaradny z buremi pręgami, zaprzęgniony do małego wózka. W wózku była lalka duża, czerwona, a za tem wszystkiem wsunęła się z biczykiem w ręce siedmioletnia może dziewczynka. Zaćmiło się w oczach Izydorze — oddechu zabrakło. Kilka minut ubiegło, zanim odzyskała na tyle przytomności, by dalej przypatrywać się mogła obrazkowi, godnemu pędzla artysty, lubującego się w skrajnym realizmie.

Kot się wyrywał i darł się co miał siły, dziewczynka targała go niemiłosiernie i smagała biczykiem, lalka przechylała się z wózka i tej się kilka uderzeń po głowie dostało.

Ha! więc w tej atmosferze gminnej, wśród takiego pospolitego, cynicznego otoczenia żyje, takiemi karmi się wrażeniami jej dziecko — a przedewszystkiem jejże to córka, ta brzydka, gruba dziewczynka

w brudnej i podartej sukience, z czerwonemi rękami i z tym wyrazem złości na tłustej, szerokiej twarzy! Oczy małe jakiejś barwy nieokreślonej, włos rudy, nos. . . usta . . . i to jej dziecko!

Stała tak nieruchoma wpatrując się w swoją córkę. Uczuła, że jej coś w piersi zwolna stygnie, martwieje, ból ją szarpnął niezmierny, drgnęła, a z tem drgnieniem skonała miłość dla dziecka.

Szarpała się od okna i uciekła biegnąc prawie do swego powozu. Znikły najświętsze postanowienia, nic w piersi matki nie przemówiło za opuszczonem dziecięciem, wpółsierotą, owszem niewytłumaczony jakiś wstręt uczuciem grozy ją przejął. Kazała jechać prędko do domu, a za nią gnały brzydkie widma rozpaczy, słała noc czarna zwoje ponurych obłoków lecących ponad ziemię i wicher północny zawodził piekielne melodje potępieńców.

Przybywszy do domu, zamknęła się na dni kilka w samotności. Bytność w rodzinnej wiosce wydawała się jej snem tylko, widziane dziecię jakąś wizją bez ciała, wierzyć wypadkom nie śmiała minionym. Pojechać raz drugi nie miała odwagi i zdobyć się na nią nie mogła. Aż przyszło jej na myśl, by napisać do opiekunki o posłanie włosów, świeżo obciętych jej córeczce. Dni parę łudziła się nadzieją, że może to inne było dziecię — aż nadeszła przesyłka.

Znów bezsennie noc całą przesiedziała Izydora na aksamitnej otomance, wpatrując się w zwitek rudawych, grubych i szorstkich włosów swego dziecięcia. —

*

* *

W godzinie południowej siedziała Izydora przy fortepianie i lekkiemi akkordy akompanjowała sobie, nucąc smętną piosnkę ludową. Wyraz jej twarzy nie odpowiadał smutnej melodji piosenki, bo była spokojną, weselszą niż zwykle, a nawet jakieś półuśmiechy błąkały się około ust i migotały w oczach. Od owej wycieczki na wieś po córkę minęło już kilka tygodni, śnieg spadł, sanna była dobra, przed chwilą wróciła z przejażdżki sankami i twarz blada zwykle

zabarwiła się ślicznym odcieniem różowym, delikatnym jak barwa świeżego kwiatka. Na czarnym staniku efektownie odbijała ponsowa róża.

Przez tych kilka tygodni walczyła z sobą a do uzupełnienia i powiększania tych tortur moralnych przyczyniło się nadspodziewane spotkanie owego uwodziciela jej dawnego.

Po rozegraniu smutnego dramatu przed kilku laty zginęła dla Izydory wieść o nim zupełnie. Później dopiero dowiedziała się, że się nazywa Alfredem B., że był hrabią, że bawił tylko czas krótki u przyjaciela swego i dla zabicia nudów wyszukał sobie ją właśnie, a potem wyjechał, nie troszcząc się wcale o przyszłość biednej dziewczyny. Ona go znała pod imieniem Witosława jako ubogiego studenta, który jej przysięgał, iż za lat parę, skoro pewne uzyska stanowisko, z nią się ożeni. Dowiedziała się o tem wszystkiem za późno i miejsce gorącej miłości zajęła pogarda. Nie kryła też wcale uczucia tego, gdy pewnego razu będąc na scenie, właśnie ujrzała w loży Alfreda. Gdy go poznała,gdy oczy jej spotkały się z bezczelnem, wyzywającem spojrzeniem dawnego kochanka, uczuła się dotkniętą aż do dna duszy. Chłód jakiś dziwnego wstrętu dreszczem po niej przebiegł, raz jeszcze cisnęła na byłego kochanka spojrzeniem pełnem nieopisanej pogardy i więcej nie zwracała nań uwagi. Ale nie przypuszczała nawet, jakie myśli zbudziły się w czarnej duszy Alfreda. Ujrzał ją piękną, wielbioną a przedewszystkim bogatą i pomyślał: dla czegóż nie wyzyskać tak korzystnej sytuacji? Zwycięztwa tem bardziej był pewnym, iż z tego, co mówiono, poznał, jak dumną była i pewną siebie, a on jednem słowem mógł cały gmach jej sławy obalić. Pewny powodzenia i rozjątrzony trochę pogardliwem jej wejrzeniem, zjawił się nazajutrz w przedpokoju jej mieszkania. Służący mu przyniósł odpowiedź: „Pani chora.“

To samo powtórzyło się kilka razy. Usiłował się zbliżyć do niej w teatrze, na rautach i wieczorach w niektórych domach arystokratycznych. Lecz wszędzie otaczała się takiem towarzystwem doborowem, taką wyniosłą osłaniała powagą, że się docisnąć do

niej nie mógł. Zmienił taktykę, z wyzywającego i bezczelnego stał się pokornym i smutnym, wejrzeniem błagał o litość, choć się zdawało, że go Izydora nie widzi wcale; skoro się tylko wysunął trochę, by się do niej przybliżyć, wnet czuł, że się prześlizga po twarzy jego wzrok Izydory, taki zimny i pogardliwy i taki rozkazujący, że się mimowoli usuwał.

Sprzykrzyło mu się wreszcie, postanowił napisać. Nim to jednak uskutecznił, zeszło dni kilka a przez ten czas nie pokazywał się wcale Izydorze, nie narzucał się jej, nie spotykała go nigdzie i dla tego swobodniejszą się czuła i weselszą.

Są zresztą chwile w życiu, w których wesołość jawi się nam niespodziana, niespowodowana niczem. Czujemy się lżejsi, pewniejsi siebie, choć potem często następują najboleśniejsze ciosy. Jest to jakby światło błyskawicy przed uderzeniem piorunu.

Cicho drzwi się otwarły, wszedł lokaj, postawił na stole ozdobną, wyzłacaną tacę z listami i dziennikami, nadeszłymi najświeższą pocztą i wręczył Izydorze bukiet z białych hiacentów. Było to zwykłe „dzień dobry“ od Hugona. Uśmiechnęła się do nich Izydora, rumieniec ciemniejszym inkarnatem prześliznął się po twarzy delikatnej, jak tych kwiatków listeczki. Sama je umieściła w kryształowym kubeczku i zabrała się do czytania listów. Szybko je przebiegła oczyma. Były tam listy od znajomych, przyjaciół i wielbicieli. Pretensjonalne, ugrzecznione, przesadne a szczerych, serdecznych tak mało. Obojętnie je czytała Izydora, pogarda nie zchodziła z twarzy. Pozostał jeszcze jeden. Przypatrywała mu się długo, niby przypominało się pismo, wydawało się znajome, a przecież nie mogła autora listu odgadnąć. Rozerwała kopertę, rzuciła okiem na podpis, wyraźnym i czytelnym charakterem nakreślone stało: „Alfred hr. B.“

Zbladła, zda się zmartwiała, przeczuła że z listem tym wchodzi widmo nieszczęścia, które w proch zgniecie jej marzenia, jej uczucie. Mimowoli spojrzała na białe kwiatki, a w tem spojrzeniu było pożegnanie, przesłane kwiatom i szczęściu!

Drżał papier w białych palcach, gdy szybko

jakby nagłem wiedziona postanowieniem zwróciła oczy na wyrazy następujące:

„Pani!

Jakkolwiek wnoszę z Jej postępowania, jakie wrażenie zrobi list mój niniejszy, że może nie bardzo będzie pożądanym, to przecie honor i obowiązek nakazują mi tak a nie inaczej postąpić.

Jestem wolnym obecnie, a zatem dziecię nasze mające rodziców nie powinno pozostać sierotą i w jego imieniu proszę Panią, byś zechciała zostać moją żoną, a tem samem dać nazwisko i ojca opuszczonemu dziecięciu!

Zawiniłem przed laty, lecz całą moją winą była szalona miłość dla Niej, czy Pani mię potępisz?

Zresztą nie o nas tu chodzi oboje, ale o spełnienie obowiązku, i spodziewam się, że Pani zapatrywanie moje na tę sprawę w zupełności podzielić raczy.

Odpowiedzi oczekuje

Alfred hr. B.“

Odgadł czy sposób myślenia Izydory przeczuł Alfred, że w ten właśnie sposób list swój ułożył?

Uśmiech dziwny, gorżki przebiegł po jej ustach, twarz bielszą od hiacentowych płatków się staje. Dwie drogi życia otwierają się przed nią. Miłość i szczęście woła i nęci ku sobie, raj cały przed nią otwiera u boku kochanego Hugona, a z drugiej strony czekają ją więzy z nienawistnym Alfredem, ale okupione poświęceniem dla dziecka, spełnieniem obowiązku. Że list ten cały Alfreda, to jedno kłamstwo — wie o tem dobrze! Że honor jego dawno splamiony, wie również dobrze, bo wkrótce po zerwaniu z nią, innej u stóp ołtarza dozgonną zaprzysiągł miłość. Dziś pociąga go jej majątek i przekonany, że ją zabić może w opinii świata, bezczelnie się jej narzuca. Lecz któż zbada całą głębię duszy! Któż wie, czy nie zbudzi się w nim uczucie ojca dla dziecięcia biednego, które matki już nie ma. Matka dreszcze wstrętu uczuła ujrzawszy je raz pierwszy a dotąd jedyny! O biedne niekochane to dziecię! Gdyby je kochała, potrafiłaby mu sama uczuciem ojca i matkę zastąpić, uczuciem je wychować, uczuciem ochronić od wszelkiego niebezpieczeństwa, uczuciem otworzyć mu przyszłość szczęśliwą. Ale ona go nie kocha, jej chłód jakiś wężowym

uściskiem owinął serce i winną się czuje w sumieniu swojem. A pod ciężarem tej winy sama nie wie, co zrobić, by spełnić to, co jej najświętszym obowiązkiem. Sama nie wie, jak wyjść z tego koła zaklętego, co ją żelaznym opasało pierścieniem, jak zadość uczynić, bo zadośćuczynienie, to pierwszy warunek spokoju sumienia. Dziś sam jej w dłonie się ciśnie — kilka słów tylko potrzebuje napisać, a walka jej będzie skończona!

I znów się cisną rojem te myśli różowe o miłości, nadzieja posuwa plan nowy, wyznać wszystko przed Hugonem, a on taki szlachetny, może... może... i dziecięciu jej da swe nazwisko i opiekę... Nie! tak się poniżyć nie podobna. Któż wie, czy winnej nie potępi, nie odepchnie od siebie! Zresztą dziecię to stałoby samo między nimi.

Po długiej walce, rozegranej w samotności i ciszy, w prześlicznym salonie, obitym atłasem kremowym ze złoconemi arabeskami, przeszła do swego budoaru, usiadła przy biórku mahoniowem, prześlicznie i bogato rzeźbionem i odpisała Alfredowi, że propozycję jego przyjmuje i prosi, by ją jutro odwiedził celem bliższego omówienia tej sprawy. Miało się już ku wieczorowi, dzień był pogodny, słońce obsypywało ją złotem i purpurą, gdy pochylona nad biórkiem pieczętowała list do Alfreda herbową pieczęcią, jedyną pamiątką, która jej pozostała po ojcu.

*
* *

O tej samej niemal godzinie, o której Izydora zwyciężyła sama siebie i cierniowym dyademem poświęcenia skroń swoją oplotła, wszedł Hugon do pokoju swej matki. Skłonił się jej z uszanowaniem, ucałował jej ręce i usta jak zwykle i usiadł, by z nią pomówić o sobie i o swej przyszłości, a tem samem o Izydorze!

Nie łatwem to było, wiedział że ma do zwalczenia acz nie zabobonny przesąd, jakim powoduje się zwykle ogół w ocenieniu artystek, ale zawsze pewne uprzedzenie. Matka znała go zbyt dobrze, by nie poznać, iż mu coś dolega, a nadto wiedziała o uczuciach jego więcej, niż jemu się zdawało i to wiedziała od dawna. Stosunek jego do Izydory nie

był dla niej tajemnicą, obawiała się o niego, drżała przeczuwając jakieś nieokreślone niebezpieczeństwo, rysujące się w niedalekiej perspektywie i grożące widmem nieszczęścia ukochanemu jedynakowi. Byłaby wolała, żeby to był jeden z owych lekkich stosunków, jakie nawiązują młodzi ludzie bez następstw żadnych, zwykła miłostka z aktorką. Jednakże sercem matki odczuła, że to miłość prawdziwa, poważna i głęboka, która się drzewem w sercu wzrasta.

— Mamo — wyrzekł wreszcie Hugon po dłuższem milczeniu — coby mama powiedziała, gdybym zechciał się ożenić?

— Życzyłabym ci szczęścia, moje dziecko — odpowiedziała poważnie, kładąc na stoliku ręczną robótkę i patrząc w twarz Hugona z wyrazem nieopisanej miłości i z pewnym odcieniem dumy, jakiej każda matka doznać musi, mając syna takiego, jak on.

Innej się widać spodziewał odpowiedzi zakłopotany trochę Hugon, oczekiwał może zapytania, z kim żenić się zamyśla, toby mu ułatwiło wyznanie; bo jeszcze większe zmięszanie przebiło się w ślicznych oczach ciemnych, które pod przenikliwem spojrzeniem matki zwróciły się ku ziemi i przykryły powieką z długiemi, ciemnemi rzęsami.

— I nie chce mama wiedzieć, z kim chcę się ożenić? — zapytał po chwili.

— Mój syn tylko stosowny uczynić mógł wybór — odrzekła, a głos jej może chłodniejszy i ostrzejszy miał dźwięk niż sama chciała, bo Hugon uczuł się trochę podrażniony i dumnie podniósł głowę mówiąc:

— Jutro się oświadczę Izydorze!

Dziwny wyraz przebiegł po szlachetnem obliczu poważnej kobiety. Poruszyła głową, jakby powiedzieć chciała: „stało się, co przewidziałam.“ Pomyślała chwilę i znów się zmienił wyraz jej twarzy, gorycz rozpłynęła się, znikła bez śladu a oczy takie same duże i piękne jak oczy Hugona, — znów miłością matki zabłysły i topiąc wzrok weń, rzekła:

— Czy pewnym jesteś, że z nią będziesz szczęśliwym?

Hugon miał oczy spuszczone ku ziemi, ale mimo to odczuł w głosie matki tylko trwogę o szczęście swe, toż

nie wybuchnął oburzeniem, które mu już przedtem w piersi wrzeć poczynało, ale zamiast na pytanie odpowiedzieć, przybliżył się do matki, ujął jej ręce, usiadł na niskim podnóżku i tonem jakimś pełnym pieszczoty i miłości, rzekł:

— Mamo! ja ją tak kocham!

— Wiem, że ją kochasz, ale czy ona ciebie tak kocha, by z tobą czuła się zawsze szczęśliwą? czy potrafi się wyrzec tego życia gwarnego, pełnego tryumfów, oklasków, rozmaitości? Czy nie sprzykrzy się jej cisza i spokojne, jednostajne życie, i któż to najbardziej odczuje? ty! ty, mój synu! — wyrzekła z trwogą i prośbą niemal, kładąc rękę na ciemnych włosach Hugona.

Zaśmiał się Hugon z pewnym tryumfem.

— Mama jej nie zna, nie zna zupełnie! Ona nie jest kobietą zwykłą, chciwą oklasków i błyszczenia, ona pracuje dla sztuki, sztuka jest jej ideałem, innego uczucia nie było w jej sercu. A teraz — dodał ciszej — teraz ona mnie kocha, dla miłości poświęci sztukę.

— Być może — odpowiedziała matka — nie myśl, że powodują mną uprzedzenia. Wiem że Izydory zwykłą miarą sądzić nie można. Ale w jej oczach głębokich na dnie samem spoczywa jakaś niezbadana tajemnica. W rysy jej wgryzło się jakieś cierpienie tajemnicze, dawne, którego się pozbyć nie może. Nie mówię tego, by cię zrażać do niej, ale lękam się i drżę o ciebie i chciałabym cię uchronić od nieszczęścia. Hugonie! wierzaj mi, ona nie jest szczerą w obec nikogo, ani w obec ciebie, ani w obec siebie samej nawet.

Zamyślił się i pobladł biedny Hugon, ale zaprzeczyć nie mógł. I on to dawniej już spostrzegł, widział że tam ciemne jakieś myśli chmurnym obłokiem przesuwały się często po białem czole Izydory, ale wnet nikły gdy się uśmiechnęła, gdy usta otwarła by przemówić. A najmilej, najweselej błyszczały jej źrenice, gdy się spotkały z jego oczami. Wiedział, czem jest dla niej!

Długo jeszcze rozmawiali, a matka uprosiła małą zwłokę, trzy tygodnie tylko, bo chciała Izydorę

poznać bliżej, jak mówiła, a w duszy prosiła Boga, by zesłał jaki ratunek.

Wieczorem śpiewała Izydora w galowej operze a przeszła sama siebie w śpiewie i grze artystycznej i piękną była, jak nigdy jeszcze! To też rozmarzony i upojony wyszedł Hugon z teatru, nie przeczuwając, iż to jej pieśń pożegnalna, że pożegnalne wejrzenia do loży mu przesłane! Myślą wyprzedzał tych trzy tygodni i czuł się szczęśliwym, i tak jej wierzył, tak ufał bez granic! —

Z pierwszym, małym wprawdzie i nieznacznym ale zawsze już zawodem a tem samem i cierpieniem spotkał się nazajutrz, gdy około trzeciej popołudniu powiedziano mu w przedpokoju mieszkania Izydory jak przed kilku dniami Alfredowi: „Pani chora.“

* * *

Niesłychaną senzację wzbudziła w stolicy wiadomość zamieszczona w dziennikach o bliskim ślubie Izydory z Alfredem hr. B. Tysiączne domysły, przypuszczenia, plotki krążyły w kołach artystycznych i w salonach najwyższej arystokracji. Hrabiego B. znano z opinii nader niekorzystnej. Wiedziano, iż był rozpustnikiem, karciarzem, utracjuszem, że bardzo źle żył z pierwszą żoną, która jako delikatna i uczuciowa osoba uległa skrytym zgryzotom. Nie widziano go nigdy w towarzystwie Izydory. Nie spotykano go w ogóle w lepszych kołach towarzyskich, bo choć należał imieniem i pozycją socjalną do sfer najwyższych, nie łączył się z niemi, ale gminne jakieś i pokątne wyszukiwał sobie towarzystwa, zgodne z brudnymi nałogami jego. Ostatniemi czasy dopiero wypłynął z mętów na powierzchnię, lecz nie wiedziano, że zrobił to jedynie w celu zbliżenia się do Izydory. Zresztą zajęcie się Hugona Izydorą nie było tajemnicą dla ogółu. Hugon pochodził z ubogiej i podupadłej materjalnie, ale poważnej szlachty. Nadzwyczajne zdolności wyniosły go na wysokie stanowisko i jako utalentowanemu urzędnikowi przy dyplomacji, świetna zapowiadała się przyszłość. Wszystko za nim przemawiało; dowcip i wykwintne formy towarzyskie czyniły go ulubieńcem salonów a

słodycz charakteru i szlachetność jednały serca przełożonych i kolegów.

Dlaczego taki wybór zrobiła Izydora? — oto zapytanie, przebiegające z ust do ust. — Czyżby ją hrabiowska korona nęciła? Wszak to nie pierwszy hrabia żądał jej ręki, i nie tacy stawali w szranki pragnąc pozyskać tę, którą Alfred z nieodgadnionych przyczyn tak nagle miał poślubić. Jedni się dziwili, drudzy ją potępiali.

Niewielka garstka otwarcie wystąpiła, próbowano jej odradzać i to się nie wiodło, bo piękna Izydora osłoniła się taką chłodną powagą, iż najżyczliwsi czuli się odepchnięci.

Zerwała kontrakt z dyrekcją teatru i aby uchylić się od procesu za niedotrzymanie tegoż, tysiącami zapłaciła i odsunęła się od wszystkich znajomych. Ślub odbył się cicho w małym kościółku na przedmieściu w porannej godzinie, a po ślubie państwo B. wyjechali na południe.

*

* *

Upłynęło długich, ciężkich lat dziesięć. Izydora zmieniła się trochę, postarzała i nieraz całej siły moralnej potrzebowała, by wytrwać na swem stanowisku. Pożycie jej z Alfredem było chłodne ale znośne na pozór, w rzeczywistości zaś był to łzawy dramat, wyczerpujący wszelkie siły biednej kobiety. Alfred czuł się panem całego majątku i domu, powściągane przez żonę dawne nałogi jego, wybuchały od czasu do czasu, utrudniając jeszcze więcej jej zadanie. Potrafiła jednakże z dziwną energją zachować majątek w całości, bo i teraz chciała złotem zapłacić swej córce za brak macierzyńskiego przywiązania. Alfred próbował być czułym z początku, widząc zaś bezskuteczność swych usiłowań, stał się chłodnym, szyderczym, złośliwym tak dla żony, jak i dla córki swej Ady. Ada skończyła właśnie rok siedemnasty, z brzydkiej dziewczynki wyrosła na brzydką pannę. Trochę wprawdzie ogłada i sztuka uzupełniała te braki wszystkie, ale przecież nie zdołała jej uczynić chociażby miłą. Wiedziała o tem Ada, to też w młodem jej sercu rozbudziła się jedyna żądza, żądza błyszczenia przez

pieniądz. Niekochana przez nikogo — równą płaciła światu obojętnością i cieszyła się z tego, że stanowiskiem przynajmniej i majątkiem zmusić mogła do czci i hołdów, oddawanych jej — dla pieniędzy. Na zimę wyjeżdżali do jednej ze stolic zachodniej lub północnej Europy, w lecie bawili u wód, lub w dobrach swoich na Węgrzech.

Jednego roku po raz pierwszy przyjechali na sezon karnawałowy do owej stolicy, w której niegdyś sława Izydory doszła zenitu, by nagle się zaćmić przez połączenie się z Alfredem.

Ada się bawiła, Alfred ziewał po trosze, dokuczał żonie i córce, lub grał w karty, a Izydora nadto doskonałą była artystką, by się nie zastosować do właściwej sobie roli, roli matki, wprowadzającej w świat dorosłą córkę. A w istocie wlokła się za tą wesołą Adą jak ofiara dla spełnienia włożonego na się obowiązku.

Pewnego razu w popołudniowej godzinie zjawił się w przedsionku pałacu nieśmiały jakiś kapłan w sutannie śniegiem okurzonej, siwiuteńki jak gołąb i zapytał, czy się może widzieć z panią hrabiną. Służba zażądała karty wizytowej. Biedny staruszek, odwykły od form światowych albo może nie znający ich nawet, nie miał takowej, powiedział tylko swe nazwisko, które przekręcone Jaśnie Wielmożnej pani zameldowano.

Znów ją jak ongi, kiedy list od Alfreda otrzymała, jakieś przeczucie szarpnęło, lecz uśmiechnęła się sama z tego, szepcąc do siebie:

— Cóż jeszcze dla mnie może być złego na świecie, — albo gorszego nad to, co jest? — i głośno kazała prosić.

Lecz któż opisze jej zdumienie i wzruszenie, gdy ujrzała przed sobą proboszcza ze swej wioski rodzinnej. Rzuciła się ku niemu, ucałowała jego ręce i łzy z oczu jej popłynęły. Starzec równie jak ona był wzruszony, ścisnął jej głowę, pogładził po czarnych włosach i wpatrywał się w nią z litością jakąś i żalem. Toż on ją chrzcił niemowlęciem, on pieścił ją dzieckiem i uczył religji dorastającą, on wraz z jej ojcem plany szczęśliwej przyszłości układał. A dziś —

ona sobie świetniejszą, promienniejszą niż marzyli, przyszłość stworzyła. Była wielbioną artystką, jest bogatą panią, hrabiną, a przecież, przecież żal mu jej było.

Po pierwszym wybuchu gwałtownego wzruszenia, usiedli i ochłonąwszy spytała Izydora, czemu może zawdzięczyć sposobność widzenia go u siebie i co go do niej sprowadza.

— Mam bardzo ważną sprawę do zakomunikowania pani hrabinie — wyrzekł poważnie i chłodno. Z głosu jego znikły poprzednie dźwięki rozczulenia i odezwał się natomiast jakiś odcień surowości.

— Och, tylko bez tych tytułów ojcze — porwała się Izydora i stanęła przed nim składając ręce błagalnie — mam ich dość, o dość aż nadto!

— Więc nie jesteś pani szczęśliwą — znów serdeczniej przemówił i patrzył w twarz wychudłą, postarzałą przed czasem a jeszcze piękną.

— Niestety, ojcze! nie byłam nią nigdy i nie jestem.

Zakłopotał się starzec, mięszało się w nim współczucie z surowością. Miał spełnić ważną misję, wiedział, że ją tem dotknie boleśnie, co jej powie, a powiedzieć musiał, wiązała go obietnica, nakazywało sumienie.

Izydora nie nalegała już, by mówił do niej przez „ty“ jak dawniej.

— Przed siedemnastu laty oddała pani dziecię do wychowania żonie gorzelnika w Z.

Krew twarz jej oblała gorącym rumieńcem. Wobec tego starca tej cnoty poważnej i świadka jej czystej, świętej młodości wstyd ją ogarnął. Spuściła oczy i szepnęła:

— Tak.

— Z powodu tego dziecka przybyłem tutaj, sprawa to ważna, cięży mi na sumieniu, przyrzekłem ustnie panią o tem powiadomić. Ta gorzelniczka w zeszłym miesiącu umarła, przez śniegi nie mogłem się wybrać, obecnie droga lepsza, nie wiedziałem, czy państwo są tutaj, dowiedziałem się w niedzielę dopiero, dziś czwartek — ciągnął starzec dalej i wikłał się walcząc z coraz silniejszem zakłopotaniem, do którego

mięszały się żal i współczucie dla córki starego przyjaciela, który już od lat tylu spoczywał pod krzyżem kamiennym na cmentarzu rodzinnej wioski — ale cóż pani jest, — zakrzyknął nagle powstając — czy pani słaba? Możemy to odłożyć, albo ja z mężem pani pomówię — ujrzał bowiem, że Izydora blednieje, zmienia się na twarzy i pochyla na poręcz fotelu.

Po chwili przyszła do siebie i słabym głosem prosiła go, by usiadł i nie zważał na słabość chwilową. Mimo to nie sporo szło mu z wypowiedzeniem tego, co miał na sercu, boć tak mało miał stosunków ze światem. Zresztą on, sługa boży zahartowany i silny nie wiedział, jak sobie poradzić z kobietą nerwową.

— Przed dziesięciu laty zabrała pani to dziecko do siebie — rzekł znowu.

— Tak — odpowiedziała Izydora — i od tego czasu córka moja jest u mnie.

— Otóż proszę pani, tylko niech pani będzie spokojną. Boże to we wszystkiem urządzenie — otóż przed miesiącem gorzelniczka ta wezwała mnie do siebie, bo była bardzo chorą i chciała się wyspowiadać.

— I cóż? — zapytała Izydora, wpatrzona w starca i słuchająca niecierpliwie rozwlekłego trochę opowiadania. Skupiła wszystkie swe siły, by dowiedzieć się o czemś, czego nie przeczuwała ani się domyślała, ale co musiało być strasznem.

— Ta kobieta — przemówił kapłan otarłszy pot z czoła — wyznała na spowiedzi i prosiła, by pani powiedzieć, że jej dziecię umarło w pół roku.

— Moje dziecko — zawołała Izydora blada z oczyma, w których grały jakieś migotliwe płomyki obłąkania.

— Tak jest, pani dziecko — powtórzył kapłan. Siostra jej miała małą dziewczynkę i tę podsunięto, ażeby mieć dalej źródło do wyłudzania datków pieniężnych, a pani dziecko zapisano w księgach jako zmarłe i pogrzebione dziecko tej siostry. Ja sam to uczyniłem, bo mię oszukano.

Wielka boleść, to tak jak piorun ubezwładnia człowieka, ogłusza go i zdrętwieje. Można być silnym w cierpieniu, jeśli po za kresami jego widnieje choćby najbledszy promyk nadziei, ale gdy cierpienie to już ma zamknąć życie, gdy nic nie ma po za niem, wtedy

pozostaje tylko jedno — wiara w Boga lub zwątpienie zupełne i stosownie do usposobienia i charakteru — grób.

Ku czemu przychyli się Izydora, ku wierze czy rozpaczy — niewiadomo na razie, bo w pierwszej chwili ból zmienił ją w głaz prawie bez myśli, bez czucia — jedno tylko pojęcie jej zostało, jedna myśl, iż bezgraniczne, zupełne jej poświęcenie się było daremnem.

Jej dziecię nie żyje.

Długo jeszcze pocieszał ją kapłan siwowłosy, przemawiał do niej jak do pieszczonego dziecięcia ukochanego swego przyjaciela, i miłość serdeczna, chrześcijańska przebiła się przez twardą skorupę rozpaczy aż do serca nieszczęsnej. Rozpłakała się a z płaczem weszła ulga do tej duszy, dotkniętej cierpieniem.

Uradowany tym objawem życia starzec znów ją pocieszał i odpowiedział jej, iż wedle swoich wspomnień i opowiadania zmarłej gorzelniczki, pochowano to dziecko na cmentarzu obok mogiły jej ojca, że stało się to przypadkiem, że przed kilku dniami tam był i znalazł tylko szczątki drewnianego, spróchniałego krzyżyka.

— Ja sama go złamałam — rzekła Izydora i wyznała, iż była tam raz na cmentarzu i stała na tej mogiłce nie przeczuwając, iż depce prochy swej córki. Wśród łez opowiadała, jak wtedy walczyła z sobą, jak uciekła z przed domu gorzelnika na widok Ady, jak się oswoić nie mogła ani zwalczyć wstrętu, który wyrzucała sobie jak zbrodnię. Bo czyż podobna, aby matka dziecięcia nie kochała, a ona lata całe w tej rozterce między sumieniem a uczuciem przeżyła i wyrzekła się szczęścia i wszystkiego dla Ady, która dziś była jej obcą zupełnie.

Zacny kapłan uspokajał ją, przemawiał do niej natchniony wiarą swą i przekonaniami i tem współczuciem, jakie ma prawdziwy chrześcianin dla cierpiącego, bo choćby w grzeszniku widzi tylko bliźniego i brata. Izydora dawno już podobnych słów nie słyszała, dawno nie szukała pociechy u samego jej źródła, u Boga. To też miękła jej dusza, topniały lody

zwątpienia, serce rozgrzewało się pociechą i to poddanie się woli Bożej złagodziło trochę straszne wrażenie kary, spadającej na nią za winy dawne. —

*
* *

W sypialni Izydory cicho było i spokojnie. Przed chwilą wyszedł kapłan siwowłosy, który ostatnią jej przyniósł pociechę i rozgrzeszył, po ostatniej spowiedzi zrezygnowana, łagodna oczekiwała śmierci.

Wiadomość o zgonie dziecięcia był ciosem zbyt strasznym na siły jej, długoletniem szarpaniem się z sobą samą wyczerpane. Zresztą znikł cel życia, zmęczenie ogarnęło ją śmiertelne i choć spokojną była i zrezygnowaną, przecie ochota do życia nie wróciła.

Rozwinęła się choroba piersiowa i rzuciła ją na łoże, z którego już powstać nie miała.

Wezwała Alfreda, który coraz zimniejszym był dla niej i rzec można coraz bardziej jej nienawidził, widząc w niej jedynie zaporę do używania a raczej trwonienia majątku. Teraz zaś udawał trochę czułości, a zresztą śmierć tak jest poważną, że często i na umysły najcyniczniejsze oddziałać może.

Wyznała mu wszystko, co się tyczyło Ady, nie będącej ich córką, lecz dzieckiem jakiejś nieznanej kobiety, ale powiedziała, że życzy sobie, aby tajemnicy nie zdradzać przed Adą, ani przed światem, — tudzież że chce jej zapisać cały majątek i prosiła go, aby jej pozostawił swe nazwisko. Jemu zaś znaczną zapisywała kwotę.

Żachnął się Alfred, chciał cokolwiek oponować co do tego ostatniego punktu, bo poprzednie zwierzenia, choć go zdziwiły, nie wielkie uczyniły na nim wrażenie — uczuł tylko, że mu się ziemia z pod stóp usuwa. Ale opór jego okazał się bezskutecznym — Izydora stanowczo obstała przy swem zdaniu, to też nagle jak gdyby pod wpływem nowej myśli uśmiechnął się czuły małżonek tryumfująco do siebie i z tygrysiem jakiemś przymileniem zgodził się z nią zupełnie.

Ada nie cierpiała wiele z powodu choroby matki, nie drżała w obawie żałobnej katastrofy, owszem

wśród zajęć codziennych a nawet przy łożu cierpiącej przemykały po jej głowie nadzieje wolności, uśmiechała się swoboda. Widziała się u szczytu marzeń egoistycznych, cieszyła się, że będzie panią swej woli. Nie były to wprawdzie stałe jej plany ani myśli, bo do takiego jeszcze cynizmu nie doszła, lecz tak się coś majaczyło czasem w jej głowie, zarysowywało niewyraźnie, błyskało chwilami. Po owej rozmowie z żoną udał się Alfred do Ady i powtórzył jej całą rozmowę z matką z wyjątkiem owej sprawy zapisowej, którą zmienił na swoją korzyść, twierdząc że matka chce ją zbyć kilku tysiącami, on zaś wstawi się za nią pod warunkiem, jeśli zechce wyjść za niego po śmierci Izydory, która lada chwila nastąpić musi.

Acz chciwa i samolubna, zadrżała Ada nawskróś na tyle podłości, na taką wyrafinowaną bezczelność. Z małych, siwych jej oczu błysnęła nienawiść i pogarda dla tego, którego choć nie kochać i szanować jak ojca, to słuchać przynajmniej przez tyle lat przywykła.

Porwała się i biedz chciała do matki w pierwszem oburzeniu i uniesieniu, lecz nie dopuścił tego Alfred. Schwycił za ręce, przytrzymał i zmusił do spokojnego wysłuchania wszystkich swoich zamiarów. Odegrał rolę czułego opiekuna i przyjaciela, napomknął o jej przyzwyczajeniu do wygód, o tem, że żal mu będzie, gdy się rozłączą, a jako obcy sobie pozostać razem nie będą mogli ze względu na jej dobrą sławę, poddał jej myśl, że z miłości trudno jej będzie wyjść za mąż, chyba że ją kto weźmie dla majątku i ona będzie nieszczęśliwą, podczas gdy on jej ojca zastąpić mógłby, bo kochał ją jako ojciec zawsze, więc mu się i miłą wydawała, i dokazał tyle, że samolubną i przewrotną Adę skłonił do przyjęcia propozycji swej za pomocą tych piekielnych sofizmatów i potrafił poruszyć te struny właśnie, które drgały nienawiścią do świata i próżnością. — Ten czy ów — pomyślała — wszystko jedno, byle być bogatą.

I tak w tym domu, który w krótce miał się stać widownią smutnego finału tragedji życiowej, zawarł się ohydny i potworny układ, zakończony uściśnieniem ręki i przyrzeczeniem dotrzymania

tajemnicy przed Izydorą w tej chwili właśnie, gdy u wezgłowia chorej unosił się już biały anioł pokoju i słał jej jakieś promienie niebiańskiej pociechy, których nawet cienie śmierci z pogodnego oblicza zetrzeć nie zdołały,

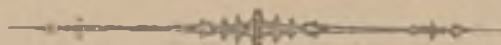
Tej samej nocy przestała cierpieć Izydora, poleciwszy Adę opiece Alfreda i przebaczywszy mu wszystko.

Wkrótce odbył się ślub Alfreda z Adą, której się zdawało, że spadek po Izydorze zawdzięcza jedynie wstawieniu się Alfreda. Ale przeliczyli się oboje, bo ona była skąpą i chciwą i nie pozwalała na używanie, tak jak Alfred sobie układał i nie kochając go wcale oszukiwała go, jeśli się tylko nadarzyła sposobność, a on odpłacał jej się za to brutalnością obejścia sowicie.

Hugon przecierpiał, zapomniał z czasem, dobił się teki ministerjalnej a potem zebrawszy dość znaczny majątek, ożenił się i osiadł na wsi.

W wiosce Z. postawiono na małej mogiłce obok białego krzyża śliczny pomnik marmurowy i zbudowano z fundacji Izydory ochronkę dla starców, sierót i podrzutków.

Tyle pamiątki zostało po Izydorze!



Ostatnia chwila.

OBRAZEK POETYCZNY

przez

Bolesława Andruszewicza.

Czarnem morzem fala płynie,
A po morskich wód głębinie
Sunie łódka w mgłach.
Górą niebo wyjaśnione,
W dali jednak rozwieszone
Czarne chmury w łzach.
Płynie łódka, fala goni,
Skalny szczyt się jeszcze płoni,
Płoni w świetle zórz —
Słońce chyli senną głowę,
Morze szumi ciemno-płowe;
Smutno, pusto w króż . . . . .

. . . .

W króż samotnie, — czarna chmura
Grozi burzą, grozi trwogą:
Zachód kryje ciemń *) ponura,
Grom się wstęgą lśni złowrogą.
Mknijże łódko, mknij do brzegu,
Szukać domu i noclegu,
Szukać ciszy i spokoju
Po dnia pracy ciężkim znoju . . , . .

. . . .

---

*) Ciemnia — licentia poetica i wolno jej używać autorom tej miary jak autor „Bohotu“; prosilibyśmy jednak na przyszłość i pod tym względem o pewne umiarkowanie.
(Przyp. red.)

Burza ryczy i szaleje,
Zimny wicher mrozem wieje —
Ciemność nieba błysk rozświeca,
Gór dalekich szczyt zanieca.
Płyńże łódko do tych szczytów,
Pod osłoną ich granitów
Nie przestraszą cię burz grzmoty.
Płyńże prędzej, płyń falami,
Myj się czystych deszczów łzami,
Rozwiń żagle w ptasze loty.
Tysiąc huków grzmi w około,
Błysk oświeca masztu czoło —
Ty płyń łodzi, płyń po fali,
Co się blaskiem lśni korali . . . . .*)

. . . .

Piękne miasta, piękne sioła,
Kiedy zorza dookoła
Cudnem światłem, ogniem skrzy;
Ale cudniej, cudniej morze
Świeci blaskiem gdyby zorze,
Kiedy fala ciemna drży:
Niby gwiazdy na niebiosach,
Niby kwiaty w polnych kłosach,
Tyle świateł w koło lśni —
Tyle ogniów, tyle mocy
Śród burzliwej płynie nocy,
Tyle znikłych marzeń mi . . . .

. . . .

„W ogniu łódka nasza płynie —
W koło burza; po głębinie
My płyniemy lotem ptaka —
Nam nie straszne wodne wały:
Mamy wiosło od flisaka,
Żagiel biały jeszcze cały.
Wielka burza na około —
Ale nie ta burza w myśli,
Inna myśl me sępi czoło —
Czasem się nadzieja przyśni

---

*) Fosforescencja morza. *(Uwaga autora.)*

I ulata... o! daleko . . . . .
. . . .“
„Łza się zalśni pod powieką,
Serce ból przypomni dawny,
Myśl przypomni nasz wiek sławny....
. . . .“
„Jak nie płakać, nie lać łez,
Kiedy troska nas ugniata,
Kiedy pusto smutno w szerz!
Niema kątka pośród świata,
Gdzieby można myśl ukoić,
Bicie serca uspokoić . . . . .
. . . .“
„Lżej, o lżej nam na głębinie,
Chociaż burza ryczy w koło.
Myśl inaczej tutaj płynie,
Bo wiatr zimny studzi czoło . . . .
. . . .“
„Nieś nas falo, nieś nas morze,
Pieśniom naszym jękiem wtórz!
Nasza myśl się w pieśni złoży
I daleko rozbrzmi w króż!
O! pieśń nasza bolem słynie,
Świat obejdzie i nie minie
Nawet carów wielki gmach!
Jękiem swoim tam zadzwoni,
Owinie się w koło skroni,
Przejmie carów strach!
O! bo nasza pieśń tak dzika,
Że do wnętrza aż przenika . . . . .
. . . . !“
„Lecz cyt pieśni! my u brzegu,
Szukać musim dziś noclegu:
Raźno falę wiosłem bij —
Pędź, bo burza już szaleje,
Pędź za wiatrem, który wieje,
A ty gromie, hucz i grzmij!
Hucz jak armat stalnych głosy.
Oświeć ogniem nam niebiosy,
I przypomnij nasze boje,
Nasze trudy, nasze znoje . . . . .
. . . .“

„O! łódź nasza już u brzegu —
My w ochronie czarnych skał,
Znajdziem miejsce do noclegu,
Choć grom ryczy jakby z dział.....
. . . .“
Znaną drogą do jaskini
Idą raźno w cieniu nocy.
Echo huka po dolinie,
Nurty dziko strumień toczy.
Nad doliną nagie szczyty
Swe kolumny ślą w błękity,
Swe kolumny dzikie, wzniosłe
I szerokie i rozrosłe,
Co z Kaukazu łona wstają
A do słońca skrą błyskają.
„Tutaj żyjem my wygnani,
Zapomniani i nieznani,
Żeśmy kraj swój ukochali
I zań życie, krew swą dali . . . .
. . . .“
„O, przed nami już pieczara; —
Wstąpmy do niej na spoczynek . . . .
. . . .“
Na filarze strzelba stara,
W kącie dymi coś kominek —
Koło strzelby szabla rdzawa,
A na pasie plama krwawa.
Ława długa na około,
Krzyż na ścianie blaski sieje,
Ogień świeci się wesoło
I kominek ogniem grzeje.
Przy kominku stoi łoże,
Stary Makar tam spoczywa:
O ojczyznie myśli może,
Bo westchnieniem pierś rozrywa . . . .
Na tułactwie spędził lata,
Był w Sybirze nad Bajkałem,
Widział wszystkie krańce świata,
Pierś swą chłodził w morzu białem;
Aż na starość go nasłali
Tam gdzie Kaukaz mknie w błękity:
„Niech tam umrzy,“ tak dumali,

„Dziś on stary, nie użyty!“ . . .
Smutno w obcej umrzeć ziemi,
Dobrze że są współwygnańce,
Pogawędzić można z niemi
O ojczyznie, o kochance . . .

. . . .

„Posiadajcie przy ognisku,
Niechaj ciepło was ogrzeje,
Dłonie dajcie do uścisku,
Niechaj serce weseleje!
Zapomnijmy o dniach czarnych,
O ponętach świata marnych,
Ślijmy czarkę na około,
Niechaj będzie nam wesoło! . . .

. . . .

„Czarki w górę, w górę głowy!
Hej! przypijmy do Makara!“
Temi Janek odrzekł słowy:
„Do siwuchy hejże wiara!“
Kielich obszedł dookoła,
Lecz wesela nie wywoła . . .
Bo kto spojrzy na Makara,
Temu w oku łza zaświeci,
W myśli śmierci staje mara
I mogiła co się kwieci ...

. . . .

Nie po myśli dziś staremu
Smutek braci i milczenie —
Pogawędki chce się jemu,
Bo na myśli ma wspomnienie . . .

. . . .

„Ho! coś bracia zasępione
Wasze miny, wasze oczy —
Wąsy na dół opuszczone
I po licach łza się toczy?
O! otrzyjcie łzy co płyną,
Niech nie patrzą na łzy wasze,
Bo i j a mam krew nie siną
I j a pomnę swojskie ptaszę . . .
Ptaszę białe co bujało
Po przeźroczach, po błękitach,
Co jak anioł nam jaśniało,

Co jak śniegi na gór szczytach
Blaskiem słońca wybielało! . . . .
. . . .“

„Ach! wam bracia nie wesoło . . . .
I mnie chmurne świata koło:
Bo kto pośród ludzi dobrych,
Kto żył pośród braci chrobrych,
Temu ciężko, ciężko temu,
Jak sierocie żyć samemu! . . .
. . . .“

„Hej, w ojczyznie nie sam byłem!
Bez trosk w błogiem szczęściu żyłem
I o szczęściu jeszcze śniłem! . . .
Dziś po śniciu, po marzeniu —
Mnie ostatnia chwila bliska,
W dawnem błądzi myśl wspomnieniu
A pierś zmora jakaś ściska! . . .
. . . .“

„O! pamiętam kiedy czasem,
Siadłszy na koń popod lasem,
Popod pola i ogrody,
Koło stawu czystej wody,
Mknąłem z wiatrem na wyścigi!
Górą szumią mi topole,
Tam czernieją lasu brzegi,
Bliżej jar zielony w dole,
W jarze domek, sad z wiszniami,
Bluszcz się wije pod oknami
I umaja domek biały,
Co się w zieleń ukrył cały.
Widzę domek ten dziś jeszcze
I ta lipa mi szeleszcze,
W której cieniu, o! tak miło,
O dniach szczęścia nam się śniło . . .
. . . .“

„Dawniej ja byłem swobodny, wolny,
Latałem sobie jak ptaszek polny,
Jam roił szczęście, gonił marzenie:
Cóż mi zostało? Jedno wspomnienie —
Lecz kiedy wspomnę na szczęścia chwilę,
To myśl ku smętnej spada mogile! . . .
. . . .

„O smutne, smutne dziś myśli me,
Jeszcze w pamięci mam chwile te,
Kiedym jak dziecię marzył i śnił
I szczęściem drugich sam szczęsny żył! . . .
. . . .“

„Zadumany, zasłuchany,
W wiatrów wiewie, w lasów szumie,
Patrzę na szczyt rozświetlany
Słońca łuną — a w zadumie
Słyszę lubej mojej śpiew,
I cień widzę mej dziewczyny
Tam w altanie, w wieńcu drzew; . . .
. . . .“

„Widzę ciebie, widzę w bieli . , .
Szczebioczesz mi jak anieli,
Widzę ciebie, och! w tej chwili! . . .
Gdzieżeś luba? tyś w mogile . . .
Kurhan mały wysypano,
Słowik z wikli tam co rano
Leci nucić ci piosenki.
Kurhan stroi się w sukienki
Z kwiatów białych, co na skroni
Nieraz miałaś i w swej dłoni!
Gdzieżeś luba? uleciałaś —
I ty doli tu nie miałaś!
Uleciałaś by nie wrócić,
By mi duszę tak zasmucić!
Lecz tyś szczęsna — tam w błękicie
Inna dola, inne życie! . . .
. . . .“

„Pochowano mą panienkę,
Białą dano jej sukienkę,
W białe kwiaty skroń ubrano,
W rączki mały krzyżyk dano . . . .
. . . .“

„Widziałem ją na pościeli;
Wybielała jak anieli,
Jakiś urok bił z jej licą:
Usta w uśmiech ułożone,
Włose w okręg rozpuszczone —
Cudny miała sen dziewica! . . .
Patrzyłem na nią jak w obraz święty,

Na ustach moich skarga zamarła
I od boleści stałem objęty,
Co oddech w piersi mojej zaparła! . . .
Potem uczułem w sercu ból,
Wybiegłem z domu w zielony las,
Błądziłem długo śród złotych pól,
Lecz rany w sercu nie zatarł czas —
Bo i dziś jeszcze na jej wspomnienie
Nabiega w piersi mojej westchnienie . . .
. . . . “

„Podsyćcie ogień polanem,
Niech światło jego nie gaśnie,
Ale niech płonie mi jaśnie,
Jak odblask łun nad kurhanem:
Bo mi już w duszy dość ciemno,
Ciemność w koło mnie, nademną.
Niechaj mię ciepło rozgrzeje,
Niechaj mi ogień jaśnieje! . . . .
. . . . “

„Zimno mi w duszy i w łonie!
Hej bracia, dajcie swe dłonie,
Niech was pożegnam na wieki,
Zanim snem wiecznym powieki
Przygaszą moją źrenicę.
Podajcie jeszcze rusznicę,
Co wiernie dotąd wytrwała
A nigdy darmo nie grzmiała! . . .
I ty szablico ma rdzawa,
Nieraz obroną mi byłaś,
Plama na tobie dziś krwawa:
Bo dawniej nieraz krew piłaś!
Znali cię wrogi po błysku
I dziś się błyszczysz w ognisku . . .
. . . . “

„Żegnajcie wszyscy, rzucam was,
Dosyć się żyło . . . . przyszedł czas . . . .
Żegnajcie, moje niwy rodzone,
Żegnaj kurhanku, drzewa zielone! . . .
. . . . “

Pożegnał wszystkich i kona . . . .

. . . .

Burza ucichła szalona,

Z za chmury promień wybłyska,
Jakby z złotego ogniska.
Szumią lasy na około,
Ptaszek śpiewa coś wesoło,
Szumią drzewa po nad wodą,
Niebo świeci się pogodą,
A wygnańca duch do góry
Ulatuje pod lazury! . . . .
A choć z żalem spogląda
Na zielonych niw kwiecie,
Nic od ziemi nie żąda:
On dość cierpiał na świecie! . . .
. . . .
Ciało w ziemię schowano:
Na grób jego co rano
Leci słowik z piosenki . . . .
Kurhan w zielne sukienki
Z nową wiosną się stroi,
A na grobie . . . krzyż stoi! . . . .
. . . .

We Lwowie 1884. r.

IGRZYSKA W RZYMIE

za czasów Kaliguli Rp. 37.

(Obrazek obyczajowy z dziejów imperium rzymskiego.)

Kajus, Germanika syn, nowy cezar szedł za Tyberjusza pogrzebem, a Rzymianie wołali radośnie:

— O nasz bucik kochany! nasz wychowanek! nasz gołąbek! gwiazda zbawienia naszego!

Wojacy mianowicie wywoływali pochwały takie

a wywoływali szczerze: bo cesarzewicz wyrósł w obozie w Niemczech wpośród wojska, tupając bucikami podkowanemi jak wojskowe; więc go wiarusy przezwali Kaligula, t. j. bucik i kochali niemniej jak ojca a widzieli w nim wybawcę ze strasznej zgrozy rządów przebytych.

Kaligula z początku nie zawodził nadziei: więc naród dziękował bogom czyniąc ofiary hojne. W trzech miesiącach zabito 160.000 bydląt na ofiary dziękczynne. Ale ukochany „bucik gołąbek“ najbardziej czuł minione czasy zgrozy, co i jego przygniatała: więc chciał sobie powetować.

Obecnie mógł rozpustować do syta i rozpustował, o ile tylko wytrzymał ustrój jego ciała, aż przebrał miarę i zaniemógł ciężko. Całe państwo ogarnął smutek i trwoga, żeby nie umarł „bucik gołąbek“ — obywatele noce całe trawili w oczekiwaniu około pałacu jego, a byli tacy, co głośno wołali ślubując: że się poświęcą radzi i pójdą w gladjatory, jeżeli mu bogowie przywrócą zdrowie.

I przyszedł do siebie: wyzdrowiał na całem ciele wyjąwszy mózgu, gdzie rozpusta pozostawiła ślady niespodziane.

Opowiadano mu smutek narodu i żal . . opowiadano poświęcenie obywateli ślubujących gladjatorstwo na uproszenie bogów.

— Którzyż to ślubowali?

Wymieniono mu ich, a Kaligula rozkazał:

— Uwięzić ich, oddać dozorcy gladjatorów: niechaj spełnią co ślubowali bogom!

Uwięziono pięciu obywateli znakomitych a cały Rzym zatrwożył się; bo tego nie bywało przedtem. Krewni uwięzionych udali się do zarządu igrzysk z obietnicami i datkami, żeby to jakoś ocalić uwięzionych. Kaligula zaś wywiadywał się i spamiętywał nazwy Rzymian poważnych, którzy go żałowali w chorobie. Herodowicz Agrippa królewicz żydowski, ulubieniec jego, donosił mu o wszystkiem i wszystkich. Kaligula radził się go, do jakich igrzysk ma ich przeznaczyć? Agrippa pomyślał chwilę i rzekł:

— Z sieciarzami i sarmatyma, co na arkan łowią . . . to będzie śmiechu dosyć! —

— Prawda! prawda! — zawołał cezar uradowany i dał rozkaz po temu.

Krocie tysięcy luda obsiadło okręg widowni: bo obwieszczenia zapowiedziały igrzyska i walki niewidziane!

Że to były igrzyska dziękczynne, więc rozpoczęto je uroczystym obchodem duchowieństwa. W płaszczu purpurowym, z berłem w ręku jak wódz tryumfujący, jechał zarządca igrzysk, poprzedzon trębaczami, otoczon drużyną przydoniów, biało odzianych. Za nim szło duchowieństwo z kapłanem Jowisza na czele: niesiono posągi bogów na noszach, każde bóstwo otoczone drużyną kapłanów wedle zakonu i sług kościelnych, jakoteż bractw nabożnych. Zatem wiedziono wołu żertwiennego o złoconych rogach, uwieńczonego kwiatami. Oddział straży cesarskiej, otaczając żertwę zamykał pochód, wyszły z świątyni Jowisza na wiecznicy rzymskiej.

Wchodzących głównemi wroty witał naród powstając, klaszcząc w dłonie i wykrzykując. Obeszli widownię dokoła, pokłonili się cesarzowi i stanęli przed żertwiennikiem Jowisza, bóstwa, od którego się poczyna wszystko. — Kapłan zmówił modlitwę, żelazo błysło, żertwa padła! Jowisz przebłagany! Krwią bydlęcia skropił kapłan piasek widowni, ofiarnicy zabrali bydlę zabite dla kapłana i dla siebie, zabrali i żertwiennik z ogniem i kadzidłem: kapłanie, dostojnicy i bractwa zajęli miejsca swoje — i nastała cisza, że mak siej! Oczy wszystkich zwróciły się na pierwszorzędne purpurą okryte ławki, gdzie siedziały kapłanki Westy: dziewice niepokalane jak płomyk bogini onej.

Kapłanka starsza, blada, łagodnie smętna... podniosła piękną rączkę, dając znak obrzędowy.

Zagrzmiały trąby, rozwarły się wrota i weszli ci, co mieli rozweselać i zabawiać cesarza, kapłanki smętne i naród ciekawy. Oni także odbyli pochód w około a mijając stolec cesarski, kłaniali się głęboko, wołając:

— Przed śmiercią pozdrawiamy cię, cezarze!

Idąc zaś wedle wodotrysku, pili wodę kto był spragnion, ustawili się i rozpoczęli. Accedones, t. j.: naganiacze, napędzali ich, wołając: accedite!

Najpierw wystąpili andabatae z zawiązanemi oczyma a mieczami w ręku. Nacierali na siebie po omacku podsłuchując, uskakując i machając mieczami w powietrzu zdala jeden od drugiego, a czasem bokiem lub tyłem zderzając się z sobą ku wielkiej rozrywce i pociesze widzów. Śmiechu było wiele, ale krwi mało trysło.

Znów zagrały trąby: ustąpili omackowie.

Weszło pięciu Rzymian rodowitych z liczby onych, którzy ślubowali walczyć w igrzyskach, byle cesarz wyzdrowiał. Za nimi postępowało pięć przeciwników, wszyscy obcokrajowi. Rzymianie w koszulach bez rękawów, przepasani pasem, mieli na głowach przyłbice żelazne gallickie z rybą zamiast grzebienia wysokiego. Ryba taka morska w Gallji zwana mormyris (wyraz fenicki oznaczający tyle, co żydowski mar-moraine t. j.: pańskie z pańskich) więc i wojacy, których przyłbice nią ozdobione, zwani myrmillones: że zaś prócz tego mieli jeszcze tarczę i miecz kosowaty (jatagan), zwano ich Gallami.

Przeciwnicy ich, też odziani w koszule bez rękawów, z gołą głową, zamiast zbroi wszelkiej mieli sieć rybaczą rozpiętą w lewej ręce, a w prawej widły rybacze trójzębne i nóż.

Stanęli przeciwko sobie nieco opodal.

Naprzeciw Rzymianina poważnego stanął olbrzymi Niemiec już niemłody, brodaty i kudłaty z ogromną siecią i widłami potężnemi, któremi wywijał w powietrzu pokrzykując głośno i zwracając się do sąsiada młodego, jasnowłosego Gota czyli Szweda:

— Nie bój się nic, bracie, kiedy ja przy tobie! za chwilę uporam się z swym brzuchaczem niewieściuchem a potem twojego przeciwnika chudego, wyłajdaczonego nadzieję na widły jak srokacz gąsienicę.... Nie bój się nic! śmiało dalej, naprzód!

Trębacze zagrali wesołą, urywaną pieśń rybaczą, sieciarze podskoczyli a Rzymianie cofali się... Niemiec stary zaśpiewał grubym głosem pieśń igrzyskową:

„Nie na ciebie dybię, ja na rybę dybię;
Czemużże przedemną tak umykasz, Gawle!“

Ledwo dośpiewał, gdy Rzymianin przystanął zasłaniając się tarczą. Niemiec wzniósł sieć do góry

a widły jeszcze wyżej. Ufny w swą siłę olbrzymią chciał przeciwnika zdala uderzyć widłami, pewien że go rozmiażdrzy. Ale Rzymianin odgadł zamysł, tarczą zasłonił się od uderzenia a wytrzymawszy je acz z ciężkością, podał się naprzód i pchnął go w bok mieczem. Niemiec obalił się jak kłoda a Rzymianin stanął mu jedną nogą na piersiach. Szwed młody, dotąd wesoły i ufny, zadrżał mimowolnie bacząc upadek mniemanego obrońcy: stracił pewność i zamiast podskoczyć śmiało, stanął składając się widłami a zasłaniając siecią. Rzymianin chudy a przezorny, podskoczył pod osłoną tarczy, a gdy po niej ześlizły się widły, ciął mieczem w sieć z boku, przeciął rękojeść drewnianą, odciął wielki palec Szweda, który opuścił rękę zakrwawioną i odrzucił widły. Był on jeńcem z wojsk Gotwalda.

Trzeciej pary walka była zaciętszą. Przeciw Rzymianinowi młodemu i dorodnemu stał chudy, cieńki, piegowaty Łotysz a raczej jaszus t. j. jeździec litewski, jeniec wojenny z zagonu czyli bastarnu*) królika łotewskiego Wanna (właściwie wajnaks, czyli: uwieńczony, ukoronowany), panującego niedobitkom słowiańskim Marobuda i szwedzkim Gotwalda. Bastarn jacyga taki, każdy był zaprawion do konia i dzidy a mniej sposobny do walki pieszej. Więc też nie ufając sobie niedotrzymywał kroku ale się cofał, upatrując chwili pchnięcia dogodnego. Rzymianin napierał coraz silniej, coraz skorzej a Litwin umykał zwracając się to w prawo, to w lewo. Przy jednym zwrocie takim potknął się na gładkiej drodze, lecz padając bodnął Rzymianina w nogę... Przewracając się przyklęknął a Rzymianin natarł, ciął go przez ramię i stanął nad nim z mieczem podniesionym. Obadwa milczeli jak głazy.

W czwartej parze przeciw Rzymianinowi młodemu stał Fenicjanin urodzon w Panonji, dostojnik punicki czyli żupan w kwiecie wieku mężkiego. Obadwaj niebyli wojakami, obadwaj byli rodu dostojnego,

---

*) Po łotewsku bastees: zaganiać się, zaciekać.

ale Rzymianin syn senatora przemarnił mienie odziedziczone i żył z tego, co pożyczył lub wygrał a nadzieję całą pokładał w obietnicy niewiast dostojnych, krewniaczek lub kochanek: że mu się wystarają o jaki urząd dochodny na dworze cesarza młodego. One też najpierw udały się do zarządcy (procurator) igrzysk z prośbą, by ocalił młodego marnotrawcę, który z żalu szczerego najpierw zawołał: że pójdzie w gladjatory, byle cesarz odzyskał zdrowie. Uzyskały też, iż mu za przeciwnika dano niewojennego żupana panońskiego. I on też był majętnym przedtem i kupczył jantarem i wyrobami kruszcowemi, był żupanem hermudurów (t. j. starostą złotników), którzy pod królikiem swym Wybilem samoistnie rządzili się nad Łabą, przewodząc rolnikom słowiańskim podobnie jak w Panonji a w przyjaźni żyjąc z Rzymiany. Ta rzymska przyjaźń była jego zgubą. Rzymski starosta w Noryku nad Dunajcem zaznajomił się z nim a bacząc przemysłowca zamożnego i dowcipnego, wszedł w spółkę kupiecką, pożyczył pieniędzy, obiecał opiekę i pomoc w kupnie jantarem na wielką stopę wprost z wybrzeży Bałtyku oswobodzonych od najazdu Gotów. Żupan miał związki z rodakami w Afryce i namówił ich, że przybyli do Italji a bacząc zysk pewny w Rzymie bogatym, puścili się ku północy do Noryku. U stóp góry Brennus Afrykanie zatrzymali się nagle: bo właśnie tamtędy pędzono niewolników z Noryku, a między nimi był ów Szwed młody i Litwin i sam żupan panoński.

Żupana wiozącego ogromny zapas jantaru i innego kupna, w górach napadli zbójce a raczej czata króla Wanna, zabrali wszystko i samego puścili ledwie nie nagiego, odstawiwszy do osady rzymskiej niedalekiej, zkąd się do starosty udał. Zamiast politowania powitan srogością:

— Gdzie moje pieniądze? gdzie mój zysk?.... nie wierzę wykrętom! a gdyby i tak było, co mi do tego! mam twój zapis, mam prawo do ciebie i twej żony i dzieci twoich.

Koniec końcem, jako dłużnika niepłacącego zaprzedał do niewoli wraz z żoną i dziećmi. Afrykanie bojąc się losu podobnego, nie szli dalej i pozostali

w górach pod opieką Sylliusza pułkownika legji III. Biedny żupan zaś oddan w niewolę koronną — więc w gladjatory. Rządca igrzysk chcąc ocalić Rzymian, przeznaczył ich do sieci jako osłabionych pochodem, niewykarmionych należycie i niewyćwiczonych.

Żupan biedny zwiesił głowę i zapłakał za żoną i dziećmi... właśnie gdy ku niemu poskoczył przeciwnik upewniony o zwycięztwie lekkiem. Tejże chwili mimo niego umykając przebiegał drużba ostatni z pięciu i zawołał po słowiańsku:

— Niżej widły, górą sieć! —

Żupan mimowoli zniżył widły nadstawione, a przeciwnik rozpędzony omal nie wpadł na nie. Nie mogąc już dobrze odbić tarczą, ciął z ukosa mieczem i przeciął drzewce. Tej jednak chwili żupan zarzucił nań sieć i szarpnął z całej siły. Rzymianin zaplątany siecią, nie mógł wydobyć ręki z mieczem, ani się też mógł sam wydobyć, bo sieć ciągła go za oną żelazną rybą wysoko na ciężkiej przyłbicy sterczącą, przyłbica zaś rzemieniami spięta nie padała z głowy: czuł że upadnie sam. Upadając wypuścił miecz, wyciągnął rękę, chwycił żupana za ożyrle (podgardle) i dusząc co siły stało, przewrócił się nań. Byłby może zadusił, gdyby żupan przeczuciowo nie był sięgnął do boku swego, gdzie wisiał sztylet... Wydobył i pchnął z wierzchu. Rzymianin ukłuty w tyłek, puścił gardło, chwycił się za ranę na tyłku i zgrzytnął zębami: bo usłyszał klaskanie rękoma, śmiech zapamiętały i wołanie:

— Hoc habet! hoc habet! (a to dostał! a to dostał!)

Żupan całą siłą trzymał nóż skrwawiony, nie było sposobu wyrwać, więc mu przykląkł rękę i starał wywikłać się z sieci... Ból straszliwy, nowy i pomroka śmierci przeszkodziły!...

Piątej pary walka była najciekawszą. Przeciwko szlachcicowi rzymskiemu obyłemu w wojnach, stał Aza z Alp północnych czyli Tatr. Był niewielki, krępy, czarnowłosy, a źrenice miał duże, bławatne; zęby białe wyglądały z ust często uśmiechniętych. Wyglądał niezgrabnie i chód miał przysadkowaty,

mocno zginając nogi w kolanach. Rzymianin wojowniczy w obec niego wyglądał jak piękne bóstwo wojny. Nikt nie wątpił że zarąbie niezgrabiasza i śmiano się zaraz na wstępie, gdy on widły wziął w lewą rękę a sieć w prawicę i przykucnął oglądając się i szczerząc zęby białe. Wojownik rzymski zmarszczył brwi, stanął do boju wedle obyczaju wojennego i bacząc że on nie myśli zaczepić, jął sam następywać. Aza niedotrzymał kroku, cofał się przykuczając i szczerząc zęby białe. Rzymianin przyśpieszył kroku, i on też jął umykać skorzej....Rzymianin poskoczył w pełnym biegu a on zwrócił umykając i obzierając się, a umykał tak szybko i podskakiwał tak zwinnie, że nie mógł być dognan. Z wyższych siedzeń, z ławek pospólstwa gruchnęły śmiechy i wołanie szydercze:

— Żywcem go złapie! żywcem go chce dostać!

Rzymianin dotknięty przymówką, pędził w poskoku aż mu zapierało oddech. Aza zwrócił się nagle, skoczył na przeciwko, przykucnął, nastawił widły trzymając lewą ręką oparte o ziemię i ruszając to w prawo to w lewo, sieć zaś wzniósł cokolwiek. Rzymianin omal że nie wpadł na widły, zwrócił się w bok nadstawiając tarczę. Tej chwili skoczył Aza, zarzucił mu sieć na przyłbicę a widłami uderzył w bok i zabił.

Poczem gdyby błyskawica poskoczył ku żupanowi, dzgnął Rzymianina przygniatającego; skoczył na trzeciego, co stał nad Litwinem, zabił i jego bez trudności, bo to był ranny w nogę i nie mógł sprostać. Więc chwycił sieć podrzuconą, poskoczył ku czwartemu, zwalił z nóg zwycięzcę Szwedowego, zatrwożonego.

Ostatni Rzymianin opamiętał się z trwogi, która go przejmowała a jako człek wojenny stanął odpornie z podniesionym mieczem, zasłonięty tarczą. Aza przyskoczył i przykucnął szczerząc zęby białe a widły znów wziął w rękę lewą. Rzymianin czekał stojąc, on zaś czekał kucząc. Trwało to dość długo, a widzowie równie jak oni obadwa zachowali milczenie grobowe. Z podziemiów tylko dolatywał przytłumiony ryk zwierza dzikiego, mianowicie niedźwiedzi. Aza

dziki mimowoli roześmiał się jako z dobrej wróżby. Rzymianin zniecierpliwiony chciał poskoczyć... jednak ledwo ruszył, ledwo drgnął mieczem, Aza całą siłą rzucił sieć w górę tak, że spadła na miecz, na rękę i głowę Rzymianina: poskoczył gdyby zwierz dziki i przebił go na wskróś.

Z ławek pospólstwa zagrzmiały oklaski i rozgłos chwały: pospolita czerń cieszyła się, że padło 5 bogaczów dostojnych.... Niewolnicy radowali się upadkiem wolnych swych ciemięzców. Gladjatory zaś nie posiadali się z uciechy...

Na ławkach niższych pomiędzy dostojeństwem zapanował smutek i przygnębienie; niewiasty dostojne i zamożne wybuchły płaczem i narzekaniem... Westalki nawet łagodne, ocierały łzy. Rządca igrzysk dotąd wesoły i uśmiechnięty, zbladł i trwożliwie spojrzał ku stronie cesarza. Spotkał się z wzrokiem Kaliguli i zdawało mu się, że iskrzy się dzikością.

Przydoń cesarski pośpieszył na dół, niosąc mieczyk żelazny i dwa mieczyki drewniane. Żelazny ostry doręczył Azowi w znak, że odtąd jest wolnym obywatelem rzymskim; drewniane zaś doręczył żupanowi i Litwinowi w znak, że odtąd są uwolnieni od igrzysk i niewoli ciężkiej. Niemcom obydwom oświadczył, że pozostając niewolnikami, wolni będą od igrzysk.

Wszyscy wraz przystąpili ku stolcowi cesarza oddając pokłon głęboki, stali pochyleni przez chwilę dziękując. Na znak dany wyprostował się najpierw Aza zwycięzca i śmiało spojrzał na ławę obok cesarza, na której siedziały dziewice i niewiasty najdostojniejsze. Teraz dopiero spostrzeżono, że on ani przysadkowaty ani niezgrabny, że on wprawdzie nie wysoki ale też nie mały, barczysty, krępy o obliczu pięknem a ślicznej, bławatnej źrenicy dużej. Najpiękniejszej z pięknych spojrzał przypadkowo w oczy... Zapłonęła rumieńcem zorzy, roześmiała się, klasnęła w dłonie białe. Sąsiadki jej wesołe jęły także klaskać a za ich przykładem niewiasty dalsze i widzowie wszyscy. Wśród oklasków wychodzili bramą ocalenia (porta sanavivaria). Grajkowie huknęli w trąby wesoło, aby zatrzeć wrażenie smętnego widoku, bo grabarze osękami wywlekali pole-

głych. Zagrali potem pobudkę świeżą i wjechali zapaśnicy nowi.

Konna drużyna wjechała: także Rzymianie z Sarmatyma czarnomorskiemi. Rzymianie uzbrojeni w dzidy długie a Sarmaty bez broni jeno z miedzianą tarczą małą i arkanem w ręku. Rzymianie ci też ślubowali igrzyska a władając dobrze koniem i dzidą, chętnie przystali na walkę z bezbronną dziczą sarmacką według porady rządcy, przekonanego że zwyciężą.

Sarmaty dzieci stepu, na dobrym koniu w piaszczystej równi z arkanem w ręku, byli w swoim żywiole. Gdyby po stepie, tak hasali po piasku widowni to uciekając szybko, to nacierając a zwrotem nagłym uchodząc pchnięcia dzidy i niespodzianie zarzucając arkan. Rzymianie jeden za drugim uchwyceni za szyję i zadziergnięci spadali z koni a Sarmaci wlekli ich po piasku z dzikim okrzykiem radości, któremu wtorowały wrzaski pospólstwa. Rzadko który z upadłych zdołał rękoma uchwycić powróz zadzierzgnięty na szyi i ochronić się od zadławienia.... Ginęli marnie jeden po drugim... pospólstwo klaskało i wyło z radości — dostojnicy z żonami i dziećmi ocierali łzy lub płakali głośno. Pozostał jeszcze jeden tylko wojak dzielny na koniu najdzielniejszym. Dwa razy już najechał go Sarmata nie mogąc zarzucić arkana i sam ledwo umknął ugodzon w twarz, co się nią zasłaniał: zdawało się, że ulegnie, bo Rzymianin górował odwagą i zimną krwią. Widzowie uciszyli się śledząc każdego ruchu zapaśników, Kaligula wytężał wzrok a kapłanki łagodne pokraśniały rumieńcem. Sarmata widocznie zatrwożony, przygarbiał się na koniu ujętym krótko, tak że z podniesionym łbem niecierpliwie deptał piasek w miejscu niemal. Rzymianin okrążył go półkolem i skoczył nań całym pędem z podniesioną dzidą, jakby do rzutu. Sarmata tej chwili przypuścił konia, rzucił arkan a koń rzymski, gdyby piorunem rażon runął o ziem, przywalając sobą jezdca i gruchocąc mu piszczel nogi. Sarmata dziko gwizdnął na palcu a pospólstwo gruchnęło okrzykiem podziwu, oklaskiem uwielbienia.

Cesarz zerwał się i odszedł, tak samo westalki i niewiasty dostojne, a dostojnicy i obywatele za-

możni oddalając się w smutku, długo jeszcze słyszeli dzikie okrzyki tłumu wyjącego z radości. Kaligula od niewiast płaczących wywiedział się, że rządca naumyślnie Rzymianom dał przeciwników takich: więc go kazał przywołać i bez pytania, bez śledztwa, kazał go chłostać łańcuszkiem cieńkim a zbroczonego krwią kazał rzucić do więzienia. Skazani do igrzysk rozpustnicy byli ulubieńcyma Pyzalidy rozkosznicy, której wdzięków ofiarą był cesarz młody: narzekanie więc niewiast i opowiadanie układów z rządcą dochodziły i rozjątrzały Kaligulę. Nazajutrz znów w oczach swych kazał rządcę chłostać łańcuchem zapowiadając iż to nie koniec... gdyż za każdego z osobna będzie chłostany. Jakoż w dni kilka znów się chciał znęcać nad nieszczęsnym; ale gdy go przywiedli siepacze, cesarz zdziwił się: co to za smród nieznośny daje się uczuć? gdyby zgnilizna, gdyby ścierwo zdechliny. Przekonał się, że to od rządcy bije taka woń okropna, od jego ran gnijących podczas upałów strasznych...

— Wyrzucić go! wyrzucić na wyspę Tybru... niech tam zgnije cały! —

Rozkaz cezara wypełniono.

Długi czas nie mógł się cezar uspokoić, ciągle narzekał na rządcę igrzysk, który Rzymian dostojnych wydał na upokorzenie dziczy. Więc jął podziwiać zręczność tej dziczy, mianowicie onego Azy, co pięciu przeciwników jednego po drugim gdyby zmiótł z ziemi. Kazał go przywieźć przed oblicze swoje.

— Kto ciebie wyuczył takiej walki? mów! jak się zowie twój nauczyciel, ja go tu chcę mieć w Rzymie... kto on?

— Niedźwiedź w górach moich rodzinnych.

— Jaki niedźwiedź? w jakich górach...

— Niedźwiedź leśny, po naszemu hoba albo majrucha, co znaczy tyle co lasowy, leśny: bo zamieszkuje góry lesiste śniegiem okryte, od nas zwane Toit-ur, t. j. śnieżne góry na północ od Panonji.... Że zaś my zwiemy się Sarmat, więc góry one też zwane sarmackiemi. My tam po holach pasamy bydło i konie, a niedźwiedzie napadają i zabierają, więc się trzeba bronić i bronimy się dzidą lub widłami i zabijamy niedźwiedzia.

— A żywcem możnaby ich nałowić? —

— Czemu by nie! nałowićby i sto i dwasta... byle były sieci, łowce i psy.

— Dam ci sieci, dam łowców i psy..... a nałowisz?

— Byle sieci dobre i ludzie do nich, to łowców u nas podostatek i podejmią się i nałowią.

Cezar zawołał przydonia i rozkazał:

— Dać mu sieci jakie zechce, dać mu podwody i niewolniki jakie sobie wybierze i psy, jakie zechce i oddział wojska potrzebny, niech idzie z nim w jego góry... Podskarbi niech wyliczy pieniądze potrzebne... i niech wyruszą zaraz... Ja muszę mieć niedźwiedzi najmniej sto!

W kilka dni wyruszyli wedle rozkazu. Aza przybrał sobie najpierw żupana, potem Litwina, więc też Sarmat kilku konnych z arkanami jako przydoniów przybocznych; niewolnicy zaś kazienni byli do sieci i psów. Wojskowi zawiadywali żywnością. Pieniędzy dano mu tyle, o ilu nawet nie marzył.

Dostarczyli niedźwiedzi 400, któremi szczwano zwierza innego, wyprawiając igrzyska.

Szczęsny Morawski

Audaces iuvat fortuna!

Zerwana uciskiem i długą niedolą
 Wolności błyszcząca dziś struna —
Lecz smutek precz od nas, choć serca zabolą,
Audaces iuvat fortuna!
  Niech żyje nadzieja, niech niknie zwątpienie!
  Precz widmo smutnego całuna!
  Niech zabrzmi pieśń walki, niech zemsty brzmi [pienie,
  Audaces iuvat fortuna!

Czyż mnichy my? Przebóg! nam męztwo przystoi,
Nam modlić się błyskiem pioruna —
Łzy pocóż nam ronić? łza rany nie zgoi,
Audaces iuvat fortuna!

Stryj, dnia 4. Lutego 1888.

A. S. Olechnowicz.

O myśli moja!

PRZEZ

JANINĘ ANTONOWICZÓWNĘ.

O myśli moja! biała gołębico!
Czemuś się w smutek owiała żałośnie?
Wszak ponad czołem gwiazdy natchnień świecą,
Wszakże świat cały skąpany we wiośnie!
O myśli moja! Rozwiń skrzydła białe
I leć jak dawniej w jasne sfery zorzy!
Leć ku niebiosom po niebiańską chwałę,
Leć aż ku Bogu, po głos natchnień Boży!
O myśli moja! w gwarnym życia boju
Prądy cię porwą zgubne i przewrotne:
Próżno ci w świecie marzyć o spokoju
I próżno chwytać szczęścia iskry lotne!
Iskra się rychło w szary popiół zmienia,
Kwiat zwiędłe listki nad mogiłą chyli,
Brzydki chwast smutku wszędzie się rozplenia,
Czyż warto wieczność poświęcać dla chwili?
Boś ty o myśli, jak Bóg nieśmiertelna,
Byt twój, byt ducha: — jasny, promienisty:
Ty własną siłą jesteś samodzielna,
Natchnieniem twojem — Bóg — duch wiekuisty.

Jako ton pieśni, jak hymn serafina
Lot twój niech zawsze ku niebiosom zmierza;
Życie dla ciebie tam, gdzie zórz kraina,
Gdzie wszelkie bole — Ojciec — Bóg uśmierza.
Więc tak jak dawniej w złote słońca kraje
Dąż i leć śmiało, a rzuć szare cienie,
Choć skarbów swoich ziemia ci nie daje,
Niech ziemskie ciebie nie plami cierpienie.
Po nadto wszystko, co tu troską marną,
Ty płyń po niebie, jak dźwięk lutni czysta!
Nie tonem skargi, lecz pieśnią ofiarną
Rozpłyń się w dźwiękach, jasna, wiekuista!

Lipnik, 26. Kwietnia 1888.

Wycieczka na Wezuwjusz.

Niezmordowanie snuliśmy się od kilku dni po ulicach Rzymu od kąta do kąta, stawając nieraz jak nasi chłopi, gdy przyjadą do miasta, by podziwiać starożytne pamiątki i arcydzieła sztuki, które niemal co kilka kroków zatrzymywały nas i jakby łańcuchem przykuwały do siebie z tą tylko różnicą, żeśmy jakoby znawcy zachowali się po europejsku i bezpotrzebnie nie otwierali gęby. Raz człowiek przenosił się myślą w czasy pierwiastkowe Romulusa, gdy widniała na budynkach wilczyca karmiąca niemowlęta, to znowu na kapitolu przypominał sobie Gallów i gęsi, które Rzym wybawiły! Palatyn ze sąsiedniem forum romanum naprowadzał na myśl czasy potęgi rzeczypospolitej i świetności cezarów a przeciwległa skała tarpejska i więzienia mamertyńskie stoją jako świadki wymiaru sprawiedliwości i kary. Łuki tryumfalne mówiły o podbojach i zwycięztwach a bliskie colosseum, sterczące w ruinach pozostało się niby

niemy świadek zepsucia obyczajów, upadku moralnego, rozbestwienia i zdziczenia Rzymian; wiatr szumiący po zapadających się galerjach przypomina szalone wrzaski widzów, dzikie wycie motłochu rzymskiego: „panem et circenses“ i smutne a rozpaczliwe głosy gladjatorów: „morituri te salutant, Caesare!“ Pantheon, ów pomnik pomięszanych pojęć u Rzymian starych i świątynia wszechbogów i ogólnej wszechwyznaniowości, bez różnicy na bogi domowe lub obce, przetrwał wieki na swych fundamentach w dawnej postaci aczkolwiek przebudowywany, i stał się ku sławie odrodzonej nauki — przybytkiem jednego Boga, Boga wszechpotęgi i wszechświatów, oraz grobem tysięcy męczenników chrześcijańskich, którzy zatarli krwawe ślady pogańskich ofiar! A katakumby przepełnione szczątkami rycerzy Chrystusowych, rozszarpanych przez dzikie zwierzęta, palonych na stosach, ponoszących śmierć krzyżową lub pod toporami, zdają się co chwila szeptać tyrański rozkaz Nerona: „Christianus, ergo moriatur!“ Smutne miejsc tych widoki ustępują wnet innym obrazom, przedstawiającym potęgę wyroków bożych w przecudnych świątyniach Boga prawdziwego, które wznosząc się często na ruinach pogańskiej przeszłości, swoją wspaniałością, bogactwem i ogromem zdają się poglądać z politowaniem na wrogie poprzedniki. Owe siedm pagórków uchyliły czoła przed jedną skałą Piotrową, i gdy ta opoka oparła się o wzgórze watykańskie, drobne jej odłamki rozprysły się po całym Rzymie i wyrosły w przecudne bazyliki; Tyber tylko płowy rozdzielił je, pozwalając przecież na swym grzbiecie oprzeć przepyszne mosty.

Kiedy tak po całodziennem jeżdżeniu i łażeniu po brukach rzymskich ledwieśmy nogi zawlekli na Monte Pincio, a usiadłszy pod cieniem palm i cyprysów, całą piersią odetchnąć usiłowaliśmy wonnem i świeżem ciepłem powietrzem, odzywam się do towarzyszów, że dobrzeby było zmienić przedmiot naszej uwagi i zrobić wycieczkę w okolice Rzymu dla odświeżenia umysłu, bo w głowie powstaje już chaos i gmatwanina z nawału wrażeń tak poważnych; wspominam n. p. Tiwoli, Neapol, i dodaję, że jak być w Rzymie a papieża nie widzieć, wydaje mi się nader

śmiesznem, tak zwiedziwszy wieczne miasto i mając po temu sposobność a nie zebrać się na tyle chęci i dobrej woli, by zaspokoić swą wcale niegrzeszną ciekawość i zobaczyć tak przez poetów opiewany Neapol, wydaje mi się nadzwyczaj opacznem, i dla tego też pomimo zmęczenia i znużenia pod każdym względem, noszę się z tą myślą i zaklinam was i proszę na wszystko, byście się puścili zemną w dalszą drogę i nieoparli się aż chyba na wierzchołku Wezuwjusza! Rada moja została dobrze przyjętą i po odbytem głosowaniu postanowiliśmy rannym pociągiem dnia następnego puścić się w drogę. Rano dnia 18-go Kwietnia r. 1888-go o godzinie ósmej znajdowaliśmy się też na dworcu kolejowym w Rzymie w kółku ośm osób, z kartą kolejową do jazdy, a kiedy pociąg z napisem: „Napoli“ zajechał, wsiedliśmy do wozów z upragnieniem chwytania dalszych nowych widoków!

Ze Rzymu wyjechaliśmy we mgle, ale wnet za miastem poczęło się rozjaśniać i oczom naszym przedstawiły się prawą stroną długo, — może z milę — wśród winnic ciągnące się stare rzymskie wodociągi, jeszcze gdzieś z czasów Klaudjusza, ale już w ruinach i późniejsze z różnych epok, lewym zaś bokiem sterczą wzgórza skaliste z rzadką uprawą zboża.

Gdyśmy dojechali do Velletri (dawniej Velitreae) zrobił się dzień piękny, pogodny, więc mogliśmy rozglądać się po okolicy; naokoło Velletri i ku południowi rozciągają się obszerne, okiem nie przejrzane, pastwiska ze stadami bawołów, stanowiące początek tak zwanego przez Rzymian: ager pomptinus, a dalej ku morzu ciągną się błota pontyjskie (Pomptinae paludes). Za Velletri pociąg kieruje się więcej w góry, dla tego też i okolica skalista mniej ludna i dzika. Koło Anagni są już góry wysokie, a co się wydawało nam najdziwniejszem, to że pod tem pięknem, ciepłem, włoskiem niebem wierzchołki niezbyt znowu wysokie, śniegiem były pokryte, ale za to na dolinach wiosna w całej pełni, np. przy Frosinone na wzgórzach dęby bez liści wśród uśpionej wegetacji, a w dolinach czereśnie kwitną, a chłopi z śniadawą cerą ubrani

wedle naszego zwyczaju po małomieszczańsku orzą bawołami, sieją zboża, sadzą ziemniaki i t. d.

Pociąg nasz pędził szalenie, dla tego też jazda okolicą górzystą i skalistą nie przykrzyła się, bo co chwila następowały nowe stacje, a góry nagie same przez się nasuwały nam przepyszne krajobrazy. Około Ceprano Aquino (dawne Aquinum) i San Germano na wzgórzach stare zamczyska w ruinach; w dali miasteczka, które we Włoszech prawie w ogóle są budowane na miejscach podniosłych niezawodnie dla przewiewu, a może by uprawiać doliny i wyzyskać ich żyzność. W Monte Cassino (dawne Cassinum) ponad miastem zamek, a jeszcze wyżej jakby w obłokach ogromny kościół i klasztor Benedyktynów na łysej górze, dokąd droga wężem prowadzi; dalej góry się rozsuwają i tracą swoją sukienkę śniegową, natomiast pokryte są więcej drzewami w liściu i zielenią, wśród czego zamczyska jak w Mignano i Caianello Vairano wyglądają nader uroczo. Za Caianello Vairano, zkąd wyjechaliśmy o kwadrans na pierwszą z południa drogą kolejową wrzyna się w równiny, pokryte wybujałą roślinnością i zbożem w kwiecie. Gorąco nam dokuczało, bo był upał jak w skwarne nasze dnie lipcowe, na szczęście w Teano zakupiliśmy sporo pomarańcz i wina, tośmy się krzepili w utrapieniu i dodawali ducha, pijąc wino w braku kieliszka łupą z pomarańczy. Bawiło nas to cokolwiek, a najlepiej ubawili się dwaj Włosi z Medjolanu jadący ze Rzymu razem z nami w coupé, a którzy wiedząc żeśmy Polacy, starali się nam przez całą drogę okazywać życzliwość swoją.

Za Teano zaczyna się już Kampania, ów szpichlerz Włoch z winnicami jak oko sięga i łanami pszenicy i ryżu. Zdaje się człowiekowi, że wjeżdża w jakieś ogrody cytrynowe i pomarańczowe! Te widoki romantyczne, to ciepło i powietrze przyjemne a może i sok winny jakoś tak rozmarzyły i ukołysały człowieka, że oczy zaczęły obojętnieć na wszystko i poczęły się przymykać. Wtem jeden z towarzyszów podróży trzymający mapę w ręku ogłosił nam, że dojeżdżamy do rzeki Volturno (dawne Vulturnus), nad której brzegiem leży Kapua, miasto

dosyć duże, ustrojone w kilka ładnych kościołów z katedrą piękną na czele i wielkim ratuszem. Słowo to rozległo się po coupé i wszyscyśmy zwrócili nasze oczy na pokazujące się nam mury miasta. Jest to Kapua nowa nad samym brzegiem Volturna, położona wśród winnic i gajów pomarańczowych na żyznej równinie, pokrytej sałatą, kapustą, cebulą i przeróżnem warzywem. Aleje sosnowe szerokie i długie, łączące jedną willę z drugą, przypominały nam nasze bory, ale grupy cyprysów i żółte pomarańcze na drzewach rozwiały od razu złudzenie i wskazały kraj inny, obcy, różniący się bardzo znacznie od naszej nieszczęśliwej ojczyzny. Wśród winnic, pomarańcz, orzechów, cyprysów, alei sosnowych i topolowych dojechaliśmy do miasta Santa Maria di Capoa, które zbudowane jest na gruzach dawnej Kapuy. Szare kamienice i stosy gruzów cofają pamięć w czasy dawniejsze, w czasy zapasów potężnych Rzymian ze zwycięzkim Hannibalem.

Kapua starożytna była drugiem miastem Italii aż do czasów, gdy się z Hannibalem połączyła przeciw Rzymianom. Dobrobyt i bogactwo dozwalały Kapuańczykom urządzać sobie wygodne życie i otwierały wrota do zbytków, rozpusty i zniewieściałości. Wśród dostatków i wygód tracili hart ducha, a życie bojowe wzbudzało u nich wstręt i odrazę. Opowiadają dzieje, że naczelnicy Kapuy usiłowali zawładnąć całą Italią a miasto swoje ogłosić jej stolicą; dla dopięcia tego celu podnieśli rokosz, wyrżnęli do nogi w łaźniach, bawiących u nich Rzymian, a po bitwie pod Kannami w r. 216. przed Chrystusem, kiedy to pospólstwo rzymskie ze strachem krzyczało: „Hannibal ante portas!“ (Hannibal u bram!“), zaprosili zwycięzkiego Hannibala, obozującego w Kampanii, w swe mury na leże zimowe i z nim się połączyli. Okoliczność ta bardzo była Hannibalowi na rękę, a miasto kwitnące i pełne bogactw bardzo mu przypadło do gustu, bo właśnie potrzebował takiego miejsca wypoczynku dla wyleczenia rannych, oraz dla wytchnienia skołatanego ustawicznemi walkami wojska i dla zgromadzenia nowych posiłków zwłaszcza że mieszkańcy Kapuy przyjęli go z całą serdecznością a wojsko jego otoczyli najsta-

ranniejszą opieką. Ale właśnie opieka ta i życzliwość zaszkodziły Hannibalowi; bo wygodny i miękki miastowy sposób życia udzielał się niebawem i jego wojsku, które zasmakowawszy w rozkoszach, porzuciło karność obozową, a z bitnych i na trudy wojenne obojętnych, stawało się gromadą niewieściuchów. Mniemają też niektórzy historycy, że do upadku Hannibala przyczyniły się głównie owe leża zimowe kapuańskie, z których żołnierze jego wyszli w pole ociężali, zniewieściali, w spodnicach! Z wiosną zostawił Hannibal Kapuę pod opieką małej tylko załogi, sam zmuszony staczać bitwy z Rzymianami w innych miejscach, otóż gdy Kapuę opuszczoną oblęgli i zdobyli Rzymianie po rozpaczliwej obronie mieszkańców, wtedy zburzyli miasto a mieszkańców wiarołomnych i zdrajców częścią w pień wycięli, częścią z miasta wygnali, wielu i to najznakomitszych obywateli i przywódców w rozpaczy wypróżniło puhary z trucizną w dniu poprzedzającym upadek miasta, a resztę okuli zwycięzcy w kajdany; odtąd już się Kapua nie podniosła do dawnej świetności, aż wreszcie dzicy Wandalowie spustoszyli ją do szczętu. Miejsce dawnej Kapuy oznaczają dotąd ruiny amfiteatru nakształt rzymskiego kolosseum, gdzie ćwiczono gladjatorów na całe Włochy.

Ale nie dziw, że Hannibal obrał sobie okolice te na leże zimowe, bo też tu prześlicznie! Równiny żyzne, zasiane ogrodami drzew figowych i pomarańczowych ciągną się aż ku morzu, a winne latorośle rzędami sadzone tworzą jakby żywe płoty wysokie, dzielące jedne kawały ziemi od drugich. Rozkoszną tą doliną przekrada się kolej pomiędzy winnice i odsłania miasto Caserta z królewskim zamkiem wspaniałym i przepysznymi ogrodami, ciagnącymi się bez przerwy i tworzącymi prawdziwy raj ziemski. Niedawno też część ta włoskiej ziemi aż do Neapolu nosi nazwę Kampanii szczęśliwej (Campania felix.) Wśród dalszej drogi z lewej strony na wzgórzach, pokrytych lasem oliwkowym bawi oko w miły sposób kościółek ze zwaliskami zamku u stóp swoich, a na nizinach drzewa morwowe tworzą całe gaje, na które wspinają się winne latorośle i wyglądają niby

sieci rozpięte po gałęziach, a topole strzelając do góry wesoło, ciągną za sobą winną jagodę i nibyto drwią z sosen i ciężarnych owocem cytryn i pomarańcz, które w tym czasie po raz drugi uszczęśliwiają mieszkańców; pomiędzy drzewami zaś buja zboże i krzewią się ochoczo rozmaite jarzyny.

Dusza radowała się widokiem płodności ziemi, najeżonej drzewami i umajonej zielenią zbóż i traw, ale też i wielka budziła się ochota zastosować z kilka paragrafów kijowskiego kodeksu osmalonym Włochom i Włoszkom, podobnym do naszych cyganów włóczęgów a urządzającym sobie pod cieniem drzew wśród ciepła swoje zwyczajne farniente. Już to oni widać nie grzeszą zbytkiem pracowitości, bo sama natura żywi ich łatwym sposobem, dostarczając dużo owoców i różnych traw, które mieszkańcy tej krainy w dosyć pojedynczy sposób przyprawiają na sałatę z oliwą a zakrapiają winem czerwonem, którego mają wielką obfitość, a kiedy się im uprzykrzy zbieranie owoców i sałaty, to wielu z nich przekształca się w bandy lazaronów, zaczepiających szczególniej obcych przy progach świątyń; często też leżąc pod murami w cieniu, wołają oni przechodniów, by śpieszyli do nich i soldami wspierali ich próżniactwo, a zdrowsi i młodsi nierzadko tworzą bandy opryszków, których też nie brak w całych Włoszech.

Minęliśmy stację Cancello o godzinie drugiej w południe przy cieple obejmującem około 30tu stopni, a które łagodził na szczęście wolny wietrzyk, gdy wtem zdala zarysowała się góra wysoka i szeroka przymglona. Rośnie w nas coraz większa ciekawość, wytężamy oczy przez szkła, ale nad górą ciemne obłoki nie pozwalają rozeznać szczytu, — zdala pokazują się mury wysokie, — pomału przy Casselnuovo otwiera się naszym oczom Wezuwjusz!...... Mgły i obłoki, to kłęby dymu z krateru! Wreszcie Neapol!!

Wysiadamy około pół do trzeciej po południu! Dworzec kolejowy ogromny i przepysznie zbudowany, a panuje w nim ruch wielki. Nie mając ze sobą żadnych tobołków, rozglądnąwszy się cokolwiek, przedzieramy się przez tłumy ludzi śpiesząc do restauracji kolejo-

wej, gdzie z wielkim trudem zdobyliśmy stolik, a pokrzepiwszy się na włoski sposób i dość słono płacąc, postanowiliśmy najprzód pojechać zwiedzić pompejańskie wykopaliska i ogniem zionącą górę a z powrotem dopiero zawadzić o Neapol. Połaziliśmy trochę po mieście i najbliższym pociągiem po czwartej godzinie jechaliśmy do Pompei samym brzegiem zatoki neapolitańskiej.

Trudno wyrazić uczucie, jakiego człowiek doznawał patrząc na morze, po którego powierzchni jak punkciki szybowały łodzie rybackie, albo też różnobarwnie malowane kołysały się gondole, służąc dla przyjemności mieszkańców Neapolu i nadbrzeżnych uroczych dworków. Gdzieniegdzie w zadumie spoczywały na kotwicach parowce zdala od brzegów, dymiąc jakby dawały znaki życia, to znowu pomostem łączyły się z przystanią i ożywiały setki ludzi, którzy wyładowywali różne towary, to znowu obarczali je płodami swej ziemi. Słabe człowiek miał niegdyś pojęcie o tych morskich smokach; we wyobraźni malował sobie okręt a rysunkiem uzupełniał wiadomość, oko atoli dopiero w rzeczywistości uchwyciło prawdziwy obraz. Obudziło się również w nas wspomnienie przebytej drogi a myśl pobiegła na chwilę w rodzinne strony, do ukochanej ojczyzny! Ile to mil dzieliło nas od swoich! Jechaliśmy w kółku czysto polskiem, to też człowiek nie doznał tęsknicy, ale przecież drogimi nam się wydały nasze lasy, góry, miasta i rzeki, a chleb nasz polski po włoskich makaronach, oślem mięsie i sałatach, na samo wspomnienie łechtał podniebienie mile.

Pierwszą stacją za Neapolem jest miasteczko Portici, które wraz z następnem Resina, stoi na miejscu dawnego Herkulanum (Herculaneum). Pociąg wiozący nas a kierowany brzegiem morskim do Sorrento i dalej do Włoch południowych, zatrzymywał się na stacjach krótko, tak więc przejechaliśmy szybko przez Torre dell' Greco i Torre dell' Annunziata do Pompei. Przez całą drogę patrzyliśmy to na morze, to na Wezuwjusz, który jakoś ciągle był we mgle. Około pół do szóstej zatrzymaliśmy się na stacji Valle (Val) di Pompei (dolina pompejańska), tuśmy wysiedli

a mając informację udaliśmy się wprost z dworca do hotelu „de Soleil.“ Na nasze nieszczęście hotel cały był zajęty, ale gospodarz, nader uprzejme Włoszysko, pocieszał nas jak mógł i tłumaczył, że nas umieści na swoją odpowiedzialność w sąsiedniej willi, gdzie też nas zaraz zaprowadził i prosił, byśmy się rozgospodarowali. Po przyprowadzeniu naszego ubrania do możliwego porządku udaliśmy się na powrót do restauracji na objad, gdzieśmy się również umówili o cenę całodziennego utrzymania z mieszkaniem a zarazem zamówiliśmy konie na jutrzejszą wycieczkę do krateru. Tu wspomnieć muszę nawiasem o tem, cośmy jedli w Pompei, dlatego że kuchnia włoska nie idzie w parze z polską, a powtóre że włoskie przysmaki stały się dla nas powodem niespodzianej znajomości. Otóż usiedliśmy za stołem, spoglądając na gości i nawzajem obserwowani od stóp do głowy, przynoszą bułki i rosół jakiś szary z ryżem nieodłącznym, nadzwyczaj homeopatycznie urządzony, bo bez wszelkich okazów tłustości, jako domieszkę porcję tartego sera szwajcarskiego. W imię boże zgłodniali spożyliśmy to w cierpliwości, — po rosole rybki morskie, malutkie jak palec, smażone na oliwie ze silnym zapachem tranu rybiego; poczynamy pomiędzy sobą mruczeć na dobre i kląć od ucha, boć przecież Polak, jak głodny, to zły. Wtem przysuwa się do nas dwóch młodych panów i uspokajają nas przemawiając po polsku, — osłupieliśmy na to zjawisko, — a gdy się nam przedstawili jako młodzi malarze z Litwy, bawiący tu dla zdejmowania widoków a właściwie kształcący się w Neapolu, radość nasza nie miała granic, a chociaż pierwszy raz widząc się, ściskaliśmy się jak bracia! Sprawili nam wielką pociechę i ulgę, bo nam pomogli wymyślać na włoskie makarony. Podano nam następnie kurczęta ze sałatą i dopiero tem daniem ułagodzono ducha rewolucyjnego w nas, — po kurczętach ser parmezański, jabłka, pomarańcze, figi i wina całą flaszkę na osobę. Ostatnie danie jakoś najlepiej trafiło nam do przekonania i dało wyobrażenie o Włochach, że oni przecież czasem mają jasny rozum i wiedzą, co się komu należy! —

Po skończonym objedzie, a było to już dobrze po zachodzie słońca, udaliśmy się na nocleg, by pokrzepić się upragnionym snem. Pomieszkanie, któreśmy zajmowali, był to dom mieszkalny kampańskiego chłopa, zbudowany w następujący sposób: na dole, czyli jak się wyrażamy, na parterze były komory, kuchnia, składy na owoce, wozownia i t. d., na górze zaś, czyli na piąterku, dokąd zewnątrz prowadzą schody, było nad jedną połową parteru mieszkanie obszerne o dwóch izbach wybielonych i przystrojonych w mnóstwo obrazów religijnych ze świecącą się lampką przed Madonną, — z izb ze sobą połączonych wychodziły osobne drzwi na drugą połowę parteru, która zamiast dachu cała wyłożona poziomo kamiennemi płytami i otoczona takiemi samemi poręczami służyła dla przyjemności i wygody, by tam po pracy i skwarnym dniu odpocząć wieczorem w chłodzie na świeżem powietrzu. Na górną część, która rownież nie miała dachu, ale była pokrytą na podobieństwo poprzedzającej i służyła do celów powyższych, prowadziły drugie schodki, z czego nie omieszkaliśmy skorzystać, i wydostawszy się na wierzch, przypatrywaliśmy się ostatnim blaskom słońca, które się gdzieś w morzu utopiło, i migotającym światełkom na okrętach i łodziach, krążących po zatoce neapolitańskiej. W całym domu drzewa bardzo mało, bo z wyjątkiem drzwi i okien, wszystko z kamienia; łóżka żelazne, ale szerokie, tak że wygodnie spać można w nich w trójkę. Do tej willi przytyka ogród duży pomarańczowy z dojrzałym owocem na drzewie, po ścianach wije się winna latorośl, opodal żyto okwitające, kartofle duże, konicze skoszone, pszenica w kłosie, soczewice dokwitające i w strączkach. Mój Boże! któż w naszej biednej Galilei pomyśli o tem, by 18-go Kwietnia u nas to wszystko zobaczyć?!

Odwiedzili nas w pomieszkaniu właściciele tej willi: stara Włoszka z córką, młodym zięciem i synem młodym chłopcem, wszyscy o śniadych cerach! Wypytywali się nas, zkąd jesteśmy i okazywali gestami i uśmiechem swoją uprzejmość, życząc nam: „bona notte,“ my jednakowoż pomimo ich zapewniań i uprzejmości pozamykaliśmy się i pozasuwali na

wszystkie sposoby. Na drugi dzień rano o piątej byliśmy zebrani; z radością powitaliśmy prześliczny pogodny dzień i wschodzące słońce, którego promienie kąpały się w morzu i suszyły na przyległych skałach nadmorskich. Przepyszny widok odsłonił się oczom naszym: z jednej strony morze a z drugiej Wezuwjusz jakby starowina lulkę palący i co chwila puszczający sobie świeże kłęby dymu. Gorączkowo wybraliśmy się do hotelu, zkąd po nędznej czarnej kawie, bo Włosi nie znają naszej kawy ze śmietanką, udaliśmy się o godzinie 7mej do wykopalisk pompejańskich, odległych o paręset kroków.

Z drogi widać tylko dość obszerny pagórek z kilkoma jeszcze domami na wierzchu, i aniby się można domyśleć, że w pagórku tym, w głębokości mniej więcej 20 stóp pod powierzchnią kryje się miasto wielkie, które miało liczyć do 60.000 mieszkańców. Zasypane ono zostało kamieniami i popiołem z Wezuwjusza podczas okropnego trzęsienia ziemi w r. 79. po Chrystusie, dnia 23go Sierpnia. Szczegółowo określił zdarzenie to straszne naoczny świadek Pliniusz młodszy w listach swych do Tacyta, patrząc się jak góra ta nagle otworzywszy krater buchający kłębami dymu duszącego naokoło, popiołem, rozpalonymi kamieniami i ognistą lawą zalała i zasypała pobliskie miasta Herkulanum (Herculaneum), Pompei i Stabie (Stabiæ). Przez 16 wieków przeszło spoczywały one w łonie ziemi i zostały przypadkowo odkryte w r. 1711m, gdy w teraźniejszem miasteczku Portici chciano kopać studnię i wydobyto z jamy trzy posągi, znajdujące się obecnie w muzeum drezdeńskiem. Okoliczność ta naprowadziła na cały dom, przypomniała miasta pod spodem ukryte i pobudziła do dalszych poszukiwań. Odkopywanie ze ziemi miasta Herkulanum szło i dotąd idzie oporem, bo ono zostało zalane całe lawą twardą jak żelazo i to warstwą 20 kilka metrów grubą, dlatego też roboty bardzo mało postąpiły, ale za to bliskie Pompei jest już w większej części odkopane. Można widzieć całe ulice, domy mieszkalne, świątynie, teatry, sprzęty domowe dobrze zachowane, które nam dają żywy obraz życia starożytnych. Malowidła ścian przetrwały cały ten czas

tak dobrze, że wyglądają, jakoby niedawno dopiero wyszły z pod pędzla malarza, ściany mozaikowe i posadzki, napisy nad domami i t. d., wszystko to wskazuje nam miarę nie małą rozwoju umysłowego ludzi tamtych czasów. Tu podam czytelnikom krótką wzmiankę o wykopaliskach pompejańskich, o ile mogłem pamięcią pochwycić niektóre ważniejsze przedmioty, pomijając drobniejsze.

Przy kasie nabyliśmy karty wstępu po 2 liry; pod przewodnictwem urzędnika, który ma obowiązek być dla zwiedzających tłumaczem, spuściliśmy się bramą następną (druga brama jest dla powracających) w zagłębienie i wązką uliczką zaszliśmy do muzeum miejscowego, urządzonego z części tylko wykopanych rzeczy, gdyż przeważnie wykopane przedmioty chowa się w muzeum neapolitańskiem, ale i te zbiory są nader obfite. Przerażający widok przedstawiają ciała zwęglone, czarne mężczyzn i kobiet w różnych pozycjach, na twarzach znać kurczowe boleści i śmierć okropną! Dalej są szkielety końskie, psy, koty, kury, czaszki ludzkie, owoce np. kasztany, oliwki, chleb, zboże, posągi bogów, lampy bronzowe i kociołki, dzbany, miary i różne sprzęty domowe, flaszki, materje różne, pieniądze, zbroje i t. d. Następnie ulicą trochę pod górę się wijącą weszliśmy do obszernej sali sędziowskiej z urządzoną dla sędziów galerją; tuż obok znajduje się świątynia Wenery, cała wewnątrz malowana na kolor czerwony z przyległą zakrystją dla kapłanów. Przy świątyni blisko jest forum (rynek) civile, przestrzeń ogromna ze świątynią Jowisza, w środku której znajduje się kamienny ołtarz ofiarny, a z boku sala dla senatorów. Dalej znajduje się świątynia Merkurego również z ołtarzem ofiarnym kamiennym, po bokach którego są ścieki, którymi spływała krew ze zwierząt na ofiary zabitych; zewnątrz mury tej świątyni są wykładane nakształt mozaiki. Obok jest sala kupiecka i studnia z kamiennem ocembrowąniem i posągiem bogini trzymającej róg obfitości, zwane: „abundantia.“ Zaszliśmy potem na miejsce, gdzie się krzyżują 4 drogi, t. j. 4 główne, szerokie ulice miejskie, prowadzące: pierwsza do łaźni, druga do teatru, trzecia do świątyni Merkurego i

czwarta na rynek (forum). Domy wewnątrz są pięknie malowane w kwiaty, postacie ludzkie i figury zwierzęce, posadzki marmurowe a często i mozaikowe, kolumny z marmurów z pięknymi kapitelami, na murach różne napisy, przy domach są ogródki ze stołami i wodociągami. Z domów prywatnych zasługują na uwagę szczególniej dom Korneliusza Rufa i dom Sallustiusza. Rozkłady są zwykłe: vestibulum, lares i penates, atrium, umywalnia, kuchnia, sala jadalna, często także łaźnia i ogród; majętniejsi mieli domy większe z podwójnym rozkładem i dwoma ogrodami, t. j. owocowym i kwiatowym; nad jednym takim domem na odrzwiach jest napis: „Have“ (witaj), a przy innym znowu u wejścia przed progiem na kamieniu mozaikowo wyłożony taki sam napis. Drzwi domów nie są na zawiasach, ale zasuwane na kółkach lub walcach. Jest również przepysznie urządzonych kilka łazien dla mężczyzn a osobno dla kobiet, dających świadectwo, jak dawni Italioci dbali o zdrowie i powierzchowność, bo nietylko są tam baseny duże, kamienne na wodę zimną i ciepłą, sale do rozbierania się, palestra czyli gimnastyka, sale do wypoczynku z łóżkami, ale nadto są sale do trefienia włosów i nacierania wonnymi olejkami, szczególniej w łaźniach kobiecych. Są publiczne targowiska na oliwę i wino z kamiennemi urnami, po kilkanaście rzędem ustawionych; publiczne młyny na zboże podobne do naszych żarn, piece piekarskie nie różniące się od teraźniejszych, zbiorowiska na wodę przy wodociągach, jatki, umywalnie ołowiane publiczne przy studniach, apteki z malowanymi wężami; dobrze trzyma się dotąd świątynia Izydy, urząd gminny i forum triangulare ze świątynią Herkulesa; urządzenie teatralne w półkole ze siedzeniami stopniowo do góry dla widzów, by mogli dobrze przyglądać się przedstawieniom. I rozpusta owych czasów przebija się w malowidłach i schroniskach, na szczęście zamkniętych dla szerszej publiczności, które ostały się cało wśród lawy i popiołów; w jednym domu są dotąd na ścianach obrazy, budzące wstręt w uczuciu wyższem człowieka, z drugiego wszystkie malowidła zdjęto

z murów i zabrano do osobnego zamkniętego gabinetu w Neapolu.

Mury otaczające miasto z bramą wjazdową, są już jedną stroną odkopane zupełnie, po bokach bramy są koszary dla żołnierzy trzymających straż; za bramą o kilkadziesiąt kroków znajduje się cmentarzysko dawne z kamieniami pamiątkowymi i napisami. Ulice miasta są brukowane, bokami chodniki dla ludzi a środkiem do jazdy; znać nawet dobrze wyżłobienia od kół. Przejazdy są wązkie, nie do wyminięcia, dlatego bo wjazdy były jedną bramą a wyjazd inną z przeciwnej strony.

Pod koniec zwiedzania poszliśmy na miejsce, gdzie kilkunastu ludzi pod strażą robiło dalsze poszukiwania i odgrzebywania murów. W oczach naszych odsłaniała się ściana domu, wydobywano różne przedmioty, które urzędnicy dozorujący zabierali i odnosili do składu. Z dziwnem uczuciem spoglądałem na te miejsca, na których przed ośmnastu wiekami ludzie bawili się i nawet przypuścić nie mogli, by wszystko to miało być zasypane i przez tyle lat dla oka ludzkiego zakryte!!

Około 10-tej godziny wyszliśmy z miasta podziemnego rozstrojeni, bo widoki miejsc tych budziły jakąś niezrozumiałą trwogę i przerażenie; niemal ze strachem i zgrozą, jak Lot starozakonny, opuszczaliśmy wykopaliska, z obawy nawet nie kusiliśmy się oglądać za siebie, jak gdyby nas coś goniło! Czarne, zwęglone ludzkie trupy stały nam jak widma przed oczyma, a gruzy okazałych świątyń pogańskich i mieszkań ludzkich jako dzieło mocy wszechwładnego Boga, kierującego ręką swą martwą naturą!

Urzędnik, który nas oprowadzał, okazał się bardzo grzecznym, dlategośmy mu, pomimo że to ma być zakazanem, wsunęli do ręki po cichu trochę monety, przy czem zauważyliśmy, że się za to nie gniewał, ale owszem bardzo nas serdecznie pozdrawiał i żegnał życząc szczęśliwej podróży.

Udaliśmy się znowu do hotelu, gdzie już na nas czekały konie posiodłane, przewodnik i dwóch chłopaków, którzy mieli za nami nieść w koszykach przekąskę i wino na Wezuwjusz. Spożyliśmy śniadanie składa-

jące się z koniaku, szynki, sera, fig i flaszki wina, powsiadaliśmy na konie i o godzinie w pół do jedenastej w 8 osób wyruszyliśmy w drogę. Wyglądaliśmy zabawnie na siodłach, zwłaszcza że niektórzy z nas konno nigdy nie jeździli a niektórzy po kilkanaście lat nie praktykowali tej przyjemności, ja np. jeździłem konno przed piętnastu laty, otóż jazda nasza nie obeszła się bez śmiesznych epizodów. Trzeba było widzieć, jak to my księża zakasali kuty do góry i dalejże na koń! Jechał człowiek jak drugi Piotr z Amianu! Popędziliśmy konie, ale te zwierzęta spokojnego temperamentu pełne, krocząc zwolna i to gęsiego, bo znać tak prowadzone, nie mogły czy nie chciały wyrozumieć, czego my właściwie od nich chcemy i dla czego okładamy im boki kijami lub walimy poza uszy; czasami pośpieszały, gdy się im zebrało na lepszy humor a najczęściej odpowiadały na otrzymaną zachętę wierzgnięciem nogi lub machnięciem ogona. Jechało się nam przecież dosyć wesoło, bo bractwo zaprawiwszy sobie winem fantazję, śpiewało od ucha pieśń o ślicznym Neapolu po polsku, a Włochy nasze kompany słysząc znajomą melodję, wrzeszczeli od ucha po swojemu. Prawie ze samego hotelu, przebywszy tylko małą przestrzeń równiny pomiędzy ogrody figowe i pomarańczowe i minąwszy małą mieścinę, gdzie co żyło wyciągało ręce po soldy, jechaliśmy ciągle pod górę wśród winnic, założonych na lawie zwietrzałej, sławnych swem winem, zwanem: „vinum falernum et massicum“, które to wino tutejsi mieszkańcy zwią: „lacrima Christi.“ Gdyśmy już winnice zostawili za sobą, wtedyto przed oczyma naszemi odsłoniła się piasczysta góra, ale to nie był piasek, tylko popiół na pół zmieszany z kamykami i lawą spopielałą i zwietrzałą. Z trudem jechaliśmy ciągle pod górę pustkowiem bez drzew i śladu jakiegokolwiek życia, bo tu wszystko obumarło! Wnet popiół zniknął a zaczynały się wąwozy, utworzone z lawy falistej. Konie wprawne stąpały ostrożnie pomiędzy rozpadliny wązką ścieżyną i niosły nas dumnie przez urwiska. Teraz dopiero zaczęliśmy cenić ich powolność i instynkt, bo stąpały z całą pewnością i swobodą, zaprawione do

tego widać częstą praktyką! Jeden tylko z naszego towarzystwa nie mógł się pogodzić w żaden sposób ze swoim pegazem, który częstem wierzganiem objawiał swoje niezadowolenie, dla tego też zesiadł, odstępując go przewodnikowi a sam trzymając się ogona drapał się za nami do góry. Prowadziliśmy przez drogę ustawiczną wojnę z chłopakami naszymi, którzy trzymali się końskich ogonów i gramolili się za nami do góry, a co nas najbardziej gniewało, to to, że wrzeszczeli i przeklinali na wszystkie świętości.

Wreszcie skończyła się nasza jazda, bo stanęliśmy na miejscu, z którego jechać dalej konno było czystem niepodobieństwem, gdyż góra nader stroma jakby ściana przed nami się piętrząc, utrudniła przystęp i trzeba było wspinać się na nią o własnych siłach. Zostawiliśmy więc konie przy chłopcach wraz z prowiantem, zawartym w koszykach i zaczęliśmy wędrówkę pieszo z naszym przewodnikiem. W tem miejscu jest zwykle kilku, nawet kilkunastu ludzi, którzy czekają na gości, by ich ciągnąć na pasach pod górę albo nieść w lektyce lub na ramionach, ale myśmy postanowili wydostać się na szczyt o własnych siłach. Straszna i przykra dopiero teraz zaczęła się droga! Środkiem wązki pas popiołu z kamykami, a po bokach ostro-chropowata lawa, trzeba było pomykać się coraz wyżej już to po kolana w popiele, już to nader ostrożnie po ostrej lawie. W popiele robiło się krok naprzód a krok w tył, bo popiół na spadzistości usuwał się pod stopami; z mozołem i wysiłkiem przebywaliśmy tę drogę, a Włochy jak szarańcza drażnili nas, nastręczając się ciągle z pomocą. Baliśmy się ich przytem, by nas nie opadli z kijami albo nożami i nie ograbili do szczętu, bo fizjognomie ich nie były bardzo ujmujące, a ogorzałe twarze brodate i czerwone koszule charakteryzowały ich kompletnie jako tęgich bandytów, ale w ośmiu jakoś przecież było nam śmielej, i tak dodając sobie wzajemnie otuchy, spoceni minęliśmy kawał popielistej drogi i usiedliśmy na lawie, by odpocząć. Naprzód nas jakiś młody jegomość przy pomocy dwóch Włochów przebył tę samą przestrzeń, ale gdy posłyszał od nich, że jeszcze daleko do krateru, cofnął się

nazad i pędem puścił się na dół do swego konia. Śmialiśmy się z poczciwca, że nie dopiął swego celu; pomału pięliśmy się znowu wyżej, i co kawał tośmy odpoczywali, a nasz przewodnik nucił sobie jakieś wesołe piosenki i zachęcał do wytrwałości. Wśród tej drogi mozolnej w dwóch miejscach siedzą w skleconych szałasach z brył lawy, by się chronić przed chłodnym wiatrem, przekupnie z winem „lacrima Christi“: otóż to wino nas ratowało, bo zmęczeni i ze sił opadający piliśmy je gorączkowo i to nas krzepiło i umacniało; nie wiem, czy będzie mi kiedyś wino lepiej smakować choćby najlepsze, jak na Wezuwjuszu, bo wyznam otwarcie, żem jeszcze nigdy nie pił wina z takim gustem, apetytem i pragnieniem. Nareszcie zbliżaliśmy się ku szczytowi, — silny zapach siarki zwiastował nam bliski kres naszych wysileń! Choć pomęczeni, aleśmy się przecież o własnych siłach drapali naprzód, dwóch tylko z naszych już blisko szczytu osłabłych, usłużni Włosi wynieśli do góry, a jednego wyciągnęli na pasie za dość znaczną cenę. Trafiały się już małe wygasłe otwory a niektóre bliżej szczytu dymiły i buchały gorącem. Wstąpiła w nas otucha! Oblani potem, wytężywszy resztki sił, stanęliśmy wreszcie na wierzchołku po półtoragodzinnej jeździe konno a po trzygodzinnem drapaniu się pieszo o godzinie trzeciej popołudniu, aleśmy tego nie żałowali, bo nawet we wyobraźni trudnoby było sobie to uprzytomnić, co się naszym oczom przedstawiło! Wierzch góry cały żółty od osadu siarki, wśród czego mnóstwo małych otworów dymiących i buchających warem, że trzeba było uważać, aby w otwór nie wpaść lub butów nie spalić. Gorąco niezwykłe! Dym duszący przepełniony siarką i różnymi gazami! Musieliśmy chustkami zatkać nos i usta, by gazy mniej nam dokuczały. Na szczycie zastaliśmy kilku mężczyzn z paniami nad lejkowatą krawędzią krateru, ale już trudno mi wyrazić, jakiej byli narodowości, nadmienię tylko, że wyglądali wcale dobrze i przyzwoicie.

Z otworu Wezuwjusza wydobywają się tymczasem kłęby dymu, straszny grzmot i huk podziemny, słup ognia wysoki sadzą do góry masy rozpalonych

kamieni większych i mniejszych, które spadają w bliskości otworu lub nazad do wnętrza; to samo powtarza się co minutę! Po opadnięciu kamieni szybko puściliśmy się od krawędzi pochyłością ku otworowi, by się bliżej przyglądnąć, ale druga krawędź opasująca prawie sam otwór, powstrzymała nas wnet, a gorąco straszne i zbliżający się nowy wybuch zmusiły nas do szybkiego odwrotu, by przypadkiem kamienie rozpalone w swoich skokach nie zechciały nas po ciemieniu pogłaskać! Staliśmy chwilę w osłupieniu na pierwszej krawędzi i oniemieli patrzyliśmy na te dziwa natury i nieokiełznane jej wybryki! Potęga Stwórcy objawia się tu w pełni i tajemnica rządu, wprowadzającego siły w ruch człowiekowi mało zrozumiały. Wśród grzmotów i wybuchów serce kołatało na bojaźń bożą i czuło potrzebę uległości Wszechmocnej i Wszechrządzącej Istocie! Mimowoli nasuwała się myśl, że tu chyba muszą być drzwi do piekła, jeżeli nie sam przybytek jegomości Lucypera! Na pamiątkę wzięliśmy sobie ztamtąd kawałki siarki i lawy wyrzuconej i rozpoczęliśmy powrót, ale jak do krateru drapaliśmy się zygzakiem trzy godziny, tak nazad inną drogą prosto na dół i samym popiołem puściliśmy się na łeb — na szyję! Musieliśmy się całą siłą piętami opierać, by się na twarz nie przewrócić, bo droga była prawie prostopadła, i wnet bo prawie w półgodziny byliśmy przy koniach, ale tak zmęczeni, żeśmy stać nie mogli, bo nam nogi drżały, — zdawało się człowiekowi, że go krew zaleje! Gdyby kto wtedy położył wór złota a przytem warunek, by powtórnie drapać się do krateru, to bym się już na to nie zgodził, bo siły jużby mi nie dopisały. Niektórzy z naszego kółka znaleźli się przy koniach prawie bez butów, w podartych spodniach i surdutach, które musieli w Pompei dać naprawiać, ale mimoto z uśmiechem zadowolnienia, że się nie cofnęli z drogi, ale wytrwale dotarli na sam szczyt — do krateru! Teraz dopiero zaczęliśmy nadziewać nasze żołądki i odwilżać je winem, a nie potrzebuję dodawać, że mieliśmy wilczy apetyt i zdawało nam się, że wewnątrz mamy chyba gąbki, tak jakoś trudno było rozstać się z flaszką; widać że podziemny ogień Wezuwjusza działa jak elektryka

na wnętrze człowieka i podnosi temperaturę jego naturalnego gorąca, kiedy po powrocie od krateru nie mogliśmy tak łatwo ugasić pragnienia; kilka flaszek położyliśmy trupem a przytkaliśmy to wszystko szynką i pomarańczami. Gdy wspominam o flaszkach wina, to proszę zarazem dobrze wyrozumieć, że wina włoskie nie są tego rodzaju jak węgierskie, ale lekkie i naturalne, krzepiące i wzmacniające, chyba w większej ilości użyte sprawiają chorobę podobną do kołowacizny, dlatego też wypić flaszkę wina włoskiego, oczywiście nie starego, to jeszcze nie znaczy zaraz należeć do cechu naszego praszczura Noego, zwłaszcza że widywałem tam i panie, młode nawet, które dokonywały tego dzieła a nie wykraczały przeciwko przyzwoitości; nabierały tylko fantazji i animuszu.

Odpoczywaliśmy tu dość długo, by nabrać sił a wreszcie, by napaść oczy przecudnym widokiem, jaki się ztąd roztacza na przeciwległe góry i brzegi morskie skaliste, na miasta: Castellamare, Torre dell' Annunziata, Torre dell'Greco, na wyspę Capri, zatokę neapolitańską i Neapol zdala świecący swemi murami w półkolu. Po odpoczynku i pokrzepiwszy się, wsiedliśmy znowu na konie, by udać się do nowego krateru otwartego w połowie góry, trochę niżej od miejsca, w którem czekały nasze rumaki. W bok pochyłości góry po lawie nadzwyczaj ostro chropowatej i tworzącej niebezpieczne rozpadliny, noga za nogą jechaliśmy wśród niebezpieczeństwa, bo niechby się koń potknął i przewrócił, to człowiek by się nadział, jak kurczę na rożeń, na ostre kończyny lawy zastygłej, lub głowę by rozstrzaskał lecąc w głębokie jamy, któreśmy wymijali z natężoną uwagą, a jeszcze więcej od nas bystro patrzyły przed siebie konie, zaprawione do tego rodzaju wycieczek, stąpając nadzwyczaj ostrożnie z bryły na bryłę.

Dojechaliśmy do spadzistych wąwozów i znowuśmy musieli konie zostawić, a sami drapać się często na czworakach lub naprężać oko i wydobywać resztki sił i zręczności, by skoczyć na bryłę następną; z mozołem ale już o wiele prędzej dostaliśmy się na miejsce ognia!! Na przestrzeni kilkumorgowej gotowało się!

Cała przestrzeń, to żarzący się stok góry, zkąd wydobywają się duszące gazy i dym! Miejsce, na którem staliśmy, było tak gorące, że ręki przytknąć nie można było; obok nas w oddaleniu, może na sążeń kipiało, a lawa sypała się, jak woda ze źródła buchającego całą siłą, lub toczyła się strumieniem płynącym, gdy się nagromadziły minerały topliwe. Przewodnik poczciwina brał nasze grajcary austrjackie i na kiju wkładał w ogień, z którego wyjmował szybko, ale już oblane lawą. Długośmy tu stać nie mogli, bo już nasze buty były w niebezpieczeństwie spalenia się, więc cofnęliśmy się znacznie w tył, na miejsce dosyć ostygłe wierzchem, ale w rozpadlinach, tak może z łokieć w głębokości, świecił ogień czerwony. Zdala przypatrywaliśmy się chwilę nie długą strasznej mocy podziemnej i ogniowi, który z wnętrza taką siłą wydostaje się na powierzchnię i sieje zniszczenie. Jakoś trudno było zebrać się na ochotę, by tu zatrzymać się dłużej, gdyż przypuszczenie zdawało się nam być możliwem, że rozpadliny mogą nagle rozszerzyć się, wziąć nas w swoje uściski i zwęglić, a chociażby może świat nie runął i ziemia nie zatrzymała się w biegu, gdyby nas nie stało, to przecież szybko obliczyliśmy, żeby nie było też dla nas wielką chlubą i zaszczytem, stopić się w ogniach Wezuwjusza. Uchodziliśmy w skutek tego dość śpiesznie, boć już i dzień się miał ku schyłkowi, i w powrocie znowu spotkaliśmy się z owym jegomością, który cofnął się z drogi do górnego krateru. Na chybił-trafił przemówiłem doń po niemiecku i na szczęście usłyszałem odpowiedź w tej samej, choć wstrętnej mi mowie, przedstawił się nam następnie jako Czech Kaucky ze swoją żoną. Zawiązaliśmy krótką rozmowę, ale już po polsku a on po czesku i jako bracia Sławianie porozumieliśmy się językiem bratnim. Po wymienieniu kilku zdań dość obojętnych, przyczem wyraziliśmy mu nasze zdziwienie, że był na tyle naiwnym strachajłą, że dał się odwieźć od zamiaru oglądania górnego krateru, puściliśmy się w drogę z powrotem, a jego ze żoną zostawiliśmy własnym losom i dalszym badaniom.

Jeden z towarzyszów podróży, najwidoczniej mając z jakiegoś nam nieznanego powodu Czechów na nagniotku, zaczął na nich niemiłosiernie wymyślać, aż się nam niedobrze robiło, a im my go więcej łagodzili, to jeszcze więcej żółcią zaprawiał swoje wycieczki, a gdy już mu widać i złego humoru zaczęło brakować, dodał że Czech wszędzie zejdzie, choć go nie posieje, prędzej jak grzyb po deszczu, nawet na suchym i jałowym gruncie pasożyt ten wzrośnie i trzyma się, bo nawet w Ameryce, wtedy gdy jeszcze przez Kolumba nie była odkrytą, Czesi już byli, a gdy Kolumb zawinął do wybrzeży, oni mu zagrali na harfach, piszczałkach i trąbach i przywitali krótką ale znaczącą przemową: „myśmy tady Panie Columbus!“ Do czego to doprowadził ów jakiś bajtałowaty Kaucky! Pękaliśmy ze śmiechu, a chociaż zmęczeni, pokaleczeni na rękach — z uszkodzonem obuwiem i obluzeniem dosiadłszy koni wracaliśmy wesoło wśród śpiewów; wprawdzie jazda ta dość długa nie bardzo była wygodną nam nieprzywykłym, i do tego po takich karkołomnych urwiskach, ale trzeba się było poświęcić, dlatego też choć coś gdzieś dolegało, nie godziło się tracić humoru!

Gdyśmy już mijali winnice i teren górzysty a zjechaliśmy na równinę, chcieliśmy trochę raźniej puścić się, — kilku pośpieszyło przodem a ja za nimi, ale cóż kiedy mojego konia chłopaki obdarte uczepili się jak pijawki, jeden ogona, drugi znowu trzymał się grzywy, chcąc również z nami pośpieszać. Ja im tłumaczę, by konia puścili, a oni nie! Ja krzyczę na nich po włosku, a oni nawet nie zważają na to! Ja grożę, a oni klną po swojemu i całym pyskiem się śmieją! Porwały mię wszystkie pasje! Przypominam sobie naszą starą polską sztukę krzyżową i argumentum ad hominem, t. j.: kij, jak zajadę pasem ze sprzączką, którym koniowi łechtałem boki, jednego po za uszy a drugiego pomiędzy oczy, zaraz mię zrozumieli, bo jeden przez płot w ogród a drugi odstąpił kilka kroków, zaczął mleć gębą i wyklinać od serca, ja na koniu za nim, ale on nie czekał, by stanąć ze mną do pojedynku i rozprawy bojowej, lecz dał nogom znać i pomiędzy morwami stracił mię

z ócz zupełnie. Teraz dopiero wolny, otrzymawszy się na placu, puściłem się za swoimi a nawet wydostałem się naprzód. Dość szczęśliwie wróciliśmy do naszego hotelu, tylko jeden ks. S., który to wydostał się na Wezuwjusz trzymając się końskiego ogona, jakoś dojechawszy już do samego hotelu wprawdzie na innym koniu, przy samej bramie spadł na ziemię jak długi, ale jak twierdził potem, jeszcze szczęśliwie, bo go koń nie kopnął. Wprawiło nas to wszystkich wraz z gośćmi hotelowymi, którzy nas wracających witali, w ogólny śmiech, — w końcu i ów nieszczęśliwiec nie widział innego wyjścia, tylko nam akompaniować.

Dalej już o miejscach tych się nie rozpisuję, uczynię tylko krótką jeszcze wzmiankę o Neapolu. Wieczorem do ósmej godziny, o której wyjechaliśmy do Neapolu, patrzyliśmy się z zachwytem na słupy ogniste, wydobywające się z górnego krateru niemal co minutę i na obszerną przestrzeń ognia w otwartym niższym kraterze; wspaniały to widok ale przerażający! Po 9tej byliśmy w Neapolu i zamieszkaliśmy w hotelu europejskim blisko kolei. Rano odprawiwszy nabożeństwo w archikatedrze św. Januarego, zwiedziliśmy muzeum sztuk pięknych i starożytności. Ogromne sale przepełnione obrazami pierwszych mistrzów w wielkiej ilości, gdzie osobne szkoły malarskie mają po kilka sal, n. p. szkoła Corregia, flamandzka, francuzka i t. d., wiele sal na dole zajmują wykopaliska z Herkulanum i Pompei i inne ogromne zbiory rzeźb i odlewów późniejszych. Przy pierwszem zwiedzaniu i przy braku czasu ograniczyliśmy się, by przejść wszystko, notując w uwadze przedmioty ważniejsze, a o całości by tylko wyrobić sobie dobre pojęcie. Kościoły, których zwiedziliśmy kilkanaście znaczniejszych, nie mogą iść w porównanie ze rzymskimi pod żadnym względem. Z teatrów szczególniej „San Carlo“ imponuje swą wielkością, budową okrągłą z rzeźbami na zewnątrz i przepysznem wewnętrznem urządzeniem. Pałac królewski ma zakrój starego zamku z basztami i wieżycami. Wystawy sklepowe nie ustępują weneckiej z placu św. Marka, a przewyższają wspaniałością wyrobów i

bogactwem wiedeńskie na Grabenie! Place publiczne wyglądają prześlicznie, ale bo też tam rosną palmy, cyprysy i przeróżne południowe rośliny. i kwiaty, które u nas utrzymują się chyba w większych cieplarniach. Miasto zwiedziliśmy z grubszego; ulice główne są czyste i wspaniałe, ale ulice boczne bez przewiewu, pełne brudu i niechlujstwa rażą nadzwyczajnie. Ciekawie wyglądają rzemieślnicy, którzy w negliżu pracują na ulicy przed domem swoim, i tak fabrykują na ulicy buty, surduty i t. d., a ciekawiej jeszcze wygląda susząca się w oknach wyższych piąter bielizna wyprana. Nas to strasznie raziło, co widać dla Włochów jest chlebem powszednim, bo i w Rzymie to samo daje się spostrzegać! Widzieliśmy tam np. golarza, który swoim klientom na ulicy brody oprawiał, albo znowu blisko kolei w wielkim kotle na placu bocznym gotowano makarony z baraniną, które rozsprzedawano bijącym się robotnikom na porcje — to znowu na noc przypędzają setki kóz z okolicy i doją na ulicach do szklanek kupującym! Ha! cóż robić? U nas by to nazwano brakiem cywilizacji, barbarzyństwem! A my tak chwalimy ogładę i wyższe zwyczaje Zachodu, tymczasem nie wszystko złoto, co się świeci! W sferach wyższych jest wprawdzie delikatność i wysoki ustrój cywilizacyjny, ale niższe warstwy, to niezawodnie i pewnie większy motłoch i hołota, jak u nas.

Zwiedziliśmy następnie akwarjum, sławne swoją wielkością i zbiorem nagromadzonych okazów, które objaśniają o ruchu i życiu wodnych istot; na szczególniejszą uwagę zasługują sepie i olbrzymie raki morskie. Akwarjum położone w prześlicznym parku ponad samą zatoką. Ztąd udaliśmy się nad morze podziwiając fale i bałwany, po których jak piórka miotane pływały łodzie. Fale przy wolnym wietrze tak silnie uderzały o wysoki brzeg murowany, że wypryskiwały aż na drogę nadbrzeżną a nieraz i nam w odległości stającym sprawiały dobry śmigus. Port wielki z mnóstwem budynków nadbrzeżnych, okrętów wojennych, kupieckich i łodzi różnego rodzaju; w porcie uwija się masa marynarzy a jeszcze więcej odartych, na pół nagich, dzikich i oczerniałych robotników okrętowych

i przeróżnej hałastry z obrzękłem obliczem, zapitej, zajadającej ostrygi. Niektórzy leżeli wyciągnięci na wybrzeżu lub w łodziach wygrzewając się do słońca ze wzrokiem w niebo zatopionym. Nie bardzo nam było miło stać tu dłużej, dlategośmy wnet odjechali dorożką przez targowicę, gdzie leżały stosy ryb morskich drobnych i wielkich sztuk, posiekanych na kawały; oczywiście że woń tamtędy nie rozchodziła się fiołkowa. W hotelu mieszkaliśmy dość wygodnie, pokój był porządnie umeblowany a nawet i cena nie zbyt wysoka. Na szczęście mieliśmy balkon wychodzący na obszerny plac, toż wieczorem do późnej nocy patrzyliśmy się na ruch i wrzaski południowców. Przedefilowała przed nami muzyka wojskowa, grając jakiegoś marsza garybaldowskiego, ale najlepszego marsza wycinały nam przez całą noc muły i osły, które przeraźliwie ryczały, że nam o mało kiszki się nie pokręciły. Znać, że my Polacy mniej jesteśmy muzykalni od Włochów, kiedy oni na takie wrzaski nie zważają, podczas gdy nas one strasznie drażniły. Również i ryby morskie, podane nam przy objedzie, chociaż w większych porcjach, nie podłechtały naszego podniebienia, ale owszem zapełniły nasze nosy zapachem rybiego tranu obrzydliwego, a ostrygi?! Widać, że nie wszystko co ładne, to dobre i smakuje, a znowu i niepokaźne okazy mają swoje wielkie zalety, — bo i w szarych, chropowatych i na oko niemiłych skrzelach chowają się takie delikatesy — dla naszych wielkich panów!

Następnego dnia popołudniu wybraliśmy się z powrotem do Rzymu, gdzieśmy stanęli o godzinie ósmej wieczorem. Nadmienić tu muszę, że dworzec rzymski, neapolitański i w innych większych miastach, oświetlane są elektrycznie, jakoteż niektóre place rzymskie i w większych miastach włoskich.

Opisałem w krótkości i przybliżeniu przynajmniej moją wycieczkę ze Rzymu na Wezuwjusz zdala od frazesów urojonych, ale oparty tylko na rzeczywistości. Nie żałuję trudu, zdrowia i monety, a dziś gdym to przebył, wyrażę się, że będąc w Rzymie, trzeba być i w Neapolu, trzeba być koniecznie i na Wezuwjuszu, inaczej trudno całą gębą powiedzieć: byłem we Włoszech!

Z Neapolu prowadzi kolej linowa na Wezuwjusz od r. 1880go, ale inne są wrażenia, gdy się drogę tę odbędzie konno i pieszo, bo wrażenia z trudem zdobyte dłużej i bardziej tkwią w pamięci, a przytem więcej się ich nagromadzi i ciekawszych. Nie wspominam o wycieczkach innych n. p. morzem na Capri lub Ischia do Tiwoli, nie opisuję Rzymu, Padwy i innych miast włoskich, bom od początku tego nie zamierzał, ale na zakończenie przecież wspomnę, żem we Florencji odwiedził w mieszkaniu staruszka Lenartowicza na via Montebello przy rzece Arno, a we Wenecji przyszedł mi na pamięć djabeł wenecki, gdy barczysty i zuchwały gondoler usiłował mię zmusić do większej zapłaty, ale poszedł z kwitkiem, to znowu gdym jechał gondolą przez grand canal wspomniałem sobie weneckie zapusty, nadmienione w prześlicznym poemacie Malczewskiego, a z parostatku prującego łono wody, patrząc na tę dawną królowę mórz z całą swą świetnością i potęgą pod sterem dożów, powtórzyłem słowa Salomona: „wszystko marność!“ Sic transit gloria mundi!! — Potęga światowa przeminęła, Wenecja upadła a pałac dożów pamiątką tylko!!

I podróż się skończyła! Wspaniałe Włochy i widoki z Neapolu, Rzymu, Florencji, Padwy, Wenecji i t. d. zostaną dla mnie również pamiątką i wspomnieniem pouczającem, bym w przyszłości na wiele rzeczy mógł patrzeć trzeźwem i pogodnem okiem, i nie wszystko ganił co swoje, a chwalił co obce. Każdemu, kto wybiera się za granicę, by odbyć podróż i zwiedzić obczyznę, ze serca i szczerze po polsku radzę przeczytać pierwej pieśń „o ziemi naszej“ —, a raźno spostrzeże, co najprzód uczynić wypada i gdzie skierować pierwsze kroki swego życia!

Pisałem w Samborze 12. Października 1888.

O. Metody,
Bernardyn.

Do mojej pieśni.

O pieśni moja! jak twe skrzydła nikłe,
Słowa bez echa i uczucia zwykłe!
Po co się tobą nadaremnie trudzę,
Gdy jesteś słabszą niż innych... w usłudze?
Więc cię porzucić, mego ducha córo?
Jak niegdyś śpiewak lutnię roztrzaskaną —
I żyć na świecie nijako — ponuro?...
Przenigdy! boś ty moją ukochaną!
Pielgrzymka nasza na płaczu padole
Jest taka przykra, w boleści obfita —
Troski nam zwykle zasiewa na czole
I łzami nieszczęść bardzo często wita.
O luba pieśni! — tyś pociechy łodzią —
Na niej przepływam wzdęte losu fale!
Tyś arką moją przed nieszczęść powodzią,
Które choć skropią — nie zaleją wcale.
Ty mię kochanko! prowadzisz przez ciernie,
Których nie czuję, choć ranią boleśnie, —
Wszędzie mię strzeżesz poczciwie i wiernie,
Bym pod ciężarem nie upadł zawcześnie.
Gdy chwila smutku wyciąga ramiona,
By mię uściskać jak kochanka — brata,
Ty ją, o pieśni — odepchniesz od łona,
I bez zwycięztwa wnet pierzcha — ulata.
Ty mi przyświecasz wiarą i nadzieją,
Napełniasz serce balsamem otuchy...
I chociaż inni płaczą i boleją,
Ja stawiam opór — nieczuły i głuchy!
Więc pieśni moja! choć twe skrzydła nikłe,
Wyrazy małe dla innych i zwykłe...
Toś dla mnie skarbem; bądź wierną w potrzebie,
O! pośpiesz luba — gdy wołam na ciebie!

Franciszek Marzec.

Do przyjaciela.

Wiersz, poświęcony Franciszkowi Marcowi.

Odkąd przyjaźni zabłysły promienie,
Serca, miłości spojone łańcuchem,
Zarówno czują i toż samo tchnienie
Łączy nam myśli, łączy ducha z duchem.
O! nasze myśli, o! nasze marzenia
Mkną po tej samej wytkniętej kolei,
Mkną do krainy pracy, poświęcenia...
Mkną dalej szybko — bo gwiazda nadziei
Sieje przed nami swe jasne promienie,
I że pracujem dla sprawy narodu,
Chociaż to praca wśród głodu i chłodu!
Ale pracujmy! praca przeznaczenie!
Pracujmy! duchy niechaj nie rdzewieją!
Kochajmy! miłość do czynu pobudzi...
Praca i miłość, gdy te dwie zatleją,
Zapewne muszą uszczęśliwić ludzi. —
O! jam szczęśliwy, o! bardzo szczęśliwy,
Iż w Tobiem znalazł przyjaciela cnego;
Prawy przyjaciel — to skarb jest prawdziwy —
I Ty Franciszku! miej mię za takiego.
O! serca nasze niech złączy nić złota,
Oby przyjaźni nie pękły okowy —
Niech żnicz w nas tleje do końca żywota,
Niech go nie zgasi i kamień grobowy!

Henryk Woelfle.

Klikowa, 12. Marca 1888.

Przyjacielowi w odpowiedzi.

Wiersz, poświęcony Henrykowi Woelflemu.

Święta przyjaźni! tyś jest wielką cnotą,
Twój blask zaćmiewa dyament i złoto.
Tyś słońcem lubem, co promieńmi swemi
Rozpala serca ludzkie tu, na ziemi.
Tyś jest jutrzenką, co ciemności gasi
I życie nasze swoim wdziękiem krasi.
Tyś jest anielskiej lutni echo błogie,
Gdzie ty panujesz, życie nie jest srogie!
Gdzie przyjaźń szczera i miłość i zgoda,
Tam słodkie chwile, tam luba swoboda, —
Jak gwiazdy stałe, płynąc po wszem niebie,
Zgodnie i wiernie świecą obok siebie,
Tak niechaj przyjaźń nasza stałą będzie,
Niechaj ją miłość opromienia wszędzie.
Ogniwa naszych serc niech z wolą bożą
Silny na zawsze łańcuch wspólnie tworzą.
Droga przyjaźni! wciąż w świeżym rozkwicie,
Swą nicią złotą spajaj — słodź nam życie!

Franciszek Marzec.

Wierzchosławice, 15. Marca 1888.

Caveant consules!

Medytacja polityczno-społeczna

Almy Kovàcs.

Es ist etwas faul im Staate Dänemark.

Shakespeare.

Obcy nagłówek! obcy cytat! z lżejszem sercem zaiste brałoby się pióro do ręki, gdyby i temat do następujących spostrzeżeń zaczerpnięty był z historji obcego społeczeństwa. Nie zbyt humanitarne to życzenie, ale łzy Syna Boskiego, wylane nad mającym nastąpić upadkiem Jerozolimy, stolicy kraju rodzinnego, uświęciły miłość ściślejszej ojczyzny, wolno więc i nam zapłakać nad tem, co widzimy u nas a co widziane u drugich, choćby nas zasmuciło z ogólno-ludzkiego stanowiska, nie zabolałoby nas tak silnie, nie dotknęło tak głęboko.

Wprawdzie mniemają niektórzy, że własnych win nie trzeba na jaw wywlekać, ale gdyż tak jak ukrywanie wypadków zaraźliwej choroby wywołuje tylko rozszerzanie się niszczących epidemij, tak następstwem pokrywania błędów i win naszych jest rozpanoszenie się zła moralnego, o którym najidealniejszy z wieszczów powiedział:

„Niczem Sybir, niczem knuty,
Ni moskiewskich tortur król;
Lecz narodu duch otruty,
To dopiero bolów ból!“

Kto tylko przykłada ucho do tętna społeczeństwa naszego, kto śledzi uważnie objawów życia

narodowego w naszej dzielnicy, ten z pewnością odczuje smutek i trwogę: smutek, bo mało dodatnich a zbyt wiele ujemnych stron się dopatrzy — trwogę, bo jeżeli nie zbadamy źródła złego i nie zapobieżemy potęgowaniu się takowego, to cóż się stanie z tym ideałem, który każdy z nas w sercu nosi, dla urzeczywistnienia którego przodkowie nasi nie szczędzili krwi i mienia, który przyświeca nam przez potoki krwi wylanej, przez bryły lodów syberyjskich, który przemawia do nas hukiem młotów katorżnych, świstem pletni kozackich, skrzypem szubienic uginających się pod ciałami szlachetnych męczenników!

Jakiem jest tło naszego życia narodowego? zastój umysłowy, nędza materjalna, martwota duchowa, a ciemny ten obraz oświetlają od czasu do czasu jaskrawe błyskawice skandalicznych procesów, nadużyć oburzających, upadków moralnych. W ostatnich zwłaszcza czasach fakty rzucające ponury cień na społeczeństwo nasze, mnożą się w zastraszający sposób, dość wspomnieć proces Jackowskiego, mowę Pernerstorfera, procesa wytaczane sędziom o przekupstwa, wołanie kilku miast o rozwiązanie rad miejskich i ustanowienie komisarza rządowego, nieporządki w zawiadywaniu instytucjami dobroczynnemi, sprzeniewierzenia sprowadzające upadek spółek przemysłowych, zarzuty czynione pewnej osobie, zajmującej dotychczas poczestne miejsce w narodzie, czynione wprawdzie przez jeden tylko dziennik*), ale tak oburzające, tak dotykające godność narodową, że albo należy zgruchotać oszczercę, albo też potępić bezwzględnie tego, który pod płaszczykiem służenia sprawie narodowej, wyzyskuje drugich dla napełnienia własnej kieszeni, dość wspomnieć o tem, ażeby nie dotykając nawet przerażającej sprawy kukizowskiej, przyznać z boleścią, że — źle się u nas dzieje.

Zarzuci kto może, że to są wyjątki indywidualne, fakty oderwane nie mające żadnego związku z sobą, że zła tylko wola może z tych danych

---

*) **Już i przez drugie pismo powtarzane.** *(Przyp. red.)*

wysnuwać ujemne wnioski o społeczeństwie całem, ale uważny badacz inaczej podobno na te sprawy zapatrywać się musi a statystyka moralna, gdyby takowa istniała, zapisałaby wielkie debet w księdze rachunkowej życia naszego.

Wypisaliśmy na sztandarze naszym jako hasło chwili obecnej: dobrobyt, utylitaryzm, zwrot do nauk przyrodniczych, nawołujemy do ocknienia się z mrzonek idealistycznych, do puszczenia się szlakiem realizmu — i dążymy widocznie do dobrobytu per fas et nefas, jednostki i klasy całe hołdują utylitaryzmowi, choćby kosztem nieszczęścia cudzego, choćby kosztem godności własnej. Zagłębiamy się w naukach przyrodniczych ale nie dla tego, ażeby przez poznanie dokładne tworów poznać i podziwiać wielkość Stwórcy i przez to podnieść się duchowo, jeno dlatego, aby wydrzeć przyrodzie tajemnicę bogacenia się, wygodnego życia, używania. Wyrzekamy się mrzonek idealistycznych aż do zatracenia świętej iskry uczucia szlachetnego w duszy naszej; mamy dziennik*) utrzymany za polskie pieniądze, który potępia to, co każdemu sercu polskiemu drogiem jest, (bo szlachetne porywy choćby nieuwieńczone powodzeniem, zasługują na cześć); mamy stronnictwo, które chce ażeby w żyłach naszych woda a nie krew krążyła, które przyjąwszy na się rolę straży ogniowej, chce niby gasić tylko pożar niszczący a zalewa Żnicz święty, który zawsze w sercach naszych jasnym płomieniem goreć winien, mamy polityków głoszących wzniosłe zasady dla ujęcia sobie wyborców a odrzucających te zasady jako sprzęt niepotrzebny, jeżeli im zawadzają na drodze do zaszczytów i dostojeństw, mamy młodzież której ideałem nie: „Nagi trup Leonidasa,“ nie „Orla lotów potęga,“ ale bezczynne życie, posażne panny, śniadanka, polowania!

A kobiety? te ziemskie anioły, te kapłanki domowego ogniska? Ach! słyszę szelest obracanych kartek francuzkich romansów, dolatują mnie dźwięki Straussowskich walców, wzrok mój przyćmiewają zwoje gazy i koronek, pył pudru, więc nie dziw że nie mogę tak

*) I może więcej niż jeden. (Przyp. red.)

prędko odnaleźć tę, o której powiedzieć by można: „wełnę przędła, domu strzegła.“

Niechże przodownicy narodu, mężowie obdarzeni głęboką wiedzą, nieskazitelnym charakterem a gorącem sercem, jakich dzięki Bogu nie brak nam jeszcze, zastanowią się nad tymi groźnymi symptomatami, niech starają się odkryć źródło tej zarazy moralnej, niech bogaci w doświadczenie wskażą środki zapobieżania złemu a podniesiemy się i zawołamy wtedy z pełnej piersi: Sursum corda! ale nie łudźmy się także bezowocnemi mrzonkami a pracujmy usilnie nad odrodzeniem duchowem, gdyż niedaremnie czuć się daje w atmosferze owo złowrogie: „Es ist etwas faul im Staate Dänemark“ — Caveant consules...

Czy to prawda?

prawdziwa allegorja*).

Czy to prawda, że z złego okruchów
  Nam dobrego wyłoni się zaród?
Czy to prawda, po brzęku łańcuchów
Że najlepiej rozpoznać nam naród?
  Czy to prawda, że w groszach zbawienie,
  Że w nich duszy szlachetność się mieści?
  Czy to prawda, że knut, że więzienie
  Nam poemat wolności obwieści?
Czy to prawda, że obcych małpować
I zapierać się siebie — to cnotą?
Że nam kuglarz powinien przodować
A wybraniec się równać z hołotą?
  A na końcu jedno jeszcze
  Zapytanie do martwych, do słupów:
  „Czy to prawda, że narodu wieszcze
  Słowa prawdy głosili — dla trupów?“

Trembowla, 10. Listopada 1887.

G. Kohn.

---

*) Pierwotny druk tego wiersza, dokonany pełen okropnych i przerażających błędów w „Śmigusie“, powoduje mnie do powtórnego umieszczenia go w poprawniejszej edycji.

(Uwaga autora.)

PRZED MATURĄ,

SZKIC Z ŻYCIA WZIĘTY.

(Z ryciną na str. 174.)

Obrazek, podany niniejszem według szkicu fotograficznego p. Jakuba Weizmana ze Sanoka przedstawia nam tak ważną w życiu naszej młodzieży szkolnej chwilę przed zdaniem egzaminu dojrzałości.

Maturzysta starozakonny, nauczyciel domowy dwóch również maturzystów, siedzi w pośrodku nich, przedstawiony w całkowitym profilu, kreśląc na zeszycie zdaje się przyszły temat przygotowawczy i mając przed sobą rozłożone rozmaite przybory szkolne i nieszkolne, jakoto: kartkę z grubej tekturki, zaopatrzoną w przeświadczeniu bliskiego a pewnego zwycięztwa, tryumfalnym napisem: „1888 Matura“, zeszyty, zegarek-budzik, tytonierkę i t. d. Po za nim przedstawiony z prawej strony en face lekko uśmiechnięty młodzieniec, rozparł się wygodnie na starym, połamanym fotelu, cygaro niedopalone niedbale puszczając z ręki, z lewej strony w niecałym profilu, przedstawiony zamożny syn zamożnej rodziny byłego starosty miejscowego, siedzi na krześle, puszczając dym z cygara.

Fizjognomie tak młodzieńców dwóch, mających wzrok z wyrazem oczekiwania utkwiony w nauczyciela swego, jakoteż i nauczyciela samego, zdradzają pewne zadowolenie, świadomość celu, pewność że nie przepadną i zdadzą egzamin z chlubą.

Chwila bardzo szczęśliwie wybrana do illustracji i oddana z niezrównanym, prawdziwie studenckim humorem, wywołuje wrażenie obrazka rodzajowego, a nie fotografji.

Sanok, 12. Sierpnia 1888.

G. Kohn.



Przed maturą. (Według fotografji Jakuba Weizmana ze Sanoka.)

Zrozum dziewczynę.

(Z Getego.)

Raz chcąc powitać dziewczę me,
Poszedłem przeciw, w las
I w pół objąłem — a ona: „nie!
„Odejdź! zobaczą nas!“
Drocząc się wołam: „Zabiję ha!
„Kto rządny śledzić mię!“ —
„Cicho“ szepnęła — „luby sza,
Gotów kto słyszeć cię!“

Skolin, 16. Września 1886 r.

Bolesław Andruszewicz.

CZY TO JEST DUMĄ?

Czy to jest dumą, że niosę me czoło
Wyżej od tłumu, co mija mię w drodze,
I przędzę myśli rozsnuwam w około,
I cierpię ludzkim upadkiem tak srodze,
I widzę przepaść, co narody dzieli
I znam jej jasność, co was próchnem bieli...
Czy to jest dumą?
Czy to jest dumą, że serce snów łaknie
Jako powoju kwiat jasny i cichy,
Który uwiędnie, gdy snów rosy braknie,
Bez słońc i rosy — pochyli kielichy,
Nie dą się ująć w dłonie poplamione
I szuka szczęścia w wylaniu! szalone!
Czy to jest dumą?

Czy to jest dumą, że mam w duszy ciszę
Wielkiego ognia, zapału i siły
I że mię praca rozkoszą kołysze,
Że się nie lękam krzyża, ni mogiły
I wiem, że duchom tak płynąć potrzebą,
Żeby nie stracić ziemi — pieśni — nieba....
Czy to jest dumą?
    Czy to jest dumą, iż silną się czuję
    Idąc samotnie tą wązką drożyną,
    Po której łańcuch trosk i prac się snuje
    I w której kwiaty szczęścia łatwo giną...
    Że nie rozpaczam, lecz swobodnie patrzę,
    I nad swą dolą czarną — łzą nie płaczę...
    Czy to jest dumą?
Czy to jest dumą, iż znam swe bogactwo
Myśli, co płyną srebrzystemi pióry
I są jak one wędrujące ptactwo,
Bez gniazd i ciszy — wzlatujące w góry,
I mają słońca promyki na piórach,
Żyją na kwiatach — krzyżach — jasnych górach?...
Czy to jest dumą?
    Czy to jest dumą, iż z wami nie siadam
    Do jednych stołów rozkoszy — wesela...
    I że wam uczuć tych nie wypowiadam,
    Któremi tłum się przechodniów obdziela,
    I że stać wolę z dumką na uboczy
    I być samotną i mieć suche oczy...
    Czy to jest dumą?...
Jeśli to dumą, to zwijcie mię hardą
I na me czoło rzućcie szatę pychy,
Tylko mi dajcie iść tą drogą twardą,
I znać, co znaczy zachwytu sen cichy!...
Dajcie mi myśli i miłości czary
I pieśń skowronka i krzyż — godło wiary,
A będę może tak jak dziś prawdziwą,
W uczuciu jasną — hardą i szczęśliwą
Tą życia dumą!

1887.

Błękitna.

I wilk syty i owca cała.

Obrazek galicyjski

A. Barańskiego*).

Trzydzieści lat być nauczycielem ludowym wystarczy... Dość pracy dla społeczeństwa, czas by już odpocząć, czas by pójść na emeryturę, czyli w tak zwany „stan spoczynku.“ Ba, ale co to znaczy, pójść „w stan spoczynku?“ To znaczy nic wprawdzie nie robić, ale żyć ledwie z 400 złr., bo tyle wynosi roczna pensja po trzydziestu latach „gorliwej nauczycielskiej służby“, a przyznacie, że to mało.... Trzeba do tych 400 złr. coś więcej, trzeba coś wymyśleć a od czego głowa?...

Myślał też i myślał p. Florkiewicz, nauczyciel szkoły ludowej w Tatarowie, ale ani rusz, coś mądrego wymyślić. Na szczęście jednak umarł sekretarz rady powiatowej Zażyrski — no, i dla czego nie miał by być p. Florkiewicz jako emeryt-nauczyciel sekretarzem?... Mogą być nimi eksmandatarjusze, eksajenci banku włościańskiego, eksurzędnicy kolejowi, emerytowani adjunkci polityczni i kanceliści sądowi — dla czegóż nie miał by być sekretarzem rady powiatowej emerytowany nauczyciel?... Już to „Bogiem a prawdą“ nie miał p. Florkiewicz wielkich zdolności do sekretarstwa powiatowego, boć przecie nigdy nie

*) Umieszczamy niniejszem niedrukowaną dotąd sylwetkę humorystyczną dowcipnego autora szkiców galicyjskich, zatytułowanych: „Z autonomicznych sfer“, a żywimy niepłonną nadzieję, że p. Barański i nadal nieodmówi cennego swego współudziału naszemu wydawnictwu. *(Przyp. red.)*

miał nic z aktami urzędowymi do czynienia, — ale czy to koniecznie potrzeba do tego zdolności?... Jeżeli potrafisz podlizać się każdoczesnemu Marszałkowi i nosić za nim torbę, o! to będziesz takim sekretarzem rady powiatowej, że aż miło. Jeżeli Marszałek „stańczyk“ — to i ty musisz być „stańczykiem,“ — jeżeli pozuje „na liberała“ — to i ty musisz „liberała — udawać“... bo inaczej — źle... Chociaż byłbyś najzdolniejszym, będziesz ledwie na stanowisku cierpianym. I pomimo, żeś „zjadł zęby“ po kancelarjach a Marszałek nigdy w życiu aktu urzędowego nie widział, będzie cię uczył form urzędowych, będzie krytykował twoje referaty, to styl mu się nie spodoba, to za grzeczny sposób pisania do gmin, to znów za ostry do przełożonych obszarów dworskich... koniec końcem, jeżeli chcesz spokojnie jeść kawałek chleba i od czasu do czasu dostać jakąś remuneracyjkę, zapomogę i t. d., to musisz swoją „wiarę polityczną“ zastosować do „wiary politycznej“ p. Marszałka. Swoją znów drogą — możesz mu dawać do podpisu co ci się żywnie podoba... bo p. Marszałek tego co podpisuje, nie czyta... to nie rozumie.

Jeżeli zrobisz co dobrego i wszyscy uznają, że twój projekt, twój referat znakomity, to p. Marszałek przypisuje to sobie, mówiąc: „ja tak zarządziłem, ja tak kazałem.“ Gdy jednak p. Marszałek zarządzi jakąś niedorzeczność, ty zaś nie chcąc się sprzeciwiać i na nieprzyjemności narażać, zastosujesz się do jego woli a ludzie zaczną krzyczeć: „gwałtu!“ — to p. Marszałek powie bez ogródki:

— No co, albo mogę spuścić się na sekretarza? podpisałem ślepo, nie czytając jego referatu dla braku czasu i widzicie państwo, na jakie nieprzyjemności mię naraził! —

Zdolności urzędnika kancelaryjnego „Marszałek — hreczkosiej“ po największej części ocenić nie jest w stanie. Oceni zdolności ekonoma, leśniczego, ale nie urzędnika kancelaryjnego — tego zaś tylko ocenia w miarę jego pochlebstw, ukłonów no — i zaparcia się osobistej godności...

Znajdą się ludzie, którzy powiedzą, że przesadzam, że tak źle nie jest... Niestety jest tak!...

Wprawdzie Bogu dzięki nie wszędzie i nie w całej Galicji... ale są powiaty, gdzie jest tak...

Pan Florkiewicz o tem wszystkiem bardzo dobrze wiedział, wiedział, że jeżeli będzie tańczył na dwóch łapkach, jeżeli będzie nosił torby za p. Marszałkiem, to będzie znakomitym sekretarzem, bo robota — to furda... Udawać że się robi, a w gruncie rzeczy nic nie robić... Florkiewicz wiedział, że pewna część Marszałków powiatowych rekrutuje się ze szlachty, co to ma zwyczaj jak powiada Bartels:

„Dużo o sobie rozumieć,
W rezultacie nic nie umieć,
Czuć się zdolnym do wszystkiego
A być całkiem do niczego,
Nosić w górę nos i głowę,
Przerywać wszystkim rozmowę,
Ekonoma mieć ciemięgę,
Łgać o wszystkiem na potęgę,
Zostać na końcu Marszałkiem
Albo też się rozpić całkiem.“

Zdolności urzędnika kancelaryjnego Marszałekhreczkosiej po największej części przy podaniach na posadę kwalifikuje li według ilości listów protekcyjnych — im więcej listów i od wpływowszych osób, tem rozumie się że silniejszy i lepszy według p. Marszałka, kandydat.

Gdy więc rozpisano konkurs na posadę wskutek śmierci sekretarza Zażyrskiego, postanowił Florkiewicz wyzyskać sposobność i kompetować, a nuż się uda? Przedewszystkiem zaś wyżebrał kilka listów protekcyjnych i pojechał do Marszałka.

Marszałek — bardzo młody człowiek, którego wybrano Marszałkiem nie dla tego, że młody, ale że majętny, przyjął Florkiewicza grzecznie, odczytał listy, skrzywił się, jakby mu kto octu do gęby nalał i wycedził:

— Widzi pan, jabym tego... był za panem, ale widzi pan nie mogę...

— Studjowałem przez całe życie ustawy — w wolnych chwilach od zajęć „praktykowałem“ po kancelarjach....

— Widzi pan, to ładnie, bardzo ładnie, że pan zna ustawy, ale bo widzi pan, dałem już słowo bratu....

— Przecie brat pana Marszałka nie kompetuje?...

— Także coś!... mój brat kompetować miałby na sekretarza?!... Widzi pan, w dobrach brata a właściwie w jego powiecie jest niby pisarz gminny, niby lustrator — ot zwyczajnie widzi pan, niby coś — niby nic, Klemens Cymbalski — brat ma dla niego pewne obowiązki widzi pan i chce go zrobić u mnie sekretarzem...

— Więc nie mogę mieć nadziei?...

— Nie, stanowczo nie... widzi pan, spóźniłeś się. Widzi pan, ja jeszcze za życia sekretarza Zażyrskiego, podczas jego słabości dałem słowo bratu. Widzi pan, gdybyś pan był wcześniej przyszedł, no... to dałoby się co zrobić, ale tak, widzi pan, nie mogę...

Florkiewiczowi nie wypadało nic innego, jak pożegnać p. Marszałka. Nie dał jednak zbić się z tropu... Od Marszałka udał się wprost do ks. kanonika wicemarszałka i przedstawił mu swoją prośbę.

Ksiądz wicemarszałek nie lubiał nikomu odmawiać a tem bardziej temu, kogo znał osobiście, odpowiedział przeto Florkiewiczowi:

— Ha... no, to jest, ja wolę swojego tutejszego jak obcego. Więc dlaczego ma być obcy, kiedy może być swój sekretarzem, a przy emeryturze nauczycielskiej przyda się panu pensja sekretarza.

— Więc mogę liczyć na księdza kanonika dobrodzieja? — zapytał uradowany Florkiewicz.

— Liczyć?... Ha... to nie... ja tak jak p. Marszałek, p. Marszałek tak — to ja tak, p. Marszałek nie, to ja nie... A przyznam się, że jeszcze nie gadałem o obsadzeniu posady sekretarza z p. Marszałkiem.

— Pan Marszałek ma już upatrzonego kandydata..

— Ha... no, jak ma, to dobrze, w takim razie kandydat p. Marszałka zostanie wybranym...

—Ale księże kanoniku dobrodzieju, ja obarczony sześciorgiem dzieci... całe życie sterałem na usługach dla kraju, powiatu, miasta jako nauczyciel... Jestem chory, słabowity, gdy pójdę w stan spoczynku, dostanę zaledwie 400 złr. i z głodu umrę z dziećmi...

— Prawda... prawda... Według słuszności panu by się należała posada sekretarza, ale — jeżeli pan Marszałek „kontra,“ to i ja nie mogę inaczej. Ja tak jak p. Marszałek, ja lubię zgodę...

Florkiewicz odszedł od księdza wicemarszałka tak jak od Marszałka z niczem — mimo tego nie tracił ducha.

W radzie powiatowej w Tatarowie na chłopów i mieszczan wywierał wpływ właściciel realności i eksmandatarjusz Pocztarski. Florkiewicz nie mogąc inaczej — postanowił dopiąć celu przy pomocy Pocztarskiego. O Pocztarskim mówiono rozmaicie: był to plotkarz, intrygant a przytem człowiek nadzwyczaj dumny, ambitny i zarozumiały.

Pocztarski, któremu pochlebiało, że Florkiewicz ma go za tak wpływową osobę, — po wysłuchaniu Florkiewicza odrzekł:

— Pięknie, bardzo pięknie, że pan do mnie przybyłeś z prośbą o protekcję, bo tamci, panie, kandydaci, nie mają człowieka za Boże stworzenie, przedstawiają się Marszałkowi, wicemarszałkowi, ba... i temu i owemu szlagonowi, a człowiekiem dla tego, że biedny, pomiatają. Żaden kandydat nie był u mnie, a podało się siedmiu, pan dopiero pierwszy...

— O... ja u nikogo nie byłem, ani u Marszałka, ani u wicemarszałka, tylko wprost udaję się do pana dobrodzieja...

— No... no... zobaczymy. Chłopów i mieszczan ja obrobię i pójdą za mną, bo kiedy protegowany przez Marszałka p. Klemens Cymbalski, nie łaskaw mi się przedstawić i prosić o protekcję, to pokażę mu co ja znaczę, w razie potrzeby zerwę komplet.... Ale no... panie kochany, jak mam powiedzieć... to będzie pana trochę kosztowało, teraz ciężkie czasy.... Ja wprawdzie działam bezinteresownie, ale i ten chciałby zarobić i ten, mieszczan i chłopów trzeba częstować, poić — bo inaczej z tego nic...

— Ale ja gotów na wszelkie wydatki — zawołał Florkiewicz dobywając pularesu . . . .

. . . .

Nadszedł nareszcie dzień posiedzenia rady powiatowej, na którem nastąpić miało obsadzenie posady

sekretarza. Cymbalski był pewnym zwycięztwa, pewnym był i Florkiewicz. Podało się wprawdzie oprócz nich kilku bardzo zdolnych i rutynowanych kandydatów, ale... kto się nie przedstawia, kto się nie kłania, nie prosi, listów protekcyjnych nie nosi — za kandydata na serjo uważany być nie może. Ot — wyrzucił daremnie 50 centów na markę stemplową — „taj tylko!“

Obecnych na posiedzeniu rady było 22 członków, z tych 13-tu było stanowczo za Cymbalskim, pozostałych zaś 9-ciu łącznie z Pocztarskim na czele za Florkiewiczem. Cymbalski tedy miał zapewnioną większość — mimo tego protektor Florkiewicza, p. Pocztarski nie tracił ducha...

Gdy przyszła na porządek dzienny sprawa obsadzenia posady sekretarza, wyszedł Pocztarski ze swoimi sojusznikami z sali radnej do sąsiedniego pokoju, przez co zdekompletował posiedzenie, gdyż nie było wymaganego kompletu 14-tu członków.

Marszałek, skonstatowawszy brak kompletu, pobiegł za Pocztarskim.

— Widzi pan, co pan wyrabia — zawołał chwytając Pocztarskiego za rękę — zdekompletowałeś posiedzenie... to widzi pan nie uchodzi...

— Nie mogę, panie Marszałku, zgodzić się na wybór Cymbalskiego, nie mogę; nie pozwala mi moje przekonanie...

— Ale ja dałem widzi pan słowo bratu, że Cymbalski....

— No... a ja dałem słowo Florkiewiczowi...

— Panie Pocztarski!

— Panie Marszałku!

— Widzi pan, pan mi tego nie zrobi i powróci na posiedzenie ze swoją „partją.“

— Powrócę, ale pod warunkiem, jeżeli Florkiewicz zostanie sekretarzem...

— Panie Pocztarski!

— Panie Marszałku!

— Florkiewicz widzi pan był przez całe życie tylko nauczycielem, nie potrafi....

— Cymbalski nie potrafi jednego zdania napisać, ażeby nie popełnił jakiego błędu...

— Panie Pocztarski!
— Panie Marszałku!
— Widzi pan, ja słowa złamać nie mogę, ale zrobimy tak, że „wilk będzie syty i owca cała“...
— Jakże?...
— Tak, że przed głosowaniem utworzymy jeszcze jedną posadę lustratora. Widzi pan i wybierzemy jednogłośnie sekretarzem Cymbalskiego a znów jednogłośnie lustratorem Florkiewicza. No i cóż?... zgadzasz się pan?
— A... a... cóż robić? Dla pana Marszałka zgadzam się i ustąpię...

. . . .

Florkiewicz, nie mogąc zostać sekretarzem, został lustratorem i jest tak dobrym lustratorem jak Cymbalski sekretarzem... No ale... i wilk syty i owca cała.—

DO M. S.

Kochaj, co piękne — co godne kochania,
Kochaj tak szczerze, jak w porze zarania
Kochać człek umie — niech miłość twa będzie
Szczera i biała, jak skrzydła łabędzie.
Gardź tem, co podłe — co pełza po ziemi,
Co oprócz zysku już nie zna pragnienia —
Gardź tem, co ludzi we zwierzęta zmienia
I wszystko targa rękoma brudnemi.
Broń to, co święte — co męczeństwem błyska,
Ojczyznę, którą wróg podły uciska —
Broń jej miłością, broń puklerzem zgody,
Którą się wznoszą i bronią narody.
Miłość — nienawiść!... straszna ich potęga,
Kajdany skruszą i głazy przepalą;
Bój ich pewniejszy, niżli walka stalą,
Bo miłość łączy — złość ludzkość rozprzęga.

Stryj, dnia 13. Grudnia 1887.

A. S. Olechnowicz.

Resurrectio.

Przecudne święto dzisiaj świat obchodzi,
Radosne hymny echo echu daje,
Z otchłani grobu — nowe życie wschodzi,
Z otchłani smutku — radość zmartwychwstaje.
Czem śmierć w przyrodzie? Wszak nie życia końcem!
Atom się z drugim łączy niepodzielnie,
I życiodajnem opromienion słońcem
W innych postaciach żyje nieśmiertelnie.
Więc śmierć nam dzisiaj nie jest straszną marą,
Ciało żyć będzie! — Duszę Chrystus zbawił,
I w żmudnej walce, stoim silną wiarą,
Którą nam w przyszłość wieczną pozostawił.
A przecież jedna groźna śmierć nas trwoży:
To śmierć moralna! Kiedy duch umiera,
Wnet gaśnie w sercu światła promień boży,
A straszna ciemność płaszcz swój rozpościera.
O! z takiej śmierci trudne zmartwychwstanie,
Bo duch człowieka żyje siłą własną,
Musi się wpatrzyć w jasnych zórz świtanie,
Musi iść zawsze drogą prawdy jasną!
A na tej drodze trwoga nas nie wzruszy,
Strach nie ogarnie na wspomnienie trumny.
Kto duchem żyje — wieczność nosi w duszy
I nad śmierć samą stoi wyższy, dumny.
A więc ta wiara w jasne ideały
Niech od zwątpienia zawsze nas ochrania,
Podnieśli duchem — pełni będziem chwały,
I życie przejdzie — jak dzień „Zmartwychwstania.“

W Lipniku, 14. Marca 1888.

Janina Antonowiczówna.

DO ELI.

Tyś dzieckiem była dzisiaj w rannej porze,
A wieczór Ciebie dziewicą powitał:
Bo gdy na niebie zajaśniały zorze,
Kochanek Ciebie o miłość zapytał!
I oddał Tobie swą miłość jak morze
Bezmierną, wielką... W oczach Twoich czytał
Wzajemność serca. Miłości kwiat boży:
Kwiat najpiękniejszy w Twych licach wykwitał.
A jako Anioł złocisty, jak słońce
Tyś Świętą była! Myśl, spojrzenie Twoje
Mówiły do mnie: żeś Ty, dziecię moje,
Żądne opieki — a podpierać chcące.
Na drodze życia, gdzie walka, trud, znoje,
Na drodze życia, gdzie giną tysiące,
Gdzie błogość szczęścia mącą niepokoje:
Ty chcesz prowadzić mnie jak jasne słońce!

Na drodze z Mikuliniec do Tarnopola, 16-go Sierpnia 1888.

Bolesław Andruszewicz.

DO JULJI.

Gdy wspak biegły nasze łodzie,
Luba! w długich lat pochodzie,
Czyś westchnęła czasem skromnie,
Czyś wspomniała czasem o mnie?

Gdy zagrzmiała burza w koło,
Odsłoniłem dumne czoło,
Jak syn gromów nieodrodny;
Czyś wyrzekła, żem Cię godny?..
A gdy burza wnet przegrzmiała,
Gdyś łzy gorżkie zapłakała
Nad klęskami naszej ziemi;
Czyś wspomniała o mnie niemi?..
Patrz! światowej dżumy tchnienia
Nie zatruły mi wspomnienia
Tych uroczych chwil nie wiele,
Com przy tobie żył, aniele!
I po ziemi biegnąc kołem
Z tem wspomnieniem — jak z Aniołem
Opiekuńczym, ziemskim kałem
Czyste serce nie skalałem.—
Dziś twardemi skuty pęty, —
Dziś mnie depce wróg zawzięty;
Lecz twój obraz tkwi nademną,
I tu zemną, zawsze zemną.—

Pius Nałęcz z Witoszyna.

PIERWSZA PRÓBA.

Nowela

przez

Alfreda F . . . . . . a.

Było to w piękny dzień czerwcowy, a lekki zefirek chłodził upał tropikalny i gonił białe chmurki po lazurowym przestworze. Słońce po całodziennej wędrówce schylało się ku zachodowi, rzucając ostatnie promienie światła na przechodniów.

Ulice, plantacje i nieliczne a dość niedbale utrzymane ogrody publiczne Lwowa, przepełnione były tłumami gości. Ponieważ już godzina szósta, więc ruch i gwar tem większy, bo i świat urzędniczy wolny od zajęć biurowych po całodziennem przebywaniu w murach, używa przechadzki.

Zaznaczyliśmy wyraźnie, że wszyscy używają jedynie „przechadzki,“ nie dodając „świeżego powietrza,“ gdyż tego zupełny brak w naszej stolicy. Przeciwnie zmuszeni jesteśmy, oddychać powietrzem przesyconem wszelkiego rodzaju wyziewami szkodliwymi organizmowi, a przy silniejszym wietrze tumanami pyłu, który nie zmiatany przez organa, mające za obowiązek czuwanie nad czystością miasta, w grubych warstwach zalega ulice.

Przepraszamy szanownych czytelników za tych kilka słów „uznania“ dla naszej stolicy, które się nam mimowolnie z pod pióra wymknęły i powracamy do dalszego opowiadania.

Złota młodzież z szkiełkami na zdrowych oczach, gładząc meszek pod nosem i gwarząc wesoło, zagląda niedyskretnie i impertynencko w oczy przechodzącym tuż obok przedstawicielkom płci pięknej. Dorożki z hałaśliwymi woźnicami, niemniej wozy tramwajowe przepełnione publicznością, krzyżują się w najrozmaitszych kierunkach. Wystawy sklepowe oblężone przez ciekawych, lokale publiczne, jakoto: restauracje, cukiernie, mleczarnie pełne gwaru. Jednem słowem wszędzie ruch i wrzawa.

Bezsprzecznie, że do najbardziej ruchliwych i wrzących życiem ulic Lwowa, należy ulica Karola Ludwika. W dniu, w którym opowiadanie nasze rozpoczynamy, po przez tłum publiczności szedł tąż ulicą młodzieniec średniego wzrostu, najwyżej lat 30 liczący, ubrany nieżurnalowo, ale mimoto przyzwoicie. Krocząc lekko i zgrabnie, muskał on bujny czarny wąs, który się wił nad kształtnie wykrojonemi ustami. Oko duże, czarne i nos orli, zdobiący jego męzką cokolwiek ogorzałą twarz, czyniły całość nadzwyczaj sympatyczną.

Po niedługiej przechadzce wszedł do jednej z najbardziej uczęszczanych cukierni a oglądnąwszy

się w około za stosownem miejscem i widząc na boku niezajęty stolik, zwolna się doń zbliżył, wyjął chustkę z kieszeni, zmiótł starannie pył z krzesła, a zdjąwszy kapelusz i rękawiczki i przegładziwszy ręką krucze, pięknie ułożone włosy, usiadł.

— Podaj mi malcze filiżankę czekolady — rzekł do nadchodzącego chłopca i wziął w rękę dziennik.

— Pan Dobrodziej pozwoli, że usiądzimy również przy tym stoliku? lokal przepełniony publicznością, nie mogłem znaleźć wolnego miejsca, — rzekł szpakowaty, otyły nieznajomy, przystępując w towarzystwie dwu pań do młodzieńca, i nie czekając przyzwalającej odpowiedzi, sapnął potężnie odsuwając od stolika trzy sąsiednie krzesełka.

Czytający odłożył zwolna dziennik i skinął głową a osłoniwszy się serwetą, począł pić czekoladę żując ciasteczka i przypatrując się ciekawie trzem naprzeciw siedzącym osobom.

— Szpakowaty jegomość, — myślał młody nieznajomy — poważna i okazała figura, zapewne jest mężem starszej pani, czego mu wcale nie zazdroszczę, gdyż brzydka co się zowie, lecz któż ta piękna dziewica obok? Rzeczywiście nie często się zdarzy sposobność zobaczenia podobnej piękności.... figurka prześliczna.... włos hebanowy.... oczy piękniejsze od fiołków.... patrząc w nie zapytałbym z poetą, co w nich siedzi „czy aniołek? czy djabełek?....“ płeć gdyby mleko..... jestem nadzwyczaj ciekawym, czy to córka tych dwojga niezbyt sympatycznie....

— Czego moje panie sobie życzą, lodów czy czekolady? — przerwał nieznajomemu tok myśli szpakowaty jegomość, zapytaniem zwróconem do towarzyszek, sapiąc przy tem potężnie i ocierając fularem pot z czoła.

Starsza zwróciła pytający wzrok na towarzyszkę.

— Proszę o lody, ojczulku! — zabrzmiał dźwięczny, melodyjny głosik — a matusia?

— Ja również proszę o nie, gdyż pomimo niezbyt długo trwającej przechadzki naszej, czuję się być zmęczoną upałem.

Młody nasz nieznajomy słuchając uważnie rozmowy naprzeciw siedzących, spożył tymczasem czekoladę i strzepnąwszy starannie pyłek z tużurka, dziennikiem ponownie się zasłonił. Nie czytał go jednak wcale; fiołkowe oczy naprzeciw siedzącej panny bardziej nęciły wzrok jego, niźli drukowane szpalty dziennika, to też odchyliwszy go nieznacznie, pilnie wpatrywał się w uroczą twarzyczkę.

Panienka trzymając w różowych prześlicznej formy paluszkach srebrną łyżeczkę, zwolna podnosiła ją do usteczek, okazując dwa rzędy drobniutkich perełek. Młody był zachwycony i śledził bacznie każdy jej ruch, wstrzymywał oddech, by nie spłoszyć lubego zjawiska, a ogarniając wzrokiem kształtną jej kibić, główkę jej zdobną loczkami, pierś z lekka falującą, szyjkę smukłą, zawisł wzrokiem na fiołkowych oczach sąsiadki.... gdy nagle dreszcz elektryczny przejął jego członki, ręka konwulsyjnie zadrżała i trzymany przezeń dziennik zsunął się pod stół.... oczy ich się spotkały a on zarumieniwszy się, gdyby student schwytany na swawoli, schylił się szybko po numer dziennika..

Scena powyższa nie została przez obecnych spostrzeżoną i sapiący jegomość skłoniwszy się z lekka nieznajomemu, wyszedł wraz z paniami z cukierni, — za nimi niepostrzeżenie pośpieszył nasz młodzieniec.

Na trotuarze kilku malców z różami w doniczkach zastąpiło mu drogę, piskliwymi głosami zalecając wonny towar.

Nieznajomy zatrzymał się chwilę i zwracając się do najstarszego z malców, przywołał go do siebie.

— Jeżeli będziesz rozumnym i wykonasz ściśle moje polecenia, zakupię róże i dobrze za nie zapłacę — rzekł zniżonym głosem.

Chłopiec zdziwiony spoglądał na nieznajomego, nie ufając jego zapewnieniom.

— Czego pan sobie życzy?

— Udasz się natychmiast w ślad za temi paniami i szpakowatym mężczyzną, którzy przed nami idą!

— Najchętniej! nie wiele pan żąda.

— Nie opuścisz ich na krok, a śledząc bacznie i przezornie, dowiesz się gdzie mieszkają.

— A! to już bardzo wiele.... zrozumiałem, gdzież mam pana szukać?

— Umiesz czytać?

— Nieźle, wszak....

— Oto adres, oczekiwać cię będę u siebie — przerwał nieznajomy, podając nieznacznie bilet swój chłopcu.

Może pan natychmiast zapłaci za róże? — zapytał z uśmiechem malec — obawiam się, by nie powiędły, jeśli zmuszonym będę kilka godzin chodzić.

— Jakiekolwiek będą, przyjmę i za trud cię wynagrodzę później, gdy je przyniesiesz.

Chłopiec żwawo pobiegł, nieznajomy zaś zwrócił kroki ku rynkowi i wszedł do sieni okazałej dwupiętrowej kamienicy. Stanąwszy wreszcie u drzwi pomieszkania, na których przybitą była tabliczka z napisem: „Juliusz Karpiński, doktor medycyny,“ — ujął on za dzwonek. Siwy, lecz czerstwy i prosto się trzymający starzec otworzył.

— Nadejdzie niebawem chłopiec z doniczką róż, które zakupiłem, wpuść go natychmiast, Janie — rzekł doktor do służącego.

Pomieszkanie Juliusza składało się z trzech pokojów i przedpokoju, a umeblowane nie wykwintnie, lecz nadzwyczaj gustownie, miłe robiło wrażenie, do czego przyczyniały się niemało istnie holenderska czystość i porządek. Na meblach i sprzętach najbystrzejsze oko nie postrzegłoby pyłu, podłoga wywoskowana szkliła się gdyby lustro, a rozesłane po podłodze kobierce chroniły od zanieczyszczania. Wszystko to było dziełem starego Jana, który dnie całe krzątał się z szczotką po pokojach.

Pierwszy z pokojów urządzony był na salon poczekalny dla chorych, drugi służył do przyjmywania tychże. Trzeci nareszcie gabinet a zarazem sypialnia Juliusza, zupełnie odmienne sprawiał na wchodzącym wrażenie. Podczas gdy w pierwszych stały wyroby stolarskie, noszące na sobie piętno wybryków artystycznych XIX. stulecia, rzeczy mogące uchodzić raczej za bawidełka dla dzieci, niźli za sprzęty mające służyć do użytku ludzi dojrzałych, — to widzimy w gabinecie ostatnim antyki, prastare pamiętające

czasy, a których pomimo wieku ząb czasu nie zdołał zużyć.

Połowę prawie pokoju zajmywało hebanowe łoże w piękne arabeski zdobne, przykryte złotem i srebrem tkaną makatą, którą jeszcze pradziad Juliusza z wyprawy wiedeńskiej przywiózł. Nad łożem wisiało kilka olejnych portretów, przedstawiających przodków gospodarza, niżej zaś liczna kolekcja starożytnej broni. Koło łoża stał stolik, a dalej rzeźbione bióro o olbrzymich rozmiarach z licznemi szufladami i schowkami i obity skórą fotel. Na uboczu szafa zapełniona księgami, obok niej klęcznik bogato wykładany kością słoniową i srebrem, u góry zaś tlała przed cudownym obrazem Matki Bożej Częstochowskiej lampa z olejem. Podłogę zaścielały skóry niedźwiedzie i żubrze.

Powyżej opisane przedmioty były to drogie pamiątki po rodzicach, których Juliusz w młodym wieku postradał. Od śmierci tychże wychowywał się samoistnie, gdyż ustanowiony dla niego opiekun wcale nie zajmywał się swym pupilem, lecz administrując nieuczciwie znaczny spadkowy majątek, miał jedynie na celu osobistą swą korzyść. Stary sługa domu i piastun Juliusza, bałwochwalczo doń przywiązany a znajomy nam już Jan zastąpił mu ojca, matkę...... rodzinę i był mu nieodstępnym towarzyszem, do czego nawet w obec umierającej matki Juliusza dobrowolnie się zobowiązał. Z prawdziwem zaparciem się siebie poświęcił się wierny sługa, by jak najgodniej odpowiedzieć przyjętemu na się zadaniu; wspomagał Juliusza dobremi radami, chronił od złego towarzystwa i wpajał weń jak najlepsze według przekonania własnego zasady. Ukończywszy szkoły gimnazjalne z świadectwem celującem, wstąpił Juliusz na wydział medyczny, ulegając radom i namowom poczciwego starca, który wiedząc o nieuczciwem postępowaniu opiekuna a nie mogąc mu zapobiedz, chciał bodaj tym sposobem zapewnić wychowankowi swemu sposób do życia w razie, gdyby majątek jego został przetrwoniony. Opiekun przeznaczał miesięcznie pewną kwotę na utrzymanie Juliusza, którą wypłacał na ręce Jana, a tenże dowolnie nią rozporządzając, starał się by na niczem kochanemu paniczowi nie zbywało.

Jan, były żołnierz napoleoński, przejęty zasadami rygoru i karności wojskowej, nie zapominał nigdy o winnym szacunku dla syna byłego swego chlebodawcy, lecz pomimo tego ostro karcił słowami każdy wybryk młodzieńca, który szczerze go kochając, z uległością upomnienia jego przyjmywał. Juliusz nie miał też żadnej tajemnicy przed Janem, lecz z każdą czynnością zwierzał mu się i chętnie zasięgał doświadczonej jego rady.

Po ukończeniu kursów medycyny, będąc już pełnoletnim zażądał od opiekuna złożenia rachunków i zwrotu spadkowego majątku. Po długich i niezbyt przyjemnych rokowaniach uznał się tenże zmuszonym zwrócić mu nieprawnie przywłaszczony majątek, lecz uskutecznił to zaledwie w jednej trzeciej części, tłumacząc niedobór ten bezczelną wymówką, że reszta użytą została na jego wychowanie. Za poradą Jana zaniechał jednak Juliusz dochodzenia poniesionych strat, wyrządzonych mu przez nieuczciwe postępowanie opiekuna. Pomimo tego dostało mu się przecież tyle, aby zapewnić sobie niezależne i bez trosk życie; praktykę zaś lekarską rozpoczął Juliusz nie z potrzeby naglącej, lecz by mieć zajęcie i być społeczeństwu pożytecznym, za co też uwielbiany i poważany był przez ubogich.

Juliusz, wszedłszy do gabinetu, zdjął kapelusz i rękawiczki i przechadzał się długo w cichem zamyśleniu. Jan widząc, że panicz zadumany siada przy biórku, usunął się na bok, niespokojnie spoglądając na niego. Rozważał starzec przyczyny zagadkowego tego postępowania, ale wytłumaczyć nie mógł ich sobie. Wszak dotąd Juliusz nie zaniedbywał jeszcze nigdy z powrotem po dłuższej nieobecności zapytać go o zdrowie, wyspowiadać się z czynności swoich przed nim... W myślach tych pogrążony starzec, spoglądał za paniczem swoim z niekłamanem uczuciem miłości i niepokoju.

Juliusz wyjął z szuflady gruby manuskrypt, zatytułowany: „Mój pamiętnik“ i wziąwszy pióro w rękę, pisał szybko:

Dnia 23. czerwca 18.....

„Jakieś tajemne i niewytłumaczone niczem przeczucie mówi mi, że dzień dzisiejszy będzie dla mnie dniem pamiętnym w życiu! Słowa powyższe prawie mimowolnie wymknęły mi się z pod pióra.... wszak nie grzeszyłem dotychczas nigdy zabobonnością i wiarą w rzeczy nadprzyrodzone? Przypuściwszy zresztą, że rzeczywiście przeczucie mię nie zawiedzie, w takim razie nasuwa się znowu pytanie, dlaczego właśnie dzień dzisiejszy ma być dla mnie „dniem pamiętnym w życiu?“ Czyżby na upamiętnienie go miała wpływ wywierać błaha okoliczność, że w cukierni przypadek zaznajomił mię z młodem a pięknem dziewczęciem? Wszak jako lekarzowi, przypadki podobne nie powinne mi być nowością, a pomimo tego.... hola! bezmyślne pióro!.... gdzie zasady, któremi się dotąd karmiłem? Pieszczot mej rodzicielki nie pamiętam, a wychowany przez Jana nie doznałem nigdy pieszczot kobiet obcych, które tenże jako nieubłagany ich nieprzyjaciel odemnie wszelkiemi możliwemi środkami oddalał i w jak najniekorzystniejszem świetle mi przedstawiał. Przyznaję szczerze, że jestem mu za to wdzięcznym, gdyż bardzo być może, że jako młodzik niedoświadczony poznałbym był tego rodzaju kobiety, któreby mi życie zatruły i odebrały potrzebną energję do pracy. Nie uczuwając potrzeby, nie starałem się dotychczas zawrzeć z żadną białogłową bliższej znajomości i przyznać nawet muszę, że się ich obawiam.... a mimo tego widząc obcą matkę pieszczącą swe dzieci, lub kochające się stadło, zazdroszczę im i tęsknię czasem... za uściskiem uczciwej kobiety... Poczciwy Jan pragnąc jedynie mego dobra, wszczepiał we mnie z zupełną bezwzględnością zagładą światu grożące zasady od młodości, jednak poznaję, że niezbyt się niemi przejąłem, gdyż.... pomimo tychże zdołała panienka, w cukierni widziana wywołać we mnie pewne nieznane mi dotychczas, a bardzo miłe wrażenie. Czy to przedsmak miłości...... nie wiem. Włos siwy Jana i nabyte doświadczenia jego mogą wprawdzie przemawiać za wiarygodnością słów jego, lecz przecież nie należy sądzić ogółu podług jednostek, co też poczciwcowi

koniecznie wytłumaczyć muszę, aby się uchronić od wszelkich podejrzywań zwłaszcza za zlecenie, dane chłopcu"....

W tej chwili ozwał się dzwonek w przedpokoju, Juliusz przestał pisać, widząc przed sobą chłopca z różami.

— Cóż? wiesz, gdzie mieszkają? — badał go niecierpliwie Juliusz powstając od biórka.

— Czy kupi pan róże? — brzmiała odpowiedź.

— Ależ kupię, tylko odpowiadaj na me pytania? — mówiąc to, by go zachęcić sięgnął do kieszeni i wetknął mu w rękę pieniądze....

Malec zadowolniony, przeliczywszy takowe, rzekł:

— Przy Jagiellońskiej ulicy nr. 240, kamienica dwupiętrowa o dwunastu oknach frontowych.

— Dziękuję za wiadomość; gdy będziesz miał piękne róże, przyjdź ponownie — odpowiedział Juliusz i począł zamyślony przechadzać się po gabinecie.

— Dowiedziałem się jeszcze czegoś, lecz zapewne panu już obojętne dalsze wiadomości? — zapytał chłopiec po chwili z szyderczym uśmiechem.

— Dlaczegoż nie mówisz?

— Otrzymałem jedynie polecenie dowiedzenia się, gdzie mieszkają.

— Rozumiem, żądasz za resztę wiadomości osobnego wynagrodzenia — nie obawiaj się, otrzymasz je.

— Uczciwie zarobiłem panie, gdyż państwo, których śledziłem, wsiedli do dorożki i musiałem spory kawał za nimi biegnąć, bo niecnota woźnica nie chciał przystać na mą wspólną z nimi jazdę. Szpakowaty pan ma być bogatym kapitalistą i nazywa się Henryk Mayer, starsza pani jest jego żoną a panna ich córką — recytował chłopiec śmiejąc się z zadowoleniem.

— Czy wiesz z pewnością, że Henryk Mayer? — zapytał uradowany Juliusz.

— Tak panie, dowiedziałem się wszystkiego u oddźwiernego, któremu zmuszony byłem kupić paczkę tytoniu a żonie jego, ohydnej, ospowatej babie ofiarować z krzywdą pana najpiękniejszą różę, by szanownemu małżeństwu otworzyć usta do zwierzeń. —

Juliusz wynagrodziwszy chłopca, usiadł ponownie przy biórku i pisał dalej:

„Wysłany mały szpieg doniósł mi o ich mieszkaniu i nazwisku.... zaiste dziwny zbieg okoliczności.... gdyż do znajomych moich zaliczam p. Ludwika Mayera, który zapraszał mię kilkakrotnie, bym go odwiedził. Nie uczyniłem dotychczas zadość wezwaniom tym, gdyż hulaszczy sposób życia p. Ludwika zupełnie mi się nie podobał. O ile sobie przypominam, mówił że zajmuje wspólne mieszkanie z rodzicami przy ulicy Jagiellońskiej.... czyż byłby synem p. Henryka?.... W razie twierdzącym okoliczność ta niespodziewana sprzyjałaby moim zamiarom, gdyż przez Ludwika mógłbym poznać się z piękną siostrzyczką... przezwyciężę więc wstręt mój i odwiedzę go a sądzę, że nie omieszka przedstawić mię rodzicom. Przyznać muszę, że nie poznaję siebie, w przeciągu bowiem kilku zaledwie godzin zmieniłem dotychczasowy sposób myślenia, a przyczyną tego cóż?... błaha okoliczność.... widok gładkiej buzi. Czyż to może początek zasłużonej kary za dotychczasową apatję moją dla płci pięknej?... Jan nadzwyczaj gorliwie strzepuje prochy w pokoju, których zupełny brak, zapewne chciałby się dowiedzieć o znaczeniu mojej rozmowy z chłopcem, nie chcę nadużywać jego cierpliwości." —

— Uznaję obowiązek przeproszenia cię, mój stary — zagadnął Juliusz odkładając pióro i zwracając się do służącego — powróciwszy roztargniony z przechadzki, nie przywitałem się nawet z tobą, lecz usiadłem natychmiast do stolika, by przelać na papier tłoczące mi głowę myśli. Czy czujesz może do mnie urazę z tego powodu? powiedz szczerze, Janie.

— Wolne żarty, paniczu! gdzieżbym śmiał moje niezadowolenie wam okazywać?

— Zanadto jesteś dla mnie pobłażliwym — mówił Juliusz ściskając serdecznie dłoń starca — nie powininem i na chwilę zapominać o twem poświęceniu się dla mnie dziś, gdy jestem w możności ocenić całą jego doniosłość.

— Wstyd mi prawdziwie, że wy paniczu choć uczony, mówicie.... — nie mógł dokończyć stary, gdyż łzy zwilżyły mu powieki.

— Słowa te są jedynie wyrazem twych uczuć, nie zdołasz jednak niemi osłabić mego przekonania o winnym obowiązku. Wspominam o wdzięczności a w tej samej chwili być może, zeznaniem mojem przykrość ci wyrządzę. Wstąpiwszy dzisiaj do cukierni ujrzałem tamże obcą mi panienkę w towarzystwie rodziców. Ciekawy dowiedzieć się bliższych szczegółów o nich, wysłałem chłopca, który jak słyszałeś, przyniósł mi porządane wiadomości.

Jan odłożywszy szczotkę na bok, słuchał ze zdziwieniem; na czoło wystąpił mu pot kroplisty, który prędko ręką otarłszy, zapytał drżącym głosem:

— Na cóż się wam przydały one, paniczu?

Juliusz wahał się na chwilę z odpowiedzią.

— Mam zamiar prosić znajomego, by mię przedstawił w ich domu.

— Jezu Nazareński niewinnie ukrzyżowany!.... i ty Matko Bolesna! zmiłujcie się nad moim paniczem! — zawołał przestraszony Jan. Czyż nie boicie się kłaść zdrowej głowy pod ewangelię? Czyż z rozmysłu szukać chcecie nieszczęścia na gładkiej drodze? Paniczu kochany! nie dziwię się wam, wszak jesteście jeszcze młody a więc i płochy poniekąd, lecz wierzcie siwej i doświadczonej głowie, że z przeproszeniem każda białogłowa to nic dobrego, a tem bardziej jeszcze Niemkini... omami was, rozum przez czary odbierze i nie opamiętacie się nawet, jak rychło zrobi was swoim niewolnikiem. Dreszcz mi zimny po plecach przechodzi, gdy pomyślę, co za straszne rządy by nastały, gdybyście wprowadzili w dom złą kobietę. Złotą naszą wolność kawalerską, którą się dotychczas chlubimy i z którą nam tak dobrze, utracilibyśmy bezpowrotnie zaraz w pierwszych dniach, a zawojowani musielibyśmy skakać z przeproszeniem jak pudle na łańcuszku. Młodemu to i łatwiej się przyzwyczaić, lecz ja stary i nienawykły do czegoś podobnego, wolałbym raczej z przeproszeniem dźwigać torby żebracze. Być może paniczu, że was niesłusznie posądzam o zamiary, o których dotychczas nawet nie marzycie, lecz znam świat i ludzi i wiem, że z przeproszeniem, gdy mucha pajęczyną się omota, rzadko odzyskuje wolność.

Jan z obawy, by nieuczoną swą mową nie obraził dostojnego panicza, salwował się od wszelkiej nagany powtarzając co chwila: „z przeproszeniem“.

Juliusz oparłszy głowę na poręczy fotelu, uśmiechał się słuchając powyższych słów.

— Nie śmiejcie się paniczu — ciągnął dalej Jan poważnym głosem, a wierzcie doświadczonym radom. Nie miałem ja wprawdzie żony, lecz patrzyłem na niejedno małżeństwo, które z przeproszeniem niby z miłości się pobrało i żyło później w niezgodzie jak kot z psem, bo zawsze białogłowa rządziła a nie mężczyzna. Na karę boską i nie małą odpowiedzialność przy ostatecznym sądzie zasłużyłbym, gdybym nie zaliczył do wyjątków nieboszczkę panią a matkę waszą, która.... niechaj z Panem Bogiem spoczywa.... choć także z przeproszeniem nie szpetnie czasami wojować umiała, ale była mimo tego świętą niewiastą. Wszak znałem ją młodą panienką, gdy jeszcze wasz ojciec cholewki do jejmościanki z przeproszeniem smalił. Gładką też była dziewoją a piękną i dobrą, że klękaj tylko i módl się. Jednak mimo tego zmiana w usposobieniu nastąpiła po zamążpójściu. Pewnego razu np. pamiętam gdyby dziś w dzień Bożego Ciała, ja z przeproszeniem wypiwszy za wiele, począłem w kredensie sprzeczkę z hultajem Antonim, który był faworytem jejmości. Skutkiem sprzeczki niewinnej powaśniliśmy się i o mało za czuby nie pochwycili, w tem nieboszczka pani wszedłszy i spostrzegłszy nadąsane nasze miny, w mgnieniu oka natarła nam obydwum tak potężnie uszy, że nietylko natychmiast wytrzeźwiałem, ale nazajutrz z obawy, by przez głupi trunek nie zasłużyć kiedyś ponownie na podobną dotkliwą admonicję, poszedłem do proboszcza, wyspowiadałem się przed nim przykładnie z grzechu i przysiągłem, że wódczyska więcej do ust nie wezmę, i.... nigdy się nie ożenię. Święta to była pani, ta matka wasza, lecz pocóż wam opowiadać, gdy sami najlepiej wiecie. Każdemu młodzieniaszkowi z przeproszeniem zwykle w głowie fiu... fiu... Niechno zobaczy gładkie, otynkowane liczko, niech usłyszy melodyjny głosik a rąbałby się zaraz z każdym śmiałkiem, któryby nie uznawał wszelkich możliwych

doskonałości jego heroiny i powątpiewał, że nie poznał anioła w ludzkiem ciele, — ale niech się ożeni a niebawem z przerażeniem spostrzeże, że jego anioł miał ukryte potężne rożki, którymi nielitościwie bość umie. Następuje tedy po spełnieniu czynu refleksja i pozostaje jedynie lube wspomnienie utraconej bezpowrotnie wolności.

— Ależ przyznasz Janie — zapytał śmiejąc się Juliusz, że nie wszystkie kobiety są złe?

— Kalkuluję niby z przeproszeniem, że całkiem dobrej nie ma — odparł starzec stanowczym głosem.

— Przekonania twego nie podzielam i twierdzę, że jeśli są dobrzy i źli mężczyźni, muszą być również i podobne kobiety, a nie mam dotychczas żadnego powodu do sądzenia już z góry, że panna Mayerówna należy do rodzaju złych. Od wieków przyjęto zwyczaj w kołach ucywilizowanych, że mężczyzna zobaczywszy przelotnie pannę nie oświadczał się zaraz z gotowością poślubienia jej, lecz poprzód bywał w domu rodziców, by ją bliżej poznać.

— Gdy paniczu sądzicie — odparł szybko nieprzekonany jego argumentami Jan, — że kilkunasto-, lub kilkodziesięciorazowe odwiedziny są wystarczającemi, by pannę należycie poznać i upewnić się, że będzie z przeproszeniem dobrą żoną, przestrzegam że mylnem jest twierdzenie podobne a i zdradza brak doświadczenia, bo gdy się jej podobacie, wady swe jak również wy, będzie ukrywać. Strzegłem was od najmłodszych lat bardziej jak oka w głowie, nie opuszczę i nadal. Moje perswazje były sądzę bezowocne, dla tego też trzeba mi będzie teraz podczas waszych odwidzin w domu państwa Mayerów, zastanowić się nad sposobem naocznego przekonania się o wartości charakteru panny, a nie zaprzeczycie z przeproszeniem, że moje choć stare lecz niezaślepione miłością oczy więcej zobaczą od waszych młodych a rozmiłowanych we wdziękach panny.

— Dziękuję ci serdecznie za dobre chęci — zawołał uradowany Juliusz ściskając rękę Jana — ciekawy jestem, w jaki sposób plan zamierzony chcesz przywieźć do skutku?

— Obmyślę go dopiero — odpowiedział starzec odchodząc.

W kilka dni potem Juliusz odwiedził znajomego Ludwika Mayera, który rzeczywiście był synem p. Henryka i mieszkał przy rodzicach. Pan Ludwik rad niezmiernie z odwiedzin doktora, który będąc sam majętnym człowiekiem, mógł być w chwilach potrzeb finansowych nieocenionym kolegą, — przedstawił go natychmiast rodzicom. Grzecznie przyjęty Juliusz, oczarowany wdziękami panny Mani, nadzwyczaj przyjemnie spędził dwie godziny w ich towarzystwie.

Pp. Mayerowie zamieszkiwali pierwsze piętro, złożone z ośmiu pokojów wykwintnie umeblowanych i utrzymywali liczną w bogatą liberję przebraną służbę, która mieściła się w osobnym, na drugiem piętrze najętym lokalu. Tak urządzenie domu jak i sposób życia pp. Mayerów wskazywały, że znacznym rozporządzać musieli majątkiem.

Wtajemniczeni w rzeczy i znający dawniej pp. Mayerów ludzie twierdzili wprawdzie, że dopiero od lat kilku, a mianowicie od czasu, gdy Mania i Ludwik osiągnęli wiek zezwalający na wprowadzenie ich w koła liczniejszych towarzystw, rodzice poczęli prowadzić życie wystawne, jakkolwiek dawniej żyli zupełnie skromnie i żadnych nie zawierali znajomości. W owych jeszcze czasach p. Mayer szczupłym kapitalikiem szczęśliwie spekulując i rozpożyczając na lichwiarskie procenta, sporej dorobił się fortuny. W czasie opowiadania naszego zaprzestał już zupełnie drobnych interesów lichwiarskich i zajmywał się jedynie spekulacjami większemi. Przyznać jednak należy, że ideą przewodnią obojga małżonków przy powiększaniu w jakikolwiekbądź sposób majątku, była jedynie chęć zapewnienia w przyszłości Mani i Ludwikowi niezależnego bytu.

Państwo Mayerowie, starający się być jak najbardziej miłymi w towarzystwie, nie grzeszyli jednak zbyt wysokim nastrojem intelektualnym. Tem bardziej jaśniała przy nich wszechstronnie wykształcona Mania. Dlatego też rodzice uznając jej wyższość, zamilkli gdy rozpoczynała konwersację i ograniczając swą działalność na przywitaniu i pożegnaniu gościa, pozostawiali

zabawianie tegoż córce. Wtedy matka zapytana o cokolwiek, opowiadała niemem skinieniem, ojciec zaś udawał zamyślonego i zajętego kombinacjami arytmetycznemi.

Apoteozując wyższość intelektualną Mani do karykaturalnych rozmiarów, dumni i zadowolnieni z jej dowcipu i wiedzy, otaczali ją rodzice wszelkiemi możliwemi przyjemnościami, starali się odgadywać jej życzenia i oddawali się całkowicie na usługi czarodziejki nie wyłączając i Ludwika. Rozpieszczona i kapryśna Mania była wszechwładną panią w domu; nikt nie odważyłby się jej sprzeciwić lub przykrości wyrządzić, lecz wszyscy karmili ją pochlebstwami, które jako należną daninę obojętnie przyjmywała.

Żyła tak życiem złotoskrzydłego motylka, bujającego po woniejących kielichach, muskającego piękne kwiaty i wysysającego słodycze w nich zawarte bez poważniejszej myśli o jutrze.

Brat Mani niemniej ukochany, lecz i niemniej zepsuty synalek państwa Mayerów, uchodził w zgrai jego kosztem żyjących pasożytów za dobrego towarzysza. Sława jego wybryków, oraz kilku głośniejszych awantur zjednała mu liczne koło znajomych, a urok złota otworzył na oścież podwoje arystokratycznych domów stolicy. Pełna nadziei młodzież, trwoniąca swoją ojcowiznę, zazdrośnem okiem spoglądała na Ludwika, który trwonienie doprowadził do prawdziwego artyzmu. Pozując na nowomodnego Donżuana, robił Ludwik a konto bogatej żeniaczki, pomimo znacznych przez ojca mu udzielanych zaliczek, jeszcze szalone długi, które kochający ojciec bez szemrania płacił.

Juliusz częstym był gościem w domu pp. Mayerów, którzy uwiadomieni cichaczem przez syna o znacznym majątku doktora, uprzejmie go przyjmywali. Starając się usilnie o pozyskanie ich względów, towarzyszył im młody lekarz na przechadzki i wycieczki, oprowadzał po muzeach i wystawach, obmyślając niestrudzenie na każdy dzień następny nową przyjemną niespodziankę. Nie dziw więc, że obcując tak często w towarzystwie Mani, czem raz bardziej rozmarzony pięknemi jej oczkami, myślał już o oświadczeniu się.

Stary Jan o tych zamiarach wiedział, lecz milcząc nie rozpoczynał nigdy z paniczem w tym względzie rozmowy, zadowalniając się jedynie podczas tegoż nieobecności bezustannem gniewnem mruczeniem.

— Do stutysięcy bataljonów czarnych djabłów! Klnę się na nieśmiertelnego wodza mego Napoleona, że to oczywista kara boska, bo już panicz trochę obałamucony; — lecz ponieważ bez obawy pod Waterloo patrzyłem w czarne paszcze armat ziejących ogniem, więc z równąż odwagą zdołam spojrzeć w oczka jejmościanki, a wówczas jedna z stron zwyciężyć musi, — a mam nadzieję, że stroną tą będzie stary, niedołężny Jan, — i zadowolony z nastąpić mającego sukcesu dziarsko podkręcał siwy wąs.

Juliusz od czasu poznania Mani bardzo często w wolnych chwilach powierzał całodzienne wrażenia znajomemu nam pamiętnikowi, uważając go za jedynego przyjaciela, który kiełkujące uczucie należycie zrozumieć potrafi. Z Janem rozmawiał również o Mani, ograniczając się jednak tylko na obojętnem wychwalaniu piękności tejże. Korzystając z prawa autorskiego zajrzyjmy do pamiętnika i odczytajmy zeń którykolwiek ustęp, np.

„Dnia 16. lipca 18....

Po długiem wahaniu odważyłem się dziś zapytać w duchu: „Czy kochasz Manię?“ Trudną jest odpowiedź na powyższe słowa i dotychczas na nie nie odpowiedziałem, gdyż objąwszy umysłem całą ważność stanowczej odpowiedzi i skutków tejże, zawahałem się, bym płochem przyznaniem nie zniszczył spokoju przyszłego życia. Dotychczasowy rodzaj uczucia mego dla Mani nazwałbym raczej uwielbieniem, ekstazą niż miłością. Kiedy patrzę na zdobiące ją piękność i wdzięki, wtedy zdaje mi się, że nie widzę zwykłą kobietę przed sobą, lecz istotę wyższą.... anioła, który jedynie czasowo przebywa na tym padole płaczu...., że widzę istotę równą bóstwu, którą bym skalał chcąc kochać miłością ziemską, miłością samolubną. Z dziwnem tedy uczuciem bojaźni i wzruszeniem wewnętrznem zbliżam się każdorazowo do niej i w jej obecności staję się nieśmiałym i małomównym, gdyby żak. Czyż to skutki mej dotychczasowej apatji wzglę-

dem istot, którym Bóg według mniemania ogółu powierzył „obowiązek“ uprzyjemniania nam życia? —

Dnia 19. lipca 18....

Dotychczas wspominałem jedynie o moich uczuciach względem Mani, nie uwzględniając okoliczności, „że miłość to kapryśne dziecię.“ — Gdybym wieszczym duchem mógł rozpoznać jej myśli, gdybym oczami zachwytu i uwielbienia mógł zajrzeć w toń serca i odkryć tamże tlejącą iskierkę wzajemności, szczęśliwy milczałbym.... niestety....

Dnia 21. lipca 18....

Nieznośne wymogi form i konwenansów światowych zmuszają mię, by usprawiedliwić lada pretekstem częste odwiedziny u niej, jednem słowem, albo zaprzestać dalszych odwiedzin, albo oświadczyć się. Obie ostateczności są mi przykre, gdyż zdaje mi się, iż jestem najszczęśliwszym z ludzi, kiedy mogę upajać wzrok jej widokiem i uwielbiać ten istny cud natury. Nie pragnąc więcej zadowoliłbym się chętnie już i tą zdobyczą. Lecz to rzecz niemożliwa, a wiele czyni kto musi.... Odczytałem uważnie skreślone w pamiętniku wrażenia od pierwszego poznania Mani w cukierni, a zastanowiwszy się nad niemi, zadawałem sobie ponownie pytanie, czy kocham Manię?.... Kocham!... kocham szalenie!... lecz powtarzam, „że miłość, to kapryśne dziecię“, bo przekonuję się, że kocham zmysłowo.... miłością platoniczną.... i pełen tajemnej trwogi zapytałem, czy wystarczającą jest podobna miłość, by być szczęśliwym i zapewnić także osobie drugiej szczęście?“....

Minęło kilka tygodni. Pewnego razu Juliusz powróciwszy wieczorem uśmiechnięty i zadowolniony rozpoczął obojętną pogawędkę z Janem, a przekonawszy się, że starzec w dobrym humorze, przemówił do niego:

— Dzisiejszy wieczór nadzwyczaj przyjemnie spędziłem w domu pp. Mayerów w kole doborowego towarzystwa kawalerów, panien i poważnych matron. Obchodzono solennie dzień imienin Mani, która widocznem wyróżnianiem mię między licznymi adoratorami i nadzwyczajną uprzejmością wynagradzała szczodrze drobne przysługi. Przy stole długą i nieo-

bojętną prowadziliśmy rozmowę, tak że prawie pewien jestem przychylnej odpowiedzi, oświadczywszy się.

— Na rany Chrystusa! Czy dobrze słyszałem?... Już panicz myśli o oświadczynach? — zapytał oburzony Jan.

— Po długim namyśle postanowiłem się oświadczyć — mówił Juliusz stanowczym głosem — i nie zwlekając, jutro zamiar wykonam. Pomimo tego jednak nie zapomnę twoich rad, mój Janie, a dowiedziawszy się o uczuciach Mani ku mnie, jako narzeczony jej pilną zwracać będę na nią uwagę, by ją bliżej poznać i ocenić należycie jej charakter.

— Przepowiadałem zaraz, że z przeproszeniem niecnoty Niemkinie panicza obałamucą... ha! dziej się wola Boża — gniewnie mruknął Jan odchodząc.

Nazajutrz Juliusz drżąc z obawy przed możliwą odmową i skutkami tejże, wyjawił rodzicom swojej ulubionej zamiary swe względem Mani. Oboje nadzwyczaj zadowolnieni oświadczynami temi, zapewniwszy go, że z ich strony żadnej przeszkody obawiać się nie potrzebuje, oświadczyli mu, że niechcąc woli córki krępować, zostawiają do jej woli wybór przyszłego małżonka; ponieważ jednak wyszła do przyjaciółki i powróci dopiero wieczorem, więc natychmiast po jej powrocie zawiadomią go listownie o ostatecznej decyzji. Uszczęśliwiony, marząc rozkosznie a pewien przychylnej odpowiedzi, powrócił Juliusz do siebie, by o rezultacie swych usiłowań zawiadomić starego Jana, niecierpliwie oczekującego powrotu panicza.

Sługa wysłuchawszy uważnie relacji, dziwnie się pod wąsem uśmiechnął i rzekł:

— Przyjmcie paniczu od piastuna z przeproszeniem najszczersze życzenia i ojcowskie błogosławieństwo.

— Dziękuję ci, wierny przyjacielu — zawołał wesoło Juliusz — ufam, że poznawszy mą przyszłą... żonę, nie zganisz uczynionego wyboru.

— Być może.... być może — mruczał Jan niechętnie — mam pilny interes do załatwienia w mieście, pozwólcie mi paniczu wyjść, uprzedzam jednak, że zabawię zapewne do późnego wieczora.

— Najchętniej pozwalam.

Jan wyszedł z zamiarem udania się na Jagiellońską ulicę. Stanąwszy przed bramą kamienicy zamieszkałej przez p Mayerów, począł się przechadzać.

Ruchy jego niespokojne, częste stawanie na trotuarze i gestykulacje zwracały nań uwagę przechodniów; czasami wymówił kilka gniewnych słów i przyspieszał kroku, po chwili stawał znowu, zamyślał się i zaciskając kurczowo pięście, mruczał niezrozumiale. Przechodząc koło bramy, niespokojnie zaglądał do wnętrza domu, jak gdyby kogoś oczekiwał i nie spostrzegłszy oczekiwanego, szarpał niemiłosiernie siwe wąsy i marszczył groźnie czoło.

Nareszcie zbiegł ze schodów wygalonowany lokaj a zobaczywszy Jana zawołał:

— Długo czekaliście na mnie, kumie?

— Chwilę zaledwie — odrzekł zapytany, kryjąc uśmiechem niezadowolenie — lecz chodźmy się ukryć do sąsiedniej piwiarni, by nas nie spostrzeżono rozmawiających.

W ponętnie brudnej i okopconej dymem świątyni Bachusa usiadłszy przy stole, kazał sobie Jan podać dwie szklanki piwa i nachyliwszy się do towarzysza, zagadnął doń zniżonym głosem:

— Czy państwo u siebie?

— Niestety! nie wychodzili dziś nigdzie — uskarżał się towarzysz — oczekują przybycia panienki, która wyszła odwiedzić przyjaciółkę i dotychczas nie powróciła.

— Nie wiecie, kiedy powróci?

— Grzegorz otrzymał polecenie udania się o szóstej po panienkę.

— U was podają zwyczajnie o wpół do siódmej podwieczorek? — badał Jan.

— Nie inaczej!

— Dziś wyjątkowo zapewne państwo nie poleca prędzej podwieczorku podawać, dopokąd panienka nie powróci?

— Bez wątpienia! otrzymaliśmy już nawet stosowne polecenie.

Jan podparłszy się ręką milczał, rzucając bystre spojrzenia na towarzysza, gdy tenże uśmiechając

się głupkowato, sączył zwolna nektar z szklanki, delektując się jego przedniością. Widocznem było, że stary sługa wahał się wyznać cel swych zapytań.

— Nadzwyczaj ważny interes wymaga koniecznie — począł Jan — bym się dziś jeszcze ukrył w pokoju, w którym państwo zasiędą do podwieczorku i słyszał ich rozmowę z panienką.

— Ależ to niemożliwe! — zawołał lokaj.

— Dlaczego?

— Gdzież was ukryję?

— Gdziekolwiekbądź, zamkniecie mię do szafy, wlezę pod łóżko....

— A gdyby was odkryto? — przerwał towarzysz niespokojnie — utraciłbym służbę i naraziłbym się na odpowiedzialność.

— Nie obawiam się tego wcale, gdyż nie wątpię w waszą przezorność co do ukrycia mojej osoby — mówiąc to Jan sięgnął do kieszeni i wcisnął w ręce drżącemu lokajowi kilka reńszczaków. — To tylko zadatek, jeśli się dobrze powiedzie, otrzymacie więcej.

Brzęczący argument przygłuszył obawy lokaja i natchnął go duchem przedsiębiorczym.

— Ktoby wam się oparł? — rzekł po chwili namysłu rozkosznie wzdychając — chociażby człek był z kamienia, tobyście go wzruszyli waszemi prośbami.

— Uprzedzić muszę, że przy podwieczorku jak sądzę, napisze pan bilecik do doktora Karpińskiego. Bilecik powyższy oddacie mi koniecznie, ja go doktorowi odniosę i w dowód oddania powrócę natychmiast z pisemną odpowiedzią.

— Kumie Janie! powiedźcie prawdę, czy jesteście czarownikiem? lub czy Bóg was obdarzył darem odgadywania przyszłych rzeczy? że wiecie, co pan mój przy podwieczorku robić będzie, — zawołał ponownie przerażony lokaj, odsuwając się od mówiącego. Nie pierwszy już raz wspominacie o faktach, które tylko podsłuchującemu rozmowy państwa lub panny z doktorem, powinne być znane.Cóż za powód w tem, że się tak żywo doktorem zajmujecie? wszak nie znacie go ponoś?

Zmięszał się starzec i chcąc ukryć zakłopotanie swoje, szybko podniósł szklankę do ust.

— Wytłumaczę się później, gdyż obecnie nie mam już czasu na pogawędki, czas mija, prowadźcie mię niepostrzeżenie do pomieszkania i wskażcie bezpieczne miejsce do ukrycia; godzina szósta niebawem wybije na wieży.

— Prawdziwie zapomniałem, że państwo mogą mię potrzebywać — chodźmy. Wyborne piwo w tej piwiarni, napijmy się jeszcze po....

— Najchętniej — odparł Jan i polecił podać dwie szklanki.

Skończywszy piwo wyszli. Obaj oglądnęli się w koło, czy nie zostali spostrzeżeni i cichaczem wspięli się na pierwsze piętro. Pozostawało obecnie wykonanie najważniejszej czynności, przeprowadzenie Jana przez szereg pokojów. Lokaj drżał z obawy; Jan starając się okazać zupełnie spokojnym, trzymał rękę na silnie w piersiach kołatającem sercu. Zadowolnieni zupełną ciszą, weszli obaj do przedpokoju, a minąwszy śpiącego Grzegorza znikli w następnych pokojach.

Po chwili zadowolniony z dokonanego dzieła sługus uśmiechając się głupkowato zastawiał stół przysmakami rozmaitemi, mającemi służyć do podwieczorku, Jan zaś zamknięty w improwizowanem więzieniu, — nie zbyt obszernej szafie, stał nieruchomo, by swej obecności nie zdradzić. Pot kroplisty okrył mu czoło, a nogi drżały.

Zegar wskazał na wpół do siódmą, do pokoju weszło kilka osób, Jan zaparłszy oddech w piersiach, przyłożył ciekawie ucho do drzwi szafy.

— Dobrze się bawiłaś, Maniu? — zapytał ojciec pieszczotliwie, zajmując miejsce u stołu.

— Wyśmienicie. U pani R... zastałam zgromadzone liczne towarzystwo i nie byłabym tak wcześnie powróciła, gdyby nie Grzegorz......

— Któremu poleciliśmy powiedzieć tobie, że cię z niecierpliwością oczekujemy — dokończył p. Mayer łagodnie.

— Cóż było tego powodem? — zapytała zadąsana Mania.

— Ważną a może i radosną wiadomość chcemy ci zakomunikować. Dr. Karpiński prosił nas dzisiaj o twą rękę — odważyła się przemówić matka.

— Dziwię się bardzo, że rodzice rzecz tak błahą chrzczą mianem ważnej wiadomości i miasto zatrzymać ją w tajemnicy, wyrządzają mi przykrość wspominając o niej. Oświadczam stanowczo, że wiadomość ta nie wywarła na mnie spodziewanego uczucia radości — zawołała Mania śmiejąc się ironicznie.

— Dlaczego? — zapytali równocześnie zdziwieni rodzice, patrząc badawczo na córkę.

— Gdyż doktora nie cierpię i przymuszam się tylko do grzeczności i uprzejmości dla niego, słuchając jego nudnych a rozwlekłych rozmów.... Zanadto poważny.... nieznośny pedant.... nie ma w nim życia... sądzę, że nie zrobili mu rodzice żadnych nadziei?

— Owszem — mruknął ojciec.

— Zarzucasz mu niesłusznie Maniu, że nadto poważny — ozwała się cicho p. Mayerowa, — jest to przymiotem dobrym a nie wadą i....

— Czy chcecie mię zmuszać do związku z mężczyzną, który mi jest zupełnie obojętnym? — zawołała szorstko Mania.

Nastąpiło długie milczenie. P. Mayer z czułością spoglądając na córkę, westchnął ciężko i otarł kilkakrotnie pot z czoła, żona niespokojnemi oczyma spoglądała na córkę i męża, który powstawszy rozkazał drzemiącemu u drzwi lokajowi opuścić pokój.

— Dotychczas nie chciałem was martwić — rzekł po chwili p. Mayer westchnąwszy, i nie wspominałem nigdy o stanie naszych wspólnych interesów; okoliczności zmuszają mię jednak obecnie do wyjawienia nagiej prawdy. Tok różnych niepomyślnych spekulacyj zrządził, że straciłem większą połowę majątku, jesteśmy zrujnowani... a do ruiny nie małej części z drugiej połowy przyczynił się Ludwik przez zaciąganie olbrzymich długów, które płaciłem, by uniknąć skandalów.

Matka i córka krzyknęły przerażone, p. Mayer pochylił głowę na piersi.

— Faktyczny stan naszego majątku — mówił dalej zniżonym głosem — jest dotychczas obcym

nieznany, gdyż starałem się go ukryć, najprzód ze względu na nieziszczające się dotychczas zamiary bogatej żeniaczki Ludwika, powtóre że bywa u nas p. Karpiński, który posiadając znaczny majątek, byłby w możności zapewnić Mani niezależny byt a nas wydźwignąć z nieszczęścia.

— Czyż nie ma innego sposobu wydobycia się z przykrego położenia, w jakiem się znajdujemy? — zapytała Mania, drżącym głosem.

Zamyślił się p. Mayer.

— Nie! gdyż odmawiając rękę doktorowi przyśpieszysz nasz upadek i zmusisz nas do natychmiastowej zmiany trybu naszego życia. Trzeba będzie odprawić służbę, zmienić pomieszkanie i zaprzestać wizyt w domach, które nas dziś jeszcze chętnie przyjmują sądząc, że jesteśmy bogatymi. Dochody nasze przy największej oszczędności wystarczą zaledwie na skromne utrzymanie, — mówił szybko ojciec, śledząc bacznie wrażenia swych słów na Mani, która zakrywszy rączką oczęta z cicha szlochała, siedząc nieruchomie. Zaniepokojona jej milczeniem matka dotknąwszy ręką czoła córki, zapytała pieszczotliwie:

— Maniu! czy nie czujesz się być chorą?

— Ja chorą? — zawołała podniesionym głosem zapytana — nie! lecz bardzo nieszczęśliwą! gdyż jakakolwiek zmiana dotychczasowego życia mego nastąpi, byłaby mi niezmiernie bolesną. Raczej oddam już rękę człowiekowi, którego nie kocham i teraz tem bardziej nienawidzić będę, ponieważ zmuszoną jestem okolicznościami do sprzedania się mu, aby nie narazić się na śmiech i wzgardę koleżanek.

Pani Mayerowa uspokojona pocałowała córkę w czoło i szepnęła:

— Biedna ofiaro!

— Mogę doktora zawiadomić? — zapytał się ojciec.

— Proszę, donieś mu ojcze natychmiast — mówiła Mania ocierając łzy i śmiejąc się szyderczo, że go serdecznie nienawidzę, zostanę jednak jego żoną, ponieważ posiada majątek, który mój ojciec niebacznie utracił.

Głośny szmer, a nawet kilka gniewnie wyrzeczonych słów dało się słyszeć w pokoju, których jednak zajęci rozmową nie zauważali.

Powstano, p. Mayer zasępiony oddaliwszy się do gabinetu wręczył lokajowi bilecik z poleceniem natychmiastowego doręczenia drowi. Karpińskiemu.

Po wyjściu pp. Mayerów z pokoju, uwolniony z zamknięcia Jan, lekko wyskoczywszy otarł pot z czoła i z trudem tylko powstrzymawszy jęk boleści, wyprostował pokurczone członki. Chwilę później odebrawszy z rąk lokaja bilet, oddalił się szybko stary sługa.

Juliusz spoglądając na zegarek, przechadzał się tymczasem zamyślony po pokoju. Nie spostrzegł też wchodzącego Jana i dopiero, gdy tenże podał mu bilet, ocknął on się z zadumy. Chwyciwszy drżącemi rękoma za list, rozdarł kowertę i czytał:

„Panie!

Mania zawiadomiona o oświadczynach Jego, objawiła gotowość zostania Pańską żoną.

Lwów, 27. sierpnia 18...“

— Janie! — zawołał uradowany Juliusz — jestem najszczęśliwszym z ludzi!

— Zapewne paniczu, gdyż z przeproszeniem zawdzięczając przezorności starego sługi, uniknęliście groźnego niebezpieczeństwa, jakiem jest.... zła żona — odparł gniewnie Jan.

— Zła żona!... niebezpieczeństwa uniknąłem!... jakiego!.... nie rozumiem ciebie!.... wytłumacz się! — wołał zdziwiony doktor.

Jan począł opowiadać o zaznajomieniu się z lokajem i o wiadomościach od tegoż mu udzielonych przy piwie, nareszcie powtórzył dosłownie słyszaną rozmowę.

Juliusz wsparłszy głowę na dłoni uważnie słuchał słów starca a gdy tenże przestał mówić, westchnął i rzekł:

— Przyznaję, że pierwsza próba niezbyt pomyślnie mi się powiodła.

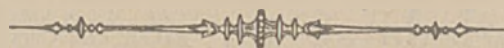
W kilka chwil po powyższej rozmowie wyjechał Juliusz z Janem do wód, by uniknąć przykrych a nieodzownych wyjaśnień i by... przeboleć pierwszy

zawód. Stary sługa zwycięzko się uśmiechał i trąc siwą czupryną, powtarzał często w myśli:

— Udało mi się z przeproszeniem ocalić szpetnie zagrożoną naszą wolność kawalerską, nie wiem jednak, czy zdołam i nadal zwycięzko walczyć przeciw matrymonialnym bzdurstwom kochanego panicza. —

Piękne czytelniczki! miejmy nadzieję, że nie!

Pp. Mayerowie nie życząc sobie, by Lwowianie byli świadkami ich katastrofy majątkowej, wyjechali do Berlina.



Polsce, epigram.

Mówią bezduszni, żeś Ty już umarła,
Że się na wieki Twoja trumna zwarła —
Że trup Twój zimny, a twarz Twoja blada,
Że się mogiła Twa głębiej zapada...
Lecz ja Ci mówię, święta niewolnico,
Że jeszcze szczęścia Ci zorze zaświecą —
Że wstaniesz świetna i promienna sławą —
I pomścisz jeszcze Twoje krzywdy — krwawo!

Stryj, dnia 3. Lutego 1888.

A. S. Olechnowicz.

Nie mianuj mnie poetą, pieśń.

Nie mianuj mnie poetą:
Poetą być, to grzech.
Pocóż mi wzbudzać śmiech
Wątpliwą tą zaletą?

Dziś każdy, co rym kuje,
Już się poetą zwie.
O! nie chcę nim być, nie!
Wszak to co piszę, czuję.
A nie wiesz, jak nazywać,
To nazywaj jak chcesz:
Choć nie poetą zwiesz,
Jednakoż umiem spiewać.
I spiew mój wszystko wzruszy,
Dokąd skra życia tli,
Dokąd me serce śni,
Dokąd mi stanie duszy!

Sambor, 15. Maja 1871.

G. Kohn.

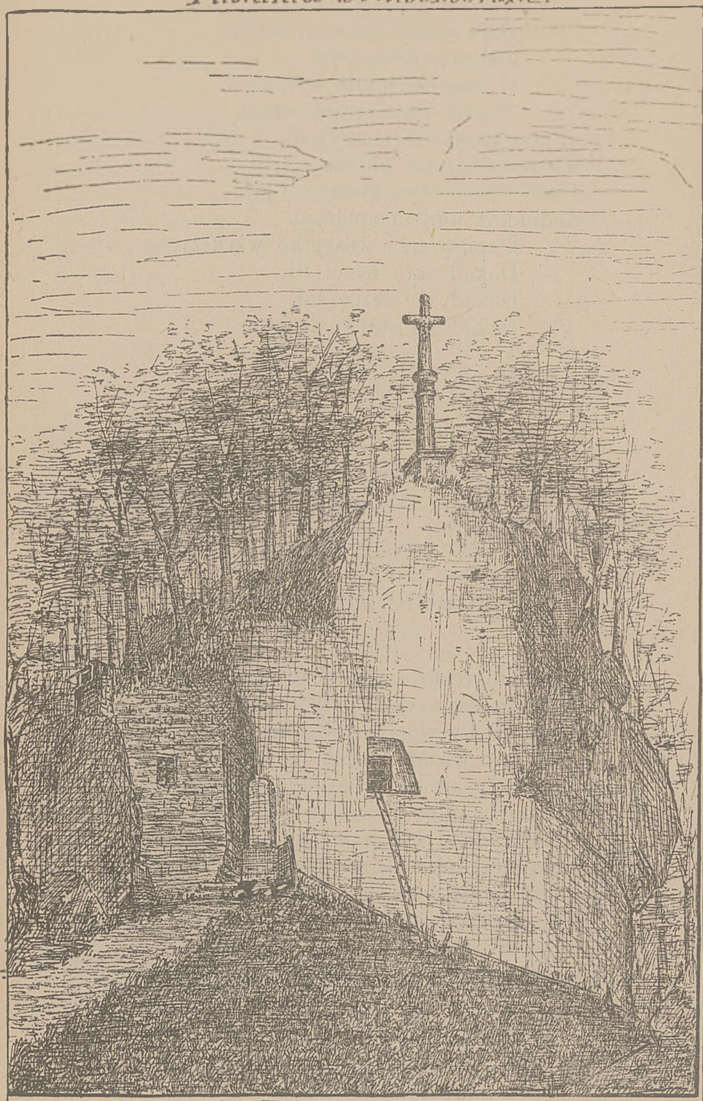
Samotne drzewko.

W pustyni rosło drzewko samotne,
Zielone liście wieńczyły czoło —
Wiosną go kwiecie kryło stokrotne
A mnóstwo kwiatów rosło w około!
Lecz gdy się wzniosło słońce na niebie
I wiatr gorący powiał z południa,
Co deszczem żwiru miecie przed siebie
I najpiękniejsze kraje wyludnia, —
Wtedy opadło kwiecie z drzewiny,
Listki mu wszystkie zwiędły na skroni,
Wicher w rozległe rozniósł równiny
Różowe kwiecie — i resztki woni. —

Czortków, 1883.

Janina Antonowiczówna.

Pustelnia w Miodoborach.



rysował z natury K. Charzewski
6.V.88.

Wspomnienie z Miodoborów,

poemat opisowy, nakreślony

przez

Bolesława Andruszewicza.

(Z ryciną K. Charzewskiego.)

I.

DĄB MIODOBORSKI.

Ponad puszczą, król puszczy, dąb szumi wspaniały,
Wznosząc dumnie koronę. Choć wewnątrz zbu-
[twiały,
Choć wiekami sterany, choć nie jedne chwile
Przeżył, prześnił, przecierpiał myśląc o mogile,
Jednak stoi, a głowę ku niebu wzniesioną
Kąpie w słońca rozblaskach, gdzie promienie płoną.
Lecz jak smutno, jak gorżko zostać samotnikiem,
Ni zagadać do kogo, ni poszeptać z nikim!
O! bo druhy pomarli, przeżywszy lat krocie,
On sam jeden żyć musi w żalu i tęsknocie...
Piorun pierś mu poorał, wyżarł bruzdę długą,
Ranę burza obmyła wód deszczowych strugą
I pierś starca wygniła — lecz dąb jak stał, stoi,
Z wiosną każdą się w zieleń, w nowe liście stroi —
I wiatr liśćmi szeleszcze i koroną chwieje.
Szelest skargę żałośną ziemi, niebu pieje.
Przeżył wiele dąb stary, więc wiele pamięta,
W jego życiu zawarta cała przeszłość święta:

*
* *

Gdy zburzono bałwany i chramy pogańskie,
Gdy krzyż święty zajaśniał a świątynie Pańskie

Pośród gajów stanęły — wtedy mnich z daleka
Pierwszą żołędź zasadził na dziewicy grobie:
Od tej chwili czas wichrem goni i ucieka,
A dąb młody już wtedy dał wyraz żałobie*).

*
* *

I lat przeszło znów wiele — dąb wyrósł w młodziana,
Śniła się mu już dola jasna i tęczana:
Ot zwyczajne młodemu sny złote się roją,
Zanim trudy, mozoły czoło mu oznoją.
Piękny wieczór wiosenny już puszczę osłaniał,
Wietrzyk lekki, swobodny od Zbrucza przeganiał
I szeleścił listkami, ich kędziory splatał
I konary z konary łącząc razem, bratał,
A z jaskini mnich wyszedł wolnym krokiem stary,
Spojrzał przed się w około na góry, na jary
I gdzie dąbek mogiłkę swym cieniem okrywał,
Na mogiłce mnich ukląkł, chwasty powyrywał,
Potem szepcąc pacierze o drzewo sparł skronie
I tak umarł, na piersiach skrzyżowawszy dłonie.
Dąbek jeden zapłakał: cicho, smętnie szumiał,
Bo on jeden ach tylko ból mnicha rozumiał!...

*
* *

I lat przeszło znów wiele.... Dąb już z siłą męzką
Wzniósł swe czoło nad tłumem do góry zwycięzko:
Śród rozrosłych konarów ptaków król wspaniały
Słał swe gniazdo na szczycie — piękny, jasny, biały.
Dąb ukochał to gniazdo — i orle pisklęta
Chował, szumiąc im dziwy; a młode orlęta,
Kołysane dumkami, śniły o dniach sławy,
Topiąc bystre źrenice w słońca blask jaskrawy:
O! bo orłu się tylko w słońca patrzeć oko,
Bo on jeden szybuje nad ziemią wysoko
I ulata nad chmury sam, bez towarzyszy:
Jemu lepiej, swobodniej pośród gwiazd i ciszy.
Młode orle urasta, siły w lotach czuje
I w dzieciństwie już wielkie, piękne plany snuje.

---

*) Alluzja, mająca wyjaśnienie w powiastce pod tytułem „Bohot“.

Orłom w locie któż sprosta? Orły są królami:
Że są wielcy, że dumni, a więc żyją sami!
Dąb wychował orlęta, i orlęta młode
Uleciały pod niebo, czując swą swobodę:
A dąb z cicha zapłakał i osamotniony
Rozwiał liście zżółkniałe na wsze świata strony....

*
*   *

Zima przyszła ponura z burzami, zawieją,
A dąb ciągle pieśń szumiał i z błogą nadzieją
Wierzył: orły powrócą i orły wróciły.
Krążąc długo nad dębem, ku niebu się wzbiły,
I tam z góry objąwszy okiem całą ziemię,
Wiodły w puszczę rycerskie chrobrych Słowian plemię.

*
*   *

Dąb już nie był samotny. Śród puszczy, śród borów
Po raz pierwszy się ozwał jęk pił, huk toporów,
Po raz pierwszy żelazo i zbroje zadźwiękły,
Po raz pierwszy się wilki śród puszczy przelękły.
Z pod rąk ludzkich jak z ziemi wyrósł wał wysoki,
Rów go w koło opasał wielki i szeroki,
Pośród wałów stanęły domy i namioty,
Nad domami ptak biały toczył swoje loty,
A na dębie zawiesił tarczę wódz plemienia,
I tak puszcza odwieczna, w miasto się zamienia!

*
*   *

W mieście rojno i gwarno. Pan na Dzwinogrodzie*)
Był potężny, był sławny. W jego wielkim rodzie
Byli możni ziem ruskich wodze i władyki,
Chrobre męże, co w boje bitne wiedli szyki,
Albo w radzie siadali hen w złotym Kijowie,
Lub w Carogród jeździli jak kniazia posłowie.
Toż nie dziwno że miasto pod taką opieką
Rosło w sławę, w znaczenie śród Rusi daleko.

*
*   *

---

*) Według miejscowego podania, obok pustelni miało stać miasto Dzwinogród.

I tak dwieście lat zbiegło, nim Batego hordy
W ziemiach Słowian rozniosły pożogi i mordy.
Jękły dzwony żałośnie, niebo łuną płonie,
Dzicz tatarska zalała ziemię, lasy, błonie:
W jasyr pędzą lud wierny, miasta w gruzy walą,
Czego Tatar nie weźmie, to pożogi spalą.
Pod Dzwinogród lud dziki podsunął się nocą.
Tam na wałach strażnice ogniki migocą
I lud czuwa na murach ochoczy i zbrojny,
Ale szczupły i słaby, bo stopniał śród wojny.
Nie podoła w obronie — ale jeśli padnie,
Dotrwa wiernie na straży ziemi swej przykładnie.

*
* *

Rankiem pierwej nim słońce na wschodzie powstało,
Miasto w ogniu i dymach całe się skąpało....
Horda dalej ciągnęła wyjąc dzikie pieśnie,
A dąb znowu zapłakał gorżko i boleśnie.

*
* *

Odtąd stoi samotny i śmierci wygląda...
On od świata, od ziemi nic, ach! nic nie żąda!
Coraz smutniej na ziemi, coraz puściej w koło.....
Jednak starzec szczęśliwy, w górę podniósł czoło,
Bo pierś jego piorunem rozdarta, wygniła,
W swojem wnętrzu Dziewicę z Dzieciątkiem schroniła*).
Lud tu modlić się chodzi, dąb modłom wtoruje
I tak w ciszy, w spokoju resztę dni swych snuje.



---

*) W wypróchniałem wnętrzu dęba ustawił przedostatni pustelnik statuę Najśw. Panny. Dąb ma na wysokości 2 metrów od ziemi, jeszcze przeszło 8 metrów obwodu i 2½ metra w średnicy.

II.

Puszcza jednak nie zawsze taka smutna bywa,
Dźwięk się czasem weselszy i tutaj odzywa.
Tu gdy się wiosna młoda, gdy się Maj rozwinie,
Gdy kochanek róż, słowik zaśpiewa w gęstwinie,
Na „majówkę“ śpieszymy ochoczo, wesoło:
Wnet na łączce zielonej formuje się koło
Taneczników, co raźno w takt muzyki pląsa
Cały wieczór do późna. Przy blasku miesiąca
Powracamy dopiero. Kilka wózków rzędem,
Mknie śród lasów i dąbrów całym koni pędem:
W domu czeka przyjęcie — potem znów muzyka
Gra ochoczo lubego „snów złotych“ walczyka.

* * *

WALCZYK.

Znasz ty muzykę czarów, walca ton ognisty?
Znasz ty śpiew ten namiętny, co duszę ogarnia,
Co jaśnieje śród tonów jak brylant świetlisty,
Jak śród nocy burzliwej nadmorska latarnia!
O! znam ciebie, znam walcu! Tyś duszę mą zgubił,
Lecz przecież lubię ciebie, jakem dawniej lubił!

O! pamiętam — był wieczór spokojny i cichy,
Co niebiosa i ziemię jak czarnym muszlinem
Osłonił; kwiaty krasne skłoniły kielichy,
A wietrzyk leciał woniąc różą i jaśminem.
Na ganku grano walca; ja, ona — we dwoje
Śniliśmy — o czem? nie wiem — ale myśli moje
Plątały się, mięszały z muzyki tonami,
Co dwa serca czujące przeszywały skrami.

W pokoju blado tlała lampa przygaszona,
Mrok ogarniał nas dwoje — my śnili o niebie —
Ja śród tańca tuliłem ją w swoje ramiona:
Muzyka w sercach grała: my żyli dla siebie!

Walca tony brzmią cudnie, słodko i namiętnie
I tak nawskróś paląco jak ognie Sahary,
Co choć życia nie spalą na popiół doszczętnie,
Jednak pierś twą wysuszą na szkielet ofiary!

My słuchając tych tonów nie czuli znużenia:
Mię krzepiły jej oczu czarowne wejrzenia,
Bicia serca przy sercu, oddech przyśpieszony...
Ja ją wzajem objąłem silnemi ramiony
I wirując tak razem nie czuliśmy życia,
Mając w sercach i w duszy czarodziejskie śnicia!

Przycichły tony walca, powoli przebrzmiały —
Lecz wrażenia tej cudnej godziny zostały
I czar został tej pieśni w mego serca głębi,
Czarów takich lód żaden w duszy nie wyziębi!

Znasz ty muzykę boską: walca ton ognisty?
Kiedy smutny dzień wstaje pochmurny i mglisty,
Niechno słońce zaświeci, wnet się mgły rozpłyną,
Kwiaty listki podniosą i główki rozwiną:
Również w sercu gdy łzawo, w duszy nie wesoło,
Duszę muzyka zbudzi, owionie cię w koło,
A jej tony to lekkie, pieszczotne i wdzięczne
Przemieniają się szybko jak promienie tęczne:
I brzmią szałem namiętnym, znów ognie zapalą.
Znów śpiewają, znów płaczą i znowu się żalą:
Zanim miękki, kojący, słodki ton przypłynie,
Rozwiewa się, rozsnuwa a przecież nie ginie!

Słyszałem pieśni takie owego wieczoru....
Tony lekkie, swobodne echo niosło z boru:
Ognie były w tych tonach i namiętność dzika,
I serdeczna tęsknota, co duszę przenika!....

O! znam rzewny ton walca, rzewny a ognisty,
Znam ja śpiew ten namiętny, co duszę ogarnia,
Co jaśnieje śród tonów jak brylant świetlisty,
Co jest gwiazdą zbawienia jak morska latarnia,

Albo zgubę przynosi.... O! znam walcu ciebie!
Ton twój tutaj zaczęty dośpiewam aż w niebie!
O! znam ciebie, znam walcu: tyś duszę mą zgubił,
Lecz przecież lubię ciebie, jakem dawniej lubił!



III.

DO KOŚCIOŁA.

Jazda! Mijamy lasów cieniste krawędzie,
Mijamy wzgórki, równie i wioski i sady.
Droga wyszła na pola — konie w całym pędzie
Rwą z kopyta, parskają; tuman kurzu blady
Chmurą wzbił się do góry. Wiatrem lecą konie,
Niknie droga przebyta, nowe widzim błonie.

Nad uboczą we wstęgę droga się rozwija,
Drugą wstęgę na dole srebrna rzeka tworzy,
W krąg otacza kępiny, łąk bukiety mija,
A w swych skrętach, rozkrętach, zdaje się że mnoży:
Że dwie wstęgi splecione razem się przecina,
A na węźle je łączy powiewna wiklina.

Bujne łany w około chylą złote kłosy;
Wietrzyk niemi faluje, muska je i pieści,
A na kłosach jaśnieją jeszcze krople rosy;
Konik polny ukryty, skrzydłami szeleści —
Zresztą cicho i lubo, a jak w dzień świąteczny,
Ziemię całą ozłacał jasny blask słoneczny.

Dwoje tylko nas było i w dal zapatrzeni
Myśleliśmy, że bliskie jnż raju ogrody,
Że jedziemy w ojczyznę złocistych promieni
Przez most z tęczy usłany, przez letejskie wody

I w tej wodzie wyzbywszy pamięci o ziemi,
Już na wieki zostaniem sami szczęśliwemi!

Szybko giną widoki, szybko nowe płyną.
Bliżej widać w około i wioski i dwory,
Stawy niżej się srebrzą, wiatr chwieje wikliną,
Wyżej w smugach szerokich widać sine bory,
Widać wzgórza wyniosłe, tam orły nad niemi
W krąg szybują w lazurach skrzydłami płowemi.

O! jak jazda rozmarza! Jam patrzał w jej oczy,
W duże oczy jej czarne jak dwie gwiazdy lśniące!
Mię nie bawił w około krajobraz uroczy,
Anim patrzał na kwiaty barwami płonące,
Lecz przez oczy jam czytał, co jej serce chowa
I pojąłem jej myśli, choć nie rzekła słowa.

O! bo mowy nie trzeba, kiedy serca czują!
O! bo mowy nie trzeba, gdy się w oczach czyta!
W nich zobaczysz wyrazy, co w duszy się snują,
W nich pochwycisz uczucie, co dopiero świta.
Tak i słońce w poranku wprzód wyseła zorze,
Zanim złote wypłynie na niebieskie morze!

Jedziem dalej, o dalej! Tam miasto na górze,
Pośród miasta wieżyce ku niebu strzelają,
Szczytem zdają się tonąć w błękitnym lazurze,
Okna świątnic purpurą i złotem pałają.
W krzyżu słońca promienie złotą gwiazdę tworzą,
Konie pędzą, parskają, wiedzą kogo wożą!....

Tak we dwoje przez światy i przez życie całe,
Gdyby można przelecieć pędem bystrych koni,
Gdyby skupić to życie i zamiary śmiałe
W jedną chwilę, ach w jedną — kiedy dłoń we dłoni
Drży wzruszeniem namiętnem — ja w takiej godzinie
Chciałbym umrzeć, lecz umrzeć przy swojej dzie-
[wczynie!

Pustołówka, 7. Maja 1888.

Wyrok królewski,

opowiadanie historyczne z XIV. stulecia,

POŚWIĘCONE WANDZIE L.

Napisała

Janina Sedlaczkówna.

Cofnijmy się myślą o spory kawał czasu, a zobaczymy naszych przodków, zobaczymy ziemię, po której przodkowie ci stąpali, za którą życie oddawali i krew lali, byle jej całości i nienaruszalności obronić! Spójrzmy wzrokiem duszy za siebie o lat 500 z górą, w głębię dziejów przeszłości naszej! Ile to wód krwią się zabarwiło! Krwią Ojców, którzy znali wartość życia dla służby Boga i Ojczyzny, lecz nie wahali się nastawiać piersi nieopancerzonej na grady strzał i kul nieprzyjacielskich, ale z okrzykiem: „Bóg tego żąda! Bóg przykazał bronić drogiej Ojczyzny!“ rzucali się w wrący bój. O! pytajcie się łanów zbożowych, szeroką wstęgą ciągnących się od wschodu do zachodu, a powiedzą wam, że z prochów niejednej dzielnej piersi rycerza, szlachcica i kmiotka urosły. Kiedy wiatrem poruszone kłosy zaszumią, złociste ich główki poruszając się powiedzą: „Byli to synowie Polski! o byli!“ i wołają z pod ziemi kilkaset razy zaoranej: „Naśladujcie nas! Bądźcie dzielnymi! Czytajcie w górach ojczystych, wysoko i odwiecznie sterczących, w borach ciemnych i starych, w gajach zielonych, w ziemi czarnej, w smutnie piętrzących się kurhanach i mogiłach, w każdej fali wiatru, w horyzoncie nad waszą głową sklepionym, te święte

słowa, co jak sztandary bojowe na straży naszych czynów i myśli stać powinne:

„Bóg, Ojczyzna i Rodzina!“

Nam z przeszłości uczyć się trzeba, jak żyć dla przyszłości!

I.

Przed 530-tu laty stał w Poznaniu niedaleko rzeki Warty dwór murowany, topolami obsadzony. Na dziedzińcu stały wozy i pługi, po dziedzińcu kroczyło mnóstwo drobiu żeru szukając, wieprzak uwiązany u pala pomrukiwał, a ze strony ogrodu pomykał chwilami rój pszczółek, wypatrując zbiorów dla siebie. Dostatek był widoczny we wszystkiem.

Długie ławki stały przed domem a przed niemi stoły drewniane. Drzwi żelazem kute prowadziły do wnętrza domu. Długa sień przedzielała dom na dwie połowy. Na każdej stronie sieni mieściło się po troje drzwi prowadzących do komnat. Z prawej strony nad pierwszemi drzwiami sterczały jelenie rogi, na samych zaś drzwiach tarcza herbowa z bronzu. Te właśnie drzwi otworzono i wyszedł z nich wysoki, dobrej tuszy, czerstwo wyglądający mężczyzna. Sumiasty wąs podbiegł do góry a wargi wydęły się dumą.

— Michałku! — zawołał donośnym głosem.

— Za chwilę nadbiegł rumiany z najeżoną czupryną chłopak.

— Co jegomość pan wojewoda rozkaże?

— Natychmiast konie zaprzęgać!

Chłopak skłonił się i poskoczył ku stajniom, pan zaś udał się do komnaty z przeciwka. W komnacie tej nie było nikogo, ale z przyległej dochodziło uszu wojewody łkanie kobiece.

Zbliżył się do drzwi tej komnaty i zapukał.

Cisza.

Wojewoda poznański Maciek Borkowicz powtórzył pukanie, ale tą razą silniej.

— Wejdźcie w imię Boże — odezwał się słaby głos kobiecy.

Wszedł dumnie, głowę zadarłszy, chwycił się za boki i patrzył na żonę, która płakała.

— Czegóż to jejmość płaczesz?

— Maćku mój złoty! jeszcze raz cię błagam usłuchaj mię, nie jedź!

— Nic z jejmościnej prośby!

— Macieju! daj się nakłonić! — błagała żona.

— Nie, nie! co to król sobie myśli! Jam od dziada pradziada był szlachcicem herbowym, więc nie lada jakim! Ho ho! jam dziś wojewodą.

— Ależ król najmiłościwszy ojcem nam jest, o wszystko się stara jak opiekun najtroskliwszy i pracy i grosza nie szczędzi. Oj! sprawiedliwy to, jakich mało! Maćku! nawróć się, nawróć do króla!

— Babskie gadanie! — bywąj zdrowa, nie mam czasu do stracenia.

I wyszedł zatrzasnąwszy drzwiami.

A pozostała żona łzami się zalała w przeczuciu nieszczęścia, jakie niebaczny krok męża na dom sprowadzić mógł.

Krajem władał pod ów czas dobry i dzielny pan, król Kazimierz Wielki. Wielki pod każdym względem: wielki w sprawach ze szlachtą, z dostojnikami, z ludem, w obec prawa i sprawiedliwości. Kiedy żałobą okryty kraj płakał śmierci króla Łokietka, w 1333m roku syn śp. zacnego króla — zasiadłszy na tronie, blaskiem dobroci i wielkością serca w krótce żal ten ukoił, łzy otarł, wdzięczne wspomnienie ojca utwierdziwszy w sercach wiernego narodu. Co ojciec wywalczył, syn nietylko nie zatracił, lecz owszem sztandar polski mężną dłonią zatknął aż nad brzegami morza Czarnego z jednej a Bałtyku z drugiej strony. Dzielny król rozszerzał granice Polski na północ i na południe, na wschód i na zachód. A co niesłychane prawie w dziejach, ziemie zdobywał nasz Wielki Król nie samym orężem, ale mądrem urządzeniem własnego kraju, wygórowaną sprawiedliwością; miłością swego narodu podbijał serca sąsiadów, którzy na równi z narodem polskim będąc Słowianami, garnęli się i tulili pod ojcowski płaszcz opieki króla polskiego. W taki to sposób Ruś dobrowolnie w Kazimierzowe się oddała ręce, kiedy ostatni z panującej linii Romanowiczów, Andrzej 132 -go roku umarł. Po jego śmierci zawierucha sporów i niesnasek,

wynikłych z bezrządu, wstrząsały ziemią włodzimiersko-halicką, dopóki po różnych bojach i utarczkach ostatecznie Ruś bram nie otworzyła Kazimierzowi. Odtąd też cały kraj między Wisłokiem, Karpatami, Seretem i Pokuciem pozostał aż do końca życia Kazimierza przy Polsce.

Król wierny słowom ostatnim ojca, który mu „w szczęściu Polski szukać tylko sławy“ polecił, na wysokim stopniu rozwoju Polskę postawił i erę jej rozkwitu stworzył. Co ojciec Łokietek przygotował, to poprowadził dalej roztropnie syn Kazimierz. Już Łokietek władzę królewską całą i nieuszczuploną przez możnowładztwo, w ręku swem skupił, a Kazimierz mądremi urządzeniami i ustawami dzieło ojca pieczęcią prawodawstwa przyłożył i uwiecznił. Kiedy dawniej Polska rozpadała się na mnóstwo ziem mających odrębny samorząd jakby małe jakie królestwa, teraz wszystkie ziemi pod jednem dzierżone berłem — sprzężone wspólnością praw, stanowiły całość nierozerwalną i silną. Bo gdzie jedność i zgoda, tam siła; gdzie spory, tam niemoc.

Polska za Łokietka czyli Łoktka, jak go współcześni zwali i Kazimierza, była silnem państwem, na które nie łatwo targnął się nieprzyjaciel a musiał być wielkim śmiałkiem i siły mieć za sobą, aby porwać się na tak silne i wielkie królestwo.

Jako prawdziwy ojciec kraju i narodu, dbał Kazimierz o dobrobyt i oświatę, czego dowodem założona przezeń w r. 1364-m w Krakowie akademja; dbał on zarówno o szlachcica, jak i kmiecia. Nazwano go też dla jego ojcowskiej opieki nad ludem: „królem chłopków.“ Zaszczytne to zaprawdę miano, świadczące iż król w swoim majestacie poczuł, iż wspólne tętno wszystkich bez wyjątku serc w nim bić powinno.

Z troskliwością wglądał król we wszystko, podnosił oświatę, handel i przemysł, wznosił gmachy i świątynie, obwarowywał miasta jak np. Kraków i Lwów, który murem opasał i dwa zamki, jeden na górze dzisiaj Zamkowej zwanej a drugi u stóp tej góry zbudował; Halicz, Trembowlę, Przemyśl, Sanok, Szymbark, w którym zbudował zamek, Frysztak, które to miasto sam założył; Przeworsk murem

obwiódł, w Rzeszowie zamek fundował, w Krośnie wspaniały kościół, we wsi Odrzykoniu zamek, w Krościenku i w Haczowie pobudował kościoły modrzewiowe, w Sanoku zamek, w Haliczu zamek i arcybiskupstwo fundował; Lelów (w dzisiejszej Kongresówce) murem obwiódł a założył miasto Radom, w Wieluniu zamek, nad Wisłą zaś miasto, które dawniej było składem zboża i od swego imienia Kazimierzem nazwał.

Nowe atoli urządzenia aczkolwiek mądre i zbawienne dla kraju, wywołały niechęć u wielu. Król bowiem zaprowadzał nowe urzędy nadworne, mając potrzeby państwa na względzie i tak ustanowił kanclerza, który miał prowadzić kancelarję królewską, podskarbiego zarządzającego dochodami monarchy i marszałka, pilnującego porządku na dworze królewskim. W każdej dzielnicy postanowiono starostów, którzy wolę i rozkazy królewskie wykonując, dzierżyli w swem ręku siłę zbrojną, niezbędną do poskramiania wszelkich niesnasek i sporów. Uregulował król także służbę wojskową, bo kiedy dawniej szli na wojnę tylko tacy, którzy mieli sporo grosza na rynsztunek, t. j. na uzbrojenie wojenne, a takich było stosunkowo za mało — teraz Kazimierz W. wydał prawo, na mocy którego od służby wojennej nie był nikt wyłączony, jeżeli tylko jakikolwiek majątek posiadał. Na wojnę zwoływał król rozkazem trzykrotnym, zwanym: „Wici.“

Te i inne urządzenia nie podobały się widać takiemu panu, jakim był wojewoda poznański, Maciek Borkowicz. Zostawiliśmy go właśnie gorączkowo rozkazy wydającego a następnie wsiadającego na wózek. Owóż kazał pędzić Michałkowi co koń wyskoczy, do rynku. Spotniał też chłopak od napędzania batem a konie zapienione stanęły niebawem w rynku przed starym zamkiem, za króla Przemysława I. zbudowanym.

Szybko zeskoczył wojewoda z bryki i podążył do zamku. Pukał do okutej żelazem bramy może z kwadrans, zanim ukazał się parobczak. Wpuścił wojewodę do zamku, zaryglował bramę i przybyłego prowadził przez długi, ciemny kurytarz. Na koniec

otworzył drzwi ogromnej komnaty, świetlicą zwanej a sam do codziennych wrócił zajęć swoich. Tymczasem wojewodę przyjęła młoda, urodziwa córka gospodarza zamku.

— Pochwalony Jezus Chrystus! — pozdrowił wojewoda.

— Na wieki — odpowiedziała dziewczyna.

— Jest pan miecznik w domu?

— Jest, jest, a gdzieby być mogli, ojciec nie wychodzą....

— Zawołajcież go, moja dziewucho śliczna! —

Dziewczyna wybiegła szybko z komnaty. Wkrótce wróciła prowadząc starego miecznika. Długa, siwa jego broda sięgała aż do pasa, oczy przysłonił ręką, aby lepiej przyjrzeć się przybyłemu, gdy tenże podbiegł ku niemu.

— Ojcze mieczniku! z ważną sprawą ja tu przybywam.

Miecznik spochmurniał.

Nastała chwila milczenia, podczas której Hania miecznikówna wysunęła się z komnaty.

— Wybaczcie! zapomniałem was powitać, tak jestem skłopotany i zburzony. Zdrowiście, ojcze?

— Chwalić Boga! mam jeszcze trochę sił. Usiądź Maćku, bo mnie staremu nogi już nie bardzo służą, wolę i ja posiedzieć.

Usiedli na ławie.

— Cóżto za sprawa, z którą przybyliście? — zagadnął miecznik.

— Ojcze Zbyszku, wiecie iż nieszczęście nawiedza kraj nasz...

— Nieszczęście... — powtórzył jak echo stary — któż to wie?...

— Tak, nieszczęście.... król burzy przywileje pradziadów, tę najdroższą spuściznę po przodkach naszych...

Siwe, krzaczyste brwi miecznika zsunęły się groźnie.

— Trzeba się oprzeć śmiałemu panu — mówił dalej Maciek — mamy do tego prawo, władzę i siłę a nadewszystko obowiązek. Kości ojców naszych,

z grobów o to się dopominają. Mogiły się poruszą, jeżeli my się nie ruszymy i nie oprzemy woli króla.

— Pięknie to mówicie, wojewodo przyjacielu — ale królowi najmiłościwszemu się opierać... — zaczął miecznik.

— Ej, gdzietam najmiłościwszemu! — wtrącił gburowato Maciek.

— Ej Maćku! złość bo mówi z ciebie...

— Pewno, że człeka gniew i furja porywa, gdy widzi, jak można dłoń królewska burzy to, co pradziad krwawym zdobył trudem...

— Ha! więc czegóż się domagacie? — zawołał miecznik.

— Od was rady!

— I o cóż chodzi?

— Powstaniemy i siłą zbrojną oprzemy się królowi. A wy jak ojcze radzicie?

— Możeby lepiej prośbą króla skłonić, bo król Kazimierz, to pan bardzo dobry...

— Et, kwita z prośbami! prośba to durnicą, nam groźby trzeba dla nich.

— Rób co chcesz, tyś wojewoda, a mnie serce boli, jak pomyślę o tem. Ja nie radzę się buntować. Hej Borkowiczu! co wy narobicie złego, ja przewiduję — pożal się Boże!

— Szkoda czasu! zwołam swoich i zawiążę konfederację. Bywajcie zdrowi!

Pokłonił się nisko miecznikowi i wyszedł.

— Och! zapomniał Maciek, że starostów ma król tutaj! — wyszeptał miecznik za odchodzącym.

II.

Tymczasem na zamku krakowskim król zasiadał w bogato ozdobnej komnacie i wraz z Jarosławem Bogorją Skotnickim, arcybiskupem gnieźnieńskim, Spytkiem z Melsztyna, kasztelanem, Janem Strzeleckim, kanclerzem, Janem Grotem, biskupem krakowskim i innymi mężami głębokiej nauki, obradował nad sprawami kraju, nad spisaniem praw.

— Mości panowie! — odezwał się król — nie może tak trwać dłużej. Nie możem dozwolić, by sądzono wedle zwyczajnego prawa, które sobie niesumienni rozmaicie tłumaczą i wykonują; nam trzeba kodeksu nienaruszonego i niezmienionego, obowiązującego cały naród.

— Najmiłościwszy panie! co Wasza Miłość postanowi, my wykonamy z radością, będąc przekonani, iż wolę najlepszego pana spełniając, dobrze postępujem — odezwał się Jan Grot biskup.

— Postanowienia Waszej Miłości pewno dla narodu najzbawienniejszemi będą — dodał Spytek z Melsztyna.

— Otóż dziś zaczniemy spisywać prawa dla narodu — odezwał się król — najpierw zaś musimy stan rycerski prawami ograniczyć i poprawić.

I po dłuższej naradzie spisano prawa, dotyczące służby wojennej.

— Z tradycji zwyczaju i dawnych kodeksów wybierzem co lepsze — mówił król. A co ojciec Jarosław nam radzi? — rzekł zwracając się do arcybiskupa.

Jarosław Bogorja Skotnicki powstał na to wezwanie i rzekł:

— Teraz może Wasza miłość wybierze i postanowi prawa dla naszego ludu.

— Wasza Wielebność Jarosławie — ma słuszność. Ludu, który tak ukochałem a który mnie wzajem miłuje, nie postawię na szarym końcu.

I znowu po naradzie spisano prawa dla kmieci, które zakończono ustawą, prawdziwie z kochającego i szlachetnego serca królewskiego płynącą: „Przystęp do sądów królewskich jest wszystkim otwarty!“

Długo radzono dnia tego, jak i dni następnych, dopóki cały statut spisanym nie został. Spisywano go po łacinie. Aż wreszcie kiedy tę pracę mozolną ukończono, król zwołał wiec do miasta Wiślicy 1347-go roku. Na wiecu tym Polacy ogłoszone prawa przyjęli, a Jan Suchywilk Strzelecki kanclerz pieczęć królewską przyłożył. Te prawa, zakon ten zawierał jak mówi poeta Niemcewicz:

„Przyszłego szczęścia zarody,
Waszą całość i swobody.
Nie dość obce ludy gromić,
Czas jest szczęśliwym być w domu,
Zuchwałą przemoc poskromić,
By nie szkodziła nikomu.
Gdzie sądu zwierzchność surowa,
Nie zapłacze nędzna wdowa.“

W rzeczy samej statut ten był otarciem łez wdowich i sierocych, był zgnieceniem wszelkich pokrzywdzeń, wyrugowaniem zdzierstw bezkarnych. Dzień 8-go Marca 1347-go roku był dniem zwiastowania Polsce prawdziwej wolności, ujętej prawem w karby, zatem nie mogącej zgubnie w samowolę się przerodzić. Sumienne poddanie się i wypełnianie praw Boskich i ludzkich, oto szczyt wolności! A „swoboda słowem i czynem w karby nie ujęta“ — jest, jak mówi Syrokomla — „córką zniszczenia.“ Widzimy więc, że słusznie nazwano Kazimierza dla jego mądrych ustaw „Salamonem polskim.“

III.

W Poznańskiem 1352-go roku Maciek Borkowicz jakieś skwapliwe czynił przygotowania. U starego miecznika na zamku zbierały się codzień tłumy do narady, do późna w noc trwające. Staruszek dał się przekonać zupełnie, na wszystko zezwoliwszy, zachęcał jeszcze do oporu.

Stał Zbyszek właśnie za stołem, ręce wzniósłszy do góry i mówił:

— Ujmujcie się za świętą sprawą, za spuścizną ojców, bo prochy ich z mogił powstaną i upomną się o swoje prawa i przywileje. Srom, bracia! Synów nie ma, którzyby się za ojcowizną wstawili. — Mówił, a dwa ceglaste rumieńce na twarz mu wybiegły.

Teraz zabrał głos żyd Joel.

— Co? pan jest najlepszy; prawo dał tak dobre, że i o biednych żydach nie zapomniał. Bolesław Pobożny, pan Wielkopolski dał w 1264-m roku przy-

wileje nam, no ale król Kazimierz tak te przywileje rozszerzył, że aż po wszystkie kraje zna żyd, iż miłościwy król mu panuje. Wiwat Jego Królewska Mość! — zawołał w zapale mowcy.

W tej chwili porwało się z miejsc kilku ławników obradujących i zakrzyczeli:

— Cicho żydzie, bo cię usieczem!

Musza, Ezrael, Szymsza, Gawer i Abram, żydzi obecni na zgromadzeniu pousuwali się milcząc w kąt. Szlachetny Joel zamilkł i przyłączył się do nich.

Tymczasem rozprawy toczyły się dalej. Nakoniec wszyscy posłuszeństwo przyrzekłszy wojewodzie, postanowili, iż na dany znak wystąpią zbrojnie przeciw królowi.

Z posłów całego zgromadzenia jeden tylko znalazł się człowiek, który usuwać się zdawał od tych narad. Średniego wzrostu, młody, i o bystrem jak ogień spojrzeniu, bijącem z czarnego oka, czarną miał czuprynę i mały wąs. Chmura smutku czy troski osiadła na białem jego czole. Często milcząc poglądał ku drzwiom sąsiedniej komnaty: on sam jeden nadsłuchiwał i słyszał niejednokrotnie głębokie, półgłośne westchnienie z przyległej wychodzące izby, czasem łkanie doleciało jego ucha a wtedy wstrząsał się cały boleścią i zemsta patrzyła mu z ognistych oczu. Kiedy całe zgromadzenie się rozeszło, on wymykał się niepostrzeżenie i szedł pod okna komnaty, gdzie przebywała miecznikowa i Handzia. Po jednej takiej naradzie późno w noc szedł on jeszcze obok otwartego okna, w którem siedziała miecznikowa.

— Dobry wieczór! — pozdrowił młody Włodko Topor.

— Daj i wam Boże! — odpowiedziała Zbyszkowa.

— Nie smućcie się, nie desperujcie, pani!

— Jak tu nie desperować, kiedy takie rzeczy się dzieją. Starego mi zbałamucili, i on chce teraz należyć do konfederacji buntowniczej szlachty przeciw najmiłościwszemu królowi.

— Zaradzimy temu! — powiedział uspokajająco Włodko.

— Oj synu i przyjacielu ty nasz, trudna to sprawa i groźna.

— Nie myślcie o niej. A jak się ma Handzia?
— Bogu dzięki zdrowa, ale smutna. Handziu! — zawołała odwracając się od okna.

W tej chwili nadbiegła przywołana miecznikówna.

— Jąk się macie, panno Handziu? — spytał patrząc na nią troskliwie.

— Dobrze, dobrze, a wy?

— Ja, jak zawsze; dziś odjeżdżam.

— Wy Włodku jedziecie? — spytała Zbyszkowa — a dokądżeto?

— Jadę do Krakowa.

— Pocóż do Krakowa? — pytała Zbyszkowa z odcieniem trwogi w głosie.

— Dowiecie się później, a teraz bywajcie zdrowe, panie.

Skłonił się Handzi z uszanowaniem, pocałował w rękę miecznikową i odszedł.

— Niech Bóg szczęśliwie prowadzi! — zawołały obie kobiety.

Włodko śpiesznie podążył w stronę rzeki, gdzie stała jego zagroda domowa. O świcie zaś do Krakowa wyjechał.

IV.

Król Kazimierz chodził wielkiemi krokami po komnacie sypialnej. Czoło jego okryło się chmurą gniewu. Rozmyślał przez kilka chwil, wreszcie podążył do kancelarji.

Tu zastał Skotnickiego arcybiskupa i doradcę swego i kanclerza Jana Suchywilka. Głową skłoniwszy na ich powitanie, usiadł król na wielkiem rzeźbionem krześle.

— Mój Jaroszku, czy zupełny spokój panuje w naszym kraju? Nie ma jakich nieposłusznych i hardych śmiałków? —

Król zadając to pytanie, przenikliwie patrzył na arcybiskupa.

— Wasza Miłość przebaczy, ale pytanie dziwnem mi się wydaje, który by śmiał być nieposłusznym?

— Tak, wiem — przerwał kanclerz Suchywilk — jakiś tam wojewoda buntuje się, zawiązuje konfederację....

— Czy dopiero dziś wiesz o tem, kanclerzu?

— Dziś, proszę Waszej Miłości, dziś przywieziono mi skargę...

— Dobrze, więc jakiż wyrok na niego? — spytał król.

— Wasza Miłość osądzi — powiedział Jarosław.

— Janie Suchywilku! każ go staroście pojmać i do więzienia wtrącić, buntownika, łotra. Całą Wielkopolskę on porusza i do buntu wzywa. Jestem im ojcem, duszę własną za ich szczęście bym oddał, a jak mi się wywdzięczają! — mówił z oburzeniem król.

Kanclerz usiadł i pisał wyrok królewski. Kiedy skończył, chciał go królowi dać do przeczytania, ale król machnął ręką i wyrzekł niechętnie:

— Poślij go poznańskiemu staroście, gorżka to sprawa.

Kanclerz przyłożywszy pieczęć, zawołał zaufanego pachołka i odwieźć rozkazał coprędzej.

Kiedy pachołek na drugi dzień w Poznaniu stanął i pismo z królewskiej kancelarji staroście doręczył — był już ciemny wieczór.

Starosta pachołka u siebie zanocował, pismo otworzył, przeczytał...

Zbladł jak chusta.

Wiedział on o gotującym się buncie, o związku szlachty pod dowództwem Borkowicza, ale nie donosił tego królowi. Przeląkł się więc, by go o współudział w konfederacji nie posądzono. W istocie był niewinnym, z wrodzonej sobie tylko łagodności wahał się ściągać wyroku na konfederatów.

Na drugi dzień, gdy pachołka królewskiego z powrotem do Krakowa wyprawiał, spostrzegł na gościńcu ogromne, wysoko się wzbijające kłęby kurzu. Nie było czasu na domysły, bo niebawem stanęli przed nim konni posłowie zbrojni i wydania się Maćkowego domagali. Starosta coprędzej opończę na

siebie zarzucił i z posłami do dworu wojewody pojechał.

Posłowie zostali na dziedzińcu, starosta z pismem królewskiem do komnat wojewodzińskich podążył.

Wojewoda właśnie w towarzystwie kilku ze szlachty siedział nad antałem miodu.

— Wyrok na jegomościa — surowo powiedział starosta.

Porwał się wojewoda z gniewem.

— Kto mi tu śmie wyrokować! — zakrzyknął.

— Król jegomość!

— Jedź asan do licha! inaczej cię wyrzucić każę z mego domu.

W tej chwili nadbiegli zbrojni posłowie, którym sprzykrzyło się czekać na dworze.

Wojewoda się przeląkł i zamilkł.

Posłowie wzięli wojewodę pod ręce, wyprowadzili na dziedziniec, lecz żę się szamotał z nimi, powrozem związali, a kazawszy brykę wojewodzińską zaprządz, wojewodę na zamek krakowski odwieźli.

Król kazał buntownika do podziemia wrzucić i tam głodem morzyć.

V.

Za parę tygodni jakiś młody człowiek dopraszał się wstępu na pokoje królewskie. Ponieważ król nikogo nie wyłączał, ale wszystkich do siebie przypuszczać rozkazał, więc i tego straż wpuściła.

Był to Włodko Topor.

Śmiało stąpał po kamiennej podłodze zamkowej a rozpytując się o komnatę posłuchową, w której król dawał posłuch każdemu, otworzył wskazane mu przez cześnika drzwi.

Król siedział na wysokim fotelu, ozdabianym złotem i rzeźbą. Włodek przypadł do nóg królewskich i drżący z wzruszenia tak począł:

— Królu i panie najmiłościwszy! przebaczcie, iż żebrać łaski przychodzę, ale wyście ojcem naszym,

Pozwólcie mi pojąć dziewkę miecznikówną z Poznania w małżeństwo.

Król uśmiechnął się dobrotliwie:

— Alboż my ci tego wzbraniamy?

— Wasza Miłość mi pozwolić i dopomódz może — bo grosza miecznikowa ani miecznikówna nie mają, miecznik uwięziony — w smutku takim córki nie dadzą...

— Za cóż to miecznik uwięziony?

— Bo szlachtę z konfederacji wielkopolskiej przyjmował, u niego były narady.

— A więc to ten wspólnik Maćka Borkowicza?

— Zbałamucił starca wojewoda, proszę Waszej Miłości, i nieszczęścia narobił, córka z matką rozpaczają nad ojcem...

Król się zamyślił.

— A ty nie należałeś do tej konfederacji?

— Nie, proszę Waszej Miłości! Jestem sierotą po ojcu i jako ojca uważam tylko Waszą Miłość. Mógłżebym ja syn przeciw tak dobremu ojcu się buntować? A co to ja przykazań Bożych nie znam?

Król był zadowolony, bo szczerość patrzyła z oczu i z lica Włodkowego — czuć było, iż nie z pochlebstwa, ale z serca płyną mu słowa.

— Każę puścić miecznika, ty wracaj i żeń się. Bywajże zdrów, niech ci Bóg dopomaga i błogosławi! —

Uradowany Włodko przypadł do nóg królewskich, ucałował je i odchodził. Król szepnął słów parę na ucho podskarbiemu, a ten zastąpiwszy śpiesznie drzwi Włodkowi, wcisnął mu w dłoń sakiewkę z pieniądzmi.

Tak nagrodził wspaniałomyślny król wiernego, tak przebaczył błądzącemu.

Wypuszczony na wolność miecznik łzami się zalewał i błagał, by mu dozwolono ujrzeć króla i dzięki mu złożyć.

— Zawieźcie mię do króla, bo umrzeć nie będę mógł spokojnie — wołał siwy jak gołąb, rozżalony miecznik.

W tydzień potem jechał do Krakowa wóz, na którym siedzieli stary miecznik, jego żona i córka

w weselnym stroju a obok niej młody i piękny Włodko, którego twarz promieniała szczęściem. Za tym wozem toczyły się liczne bryki, pełne gości weselnych.

Znalazły się jednak także na osobnym wozie dwie smutne twarze.

Były to: żona i córka Borkowicza. I one jechały, lecz nie na wesele, ale do króla, błagać ułaskawienia dla ojca i męża.

Orszak weselny z katedry ruszył na Kleparz, gdzie się wesele odbyć miało. Tańce rozpoczęły się już na dobre, gdy ogólna wrzawa nagle cichnąć poczęła. Król bowiem właśnie jechał do Łobzowa do swego pałacu, dowiedziawszy się jednak o weselu, z pojazdu wyskoczył, by z panną młodą krakowiaka przetańczyć.

Stary miecznik słysząc iż król przybył, przyczołgał się mu do nóg i łzami je oblewał.

— Wstań mój stary, zapomniałem o wszystkiem, dziś znam cię tylko jako miecznika, starca, którego włos biały szanuję — mówił dobrotliwie król.

Rozpłakał się jak dziecko starzec i ledwo go podnieść z ziemi zdołano. Wojewodzina z córką również błagały króla za ojcem. Król kazał je odwieźć na zamek, gdzie był więziony Borkowicz. Kiedy zaprowadzano je do więzienia ojca, ujrzały z przerażeniem kościstego i zzółkłego trupa.

Zalane łzami z szeptem cichej modlitwy wychodziły z podziemia.

Król był pobłażliwy, lecz i sprawiedliwy.

. . . .

Tysiące piersi słały błogosławieństwo królowi i zanosiły gorące modły gdy żył i po zgonie, który po 37-mioletniem panowaniu 1370-go roku dnia 5-go Listopada wskutek rany odniesionej na łowach nastąpił. Dożył król Kazimierz 60 lat wieku.

Naród cały płakał jego straty i grubą okrył się żałobą. Ostatni z Piastów zgasł i osierocił naród, który go tak kochał i czcił, który całą tę cześć i uznanie skupił w najwspanialszem mianie, którem go obdarzył, w mianie: „Wielkiego.“

Umiał Kazimierz być dobrym, umiał być sprawiedliwym, umiał być wielkim.

Cześć popiołom zacnego ojca narodu, nieśmiertelnego w dziełach swoich, w pamięci i sercu tego ukochanego przezeń narodu.

Kazimierz w wieku sędziwym
Doznał prac tylu nagrody.
Pod nim naród był szczęśliwym
Żyzne pola, pyszne grody,
Na urzędach ludzie zdatni,
Takim był z Piastów ostatni!

Z przysłów ojców synagogi,

(pirkeh ohwos),

przez

Salamona Spitzera.

Przysłowie reb Chaniny, syna Dosy:

Kto wstręt przed grzechem nad mądrość ceni,
Tego się mądrość trwała nie zmieni!
Kto mądrość ceni wyżej czci Boga,
U tego krótka mądrości droga.

Trębecki Stanisław, jeniec turecki,

odbity r. p. 1599.

(Wypis z księgi wojtowskiej miasta Nowego-Sącza.)

R. 1600. Podanie do sądu wojtowskiego w Nowym Sączu: —

„Zacny a łaskawy panie sędzio z uczciwą ławicą swoią! —

Wiem pewnie; że nie iest Waszmościom y wszystkim tu obywatelom, a nie tylko tu w tem mieiscu ale y po wszystkiey koronie wiadome zacnym monarchom xiążętom krolom: Szlachetnego nieboszczyka, Iana Trębeckiego rotmistrza y synow iego: Iana y Piotra, iako wiary świętey chrześcianskiey bronili y zdrowia nieżałowali, taiemne zachowanie y sprawy zacne zołnierskie. — Ten, pod tem czasem syn iego Stanisław Trębecki chcąc też nasladować uczciwych spraw y postępkow oyca swego szlachetnego iechał w dalekie krainy. Tam będąc przez kilkanascie lat; nayprzod: przy IMPanu Ianie Zamoyskim koronnym strażniku na Ukrainie od Tatarow był poymany. Potem do Turek zaprzedany na galery. Potem zaś gdy wozili baszę tureckiego do arabskiey ziemi; tam za łaską Boga: xiąże florinckie wyiechawszy na morze onego odbili y galerę wzięli. A iż mu dał pan Bog z tamtąd wolne wyiscie prosi Waszmosci; iż dowiedział się: że uczciwa pani matka iego Anna Trębecka w potrzebie — nie wie iako? — zafantowała browar, ktory się iey w dziale dostał, po nieboszczyku Mikołaiu Librancie, dziadu iego. Iż przezto czasy niebył: aby mu to dawnością niezginęło. A on, gdy będzie czas y godzina dotego przystoyna; takową sumę temu u kogo iest zafantowany: odda. — Ażeby się to okazało, iako był na zacnych mieiscach, tudzież też w więzieniu: Waszmosciow tak zacnych Wielmożnych świeckich y duchownych kardynalskich y xiążęcych listow podaie: trzy pod pieczęciami y podpisami. O co proszę aby go to doszło:

I. My wielkorządce (superintendentes) Iasnieoswieconego xięcia florenckiego zeznaiemy: że szlachetnego Stanisława Trębeckiego na flocie tureckiey w Arabii pochwyconey, ieńca, narodu polskiego, chrześcianina, uwalniamy. — Dań w Florencyi 1-go Wrzesnia 1599 — iako obszerniey w liscie: pieczęcią xiążęcą opieczętowanym ktorego: dań iako zwyż. —

II. Alexander diakon u sw. Wawrzeńca w Damaszku kardynał na Wysogorze (Montealto) Iego krolewskiej Wysokości podsekretarz, obrońca krolestwa polskiego. — Dalismy list ninieyszy w Chrystusie Nam ukochanemu: Stanisławowi Trębeckiemu

Polakowi, oddalaiącemu się z miasta dokąd się udał oglądać groby apostołow; ktorem listem usilnie go w Bogu polecamy wszystkim arcybiskupom, biskupom, y wszystkim xiążętom kościoła, żądaiąc po Was: abyście go dobrze przyimowali y wszelkiemi usługami chrześciańskiey miłosci raczyli. Co y waszey pobożnosci bardzo przystanie y Nam nieskończenie miłem będzie. — Dań w Rzymie gdzie niema ańi powietrza ani podeyżrenia zarazliwey choroby; dnia 22-go Września 1599 — Rugierus Tritonius, opat pinarolski.

III. Zawiadowcy komor błogiego (almae) miasta Rzymu, zkąd Stanisław Trębecki, polak; w leciech 28, postawy wysokiey, brody kasztanowatey, bez palca małego u lewey ręki — za ninieyszem pismem wychodzi y zawiadamiamy ninieyszem: że z łaski Boga wszechmocnego, nie chory na żadną niemoc zaraźliwą lub powietrze, ani podeyzran o podobną chorobę. — Dań 3-go Stycznia r. p. 1600 — Za wielebnego: K. Marthela: Antoni Iughinus — (Arch. N. Sącz – xięga 25 str. 809).

Szczęsny Morawski.

Biednemu zawsze wiatr w oczy.

OBRAZEK ZE WSI.

Napisał

Franciszek Marzec.

On służył dawniej za parobka, a ona za dziewkę. Poznali się, polubili i pobrali, aby całe życie... biedować! To też mądrzy gazdowie mówili:

— Nic z tego nie będzie dobrego, będzie ino we wsi więcej dziadów i złodziejów; lepiej by jedno i drugie na porządnej służbie siedziało i robiło, jak

Bóg nakazał... czego się to temu zachciewa, czego? Co gospodarz, to nie parobek; pierwszy się żeni, bo potrzebuje, czy to w polu, czy w oborze, czy przy kominie, czy tam gdziekolwiek... gospodyni, ale drugi? ot — głupi, taj tyle!

A więc się pobrali. Ona miała skrzynkę, jak się patrzy, ślicznie ze wszech stron, jakby jajecznicą, wiśniami i zielenią grubo w cudne kwiaty, esy i floresy malowaną. W skrzyni tej były: dwa świąteczne muślinowe fartuchy, spodnica w czerwone paseczki, dwie koszule, szklanne perły na szyję i chustka turecka. On złożył sobie półtrzynasta papierka i szóstkę, miał parę butów, dwie gurnice, troje koszul i czapkę sadłatą.

Pożeniwszy się, zamieszkali komornem i zaczęli gospodarzyć. Zarabiało jedno, zarabiało drugie, to we dworze, to u gospodarza, od półtorej do trzech szóstek dziennie. O świtaniu wychodzili z domu a o zmroku wracali, wziąwszy sobie na cały dzień do jedzenia pieczonych ziemniaczków lub kawałek jałowego chlebusia. I pieniądze płynęły im do skrzyni jak woda — i byli szczęśliwi jak rzadko. A gospodarze mówili:

— Patrzcie ino, jak to dziadostwo zapobiegliwe — gotowi się i kawałka chleba dorobić!

Tak było, dopóki byli sami. Gdy Pan Jezus zaczął im co roku dziatek dodawać, odmieniło się wszystko powoli; ona już nie mogła wychodzić z domu — on musiał na wszystko pracować.

W lecie piekł się na słońcu, to z sierpem, to z motyką i kosą — a w zimie znosił mróz i wszelaką słotę idąc na zarobek z cepami, siekierą lub ze skrzynką do rznięcia sieczki.

Lecz dwoje rąk nie starczyło często, aby wszystkie potrzeby coraz liczniejszych gęb zaspokoić i zaopatrzyć chlebem, a okryć i ogrzać niebogich.

Za uciułane dawniej grosze przyszli przecież do swej chałupiny, lecz do niczego więcej przyjść nie mogli. Więc i głodem nie raz oboje marli, o swych pięciorgu robaczkach więcej niż o sobie mając starania.

Zima, macocha najgorsza. Oprócz jedzenia, trzeba i ciepła — a o drzewo biedakowi nie łatwo.

Więc jak kto może, tak sobie opał przysposabia; płoty sąsiedzkie najwięcej mają uroku — popłaty w nich i kołki jeno trzeszczą, a dziury w ogrodzeniach coraz większe.

— To gadzina jucha tak wszystko psuje — tłumaczą sobie niektórzy. Lecz nasz bohater nie pozwolił sobie cudzych płotów ruszać, aby uniknąć z sąsiadami kłopotów i obrazy boskiej, jeno, gdy już u niego straszna była bieda, wybrał się z północka do gminnego lasu, uciął sosenkę — i różnemi zakrętami wracał z drzewem do domu. Nieszczęście chciało, iż go niespodzianie stróż publicznego bezpieczeństwa pochwycił za kołnierz i zaprowadził do wójta.

Na razie odebrał wójt chłopu siekierę — sosenkę jako „corpus delicti“ złożyć kazał pod swą szopą a złodzieja osadził w areszcie gminnym, który się „budą“ mianował.

Jutro miały być sądy na złodzieja, ale to jutro odłożono o dzień później, bo się radni nie zeszli w komplecie.

Poschodziła się wreszcie poważna rada gminna. Wypuszczono z budy winowajcę i stawiono trzęsącego się i zsiniałego od zimna przed obliczem sędziów. Wójt określił należycie jego czyn zbrodniczy... i zapytał:

— Jakże go teraz osądzicie?

Zapanowała w izbie chwilowo cisza, aż ją przerwał jeden ze starszyzny:

— Wyście wójt, to wiecie najlepiej...

Wójt podparł głowę i zamyślił się.

— Gdyby to się stało za moich rządów — wyrzekł jeden ze starych radnych a były niegdyś wójt, któremu od wielkiego rozumu ciągle się głowa trzęsła — tobym wiedział, jak go osądzić... i podniósł znacząco grubą lazicę do góry!

— Ej, kiedy to widzicie, jakoś teraz.... nie tego... zamruczał teraźniejszy naczelnik gminy.

— Na złodzieja to ino kij najlepszy! — odezwał się jeden z palących fajkę, a wypuściwszy z ust kłęb dymu, otarł gębę jak wrota i badał wrażenie, jakie jego słowa na słuchaczach wywarły.

Winowajca tymczasem schylał się i obejmował kolana i całował ręce wójta i całej rady, prosząc pokornie o darowanie mu winy — tłómaczył się jak mógł, ale... bezskutecznie!

— A widzisz dziadu, — prawił jeden ze sędziów, nie mogłeś to być do tego czasu jak się patrzy parobkiem i służyć u porządnego gospodarza?.... Żonki ci się zachciało? dziewka ci pachła, a teraz gminę okradasz, las niszczysz...

— A przecież nie ino ja, bo i drudzy, nawet gospodarze nocami z lasa... — począł szeptać biedak nieśmiało, ale w tej chwili poczuł tak potężną pięść na swym karku, że nie dokończył zdania.

— Co „nam“ gospodarzom wolno, to nie tobie przywłoko! — krzyknął autor kułaka — widzicie go, jeszcze gębę otwiera!

— Takto, tak musimy cierpieć „my“ gospodarze z tymi chałupnikami i komornikami. Przyjdzie robota, to mu zapłać, daj jeść, — a jeszcze ci i dzieci ze sobą przyprowadzi, co ino za miską patrzą i despekt robią, a jakbyś niedojrzał, toby cię i okradł; skaranie boskie z tymi dziadami!

— To też trzeba, jak się go na czem przyłapie, nie żartować, bo się to jeszcze bardziej rozbestwi.

— A ino, trzeba skarać, nie darować!

— O! nie folgować!

— Choćby mu co zafantować!

— Siekierkę ma odebraną, nie będzie miał czem rąbać drzewa w „naszym“ lesie.

— Niech zapłaci śtrofu dwa papierki „na ubogich“ — zadecydował wójt.

W tej chwili wpadła żona obwinionego do izby, poczęła płakać i lamentować, prosiła o darowanie winy, przedkładała w czarnych kolorach swą biedę, przyrzekła solennie w imieniu męża poprawę... ale to wszystko nic nie pomagało.

— A widzisz, a widzisz... pieniędzy nie ma, a kraść idzie; kiedy nie macie dwóch papierków „na ubogich“ zapłacić, to musi twój chłop odsiedzieć te pieniądze w areszcie. Takie jest prawo cesarskie na złodziejów.

— Na jak długo zamkniemy go do budy? — pytał znowu wójt.

Każdy z radnych objawił swe zdanie i uchwalono, aby ze względu na mrozy wsadzić złodzieja do aresztu (notabene nieopalonego) tylko na 48 godzin.

Nastąpiły znowu prośby, płacze i zaklęcia, ale.. szkoda ci łez tych, biedaku!

Przechodzący tego samego dnia około aresztu gminnego, słyszeli głuche jęki więźnia.

Jedni się litowali a drudzy mówili: „Dobrze mu tak!“

Przecież taka buda, to potrzebna i poradna rzecz!..

Na drugi dzień pobiegła żona nieszczęśliwego do wójta, upadła mu do nóg i błagała, że mu już te dwa papierki „na ubogich“ odrobi przy żniwie, by tylko wypuścił jej męża, bo on tam uskwierknie od zimna.

Serce wójtowskie nie było przecież z głazu. On tyle najemników potrzebował w lecie do roboty! Wypuścił złodzieja.

Skulony w dziesięcioro od przemarznięcia nieszczęsny ledwie że się dowlókł do chaty.

Za tydzień pogrzebano biedaka.

To nic!...

— Wola boska na wszystko — mówili ludzie.

I w gminie było o jednego mniej dziada.

A wdowa i sieroty?

Głupstwo! kto by ta o tem myślał!....

Nie pytaj!

Nie pytaj nigdy, czemu myśl ma chmurna,
Czemu głos tęskny zwraca się do nieba?...
Dla jednych duchów droga jasna, górna...
Drugim do życia tylko ziemi trzeba!
Nie pytaj nigdy, czemu patrzę rzewnie

W przestrzeń błękitną, pełną gwiazd i kwiatów?
Nad mą kolebką nucił anioł śpiewnie,
Mówiąc o drogach innych — wolnych światów!
Nie pytaj nigdy, czemu składam ręce
Jak do modlitwy, słysząc lasów szumy?
One jak ludy, giną w życia męce,
Ale są czystsze, jak te — strojne tłumy.
Nie pytaj nigdy, czemu serce moje
Kocha swą ziemię tak bardzo, tak żywo...
W niem może bije żelazne ogniwo
Łańcucha ziemi... ono zna, co swoje...
I walka życia i ogień tęsknoty
I grzechu brzemię — i blask cnoty złoty...
Nie pytaj nigdy, gdzie jest szczęścia przędza
Dla mnie wysnuta?... Ja idę tą drogą,
Na której walka i boleść i nędza...
A myśli tkanka jest tą wiedźmą srogą,
Która rozrywa ciszy świętej szaty,
Samotność budzi i sieroctwo daje...
Przez myśli inne — my ponosim straty
I wielką falą płyniem w obce kraje...
Nie pytaj nigdy, o czem we śnie marzę
I z jakich kwiatów mam na czole wieniec?
Ja mam tę gwiazdę, co się nocą żarzy,
Tę gwiazdę dumań -- to mój oblubieniec!
Nie pytaj nigdy, o co wzywam Boga
U stóp ołtarzy?... Kto zna imię wroga
Ojczyzny Matki i niedolę braci,
Ten mu za krzywdę łzą modlitwy płaci,
Ten błaga rzewnie o światło promienne,
O miłość wielką — i wiary bezdenne,
Ten na mogile, co się z wiekiem wzmaga,
Za krzyż dziękuje — i o krzyż ten błaga....

Błękitna.

Ach łezki!

Świat ma oprawców tak wiele,
Tyle udręczeń, katuszy,
Że ci w ułomnem twem ciele
Każdą żyłeczkę poruszy.
Boleść u wnijścia cię wita,
Kiedy wstępujesz w to życie,
Boleść łez dziecka nie syta,
Dziecka oblęga powicie;
Ale dziecięcych boleści
Prędko przemija wrażenie,
Gdy je piastunka popieści,
Gdy je łez spłuczą strumienie.
Rośniesz — a z tobą w zawody
Rosną cierpienia i bole;
Zżymasz się jak rumak młody,
Gdy go ostroga ukole;
Ale młodzieńcze cierpienia
Łezka młodzieńcza ukoi,
Klątwy i groźne spojrzenia
Lubej spojrzenie rozbroi.
Wszystkie pociski i groty
Biją w pierś męża koleją,
Wszystkich strat doznał, tęsknoty,
Rozbrat mu — rozbrat z nadzieją!
Burzą się świata żywioły,
Ofiar padają tysiące,
W koło pożogi, popioły,
Głosy mu znane jęczące;
Słucha — a boleść mu pada
Warem na serce kroplami,
Chociaż pierś męzka nie biada,
Chociaż uśmiechem świat mami. —

Chociaż spokojnie wygląda
Gromu co czaszkę mu skruszy,
Zda się niczego nie żąda
Oprócz pokoju dla duszy;
Jednakże bolem przeszyty,
Pragnie z wyschłego łez zdroju,
Jak ów na krzyżu przybity,
Wyssać kropelkę napoju...
Woła przed chwilą skonania
Głosem Hagary tej biednej,
Co to łzą syna ocala:
„Łezki, ach! łezki choć jednej!“

Pius Nałęcz z Witoszyna.

Sułtan Murat IV*).

(Przez Jana Jerzego Obrista.)

(Z tyrolskiej księgi poetów, stronica 182).

„Złamana moc Bagdadu, zdobyte miasta mury,
Więc dziś wypełnię ślub mój na Mahometa cześć:
W czerwonej krwi strumieniach zwycięzca dziś ponury
Wykąpie się, zamachem chcąc jednym wrogów zgnieść.
„A wy tam kaci, wasze dziś ostrzcie szable krzywe!
Śmierć buntownikom hardym! Niech płynie zdraj-
[ców krew!“
Wtem starzec klęka przed nim: „Podbiłeś to, co
żywe,
Toż pozwól mi, ostatni zanucić tobie śpiew!“ —

*) Sułtan Murat IV., panujący w latach 1623-1640, jeden z najdzielniejszych władców Turcji, zdobył w r: 1638-m mocą oręża Bagdad, w krwawej walce z Turcją zdobyty przez Persję. Opór Bagdadczyków był zacięty, tem straszniejszą też zemstą groził zwyciężonym gniew sułtana.

„Więc śpiewaj! huknie sułtan, lecz nie łudź się nadzieją,
By śpiew wybłagał życie twym ziomkom, braciom
[twym,
Ni też samemu tobie! ty śpiewaj, jak się leją
Potoki krwi, niedolę opiewaj głosem swym!“ —
„Wszak tegom pragnął właśnie! odzywa się zu-
[chwały —
I silnie brzmi głos starca, wieńczący mężnych
[trud: —
„Niech wstyd ogarnie księcia, niech się rumieni
[cały,
Że po tak długich walkach dopiero zdobył gród!
„Dziś znęcić nad chrobrymi dłoń pragnie się sułtana,
Dziś chciałby sławę starą walecznych splamić krwią.
Dla czego? bo dziś zemsta w nim wre nieokiełzana,
Bo zawiść mu przyćmiewa dziś wzrok zasłoną swą.
„Tak opiewałem moich niedolę, hańbę twoją,
Przedźwiękła pieśń ostatnia, na wieki zamilkł głos,
Ty gromadź zastęp katów: bezczynnie niech nie
[stoją,
Niech głowa spadnie śmiałka, ostatni to już cios!“ —
Przed swym namiotem sułtan coś duma w zamyśleniu;
Wzrok jego na wezyra a nie na katów padł:
„Sto jagniąt niechaj zarżną, w krwi skąpię się stru-
[mieniu,
A żem wspaniałomyślny, niech pozna cały świat!
„Krew jagniąt, bohaterów krew niechaj mi zastąpi:
Tak spełnię ja przysięgę, tak pragnę ja się mścić,
A piewcy odważnemu dłoń moja nie poskąpi
Zaszczytów, ni uznania, dopóki jemu żyć!“

Sambor, 24. Grudnia 1888.

G. Kohn.

BIBLIOGRAFIA.

a) Gazety i czasopisma*).

[Gazeta Polska, wychodząca w Czerniowcach pod redakcją Klemensa Kołakowskiego. Rok VII.]

Zwracamy uwagę na to pismo, wychodzące i nadal o niezmienionych tendencjach. W nowym roku istnienia wydawnictwa zaleca się w dziale fejletonowym szczególnie powieść J. Chorośnickiego: „§. 206. ust. kar. Pamiętnik więźnia“, jak niemniej w ostatnich numerach ubiegłego roku Teofila Szumskiego komedja: „Połamane szyki“, przedstawiająca walkę stronnictw arystokratycznego i postępowo-demokratycznego, kończącą się zwycięztwem Ściborów ojca i syna i połączeniem dozgonnemi węzłami barona Edmunda Moczarskiego z chłopianką Ludmilą a Ścibora syna z Ewą, bogatą spadkobierczynią o demokratycznych zasadach.

[Gazeta Przemyska, wychodząca w Przemyślu pod redakcją Michała Kochaniewicza. Rok III.]

Prowincjonalne to pismo użyteczne wychodzi i nadal w niezmienionym kierunku. Polecamy uwadze czytelnika szczególniej fejleton naukowej treści, mieszczący się w łamach pisma. Wielką wartość zwłaszcza posiadają artykuły, jak: „O pomocy własnej“ ks. Dra Galanta, „Z pamiętników myśliwca“ i inne.

---

*) Aby się bezpotrzebnie nie powtarzać, jakoteż, aby sobie miejsce potrzebne na omówienie nadesłanych nam książek zostawić, możemy odtąd tylko bardzo szczupłe miejsce poświęcić omówieniu gazet.

[Gazeta Naddniestrzańska, wychodząca w Drohobyczu pod redakcją E. L. Soleckiego. Rok VI.]

Organ demokratyczny, wychodzący pod tą nazwą, szóstą obchodzi obecnie rocznicę swego istnienia. Zapowiedziana ongiś zmiana dwutygodnika na tygodnik nie nastąpiła wprawdzie dotąd, ale i tak zauważać można niektóre zmiany w formie wydawnictwa, świadczące o pomyślnym rozwoju tegoż. Rubryka „Krzywdy ludu naszego“ doprowadzoną została już do 34. rozdziału, a w łamach pisma mieszczą się czasem obok polskich, także ruskie fejletony, odnoszące się do naszych rządów autonomicznych.

b) Książki pamiątkowe i roczniki.

[Die Dioskuren. Rocznik literacki Towarzystwa urzędników monarchii austro-węgierskiej. Wielka ósemka. XVII. Rocznik. Stronic 562. Wiedeń, 1888. Nakładem Towarzystwa. Czcionkami cesarskiej drukarni we Wiedniu. Cena 2 złr. 50 ct.]

Jeśli zajmujące i pożyteczne to wydawnictwo ocenimy rozpoczynając od powieści, to na pierwszym planie musimy postawić dwie, a to: „Kwiat pracowni malarskiej“ Frydryka Steinebacha (str. 92.) i „Wśród wiosennych burz“ E. Wahlheima (str. 265.)

Powiastka a raczej nowelka Steinebacha „Kwiat pracowni malarskiej“, osnuta na tle artystycznem, jak to sam tytuł wskazuje. Jest to reminiscencja z życia malarzy. Autor na samym wstępie opisuje wrażenie niezwykłe, jakie we Wiedniu przez długi czas wywoływały „nagie“ dziewice Mackarta, witające w Antwerpji tryumfatora Karola V. To zdziwienie, czy zgorszenie ogółu mogło uchodzić w stolicy naddunajskiej, nieprzyzwyczajonej jeszcze do takich wystaw artystycznych. W Paryżu, nie krępującym się podobnymi względami, „nagie“ dziewice i kobiety w sztuce już dawno przestały razić smak publiczny albo ujemnie oddziaływać na wstydliwość ogółu.

A przecież i w rozpasanym tym Paryżu naga dziewica, jako „fleur d'atelier“ wystawiona przez artystę-malarza Dubois miała wywołać sceny nader burzliwe i zajścia opłakane, które właśnie opisuje nowelka Steinebacha. Bo „fleur d'atelier“ był to obraz o niezwykłych zaletach. Artystycznie wykończony, pełen życia i wdzięku w nagich kształtach, czarował ponadto wszystko jeszcze widza niewinnością i czystością dziewiczego uczucia, odźwierciedlającego się we wzroku. Taki obraz rzeczywiście uprawniał do najwyższych nadziei, zjednać musiał twórcy swemu tryumf wiekuisty. Tak sądził może autor obrazu, tak twierdzili głośno jego przyjaciele, podobne zdania objawiała publiczność, odwiedzająca wystawę, wszyscy jednem słowem, bo nawet fotografowie, reprodukujący w licznych egzemplarzach „fleur d'atelier“, — wszyscy z wyjątkiem młodego oficera, vicomte'a Ducormier, który pewnego razu wpadłszy do sali i porównawszy malowidło artysty z małą fotografią, wyjętą z zanadrza, obraz w samym środku sztyletem przeciął, a uiściwszy należytość 6000 franków za „fleur d'atelier“, takowy natychmiast z wystawy usunąć i sobie oddać polecił.

Godzina nie minęła od tego wypadku, a młody malarz, znieważony publicznie przez oficera, otrzymał od tegoż zawezwanie na pojedynek. Jakiż to powód podobnej, nawet w Paryżu żądnym skandalów, tak rzadkiej sceny? Czytelnik się domyśli: młody oficer miał narzeczonę, mieszkającą u babki swojej, hrabiny de Saint-Géran, legitymistki najczystszej krwi. Urocza Clémence, podwójnie osierocona po śmierci ojca chociaż potomka szlacheckiej rodziny, ale mimoto demokraty z przekonania i matki, śpiewaczki Tadolini, smutne pędziła tutaj chwile. Babka, skostniała w arystokratycznych pojęciach swoich tak dalece nawet, że od własnych dzieci stroniła z powodu demokratycznego usposobienia syna i ślubu jego ze śpiewaczką, babka, która do pewnego czasu nieszczęśliwej wnuczce zwracała list po liście dla tego, że śpiewaczka była matką Klementyny, a dopiero po śmierci tej śpiewaczki litowała się nad opuszczoną wnuczką i przyjmowała ją do siebie —, babka taka oczywiście że w drodze ży-

ciowej sieroty oddziaływać musiała jak anachronizm w dziejach ludzkości.

Przypadek zbliżył młodego oficera do dziewczęcia, dla którego w krótce zapałał płomieniem czystej, nieskażonej miłości. I Klementyna była mu wzajemną, czuła, że nowe życie dla niej się rozpoczyna przy boku kochanego męża. A tu ta nieszczęśliwa afera z obrazem, jej samej może nieznana, rozwiać miała najsłodsze jej marzenia.

Pewnego wieczoru przynoszą jej paczkę zapieczętowaną a zawierającą pierścionek zaręczynowy, fotografję jej, fotografję obrazu: „fleur d'atelier“ i kartę wizytową Anatola. Narzeczony pisze krótko: „Mniemałem, że narzeczoną moją jest markiza Klementyna de Blainville, a nie jakaś tam „fleur d'atelier.“ Pomyłka ta osobowa rozwięzuje nasz związek. Żegnam Panią na zawsze.“

Nie będę się silił na opis tego, co się w sercu opuszczonego dziewczęcia działo! Pojedynek odbył się tymczasem prawidłowo. Malarz otrzymał postrzał w ramię, vicomte ciężką ranę w lewy bok, niezagrażającą jednak życiu.

Parę dni po tym wypadku malarz Dubois z ręką na temblaku zjawia się w salonie starej hrabiny; dowiedziawszy się bowiem o nieszczęściu familijnem, wywołanem tak niespodzianie wystawieniem obrazu „fleur d'atelier“, pragnie się Dubois usprawiedliwić i wykazać, że wszelkie rozmyślne poniewieranie i kalanie czci obcej było mu wstrętnem, nie leżało w jego charakterze. Wykonawszy bowiem na życzenie wpływowego protektora rzeczony obraz, miał go wkrótce w całości w pogotowiu z wyjątkiem głowy. Tej nie mógł żadną miarą dobrać, ponieważ żadna z żyjących modelek nie odpowiadała jego wymaganiom artystycznym. Wpadł więc na nieszczęśliwy pomysł, czynić poszukiwania w zbiorach rycin, nabytych na licytacji. A tu zwróciła od razu uwagę jego głowa kobieca, studjum rzymskiego malarza Bellina, zmarłego niedawno. Z tego artystycznego motywu skorzystał też malarz, nie przypuszczając nawet, jakie skutki złowrogie sztuką swoją wywoła.

I streściwszy wiernie cały przebieg sprawy i pojedynek z oficerem, wyjmuje malarz z mapy swojej oryginał obrazu, który mu służył za model do pracy. Klementyna w sławnym obrazku rzymskiego malarza poznaje rzeczywiście rysy swoje i przyznaje się nawet do tego, że była — modelką. Ale ona, potomkini hrabiów de Saint-Géran i Blainville, nie poniżyła się dla miłego grosza. Opuszczona od wszystkich, nawet od babki własnej, obarczona troską o chorą, konającą matkę, nie miała innego zarobku, i ten też poświęciła dla ocalenia życia matce.

Malarz, pragnący naprawić to złe, które mimowoli obrazem swoim wywołał, udaje się do Kairu, dokąd przyjaciele rekonwalescenta oficera wywieźli, tłumaczy mu genezę obrazu szczegółowo i powoduje interwencją swoją pojednanie się miłośnej pary.

Dubois sam, ożeniwszy się wkrótce po tym wypadku i zamieszkawszy w pobliżu pałacu Ducormiera, żyje na bardzo poufałej i przyjaznej stopie ze stadłem małżeńskiem, które skojarzył, poświęca się wyłącznie historycznemu malarstwu i jest obecnie poszukiwanym bardzo artystą; ale kto wie, czy by się późniejszej doczekał był sławy, gdyby nie ów głośny w kronice skandalicznej obraz „fleur d'atelier.“

Druga powieść, E. Wahlheima, zatytułowana: „Wśród wiosennych burz,“ wprowadza nas w życie wyższych sfer i odsłania mistrzowską ręką czczość, próżność i brak serca, kryjące się nieraz pod olśniewającą zasłoną w hrabiowskich i książęcych salonach.

Jako ofiara wymagań towarzyskich i własnej egzaltacji pada hrabianka Hilda, która nieulubionego męża i prostaka, księcia Lievena zaślubia, aby nie kollidować z obowiązkami swemi, ale nie ma odwagi odmówić miłośnej schadzki kochankowi, małżonkowi ubezwładnionej uporczywą chorobą hrabiny Ireny Rainburg. Gorączka nerwowa przyspiesza śmierć Hildy, a Lieven, nie martwiąc się bezpotrzebnie tą stratą, zaślubia starszą siostrę Hildy, hrabiankę Ricę. Gustaw Rainburg, straciwszy przez śmierć i żonę i kochankę, wraca do dawniejszych swoich zajęć i studjów, zdobywa stopień doktora medycyny i przeistacza zamek swoich przodków na

lecznicę dla cierpiących na oczy. „I dobrze zrobił, twierdzi księżna Lievenowa, krewna Rainburga. Ludzki aż do przesady doktor Rainburg, który dumny zamek swoich antenatów zmienił na szpital, przestał istnieć dla społeczeństwa!“ Dodajmy od siebie „dla tego społeczeństwa, którego główną zasadą jest blichtr i próżność wewnętrzna, ozłocona dźwięcznemi formami!“

W zakresie prozy naukowej rocznika zwraca na siebie uwagę umieszczona na samem czele (str. 1.) charakterystyka dramaturga niewyczerpanego wiekiem, ni chorobą, Bauernfelda. Godny też wzmianki jest Hermana Meynerta artykuł z dziedziny sztuki: „Teatr narodowy w burgu przed pół wiekiem“ (str. 110.), oraz i Bernarda Rothensteina studjum, odnoszące się do „historji i reformy baletu“ (str. 335.) Wielce interesujące są rozmaite metamorfozy, jakim ulegała scena w burgu, a które nam opisuje Meynert, zacząwszy od owej chwili, kiedy scenę do ostatecznych rozmiarów ograniczyć usiłowano, „aby się duch staranności i ostrożności, panujący w c. k. teatrach, rozszerzał także po teatrach podrzędnych“ aż do chwili, kiedy Schreyvogel objął rządy sceny narodowej a na niej zajaśniały gwiazdy pierwszorzędne, mistrzowie i mistrzynie: Fichtner, Löwe, Anschütz, Zofja Schröder, Julia Rettich i inni. Szkic Meynerta i pod tym względem ma niespożytą wartość, że opisując dzieje sceny w burgu, przedstawia artystów i artystki we właściwem świetle ze wszystkiemi wadami i zaletami, im wrodzonemi. Rothenstein, widocznie sam wielki znawca i amator sztuki choreograficznej, opisuje dla ciekawych w rozprawce swojej początki baletu i mistrzów, którzy się do uszlachetnienia sztuki baletu przyczynili, podając równocześnie wskazówki, w jakich granicach nowoczesny balet obracać się powinien, aby z dawniejszej nie runąć wyżyny.

Ciekawszą jednak, niż wszystkie te rozprawy będzie dla każdego Polaka historyczna rozprawa Albina barona Teuffenbacha pt.: „Józef Książę Poniatowski, Marszałek Francji, — dzieckiem wiedeńskiem“ (str. 355.), w której autor na podstawie rozmaitych źródeł i dokumentów udowodnić usiłuje,

że — książę Poniatowski, bohater z pod Lipska — w Wiedniu się urodził. Czy w Wiedniu, jak twierdzi Teuffenbach, czy w Warszawie, jak twierdzą inni — mniejsza o to, i to nie nadałoby jeszcze głębszego znaczenia pracy Teuffenbacha; ale co ją podnosi w oczach każdego rodaka, to ton sympatyczny i ciepły, w którym się autor wyraża o wojskowych i obywatelskich zaletach bohatera z pod Lipska, pogromcy nieprzyjaciół Polski, zdobywcy Lwowa w r. 1809-m. Z polskiej literatury, tą razą nie historycznej, ale poetycznej, wzięty również wiersz Gomulickiego w przekładzie Emilji Bett (str. 154.), ale wiersz ten dosyć bezbarwny; nie wywołuje głębszego wrażenia.

Wiersze między niemi dosyć udatne, umieścili także: Ludwik Foglar, Alfred Formey, Betty Paoli, Ludwik August Frankl, Marcin Greif i inni, a na polu poezji dramatycznej wykazuje 17-ty rocznik wydawnictwa przekład „Ifigenii“ Racine'a, dokonany przez Dorę Gagern, (str. 255.)

[Die Dioskuren. Rocznik literacki Towarzystwa urzędników monarchii austro-węgierskiej. Wielka ósemka. XVIII. Rocznik. Stronic 572. Wiedeń, 1889. Nakładem Towarzystwa. Czcionkami cesarskiej drukarni we Wiedniu. Cena 2 złr. 50 ct.]

Nie mniej świetnie od poprzedzającego przedstawia się najnowszy rocznik wydawnictwa. Ale „Roczniki Samborskie“ wraz z „Bibliografią“ mają granice swoje, nie mogę więc opisem niniejszym obejmować tego wszystkiego, co się mieści w „Dioskuren“ a co rzeczywiście godne jest opisywania a jeszcze więcej czytania.

Na polu powieści zasługuje na wzmiankę z powodu swojej oryginalności powiastka „Węgierska bitwa“ Henryka Glücksmana (str. 372.), w której autor opisuje zaciętość batalij wyborczych węgierskich, z których jedna Matjasza Bacsę pozbawiła nogi a wraz z kalectwem wiekuistem skazała na utratę kochanki, nie mogącej znieść widoku kalek. Powiastka zaś nibyto staro-rzymska Pachlera, zatytułowana: „Moja Arria“ (str. 167.), o tyle tylko zasługuje na wzmiankę, że jest pustą mistyfikacją, której sobie szanowny autor w obec publiczności swojej

pozwala, gdyż powieść jego widocznie urodziła się na wiedeńskim gruncie, a nie na staro-rzymskim.

Nierównie zręczniej opracowana powieść Gabrieli Adler: „Abbate Ceccone, i jego goście“ (str. 105.) Abbate Ceccone, kapłan domowy hrabiego Benwentigli i kustosz skarbów artystycznych, mieszczących się w starym zamku, przyjmuje odwidziny gości obcych, którzy się zgłosili do niego celem oglądania galerji obrazów. Gośćmi tymi są młody Francuz, Anglik i Niemiec w towarzystwie małżonek swoich. Powstająca na horyzoncie burza zmusza gości do przedłużenia pobytu swego w zamku, z czego znów korzysta abbate Ceccone, prosząc swoich gości, aby przy skromnej kolacyjce opowiadali mu historję swego życia, szczególniej zaś, w jaki sposób każda para się poznała a następnie pobrała.

Francuz, Angielka i Niemiec opowiadają więc po kolei najważniejsze zdarzenia życia swego, skromnie, niewykwintnie, ale mimoto z pewnym wdziękiem.

Francuz, Gaston de Verville, młody porucznik w marynarce, przyszłą swoją żonę, baronównę Felicję de Beaumont, poznał jako pensjonarkę w klasztorze, gdzie i jego siostra się wychowała, i zapłonął od razu dla Felicji uczuciem miłości, odwzajemnionem przez kochankę. Ale cóż z tego, kiedy rodzice panny, marząc widocznie o świetniejszej partji dla córki swojej, o związku tym wiedzieć nie chcieli. Tymczasem młody Francuz, dla którego życie po stracie kochanki nie ma już celu, zaciąga się w szeregi wojska, przeznaczonego do niebezpiecznej walki na morzu przeciwko Chińczykom. Tu odznacza się Gaston osobistą odwagą, zdobywa pozycje nieprzyjacielskie jedną po drugiej i wraca do ojczyzny ciężko ranny, ale z tytułem kapitana okrętowego i ozdobiony krzyżem legji honorowej. Wiadomo, jaki potężny wpływ wywiera słówko „gloire“ na umyśle wszystkich Francuzów. Toż nie dziwota, że rodzice młodej panny teraz zgadzają się na związek, którego najzawziętszymi byli dotąd przeciwnikami.

Po Francuzie Angielka, wyręczając męża swego, opowiada genezę ich związku. Wychowana w zupełnie innych warunkach niżli jej rówieśniczki jako

córka bogatego właściciela dóbr a zagorzałego medyka, używała takich swobód, o jakich się żadnej z jej koleżanek nie śniło. Straciwszy ojca przez nieszczęśliwy wypadek, dostała się w 19-m roku życia swego pod nieproszoną kuratelę dalekich krewnych. Bywając raz w sąsiedztwie u państwa Thorntonów, poznała tam przyszłego swego męża, lorda Bucklanda, zawołanego myśliwego, w którego towarzystwie puściła się w dalsze ekskursje konne. Na jednej z tych wycieczek Buckland spadłszy z konia, dostaje się w głęboki rów, z którego go Alicja wydobywa, przywoławszy do pomocy kilku tragarzy. Rannego zaś zaopatruje jego zbawczyni tak zgrabnie, że przywołanemu do pomocy lekarzowi mało do czynienia pozostaje. Cóż dziwnego, że wyleczony i nad brzegiem przepaści ocalony lord Buckland oświadczył się o jej rękę i został przyjęty?

Historja trzeciej miłośnej pary zdradza cokolwiek podobieństwa z poprzedzającą, z tą tylko różnicą, że nie kochanek kochankę, ani też ona jego ratuje, ale że kochanek a przyszły mąż, niemiecki profesor Ernest Reuter, podczas wycieczki wesołej na parowcu, odbytej w towarzystwie rodziny Małgorzaty, braciszka tejże, swawolnego Alfreda, który się z powodu własnej nieostrożności pod wodę dostał, z niebezpieczeństwem życia z głębi wód wydobywa.

Goście skończyli swoje opowiadania. Na niebie rozjaśniło się tymczasem cokolwiek, ale nie całkowicie. Proszą więc nawzajem gospodarza swego, aby ich wtajemniczył w dzieje swego życia, aby im opowiadał, co go spowodowało do przyjęcia stanu duchownego, czy nie może także przykre jakieś doświadczenia, czyniące go nieprzystępnym dla miłości?

Opowiada więc abbate Ceccone nawzajem historję życia swego:

I on też już za młodu zaznał, ile życie mieści w sobie rozkoszy i goryczy, zwłaszcza nie obcem było mu uczucie miłości. Jako syn ubogich rodziców, rybaków w zatoce neapolitańskiej, jako Włoch, chował się prawie bez nadzoru pod gorącem niebem włoskiem. Nikt nie tamował jego namiętności, nikt nie narzucał mu pęt, nie zakładał mu cugli. Pisać

tylko i czytać umiał cokolwiek, miał też bogatego a starego wuja księdza, a matka młodzieńca nie pragnęła innego zaszczytu po nad ten, aby jej synalek, idąc w ślady wuja, został księdzem. Cecconowi nie śniło się jednak o tem, a to tem mniej, gdyż zawarłszy znajomość z Laurettą, zapłonął ku niej miłością ognistą i namiętną południowca.

Ale Lauretta kokietka, jak wszystkie dziewczęta w jej wieku: obiecała mu być wzajemną, skoro się wystara dla niej o kólczyki koralowe z Neapolu. Puszcza się więc młodzieniec w kruchej łodzi rodziców podczas burzy gwałtownej do Neapolu. Łódka rozbija się o rafy, zuchwałego żeglarza-rozbitka ratują rybacy i zawożą do domu rodzicielskiego. Tu odzyskiwał powoli przytomność i zdrowie. Rodzina jego, której całem mieniem była rozbita i nieprzydatna obecnie łódka, zadłużyć się musiała, aby kupić sobie inną, a Ceccone marzył tylko o Laurecie, bo teraz, teraz, kiedy życie swoje na szalę kładł dla niej, nie może mu już odmówić i nie odmówi zapewne wzajemności!

Zbliża sie więc niepewnym krokiem a tu widzi siedzącą u wejścia swojej chaty Laurettę z koralowemi kólczykami w uszach a koło niej uwija się — nie jej brat, ale znienawidzony rywal Battista. Wyszydzony przez nią i przez rywala, traci Cecco przytomność umysłu i wpakuje Battiście nóż swój w żebra. Po kilkomiesięcznej chorobie wyzdrowiał Battista i zawiózł Laurettę do ołtarza; ale małżeńskie ich pożycie nie było szczęśliwem. Rodzina powiększała się z roku na rok, a Battista, zawołany kłótnik i zawadjaka, bił co się wlazło i żonę i dzieci. Cecco zaś, czyniąc zadość życzeniom matki, porzucił zawód rybaka i wyświęcił się na księdza.

Wyborne to opowiadanie autorom sensacyjnych powieści niech służy za dowód, jak pojedyńczemi środkami stworzyć można powieść zajmującą a nawet pouczającą.

Na polu naukowo-literackiem mają pewne znaczenie rozprawy Hermana Meynerta: „Szyller i Justyna“ (str. 29.) i Dra. Ernesta Gnada: „O Egmoncie Getego“ (str. 65.) Pierwsza z tych rozpraw wyświe-

ca stosunek Szyllera do Justyny Segedynównej (takzwanej Gustel z Blasewitz), wykazując równocześnie bezpodstawność pogłosek o stosunku wzajemnym autora „Zbójców“ z Justyną. Rozprawa o Egmoncie Getego stara się udowodnić dramatyczność Egmonta, zaprzeczoną przez Szyllera i innych i rzuca nowe a ciekawe światło na charakter niemieckiego wieszcza. Literaturze niemieckiej poświęcony także artykuł Heleny Magyar: „Wspomnienie o Janie Nordmanie“ (str. 445.), opisujący ważniejsze szczegóły z życia zmarłego niedawno poety, podczas gdy pogadanka Brunona Waldena „O modzie literackiej“ (str. 161.) w dowcipny sposób wykazuje a po części i nicuje tendencje idealistów i realistów, zwłaszcza zaś mylny kierunek, który i jedni i drudzy przybierają.

Fausta Pachlera tragedja: „Król Lazar i jego dom“ (str. 327.) przenosi nas w duchu w czasy Brankowiczów i Obiliczów, kawalera de Vincenti „W arabskiej oazie“ (str. 11.) opisuje w formie szkicu z podróży życie, zwyczaje i obyczaje synów puszczy, podczas gdy liczne wiersze Betty Paoli, Roberta Hamerlinga, Heleny Migerki, Ludwika Foglara, Ludwika Augusta Frankla i innych liryczną i liryczno-epiczną stronę wydawnictwa uzupełniają.

c) Wydawnictwa dla ludu i młodzieży, oraz książki naukowe.

Wydawnictwa Zukerkandla w Złoczowie. Biblioteczka dla dzieci i młodzieży.

[Książeczka XIV. Dawni królowie tej ziemi. Treść dziejów Polski dla dzieci, opowiedział wierszem Władysław Bełza. Z 39 wizerunkami królów polskich. Stronic numerowanych 87. Cena 40 ct. 1887, w Listopadzie].

Była to bardzo szczęśliwa myśl, na którą wpadła redakcja „Biblioteczki dla dzieci,“ że ubiegłe dzieje i dawniejszych królów Polski przypomina pamięci młodego pokolenia w krótkich a powabnych wierszykach. Jeśli jeszcze dodamy, że całość zdobią pięknie

i udatnie wykonane ryciny, a wiersze skreśliło pióro znanego pisarza Bełzy, to już chyba nic więcej nie wypada nam dodać do niniejszej wzmianki bibliograficznej.

[Książeczka XV. Cesarz i król Franciszek Józef. Opowiedział Dr. Albert Zipper. Z portretem Panującego. Stronic 69. Cena 25 ct. 1888, w Czerwcu].

Jest to jedno z tych licznych wydawnictw, przeznaczonych na uczczenie pamięci 40-letniej rocznicy panowania Cesarza Franciszka Józefa. Autor tej pracy, Dr. Albert Zipper, starannie i umiejętnie wywiązał się ze swego zadania, polegającego na tem, by dla świata dziecięcego skreślić najważniejsze chwile panowania Monarchy, księgarz zaś jako wydawca dziełka, postarał się o to, aby pod względem powierzchowności książeczka nic nie pozostawiała do życzenia.

[Książeczka XVI. Tomek. Opowiadanie z czasów króla Władysława Łokietka. Napisał Bronisław Sokalski. Stronic 105. Cena 25 ct. 1888, w Maju.]

Jest to druga z rzędu praca znanego pisarza ludowego, która się okazuje w „Biblioteczce dla dzieci.“ Pan Sokalski opisuje w opowiadaniu swojem, streszczonem dla wieku młodocianego, burzliwe czasy panowania Władysława Łokietka. Przedstawia nam w postaci Tomka, syna bartnika Wojciecha, naśladowania godny wzór miłości Ojczyzny, która za młodu wprawiwszy ręce Tomka do walki z wrogiem, nie opuszcza go aż do ostatniej chwili i opromienia bohaterską jego śmierć na polu bitwy pod Płowcami. Zręcznie wpleciona w tok opowiadania postać nawróconego grzesznika, wojewody Wincentego z Szamotuł, znanego czytelnikowi z VIII. tomiku wydawnictwa. Styl autora łatwy i przyjemny, nadaje się szczególniej do czytanek dla dorastającej młodzieży.

[Książeczka XVII. O życiu i czynach Tadeusza Kościuszki. Napisała Janina Sedlaczkówna. Stronic 92. Cena 25 ct. 1888, w Maju.]

Pełna zapału i potoczystym językiem skreśliła nam autorka dzieje życia wodza racławickiego, jego miłość bliźniego, jego bohaterstwo i poświęcenie się dla Ojczyzny, przedstawiając jak w lustrze całą działalność bez skazy i zmazy tego wodza ludu, tego

rycerza bez bojaźni i plamy, o którym niemiecki poeta Holtei śpiewa:

„Pamiętasz ty, jak wiernie my zasadę
Czci i honoru przestrzegali wciąż?
Pod Szczekocinem czy pamiętasz zdradę,
Co w serca nasze wpiła się jak wąż?
Krwawemi serce się zalało łzami,
Nadziei promyk znikł ostatni zeń, —
A mimoto zwycięztwo było z nami;
Żołnierzu! krwawy czy pamiętasz dzień?“

Mało mamy dotąd książek, traktujących obszernie o Kościuszce a zwłaszcza tak wyczerpująco, jak praca panny Sedlaczkównej, zdradzająca głębokie studja przedwstępne, i polecamy z tego powodu, jakoteż ze względu na styl gładki i na język poetyczny (jeśli wyraz podobny dla prozy dozwolony), pracę jej nie tylko młodzieży, ale i starszym osobom do czytania.

[O naszem gospodarstwie rybnem, przez St. S. Będzikiewicza, członka krak. Stow. ochrony zwierząt. Wydanie drugie powiększone. Kraków, 1888. Drukiem A. Koziańskiego a nakładem krak. Stow. ochrony zwierząt. Mała ósemka. Stronic 29.]

Autor wykazuje w rozprawce tej obecny stan naszego gospodarstwa rybnego, zwłaszcza przerażający upadek tegoż, porównując go ze świetnym stanem rybołowstwa dawniejszego w Polsce. Nie brak autorowi dobrych chęci, ale styl, miejscami zaniedbany, pozostawia nieco do życzenia, razi np. taki zwrot, jak: „Prócz tych nieszczęść, na ryby coraz częściej spadających,“ zwrot zastosowany zazwyczaj tylko do ludzi, jako do istot myślących, a korekta jak na Kraków także nieszczególna. Z tem wszystkiem nie można jednak odmówić pewnej wartości pracy autora, jakoteż drugiej, zatytułowanej: „Kilka słów o torfie i przemyśle torfowym“, dodanej jako załącznik.

d) Książki mieszanej treści.

[Piękna żydówka. Szkic psychologiczno-społeczny, przez Wilhelma Feldmana (W. F. Zbaraskiego.)

Warszawa, 1888. Druk M. Ziemkiewicza. Nakładem Leona Pordesa we Lwowie. Dwunastka. Stronic 213.]

Autor niniejszej powieści, dwudziestoletni zaledwie młodzieniec, emancypant i samouk, były wychowaniec zbaraskiego chajderu, z którego potężnych i przygniatających umysł wpływów się wyłamał, aby o własnej sile utorować sobie drogę, poświęciwszy się studjom głębszym, młody ten autor nosi widocznie na sobie ślady wychowania pierwotnego. Ludzie, którzy się z pęt i więzów takiego żydowskiego chajderu wyzwolili, zdumiewają następnie świat bystrością i przenikliwością swego umysłu, ale takich jest mało, bardzo mało, bo zazwyczaj przytępia chajder już za młodu wszelkie poloty i usiłowania wyższe i spacza na wieki umysł nieszczęsnej istoty, zniewolonej pierwsze dnie młodości zmarnować w tej kaźni ducha. Miło nam zatem, p. Wilhelma Feldmana zaliczyć do małej garstki wyzwoleńców duchowych chajderu, i z tego też stanowiska jedynie rozpatrzymy najnowsze jego prace.

Powieść „Piękna żydówka,“ to praca ściśle tendencyjna; nie intryga miłosna odgrywa główną rolę w tej powieści, ale zupełnie inne pobudki, wchodzące w grę. Tendencja utworu rozstrzyga tak o zaletach, jak i o wadach tegoż, i tylko na tej podstawie dozwolone jest wydanie wyroku o powieści p. Feldmana. Autor należy do nowszej kategorji żydów, do żydów postępowych, których fanatycy katoliccy w piśmie i słowach tak chętnie obdarzają epitetem „bezwyznaniowców,“ dla tego chyba, że wyznawając Boga, nie wyznawają zabobonów, nierozłącznych od religji; należy oprócz tego p. Feldman także do obozu pozytywistów, patrzących pozytywnie i realnie na życie i nie oddających się żadnym mrzonkom.

Na tej podstawie też osnuta jego „Piękna żydówka.“ Jest nią Klara, czy Kajła Zwieblówna, rozpieszczona jedynaczka Józefa Zwiebla, wzbogaconego żyda-karczmarza wiejskiego. Klara, wychowana w konwikcie lwowskim p. Poniedziałkowskiej, przesiąknięta duchem nie żydowskim, stoi w oddali od współwyznawców swoich, wśród których czuje się jak najzupełniej obcą. Wróciwszy po skończonej edukacji

z konwiktu na wieś do ojca swego, czuje w swem sercu niesłychaną próżnię, której wypełnić nie mogą pieszczoty ojca, ni też książki, dostarczane jej ustawicznie przez niego. Wchodzi tedy Klara za pomocą koleżanki swojej Zosi, w stosunki z rodziną księdza ruskiego Łotockiego, który jako zawzięty antisemita za pomocą żydożerczych dzieł w guście Rohlinga i mu podobnych na młodocianą wyobraźnię dziewczęcia oddziaływać usiłuje. Zjawienie się niepożądanego konkurenta, pana Mozesa, byłego pomocnika handlowego, w połączeniu z pogróżką ojca, że Klarę przemocą za niego wyda, — rozstrzyga o dalszych jej losach. Klara ucieka pod zasłoną nocy z domu rodzicielskiego, ks. Łotocki wywozi ją do miasta P., w którem urządzono dalsze kroki celem zbawienia błędnej owieczki. Pani Marszałkowa obiecuje zajmować się dalszemi neofitki losami. Chrzest odbywa się z wielką ostentacją. Nieszczęśliwy ojciec, który się w ostatniej chwili dowiedział o losie dziecka swego, zjawia się niespodzianie i usiłuje przeszkadzać ceremonji chrztu, wszczyna nawet bójkę z policjantem i dostaje się na razie pod klucz. Klara Zwieblówna zmienia wiarę swoją i otrzymuje na chrzcie imię Heleny Cybulskiej. Dopiero w jakiś czas po skończonym obrzędzie religijnym, wypuszczają z aresztu Józefa Zwiebla, nad którego głową jednak zawisła skarga za opór stawiany władzy, za zaburzenie spokoju publicznego, za wzniecanie pogardy przeciwko rządowi, za obrazę kościoła i t. d.

Tymczasem udaje się Klara w towarzystwie ks. Łotockiego do chrzestnej matki swojej, pani Marszałkowej, aby za jej wpływem uzyskać posadę prywatnej nauczycielki i uczciwie zarobić na kawałek chleba. Omyliła się nieboga; nie poznała się na charakterze p. Marszałkowej, obłudnej, złośliwej, próżnej kobiety i bigotki, która tylko pragnąc chwały uratowania duszy dla nieba, o dalsze losy biednej dziewczyny na ziemi nie dba. Klara, czy Helena, opuszczona przez wszystkich, prześladowana, poniewierana mimo zmiany wiary, traci jeden ideał po drugim. Że w takim stanie oddaje się rozmaitym myślom i medytuje a nawet filozofuje mimo swojej młodości, to nie zastanawia

nas wcale. Leży to w naturze żydowskiej, a nawet i żyd chrzczony pod tym względem nie od razu zmieni natury. Ale nie do prawdy podobnym i pod psychologicznym względem nieuzasadnionym zdaje nam się być udział dziewczęcia w walce politycznej między hrabią a profesorem. Co konającą z głodu i nędzy obchodzić może polityka tem bardziej, że jak autor sam twierdzi, „młodą dziewczynę przerażały stare roczniki, kroniki, źródła łacińskie i staropolskie swą ciężkością i martwotą.“ A polityka chociaż krajowa, to także suchy i ciężki, zwłaszcza dla młodej dziewczyny przedmiot.

Dostaje się wreszcie Klara po rozmaitych smutnych doświadczeniach i upokorzeniach i straciwszy prawie wiarę w zbawienność religji katolickiej, jako nauczycielka do domu państwa Marmorów, Izraelitów postępowych i właścicieli wsi Karotki. Bardzo sympatycznie odmalowana postać starego Salamona Marmora, jakoteż syna i synowy jego, Eliasza i Żanetty. I tu natrafiamy na drugą nieprawidłowość w opisie autora. Właściciele Karotki zapraszają Klarę, którą uważają za katoliczkę, na sądny dzień do bożnicy karotkowskiej, a Klara poszła „trochę z ciekawości, trochę z grzeczności, choć znała już z daleka owe obrzędy i bożnice.“ Jakto? znała tylko z daleka? Przecież chowała się u starowierczej matki Chaji przez długie lata i jako córka tak pobożnej i w pobożności swojej nawet zacofanej żydówki, przed opuszczeniem domu rodzicielskiego, miała czasu podostatkiem, aby w towarzystwie matki z bliska a nie „z daleka tylko poznać owe obrzędy i bożnice.“ Natomiast uważamy za nadzwyczajnie udatny, nawet za jeden z najlepszych ustępów w książce ustęp, w którym Klara się wczytuje w dzieje narodu, lekkomyślnie przez nią opuszczonego. „I serce jej przejęło się podziwem i uwielbieniem dla widzianych olbrzymów ducha, dla całego plemienia, które pierwsze na świecie posiadło cywilizację, skarbami swego ducha obdzieliło świat cały, a doczekało się jadowitej niewdzięczności; z wysokości tronu wpadło w otchłań nędzy i niewoli, a mimoto, w poniewierce i tułaczce, w ogniu i więzieniu, pod brzmieniem nienawiści i wzgardy nie poddało się, nie upa-

dło a wytrwało na swem stanowisku, aby dopiero w nowej dobie dziejowej stanąć jako „lud kapłanów“ przy ołtarzu postępu i dobra powszechnego.

Czyż takich tradycyj trzeba się wstydzić? Takiej przeszłości trzeba się wyrzekać?

Ona przecież to uczyniła!“

Jest to punkt kulminacyjny opowiadania.

Przybywa z dalekich stron w grono familijne państwa Marmorów członek, wychowany w uniwersytetach europejskich, brat pani Żanetty, doktor medycyny Jakub. Że się urodziwy, wolnomyślny i rozumny młodzieniec Klarze podoba, olśniewając ją blaskiem swojej wiedzy i wymowy, że w sercach obojga młodych powstaje miłość — nie dziwimy się temu; dziwnemi atoli wydają się nam słowa pana Jakuba, skończonego „doktora medycyny,“ dyskredytujące poniekąd własny jego stan: „Znam szkoły dobrze, straciłem tam najpiękniejszą młodość na grece i łacinie, choć teraz po grecku prawie nic nie umiem, z łaciny znam teraz tylko nomenklaturę fachową, a natomiast wyszedłem ztamtąd cherlakiem fizycznym.“ Nie! i najwolnomyślniejszy człowiek w obec młodego dziewczęcia nie wypowie podobnych zasad, choćby się nawet w głębi duszy przyznał do nich.

Miłość zakochanych coraz szersze przybiera rozmiary; Klara, nie mając nadziei zaślubienia oblubieńca, i nie chcąc na siebie ściągnąć zarzutu niewdzięczności, cichaczem wydala się z domu Marmorów i przybywa do Lwowa w sam czas, aby być naocznym świadkiem rozprawy, na której sędziowie przysięgli osądzą jej ojca. Widok Józefa Zwiebla, znękanego utratą córki jedynaczki, zestarzałego o jakieś lat trzydzieści skutkiem zmartwień i zgryzot, głębokie na niej wywiera wrażenie. Po ukończonej werdyktem uniewinniającym rozprawie, córka rzuca się staremu ojcu do nóg, błagając o przebaczenie, a ojciec, niepomny uraz przyciska ją do serca. I równocześnie zjawia się Jakub, prosząc o rękę panny Klary, która teraz dopiero u boku męża wolnomyślnego i kochającego ją prawdziwie, znajdzie ideał marzeń swoich urzeczywistniony.

Nie trudno dorozumieć się tendencji właściwej tej powieści: autor występując ostro przeciwko fana-

tykom katolickim, nie broni jednak bynajmniej fanatyków żydowskich, starowierców i chusytów, ale przechyla szalę zwycięztwa na teraz i na przyszłość na rzecz postępowych żydów, w czem mu całkowitą przyznajemy słuszność.

Niektóre charaktery powieści wypadły świetnie, oddane znakomicie i typowo, np. taka pani Marszałkowa, taka pani Kwasicka, taki szlachcic Dąbrowiecki, taki ksiądz karotkowski, taki Salamon Marmor i t. d. Inne natomiast osoby wypadły mdło.

Co do języka, to ten w niektórych miejscach zostawia cokolwiek do życzenia. Zwroty, jak: „opiekielniają“ (str. 175, w. 8.) zamiast „przemieniają w piekło,“ „Bójżeż się Boga“ (str. 182, w. 6.) zamiast „Bój się Boga,“ „żydem kłapczastym“ (str. 182, w. 13.) zamiast „żydem kłapciastym,“ „nie jest uwarunkowane“ (str. 184, w. 14.) zamiast „nie polega,“ „światoburzących“ (str. 186, w. ostatni) zamiast „światoburczych,“ „ujednostajniło się“ (str. 197, w. 30.) zamiast „stało się jednostajnem,“ „Oprzytomniała“ (str. 199, w. 6.) zamiast „Odzyskała przytomność“ i liczne inne rażą i szarpią ucho dzikością swoją. Autor powinien był się także staranniej wystrzegać nadmiaru obcych słów, któremi powieść jego formalnie naszpikowana.

„Piękna żydówka“ zdradza jednak bądźcobądź znakomite zdolności spostrzegawcze i powieściowe, i z tego też powodu zachęcamy młodego autora jak najusilniej do dalszej pracy, w kierunku racjonalistycznym i rozumowym podjętej.

[Żydziak. Szkic psychologiczno-społeczny, przez Wilhelma Feldmana. Lwów. 1889. Nakładem księgarni Leona Pordesa we Lwowie. Druk Jana Czaińskiego w Gródku. Mała ósemka. Stronic 288.]

Powieść ta przedstawia niejako pendant do „Pięknej żydówki,“ a bądźcobądź ma to coś za sobą, jeśli powieść tak młodego autora w krótkim czasie aż czterech doczekała się nakładów. Pierwsza bowiem edycja pod nieco odmiennym tytułem: „Jeden ze szarego tłumu,“ pojawiła się w „Ojczyznie,“ druga i trzecia w Warszawie i Gródku, a czwarta zarządzona

przez p. Leona Pordesa, stanowi właśnie przedmiot niniejszej krytyki.

„Żydziak“ jest to jak najwyraźniej satyra gorżka i jadowita, ale prawdziwa na nasze stosunki społeczne, szczególnie żydowskie.

Bohater powieści, Jicchok Graf, urodził się w małem miasteczku Zapiecku, oddalonem od głównych ognisk cywilizacji, zamieszkanem głównie przez chusytów i wielbiącem ślepo i bałwochwalczo mądrość i potęgę „cadyka“. Jicchok sam jest najmłodszym synem z pomiędzy licznego potomstwa stadła małżeńskiego Grafów, ojciec jego, reb Mendel, to pobożny i próżniaczy melamed, matka, stara Marjem, pracująca na utrzymanie całego domu, handlarka. Jicchok z nakazu rodziców za młodu już wprzęga się do nauki talmudycznej w chajderze, bo w jego osobie kryje się pewnie światło, olśniewające współwyznawców, nowa pochodnia dla Izraela, może nawet rabin. Uczy się też i kuje, posłuszny rozkazom rodzicielskim dzieciak i w młodym już wieku doprowadza do wielkiej doskonałości w nauce pisma świętego, zostając uczniem w „besmidraszu“ jeszcze w tym wieku, w którym dzieci żydów postępowych już do wyższych szkół uczęszczają. Rozumie się, że z wyjątkiem talmudycznej i biblijnej mądrości, nie ma wyobrażenia nawet o elementarnych podstawach jakiejbądź nauki, jednem słowem: jest bucherem, odzianym w bekieszę i jarmułkę, klepającym codziennie machinalnie zadanie swoje, a nic więcej. Ale duch medytacji, duch spekulacyjny, wrodzony każdemu potomkowi Izraela, budzi się także w Jicchoku i nastręcza mu rozmaite uwagi, ba nawet wątpliwości co do głównych zasad nauki i wiary. Wątpliwości te objawiają się w rozmaitych pytaniach, przez kolegów i przełożonych uważanych za heretyckie i pochodzące od złego ducha. Przypadkowe zetknięcie się Jicchoka z 11-oletnim Szlojmą, uczniem szkół wydziałowych, potęguje jeszcze wątpliwości w duszy młodego marzyciela i burzy do reszty gmach sztucznej pobożności talmudycznej. Przychodzi już nawet do tego, że Jicchok Graf, obdarzony przez Szlojmę elementarzem i wtajemniczony w pierwiastki nauki czytania polskiego,

gorliwie a cichaczem poza plecami kolegów swoich, zabiera się do nauki zakazanego, bo nie hebrajskiego języka.

Tymczasem zapadła stara Marjem z nadmiaru pracy w ciężką chorobę, z której wyleczyć mogłaby tylko troskliwa pielęgnacja; ale gdzie o takiej pielęgnacji myśleć w domu ubogich chusytów. Natomiast idzie 20 złr. jako „pidjon,“ czyli podarunek ofiarny na zdobycie łask i rady cudotwórcy, która się jakoś niebardzo skuteczną ukazuje. A Jicchok, pragnąc zrobić karjerę, uczy się dalej zakazanego przedmiotu. Przypadek przybliża go do rodziny państwa Bauerów, żydów emancypowanych, którzy na wakacje przybyli do Zapiecka. Rodzina składa się z matki wdowy, z córki, uroczej Lusi i syna Ludwika, słuchacza medycyny a marzyciela i idealisty, jakich nie wiele mamy.

Jicchok w codziennem zetknięciu się z nimi, zapłonął bezowocną, beznadziejną miłością ku uroczej Lusi i odwraca się coraz więcej od rodziny swojej i od chałatowych współwyznawców. Tymczasem trafia mu się partja „znakomita.“ Arendar, reb Burech, olśniony talmudyczną wiedzą Jicchoka, pragnie wydać córkę swoją Hindę za niego i obiecuje nawet dać wielki posag. Pieniądzmi tymi wyratowałby Jicchok starych rodziców z nędzy ostatniej, przyczyniłby się do wyposażenia siostry; ale nie zważając na zaklęcia ojca i matki, nie troszcząc się o przyszły los rodziny, odrzuca Jicchok w bezmyślnym swoim uporze wszystko; bo w dali świeci mu błędny ognik a zdaje się 18-oletniemu słabemu i wątłemu młodzieńcowi, że za pomocą tych paru wyrazów obcych, jakich się wyuczył, przy dalszej życzliwej pomocy rodziny Bauerów i przy usilnem samouctwie świat zdobędzie. W tem błędnem mniemaniu utwierdza go jeszcze Ludwik Bauer, który go namawia, aby się udał do Lwowa, gdzie dalszej edukacji Jicchoka dokona młodszy brat Ludwika, Maurycy. Ludwik sam bowiem nie może się już nadal zajmować tą pracą, ponieważ wraca do Krakowa dla kontynuowania swoich studjów medycznych.

Łatwowierny Jicchok wierzy w jego słowa, jak w ewangelję, a straciwszy matkę i odsiedziawszy pokutę po jej śmierci, wykonuje na prędce kilka bohomazów, zwanych „myzrochym“, z których rozprzedaży uzyskuje 10 złr. jako potrzebny do wyjazdu do Lwowa kapitał.

I z mizerną tą kwotą udaje się niedoświadczony młodzieniec do stolicy. Autor odmalowuje nam barwami Hogarta złudzenia i rozczarowania młodego marzyciela, wyzyskiwania praktykowane na nim. Pierwsze rozczarowanie uwydatnia się już zaraz na wstępie w przyjęciu, jakiego Jicchok doznaje u rodziny Bauerów a które nie nosi wcale owych cech serdeczności i przyjaźni, jaką jeszcze w Zapiecku okazywano Jicchokowi. Maurycy, chłopiec zepsuty, należący do naszej złotej a raczej tombakowej młodzieży, przyjmuje Jicchoka z arogancką miną protektora i starając go się widocznie pozbyć, podaje mu raz adres pewnego towarzystwa asymilacyjnego, raz znowu adres dra filozofii X., którzy się dalszymi jego losami zająć powinni. Wybornie odmalował nam autor, określając rozmaite przygody swego bohatera, wyższe towarzystwo żydowskie, jego rozpasanie obyczajów, jego egoizm i brak serca, jego obłudę i jezuityzm, rugujące wszelkie uczucia szlachetniejsze i wytępiające je, jednem słowem: potęgę złotego cielca w najobrzydliwszej postaci. Korzystnie od ciemnego tła odbijają się tylko postacie dra X., dziwaka i człowieka niezamożnego, ale prawego i dobroczynnego a wylanego całkowicie dla celów publicznych, jakoteż ubogiej, lecz dobrodusznej Ruchli Lei, u której Jicchok nocleg tani za 8 centów w towarzystwie kilku innych nędzarzy uzyskał.

Rozpoczyna się wędrówka po Lwowie, której towarzyszą najrozmaitsze bezskuteczne poszukiwania. Jicchok, odepchnięty od wszystkich mimoto, iż bekieszę i jarmułkę porzucił i pejsy obciął, zawiedziony w wszystkich swoich nadziejach, zdradzony przez kochankę, ogołocony z ostatniej piątki, otrzymanej w darowiźnie przez miłosiernego dra X., a którą mu skradł Chaim, współlokator Ruchli Lei, — Jicchok, który już obecnie nic do stracenia nie ma, rzuca się

na wpół skostniały z zimna i głodu na ławkę na wałach, w której to pozycji następnego poranku policja go znajduje, aby go odstawić na inspekcję policyjną a ztamtąd do szpitala.

Taka jest w głównych zarysach treść „Żydziaka.“ Do zalet najgłówniejszych tej powieści zaliczamy styl świetny i język czysty, przewyższające o wiele styl i język w „Pięknej żydówce.“ Budowa powieści nic nie pozostawia do życzenia: wszystko jest logicznie umotywowane i psychologicznie uzasadnione. Ale czy na tem koniec? Powiemy otwarcie, że nie, powiemy nawet, że pod pewnym względem powieść ta pomimo wszelkich zalet stylu i dykcji chybiła swego celu. Wszakże główny bohater każdej powieści życiowej, każdej tragedji powinien podziw i współczucie wzbudzać, a ten niedołężny Jicchok wzbudza tylko politowanie jeśli nie nawet wzgardę. Któż mu winien, że posiadając zaledwie pierwiastki nauk, uroił sobie, że żyć będzie z pracy swoich rąk, nieprzyzwyczajonych do żadnej pracy, z pracy ducha, zapełnionego czczemi tylko frazesami zamiast nauką rzeczywistą? Może społeczeństwo? Z pewnością, że nie! Zapatrywał się na wielki wzory, brał przykład z mężów, którzy jak on bez zasobów materjalnych i pozbawieni głównych źródeł wiedzy i nauki, usilną pracą dopięli celu swoich marzeń i stali na świeczniku życia narodowego! Ale ci mężowie, zapatrzeni jedynie w swoją myśl przewodnią, która jak słup ognisty Mojżesza rozświecała ciemności ich żywota, kroczyli z żelazną konsekwencją naprzód i nie mieli czasu do gruchania u nóg jakiejś Lusi. Du sublime au ridicul il n'y a qu'un pas. Bohater, chcąc w całej pełni korzystać z sytuacji, nie może i nie powinien się poniżać na kształt Jicchoka, aby przedstawiać bawidełko dla próżnej i rozpieszczonej kokotki lwowskiej.

[Światła i cienie, nowelka. Napisał Piccolo (Henryk Stroka.) Dwunastka. Stronic 130. Rzeszów, 1888. Cena 50 ct. Drukiem i nakładem księgarni J. A. Pelara w Rzeszowie.]

Autor tej nowelki znany już w Galicji jako autor rozmaitych prac naukowych; jako powieściopisarz przedstawia on się szerszemu kołu czytelników

w swojej wydrukowanej w Rzeszowie nowelce po raz pierwszy.

Temat jej nie wybredny, swojski: miłość dwojga serc zdradzonych, zawiedzionych w uczuciach swoich. Gotowi byśmy mówić: trojga, gdyby nie to, że Marja Milska, od lat dziecinnych marząca tylko o życiu klasztornem, po stracie narzeczonego Artura zbytniej się nie oddaje rozpaczy, ale pobyt upragniony w klasztorze przenosi ponad wszelkie ziemskie słodycze i rozkosze, najwyższe szczęście w nim upatrując. Zofia Bulska, zdradzona również przez Artura, mimo postanowienia pierwotnego zakończenia życia w klasztorze, daje się namówić do porzucenia swego zamiaru i do oddania ręki swej bratu Marji, kochającemu ją oddawna a nieprzyjętemu pierwotnie przez nią. Uwodziciel Artur, ukończony słuchacz medycyny, ale hulaka, rozpustnik i fałszerz weksli, od wszystkich wzgardzony i odepchnięty, kończy dnie swoje jako pijak nałogowy. Oto są światła i oto cienie w życiu ludzkiem. „Boże! daj więcej światła, niech ustąpią cienie“ — temi słowami kończy Stroka swoją nowelkę.

[Walenty Ćwik. Życiorys Henryka Schmitta. Lwów, 1888. Odbitka z „Dziennika Polskiego.“ Stronic 230. Cena 1 złr. 40 ct.]

Jest to nieraz wadą uczonych nawet i umiejętnych biografów, że określając żywoty sławnych mężów zwłaszcza autorów, wpadają w błąd podwójny, na którego skarcenie słów nie ma: raz, że przedstawiając nam najważniejsze zdarzenia i wypadki w życiu wielkich mężów, milczą o tem, co najusilniej powinno być poruszane i omawiane, a mianowicie przedstawiają bohaterów swoich biernie, nie dopuszczając ich do słowa, nie pozwalając im samoistnie wypowiadać myśli; to znowu, że cytując całe szeregi dzieł, które autor ogłaszał drukiem albo ukrywał w tece swojej, o najważniejszych wypadkach jego życia wzmianki prawie nie czynią, co najwięcej że podają dzień urodzin i śmierci. Każda biografia, czy to jeden, czy drugi z wyżwymienionych błędów wykazuje, traci połowę swej wartości, bo połowicznie tylko streszczona.

Od obydwóch tych błędów -- (uczonego, ale suchego kronikarza lub zajmującego fejletonisty bez głębszej wiedzy i pojęcia o rzeczy) — ustrzegła autora wrodzona mu od lat młodych zdolność pisarska. Jego biografia Schmitta czyta się z wielkiem zajęciem a mimoto nie jest traktowana płytko i pobieżnie. Poznać od razu, że autor z zamiłowania podjął się tej pracy, że z zamiłowania przewertował rozliczne stare rękopisy i druki, aby na podstawie swoich badań wyrobić sobie pojęcie należyte o życiu i działalności swego bohatera. Sam nie tai się z tem, bo oświadcza, że „jako mały chłopak w domu Schmittów, pobierał tam pierwsze nauki ojczystych dziejów.“

Książkę Walentego Ćwika z tego też powodu słusznie uważać możemy jako uiszczony cieniom wielkiego historyka i patrjoty Henryka Schmitta, dług wdzięczności.

Śp. Henryk Schmitt, ów przyszły dziejopis i męczennik Polski, z niemieckiej rodziny wyprowadza swój rodowód. Burzliwą była jego młodość, twardą szkoła życia, jaką przechodził. Sam on mówi o sobie: „Na bruk rzucony bez dachu, chleba, odzienia, książek, poszedłem w świat szukać wiedzy i zdobywałem to, czegom pragnął, a ci którym tylko ptasiego nie dostaje mleka, walczą, by zostać w nieuctwie, by nie kosztować zdrowego pokarmu ducha, jaki rozkładają przed nimi troskliwi rodzice i profesorowie.“

Młodzieniec, mimo obcego pochodzenia sympatyzujący tak żywo z krajem, w którym się urodził, oczywiście że musiał uczestniczyć w ruchach narodowych z lat 1833, 1835, 1836, 1839 i następnych, że musiał być sam świadkiem i czynnikiem dziejów usiłowanego wyswobodzenia narodu, aby następnie tak żywo i barwnie a mimoto zgodnie z prawdą módz opisać dzieje tego narodu uciemiężonego.

Walenty Ćwik przedstawia nam na podstawie dokumentów czynność agitatorską Schmitta, która go w kazematy a następnie na Szpilberg zawiodła. Rok 1848-my, rok konstytucji i swobody słowa, uwolnił Schmitta z więzienia. Walenty Ćwik przedstawia nam wymownemi słowy walki stronnictw we Lwowie.

„Walka stronnictw przechodząc na rozmaite warstwy społeczeństwa, udzieliła się też i Izraelitom, którzy 14. Czerwca 1848, stoczyli między sobą zaciętą bitwę na ulicach Lwowa.“ O! jak dziwnie, jak boleśnie odbrzmiewają te wyrazy w duszy mojej, odnawiając pamięć starych dziejów, burząc spokój, jaki każdy krytyk zachowywać powinnien w ocenach swoich! Czy się domyślał tego, czy wiedział o tem Walenty Ćwik, opisując krwawe te zajścia, że to chusyci wówczas urządzili napad na mego ojca, kaznodzieję lwowskiego, Abrahama Kohna i że to jest ta zacięta bitwa, o której pisze autor, w nieświadomości swojej nie wiedząc, z jakiego ją stoczono powodu!

Ale wróćmy do przedmiotu naszego. Henryk Schmitt, uwolniony z więzienia, połączony węzłami dozgonnemi z osobą, która oddawna w sercu jego panowała, oddawał się ulubionym studjom nad przeszłością Polski, którą opisywać zamierzał. W tym celu nie szczędzi trudów, w tym celu podejmuje się dalekich podróży po Niemczech, Francji, Anglii. Ćwik przedstawia nam w nader zajmujący sposób te podróże swego bohatera, znajomości na całe życie zawarte z Lelewelem, Kraszewskim, Libeltem, Gillerem.

Powstanie styczniowe zaskoczyło Schmitta nieprzygotowanego; sam on potępiał ideę tegoż powstania jako przedwczesną. Ale wierny syn Ojczyzny, poświęcający jej całe swoje mienie, mimoto brał żywy udział w ruchu narodowym. Skazany na powtórne więzienie za udzielanie przytułku powstańcom, umyka za granicę i biedujo tam wraz z żoną swoją, nie sprzeniewierzając się idei. Amnestja toruje mu na powrót drogę do kraju, a Schmitt pracując bez wytchnienia dla dobra ogółu, idzie odrębną a twardą drogą, gardząc zaszczytami i korzyściami osobistemi, aby się nie sprzeniewierzyć idei.

Fałszerze historji mieli w nim wroga nieubłaganego: toż nie dziwota, że w Moskwie zakazano jego dzieła. Ale za to używał miru u ludzi postępowych wszelkich kategorij, a choć miejsce docenta historji polskiej w Krakowie ustąpić musiał Szujskiemu, to wybrano go we Lwowie członkiem Rady szkolnej,

aby uczcić jego zasługi i powierzono mu ważną misję w dziedzinie oświaty ludu.

Henryk Schmitt rozstał się z tym światem w 66-m roku życia swego, 16. Października r. 1883-go.

Książkę Walentego Ćwika polecamy jak najusilniej uwadze wszystkich, którym nieobojętne dzieje ojczyste a którzy umieją cenić zalety pięknego stylu i wymowy.

[Maurycy Gottlieb. Szkic biograficzny, przez Jonasza Wiesenberga. Z kopją fototypową obrazu: „Żydzi w bożnicy." Dochód przeznaczony na nagrobek dla bł. p. malarza. Złoczów, nakładem i drukiem Zukerkandla. 1888, w Sierpniu. Cena 50 ct. Mała ósemka. Stronic numerowanych 53.]

Od niepamiętnych wieków słynęli żydzi jako autorowie, zwłaszcza jako poeci; muzyka również według wyobrażeń naszych przodków należała do sztuk miłych i przyjemnych Bogu. Inaczej ma się rzecz z sztuką reprodukcyjną i plastyczną, z malarstwem i rzeźbą. „Nie będziesz miał innych Bogów oprócz mnie; bo jam twój Bóg, który cię wyprowadził z Egiptu, z kraju niewoli." Na podstawie tego orzeczenia boskiego, malarstwo i rzeźba należały do sztuk zabronionych i zakazanych w Izraelu. Kto pędzlem odtwarza postać żyjącą, to widocznie w zamiarze, aby ludzi nakłaniać do bałwochwalstwa, do oddania czci boskiej dziełu rąk ludzkich; nie inaczej miała się rzecz z rzeźbą.

Duch czasu uczynił wyłom ogromny w starych i zbutwiałych przesądach: malarstwo szczyci się obecnie mnóstwem imion żydowskich, że tylko wspomniemy braci Gottliebów, Leopolda Horowitza, Samuela Hirschenberga i innych; rzeźba dotąd jeszcze stoi pod klątwą starych zabobonów i uprzedzeń, ale zdaje się, że i dla niej uderzy godzina wyzwolenia.

Do najwybitniejszych przedstawicieli sztuki malarskiej w Izraelu należy bez zaprzeczenia zgasły zawcześnie, bo w 23-m roku życia swego Maurycy Gottlieb. O nim pisze też „Świt" tarnopolski, poświęcając pamięci jego kilka krótkich, ale rzewnych słów*):

---

*) Numer piąty „Świtu" z 24. Lipca 1879 według relacji „Czasu."

„Zmarł przedwcześnie dla sztuki polskiej, a byłby niezawodnie jednym z najlepszych jej przedstawicieli.“

Pamięci tego właśnie artysty, Drohobyczanina z rodu, poświęcona broszurka p. Jonasza Wiesenberga, również Drohobyczanina.

Autor przedstawia nam w streszczeniu nader umiejętnem i ciepłem żywot wybrańca Bożego, czującego już w dziecinnym wieku w piersiach swoich iskrę wyższą, która następnie wybuchnąć miała potężnym płomieniem miłości sztuki i miłości Ojczyzny, podnieconej widokiem „Rejtana“ Matejki. Widzimy młodego malarza studjującego w Krakowie pod okiem mistrza; towarzyszymy zawiścią kolegów prześladowanemu w podróżach do Monachjum i do Wiednia, gdzie przez dłuższy czas przebywał celem dalszego kształcenia się; zaglądamy do pracowni artystycznej ducha, który dzieje sztuki wzbogacał obrazami na kształt: „Żydów w bożnicy,“ „Ahaswera,“ „Urjela Akosty“ i innych a który sobie samemu już za życia śmierć przedwczesną przepowiadał; dzielimy wreszcie ból szczery i niekłamany wszystkich zwolenników sztuki ojczystej, czuwając przy wezgłowiu konającego w kwiecie wieku artysty.

Broszurka p. Wiesenberga, z pietyzmem i starannością opracowana, wywołuje bardzo korzystne wrażenie, niemniej też strona zewnętrzna wydawnictwa, którą wydawca stosownie do celu wyposażył.

[Moldauische Zigeuner - Silhouetten. Prinzess Smaralda. Von Oswald Neuschotz. Czernowitz, 1886. Druck und Verlag der H. Czopp'schen Buchdruckerei. Ozdobne wydanie. Dwunastka. Stronic 176.]

Dziwne zaiste i niezwykłe wrażenie oryginalnością, śpiewnością i dziką harmonją swoją, poezją lasu — żebym się tak wyraził — wywiera „Księżniczka Smaralda.“ Tyle wdzięku i dźwięku, tyle poezji niewymuszonej mieści się w dziełku pana Neuschotza, że czytelnik uważny nie ma dosyć słów podziwu na wyrażenie uczuć swoich przy czytaniu tego arcydzieła cygańskiej romantyki. Autor opisuje nam językiem przepięknym, barwnym i kwiecistym życie, obyczaje i przesądy cyganów mołdawskich. Osią, w około której wszystko się obraca, jest „Księżniczka Smaralda,“

wykradziona ojcu swemu, miecznikowi cyganów, który ją przypadkowo w obozie poddanych odnajduje i do zamku swego odwozi, gdzie Smaralda, poznawszy przybranego syna miecznika, Kostina, w nadobnym młodzieńcu się zakochuje. Autor przedstawia nam w malowniczych barwach rokosz cyganów, bunt wzniesiony przeciwko miecznikowi i stłumienie tegoż buntu za interwencją Smaraldy, która po rozmaitych przejściach, na podstawie rezolucji książęcej Bojara Michała Sturdzy ukochanego swego Kostina zaślubia.

Gdybyśmy streścić chcieli melodyjność wszystkich cygańskich pieśni, wplatanych w akcję „Księżniczki Smaraldy,“ to chyba większą połowę książki musielibyśmy wypisać. Ograniczam się tedy na streszczeniu w przekładzie moim bodaj jednej, a mianowicie pieśni żałobnej cyganów nad grobem Stangara:

„Świat zdradził ciebie skrycie,
Świat nie chce sprzyjać ci,
Tak miłość, jak i życie
Twych nie upiększą dni.
Już życia znikły cele —
Dscha tele! Dscha tele!*)
„Świat nie chce takich gości,
Nie wije wieńców z róż,
A ziemia swe wnętrzności
Otwiera tobie już.
Tam pomkniesz szybko, śmiele:
Dscha tele! Dscha tele!
„Nie wzrośnie ludzkie plemię,
Więc próżny upór twój,
Ty chowaj się pod ziemię,
Niech inny toczy bój:
Mkną fale, mknie ich wiele:
Dscha tele! Dscha tele!“

Wydawca, pan Czopp, zasłużył się rzeczywiście nie mało literaturze wydawnictwem tego, ze wszech miar zasługującego na pochwały dziełka, na które

---

*) Kładź się do grobu.

zwracamy uwagę naszych czytelników i w ogóle każdego, który jest zwolennikiem prawdziwej poezji!

[Alliance Israélite, przez Bernarda Diamanda. Lwów, 1888. Nakładem autora. Z „Drukarni Polskiej.“ Mała ósemka. 33 stron.]

Autor w broszurce swojej przedstawiającej działalność tak paryskiej Alliance Israélite, jakoteż i wiedeńskiej, stara się na podstawie liczb i faktów obalić stary przesąd, krzewiony i rozpowszechniany głównie za pomocą antisemitycznych organów, jakoby Alliance Israélite zwłaszcza w Wiedniu, była stowarzyszeniem, chcącym wynarodowić naszych żydów galicyjskich. Pan Diamand w historycznych wywodach swoich trzyma się też wszędzie ściśle rzeczy i przedstawia ją z takim głębokim spokojem i objektywnością, że o prawdzie swoich twierdzeń przekonać musi nawet żydożercę. Szczególniej ustępy o zreformowanych chajderach polecilibyśmy uwadze tych, którzy w żydzie zawsze tylko widzą podrzędne stworzenie, człowieka bez znaczenia i charakteru.

[Marnotrawni, przez autora „Biedy naszej.“ Kraków, 1888. Nakład i własność wydawnictw J. K. Gadomskiego. Dwunastka. Stronic 71. Cena 30 ct.]

„Nie kalać własnego gniazda“ — sofizmatyczna ta zasada ptaka strusia, weszła niestety u nas w życie, wcieliła się w krew i w kości nasze, i tak jak ów ptak struś głowę chowa w pierzu swojem, myśląc że tem samem uchroni się od wszelkiej napaści, tak my chowamy głowy nasze w kale zasiedziałych od prapradziadów wad i błędów naszych; bo nam dobrze z tem chociaż o tyle, iż nam się zdaje, że nas obcy niespostrzeże. A on nas mimoto widzi i drwi sobie z naszej niepoprawności. Czy w obec takich stosunków nie stokroć to patrjotyczniejszy czyn, wyjawiać prawdę i karcić a nawet i „kalać gniazdo swoje“, aby pobudzić do myślenia, aby wywołać prawdę?

Myśl ta spowodowała autora „Marnotrawnych“ do napisania cennego swego dziełka, które powinno się znajdować w każdym polskim domu prędzej od tysiąca pseudopatrjotycznych i pseudopoetycznych mrzonek. A któżto owi niepoprawni, owi „Marnotrawni“, których autor chłoszcze i siecze aż w sześciu

luźnych pogadankach? To my! My, którzy mając swobodę języka, zatracili go i zmarnowali; my, którzy chłopem pomiatamy, zamiast otwierać przed nim wrota wykształcenią i nauki; my, którzy na śniadankach czas marnujemy, którego nam brak dla pracy organicznej; my, którzy literaturę wspieramy przez wypożyczanie lub branie na rachunek, którego się nigdy nie uiszcza a nie przez nabywanie książek; my, którzy pogardzamy rzemiosłem i poniżamy je; my, którzy od książek stronimy, aby nam „głowy nie zawracały;“ my, którzy uprawiamy nędzny frazes i krzykactwo nietylko w pismach publicznych, ale demonstracjami bezużytecznemi zawracamy głowy naszej młodzieży, w sposób nie do darowania marnując siły intelektualne młodzieży tej, która się raczej czegoś pożytecznego wyuczyć powinna. Toż my owi marnotrawcy i „Marnotrawni!“ Czy jednak głos Centyfugiusa Peregrina nie będzie głosem wołającego na puszczy? A przecież byłoby to rzeczą niezmiernie pożądaną, aby polskie społeczeństwo go usłuchało!

[Plauta komedje w przekładzie Kraszewskiego. Złoczów, 1888. Druk i nakład Zukerkandla. Mała ósemka. Stronic 220. Cena 2 złr.]

Sędziwy więzień magdeburski w wybornym swoim przekładzie komedij Plauta wprowadza nas w świat starych Rzymian, odźwierciedlając nam życie ówczesne, zwyczaje i obyczaje, jakie nam odmalowali tak żywo, trafnie i dosadnie Plautus, Terentius Afer i inni. Prawda, że ówczesna scena pod innemi istniała i rozwijała się warunkami, niż nasza. Widzimy cały szereg postaci, o których nowoczesny dramat nie wie, rozwięzłość obyczajów uzyskała prawo obywatelstwa, a scena rzymska roi się niewolnikami i niewolnicami, stręczycielami i stręczycielkami, damami półświatka, oszukującymi i oszukanymi, ale z tem wszystkiem ile dowcipu niewymuszonego mieści się w tych obrazkach ludowych! Cóż bowiem zabawniejszego, niż taki „Samochwał,“ czyli miles gloriosus Pyrgopolynik, któremu się zdaje, że trzęsie całym światem, podczas gdy sam, nadęty i głupi jak but, wpada w sidła takiej dziewki (meretrix) Akroteli, udającej przed nim zakochaną na zabój w jego wdziękach żonę starego sąsiada

Peryplekomena i zwabiającej samochwała do domu swego mniemanego męża, gdzie mu rozjątrzony Peryplekomen gorącą wyprawia łaźnię? Albo taki „Pasożyt“ Kurkulio, który tucząc się i pasąc należycie, jednak jedzeniem i pijatyką sprytu naturalnego jeszcze nie zatopił i nie zalał a zapobiegliwością swoją ułatwia i umożebnia połączenie się miłośnej pary Fedroma i Planezyi, i staje się pośrednikiem między bratem a siostrą i narzędziem kary dla stręczyciela Kappadoksa? Albo taki „Trojak,“ czyli według greckiego oryginału „Skarb,“ powierzony przez Charmidesa, ojca młodego rozpustnika i marnotrawcy Lesbonika, Kalliklesowi, a który się staje źródłem najkomiczniejszych zawikłań, kończących się poprawą Lesbonika i małżeństwem podwójnem dwóch przyjaciół? Albo takie „Rozbitki,“ dziewczęta Palestra i Ampeliska, które przez stręczyciela wywiezione do brzegów Cyreny, niespodzianie odzyskują, jedna rodziców i kochanka Pleuzydypa, a druga wolność i wyzwoleńca-męża w osobie zaślubiającego ją Trachalia? Albo wreszcie taki „Koszyk,“ który na równi ze skrzyneczką w „Rozbitkach“ przyczynia się do odnalezienia opłakanej przez rodziców córki?

Prawda, że komedje Plauta nie są czytanką dla podlotków i pensjonarek; ale czy Szekszpir, Molière, Szyller krępowali się kiedykolwiek podobnemi względami? A przecież są to mistrzowie literatury, przewodnicy przyszłych pokoleń!

Wydanie pod względem powierzchowności starannie urządzone, że i autorowi, jakim był Kraszewski i firmie księgarskiej Zukerkandla, tak korzystnie znanej w literaturze polskiej, zaszczyt czyni.

[Podręcznik Grafologji, z tablicą litografowaną, przez Czesława Czyńskiego. Cena 20 ct. Kraków, 1888. Nakładem S. A. Krzyżanowskiego a drukiem drukarni związkowej. Mała ósemka. Stronic 19.]

Przy każdem dziele, które opuszcza prasę, pytamy się mimowoli a mamy nawet prawo się pytać: gdzie i jaki cel? Jestżeż to dzieło naukowe, to niech poucza, jestżeż to dzieło belletrystyczne, to niechże bawi umysł, niech podnosi serce. Niestety! powiedzieć tego nie można o „Grafologji“ p. Czyńskiego.

„Grafologja“ nie wydaje nam się w ogóle być nauką, ale rzeczą bezcelową na równi z chiromancją i astrologją, które dawniej także uchodziły za ważną gałęź nauki. Nie z jakiejś tam „Grafologji“ poznać nam dziś charakter ludzki, ale z czynów, słów i myśli, i to ponoś będzie najlepsza „Grafologja“. Radzimy zatem autorowi, aby talent swój, którego mu nie zaprzeczamy, skierował ku pożyteczniejszym dla społeczeństwa rzeczom a zarzucił badania bezcelowe w dziedzinie zupełnie obcej ogółowi zdrowo myślących. Przykłady Galla i Lawatera nie ratują teorji Czyńskiego, gdyż właśnie na podstawie późniejszych badań udowodniono błędność teorij, na które się pan Czyński odwołuje.

[Sztuka przypodobania się mężowi, przez Czesława Czyńskiego. Dwunastka. Kraków, 1888. Nakładem autora, czcionkami drukarni związkowej. Stronic 40. Cena 30 ct.]

Rozprawka ta, streszczona w formie pogadanki, byłaby już może nieco lepszą od „Grafologji“, chociaż nowego nic nie zawiera i nie wypowiada i chociaż te same oklepane morały w stokroć lepszej formie znajdziemy w niejednem dziełku pedagogicznem — gdyby nie reklama, w kształcie przedmowy zrobiona autorowi przez jedną z jego wielbicielek. Jest to bowiem sposób, dotąd niepraktykowany w literaturze i nagany godny a wywołujący w dodatku tak obrzydliwe, tak nieprzychylne i niekorzystne wrażenie dla dziełka samego, jak setki listów dziękczynnych, ogłaszane i rozgłaszane tryumfalnie dzień w dzień przez wynalazców tak zwanych „środków sympatycznych, czyli cudownych.“ Literatura. zwłaszcza naukowa, obejdzie się wyśmienicie bez takiej reklamy.

Sambor, 5. Lutego 1889.

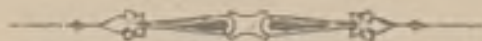
G. Kohn.

Sprawozdanie z czynności moich.

Względy na zdrowie moje, pragnienie spoczynku i skupienia duchowego po wielu nocach bezsennie przy pracy umysłowej lub przy pisaniu trawionych — oto są powody, zniewalające mnie kategorycznie do uszczuplenia rocznika i do przyśpieszenia końca dzieła. Wynurzając wszystkim współpracownikom i współpracowniczkom bez różnicy wdzięczność moją za łaskawy współudział w mojej pracy, przepraszam tych, których artykuły z braku miejsca nie mogły się już zmieścić w obecnym roczniku a zachowane zostały na potem. Jestem zresztą gotów każdemu, któryby się nie chciał zgodzić na podobną zwłokę, zwrócić jego rękopis. Co się zaś tyczy dzieła: „Polska w świetle niemieckiej poezji,“ to czytelnik uważny znajdzie o niem wzmiankę na końcowej stronicy okładzinki. Równocześnie oddaję z dwunastego rocznika mego wydawnictwa 25 złr. jako dochód, przypadający w udziale Towarzystwu dam dobroczynnych w Samborze a 25 złr. na rzecz Bursy tegoż samego miasta.

Sambor, 5. Lutego 1889.

G. Kohn.



Spis przedpłacicieli.

Biała i powiat bialski: Czytelnia polska, Robert Foedrich, c. k. Starosta emerytowany, Dr. Bernard Ichheiser, Krysta, Malinowski, Dr. Nowak, Dr. Peterok, Dr. E. Stiasny i Stowarzyszenie wzajemnej pomocy, w Białej, Dr. Franciszek Dębicki, Dr. Gąsiorowski, Gmina miasta Oświęcima, Marek Liebermann i Antoni Polaszek, w Oświęcimie.

Bohorodczany: Konwent OO. Dominikanów, Józef Pańciewicz, Atanazy Skobielski i Kornel Strasser, ck. Starosta, w Bohorodczanach.

Borszczów i pow. borszczowski: Kazimierz Dobrowolski, Hordyński, Dr. M. Komeriner, Kopystyński, Michniewicz, Dr. Maksymilian Mosler, Pichurski, Rzuchowski, August Szczurowski i Marjan Zaleski, w Borszczowie, Longin Chodziński, w Korolówce, Zenon Kozaniewicz, Makarewicz i Karol René, w Skale.

Bóbrka: Józef Stawski, w Bóbrce.

Brody: Włodzimierz Dorożewski, Fr. Gaudnik, H. Goldlust, Antoni Popiel i Antoni Witosławski, burmistrz miasta Brodów.

Brzesko i pow. brzeski: Dr. Ludwik Parvi i Edmund Romer, w Brzesku, Wacław Jarosz, ks. Lacroix i Karol Prochaska, burmistrz miasta Radłowa.

Brzeżany: Dzbański, Gizowski, ks. Teodor Korduba, ks. Krupiński, Kurowski, J. Wł. Łobos, Efraim Weidman i Franciszek Wolski, w Brzeżanach.

Buczacz i pow. buczacki: Dr. J. Ausschnitt, Mieczysław Burzyński, Witalis Chamiec, Józef Grekowicz, Piotr Janiszewski, Józef Kotkowski, Dr. Edward Krzyżanowski, Nęcki, Dr. Ferdynand Obtułowicz, Dr. E. Reis, Schutt, ck. Starosta, Sokal, Konstanty Stupnicki, ks. Telakowski i Wydział powiatowy, w Buczaczu (2 egz.), Jan Ferrari, Al. Salwicki, Leonard Smolik i Rafał Wierzbicki, w Monasterzyskach, Dr. Jan Bołoz Antoniewicz, w Skomorochach (3 złr. nadzw.)

Chrzanów i pow. chrzanowski: Dr. Zygmunt Keppler, K. Kurek, Dr. Pawlas, Zygmunt Brochwicz-Rogoyski, ck. Starosta, Kamila Sporyszowa i Dr. Wittlin, w Chrzanowie, Etgens i Lipowski, w Krzeszowicach.

Cieszanów i pow. cieszanowski: Michał Gilewicz, Dr. Jabłoński, Tytus Karchezy, ck. Starosta, ks. Józef Kozik, ks. M. Płochocki, Jan Strzelecki i Jan Winiarski, w Cieszanowie, J. O. ks. Ludwik Łodzia Poniński, ck. emerytowany Starosta i

Radca Namiestnictwa, w Horyńcu, ks. Jabłonowski, Jan Postępski i Efraim Turnheim, w Lubaczowie.

Czerniowce (na Bukowinie): Dr. Chrząszczewski i Izydor Rossin, w Czerniowcach.

Czortków i pow. czortkowski: Bieńkowski, Hołubowski, Juliusz Niewiadomski, ck. Starosta, Dr. Stöckl i Wojciech Węgrzyński, w Czortkowie, Geringer, w Chmielowcach, Józefa Bogdanowiczowa, w Dżurynie.

Dąbrowa: Szczerbiński i Trzeciecki, w Dąbrowie.

Dobromil: Dr. Aleksander Bieńczewski, Brzezowski, Czytelnia kasynowa i Alojzy Schneider, w Dobromilu.

Dolina i pow. doliński: Andrzej Horodecki, Michał Jankowski i Sołtyński, w Dolinie, K. d'Abancourt, w Bolechowie, Władysław Straszewski, w Rypnem.

Drohobycz: S. A. Apfel, Dr. Natan Apfel, Józef Arvay, ck. Sekretarz Namiestnictwa i burmistrz urzędowy, Busek, Dr. J. Fruchtman i Ignacy Wierzbicki, w Drohobyczu.

Gorlice: Dr. Karol Neuman, Rogaski (†) i Dr. Czesław Śleczkowski, w Gorlicach.

Grac (w Styrji): Dr. Ludwik Gumplowicz, w Gracu.

Gródek i pow. gródecki: Bazyli Dmuchowski, burmistrz w Gródku, Adolf Henze, Rafał Nowosielski i Świszczowski w Gródku, Dr. Henryk Koliszer, w Czerlanach.

Grybów: Józef Falter i Alojzy Muszyński, w Grybowie.

Horodenka i pow. horodeński: Władysław Chojnik, Gaspary, Norbert Lorsch, c. k. Starosta w Horodence, ks. Mardyrosiewicz, ks. Nowobielski, Dr. Przetocki, Dr. Franciszek Rauch, Robacki i Teichman, w Horodence, Albert Nahlik, w Obertynie.

Husiatyn: ks. Bojarski, Dziurzyński, Sowiński i ks. Szamocki, w Husiatynie.

Jarosław: Dr. Emil Blumenfeld, J. Krasicki, Ignacy Raff, księgarz, Dr. Julian Ruczka i Rybotycki, w Jarosławiu.

Jasło: Dr. R. Adamski, Antoni Danielewicz, Jakub Pollak, Apolinary Przyłęcki, Klemens Sieńkiewicz i Dr. Fr. Ks. Wiediger, w Jaśle.

Jaworów: Jan Topolski, w Jaworowie.

Kałusz: Baczyński, Komornicki, Stanisław Nikorowicz, burmistrz miasta Kałusza, Ignacy Przestalski, Leon Skrowaczewski i Dr. Wurst, w Kałuszu.

Kamionka Strumiłowa i pow. kamionecki: Ludwik Lis i Juliusz Łempicki, w Kamionce, Dr. Brzechowski w Radziechowie.

Kołomyja: Józef Funkenstein, Dr. Głaczyński, ks. Koblański, Józef Machnicki, Dr. Maramorosz, Dr. Milgrom, Dr. Piaskiewicz, Rybczyński, Wilhelm Schayer, Sendzimir, Dr. Stern, Dr. Gabriel Sysak, Salamon Wieselberg i Bronisław Witosławski, w Kołomyi.

Kosów: Bursa, Hochleitner, Hipolit Sabat, ck. Starosta i Sielecki, w Kosowie.

Kraków: Abderman, Dr. Adamkiewicz, Juda Birnbaum, Bociański, Emil Borkowski, redaktor i wydawca „Djabła,“ K. Brodzki, Estreicher, Dr. Horowitz, Dr. Michał Ichheiser, Dr. Faustyn Jakubowski, Dr. Łepkowski, Józef Łukaszewicz, Dr. Pie-

kosiński, Zygmunt Resch, Sebostjan Stafiej, Bernhard Thieberg, Dr. Maurycy Wechsler, Mieczysław Modest Zaloski i Dr. Zoll, w Krakowie.

Pow. krośnieński: M. Drążyk, Fąfarski, Cezary hr. Męciński i Florjan Minkusiewicz, w Dukli.

Limanowa: Hajdukiewicz, Mazurkiewicz, Ferdynand Huńczak-Popiel, ck. Starosta, Wincenty Potocki i Seegin, z Limanowy.

Lisko i pow. liski: Leopold Dadej, *Dr.* Freysinger, w Lisku, Frippel, Kuryś i Serkowski, w Lutowiskach, Giełdanowski, Majewski, Morwitz, Pełypiak i Izak Schreiber, w Ustrzykach dolnych.

Lwów i pow. lwowski: Bank kredytowy, Mieczysław Baranowski, Dr. Blumenfeld, br. Brunicki, Dr. Salamon Bund, Dr. Emil Byk, J. Chołodecki, Dr. Ignacy Czemeryński, Dr. Czeszer, Diamand, Dr. Dzię̨dzielewicz, Dr. Goldman, Dr. Gottlieb, Grabiński, Dr. Gross, Dr. Hefern, Dr. Herschman, Dr. Holzer, Samuel Horowitz, Dr. Józef Korczak Horodyski, Józef Howorka, Zygmunt Jasiński, Dr. Jekeles, Klipunowski, Dr. Józef Koliszer, Wł. Kostro, Dr. Edward Lilien, Juliusz Makarewicz, Dr. Filip Mansch, Gustaw Mauthner, c. k. Sekretarz Namiestnictwa, Jerzy Mayer, Dr. Niementowski, M. Nirenstein, Jakub Piepes, D. Posner, Dr. Bernard Reich, Zygmunt Richtman, Wł. Rieger, Juliusz Riedl, Dr. Schaff, Dr. Skałkowski, Karol Sklepiński, Smutny, Dr. Henryk Szydłowski, *Dr.* Ernest Till, *Dr.* Weiss, Welichowski, Wewiórski, *Dr.* Artur Wiktor, *Dr.* Franciszek Wolski, Władysław Wszelaczyński, Liberat Zajączkowski i Franciszek Zima, we Lwowie, Bolesław Andruszewicz, w Barszczowicach (3egz.), Stanisław Matkowski, w Szczercu i Zygmunt Groblewski, w Winnikach.

Łańcut i pow. łańcucki: Jan Cetnarski, burmistrz miasta Łańcuta, Alina Kahane i *Dr.* Walenty Szpunar, w Łańcucie, Czepielewski, Głębocki, ks. Ścisłowicz i Świątecki, w Przeworsku.

Mielec: Dr. Brandt, Droba, J. Frankiewicz, Andrzej Pawlikowski, Emanuel Schabbus i Stanisław Terlecki, w Mielcu.

Pow. mościski: Józef Bund i Mahl, w Sądowej Wiszni.

Nadwórna: Alojzy Braun, B. Chmurowicz i Jan Kisielewski, w Nadwórnie.

Nowy Sącz i pow. nowosądecki: Jan Dzięciołowki, Józef Pisz, F. Ritter, *Dr.* Schornstein, Alojzy Szklarski, c. k. Prezydent sądu i *Dr.* Wąsikiewicz, w Nowym Sączu, Władysław Ambroziewicz, w Starym Sączu.

Nowy Targ: *Dr.* Ernest Geissler, Michał Łukaszewicz i Magistrat miasta Nowego Targu.

Podhajce: Michał Borowski, burmistrz miasta Podhajec, Izydor Lilienfeld, Władysław Łoś i Karol Popiel, c. k. Starosta w Podhajcach.

Przemyśl: Dr. Baumfeld, *Dr.* Berson, *Dr.* Alfons Bieńczewski, *Dr.* Doliński, Dornwald, Dudek, *Dr.* Dukiet, *Dr.* Aleksander Dworski, burmistrz miasta Przemyśla, Leopold Goldman, Edward Gorecki, ck. Starosta i Radca Namiestnictwa, *Dr.* Hillel, A. R. Janeczek, Celestyn Jaworski, Fr. Kwaśniewski, *Dr.* Mendrochowicz, *Dr.* Rosenbach, Andrzej Skala, *Dr.* Skórski, *Dr.* Smutny, *Dr.* Tarnawski, Marja Tygier i Franciszek Zych, w Przemyślu.

Rawa ruska i pow. rawski: Grzesikiewicz, Natan Kibitz, Praszałowicz, Franciszek Szyjkowski i Hipolit Zawzięty, w Rawie ruskiej, Rudolf Düll, ks. Felsztyński († 26/7 1888), B. Kibitz i M. Kusztelan, w Uhnowie.

Rohatyn i pow. rohatyński: Fried, Władysław Manasterski, Karol Mühlner i Wiktoryn Reichelt, ck. Starosta w Rohatynie, Fr. Burzyński i Edmund Wohlfeld, w Bursztynie.

Ropczyce i pow. ropczycki: Chrząszczewski, w Ropczycach i Wisłocki, w Dębicy.

Rudki: Czytelnia rudeńska, Kazimierz Kurek i Henryk Triller, w Rudkach.

Rzeszów: *Dr.* Als, *Dr.* Barzycki, ks. Fałat, *Dr.* Fechtdegen, Fedorowicz, ck. Starosta, ks. Gruszka, Kalinowski, *Dr.* Reich, *Dr.* Jan Steczkowski, ks. Szaflarski i *Dr.* Zbyszewski, burmistrz miasta Rzeszowa.

Sambor i pow. samborski: Angerman, *Dr.* Biegelmayer, Aleksander Donicht, Eleonora Fiternikowa, Karol Hanik, *Dr.* Trzyczek Maciejowski, Wilhelm Kasparek, G. Kohn, Konwent OO. Bernardynów, Wilhelm Kuhnen, Marjan Oleński, Przetocki, Józef Przybylski, *Dr.* Władysław Skalski, *Dr.* Michał Stefko, *Dr.* Justyn Witz i Eustachy Zajączkowski, w Samborze, *Dr.* Ludwik Dolański, w Rakowej i Ludwik Balicki, w Wykotach.

Sanok i pow. sanocki: Całczyński, Józef Dzundza, *Dr.* Goldhamer, *Dr.* Iskrzycki, Ludwika Kahanówna, Marcelina Lisówna, Miszkiewicz, Noskiewicz, Staruszkiewicz, Leon Studziński, ck. Starosta, Ludwik Świerczyński i Włodzimierz Witoszyński, w Sanoku i *Dr.* J. Galant, w Starym Zagórzu.

Skałat i *pow. skałacki:* S. A. Telichowski, w Skałacie, H. Goldlust, St. Kądzielski, Emil May, *Dr.* Isaak Metall, H. Ostersetzer. Schwager, Zofja Szumlańska i Józef Tiger, w Podwołoczyskach.

Śniatyn i pow. śniatyński: Franciszek Howorka, Tadeusz Knapczyński, *Dr.* Wilhelm Rosenbeck, Bolesław Takliński i Zulauf, w Śniatynie, Adolf Schapira, w Zabłotowie.

Sokal i pow. sokalski: Dominik Derdacki, Bruno Eitelberg, *Dr.* Filipowski, burmistrz miasta Sokala, Józef Kraus, Rauch, Franciszek Szymusik, Dyonizy Tchórzewski, emerytowany ck. Starosta i Radca Namiestnictwa, *Dr.* Wejda, E. Wysoczański i Zaczkowski, w Sokalu, A. Gross i Mieczysław Musiał, w Bełzie.

Stanisławów: Artychowski, J. Bocheński, Borecki, Cetwiński, *Dr.* Michał Fischler, Józef Jaegerman, Kajetan Kopacz kupiec, Kajetan Kopacz radca, Piotr Sedelmayer, Teodor Stachiewicz, *Dr.* Walery Szydłowski, Juliusz Turczyński i Ignacy Zdrassil, w Stanisławowie.

Staremiasto i pow. staromiejski: Andrzej Aleksiewicz, Jerzy Koudelka i Marjan Władyczyński, w Staremmieście, *Dr.* Abdon Bieńczewski, w Chyrowie.

Stryj i pow. stryjski: *Dr.* Karol Dawid, Leon Gaertner, Józef Kosterkiewicz, Juliusz Kuhn, Józef Lechicki, Manasterski, ck. Starosta i Naganowski, w Stryju, Stanisław Lechowski i Bronisław Nartowski, w Skolem.

Tarnobrzeg: ks. Karol Kasel, *Dr.* Reifer i Franciszek Riess, w Tarnobrzegu.

Tarnopol: Dr. Celestyn Blaustein, Orest Cicimirski, *Dr.* Delinowski, *Dr.* Gładyszewski, Ingwer, *Dr.* Landesberg, Emil Michałowski, Młyn parowy, *Dr.* Pohorecki, J. Roguski, Alfred Silkiewicz, *Dr.* Trzcieniecki i J. Winiarz, w Tarnopolu.

Tarnów: Maurycy Adler, Czapliński, *Dr.* Mieczysław Gałecki, *Dr.* Ludwik Glaser, *Dr.* E. Goldhamer, M. Grabowski, *Dr.* Lerner, Dr. Merz, W. Niwicki, Leopold Płaziński, ck. Starosta, Dr. Ringelheim, Karol Rudolf, Dr. Józef Stojałowski i Dr. Bronisław Wolff, w Tarnowie.

Tłumacz i pow. tłumacki: Leopold Bielski, Karol Jahn i Feliks Sierpiński (†1889) w Tłumaczu, Dr. Nussbaum, Wichański i Witosławski, burmistrz w Tyśmienicy, Kazimierz Potocki, w Gajach.

Trembowla: Karol Berchardt, Dr. Adolf Frisch, ks. Kali-niewicz, Jan Leśniański, Stanisław Lipnicki, Dr. Julian Olpiński, burmistrz i Alfred Welles, w Trembowli.

Turka i pow. turczański: Seweryn Brysiewicz, burmistrz miasta Turki, Zygmunt Kozicki, Hieronim Morawski, ck. Starosta, Wiktor Pietsch, Pragłowski i Teliszewski, w Turce, Antoni Stanisław Chołoniewski, w Łomnie.

Wadowice: Michał Frąckiewicz, Jan Godłowski, Dr. Iwański, Lipka, Dr. Stanisław Łazarski, Jan Manowarda, A. Paupié, W. Rosenfeld, Emil Stankiewicz i Wilczyński, w Wadowicach.

Wiedeń: Bernard Kohn, we Wiedniu.

Wyżnica (na Bukowinie): Antoni baron Kapri, Józef Rudkowski, Antoni Sworakowski i Ferdynand Syrzistie, ck. Starosta, w Wyżnicy.

Zaleszczyki: Adolf Frank, Efraim Geringer, Antoni Gross, Księgarnia S. S. Grossa, Kajetanowicz, Kocko, Stanisław Promiński, Dr. Schrenzel i Dr. Emilian Stoklasa, w Zaleszczykach.

Zbaraż: Kukawski, Antoni Petter i ks. Tobiasz Ucherek, w Zbarażu.

Złoczów i pow. złoczowski: Dr. Billet, burmistrz miasta Złoczowa, Garfein, Frydryk Kuhnen, Dr. Misky, Edward Mutka, Wilhelma Niedźwiedzka, Dr. Edwin Płażek, ck. Starosta, Dr. Wesołowski, Antoni Wybranowski i Dr. Eustachy Zaleski, w Złoczowie, Antoni Kofler i Dr. Reis, w Olesku, Leon Willner, w Zborowie.

Żółkiew: Maurycy Jan Maresz i Robert Nabielak, w Żółkwi.

Powiat żydaczowski: Bałaban, Dr. Chomicki i Tyszkiewicz, w Żurawnie, Karol Brzozowski, ks. Pociej i ks. Swadowski, w Drohowyżu, Blonarowicz, Cech garncarski, Piotr Łabowski, Antoni Stecher, Dr. Emil Zadurowicz i Wawrzyniec Zaremba, w Mikołajowie.

Treść:

SPIS RYCIN.

Sprostowanie pomyłek.

Str.	*wiersz*	*zamiast:*	*czytaj:*
24	22	wyzyskającym	wyzyskującym
25	przedostatni	w oświeconym	w oświeconem
35	32	przedmiotach	przymiotach
40	26	demuncjacyj	denuncjacyj
77	2	entstellłte	entstellte
123	17	Źeśmy	Żeśmy
138	8	Pyzalidy	Pyrallidy
188	4	przegładziwszy	przygładziwszy
204	4	przez p Mayerów	przez p. Mayerów
210	14	trnp	trup
256	22	sie	się

Dla publicznej wiadomości!

Zgodnie ze sprawozdaniem mojem uwiadamiam P. T. Publiczność, że z wkładek na dodatkowe, przy „Rocznikach Samborskich“ wyjść mające dzieło:

„POLSKA W ŚWIETLE NIEMIECKIEJ POEZJI“

uzyskano dotąd 126 złr. 85 ct., którą to kwotę redakcja złożyła w kasie oszczędności lwowskiej.

Do dzieła, przezemnie zapowiedzianego zaangażowałem niektórych, znanych w kraju współpracowników; ale rozwój dzieła w pierwszym rzędzie zależyć będzie od wsparcia publiczności, zostawiającego jak na dotąd jeszcze cokolwiek do życzenia.

G. Kohn,
redaktor i wydawca „Roczników Samborskich.“
